

„HISTORIA NA DWA GŁOSY O POSZUKIWANIU SIEBIE,
WOLNOŚCI I ULOTNOŚCI CHWIL”.

La Bottega di Hamlin

ANDREA DE CARLO

Niedoskonały cud



BUKOWY LAS

– Jacyś Anglicy zamówili u mnie dziesięć litrów lodów, gdy już byłam pewna, że będę musiała wszystko wyrzucić. – Milena Migliari zatacza ręką szeroki gest, jakby chciała ogarnąć lodziarnię, dom Anglików i całą przestrzeń, jaką musiała pokonać.

– Dziesięć litrów? – Viviane przygląda się jej; z powodu wykonywanego zawodu może więcej wywnioskować z jej sylwetki niż z twarzy.

– Mają wielką posiadłość nad Callian, wielu gości, pracowników, różnych ludzi. – Milena Migliari czubkiem stopy dotyka jednej z toreb. – Ale mam nadzieję, że zjedzą je od razu i nie będą ich trzymać w zamrażalniku, żeby stały się twarde jak skała i porowate. Być może powinnam była im zostawić tylko pięć litrów, a resztę zabrać z powrotem.

– O Matko Boska, Milena! – Viviane ma wiele powodów, żeby odezwać się wybuchowym tonem.

– Rozumiem to poczucie ucziwości wobec sztuki, czy jakkolwiek chcesz je nazywać, ale do jasnej cholery! Co by się stało, gdyby zrobiły się trochę porowate?

– To już nie byłyby moje lody, jasne? Konsystencja to jedna z ich najważniejszych cech! – Milena Migliari przybiera bojowy ton, jak za każdym razem, gdy ktoś oskarża ją o zbyt ni perfekcjonizm lub nieprzystawalność do rzeczywistości.



ANDREA DE CARLO

*Niedoskonały
cud*

przełożyła z języka włoskiego
Katarzyna Skórska

BUKOWY • LAS

Środa

Późnym rankiem osiemnastego listopada dwa tysiące piętnastego roku w całej gminie Fayence, w departamencie Var, w regionie Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże, awaria zasilania zakłóciła funkcjonowanie transportu i telekomunikacji, przerwała emisję programów radiowych i telewizyjnych, pracę lodówek i zamrażarek, systemów zabezpieczających i komputerów oraz uniemożliwiła działalność sklepów i lokali, w tym również lodziarni „La Merveille Imparfaite”, mieszczącej się u początku brukowanej uliczki, która od rue Saint-Clair biegnie schodkami ku rynkowi z kościołem.

Zaledwie kilka minut wcześniej lodziarka Milena Migliari, stojąc w drzwiach swojego sklepu, pomyślała, że nie musi zaglądać do kalendarza, by się upewnić, że sezon turystyczny zakończył się już jakiś czas temu. Wystarczył sam bezruch powietrza, wciąż jakby wypełnionego echem śmiechów i nawoływań, spojrzieniami, szelestem, odgłosami kroków, pstrykaniem zdjęć z telefonów komórkowych późnym latem. Wystarczyło rzucić okiem za róg, na główną ulicę i samochody przejeżdżające z rzadka pod łukiem przy ratuszu, na którym kursywą wypisano „Hôtel de Ville”, na zamknięte bladoniebieskie okiennice, flagi Francji i Unii Europejskiej, doniczki z podwiedłym już geranium, a następnie pójść w górę, wzdłuż witryn restauracji, piekarni i biur nieruchomości, a potem jeszcze dalej, ku Mons, Turrettes lub Callian czy gdziekolwiek indziej. Przejściowy ziąb rozpraszały powiewy ocalałego ciepła; wyblakły błękit nieba był o krok od ustąpienia szarości. We wszechogarniającej ciszy rozbrzmiewały jedynie odgłosy młotka, którym uderzał robotnik w jednej z niżej położonych uliczek, oraz muzyka płynąca z radia w pracowni.

Nagle zgasły światła w lodziarni i ucichł dźwięk radia, słychać było tylko pojedyncze stuknięcia młotkiem. Milena Migliari rozejrzała się wokoło, weszła z powrotem do środka, wymieniła niepewne spojrzenia ze stojącą za ladą pomocnicą Guadalupe, po czym udała się do pracowni, w której zamarło również hipnotyzujące, a zarazem pokrzepiające brzęczenie lodówki. Znów wyszła na próg, skręciła w główną ulicę i już po kilku krokach wiedziała, że prądu nie ma w całym miasteczku.

Wewnętrzna harmonia lodów jest z założenia nietrwała, choć potrzeba trochę czasu, zanim dojdzie do nieodwracalnej katastrofy. Milena Migliari wobec nietrwałości owej harmonii zawsze odczuwała mieszaninę niepokoju i fascynacji: być może zależało to od jej osobistych doświadczeń, jak twierdziła Viviane, od braku oparcia w rodzinie, od braku korzeni. W tym wypadku jednak chodziło o jej

pracę: o składniki dobrane z drobiazgową starannością, o dopieszczone receptury, o kosztowny sprzęt, który jeszcze nie został spłacony, o bilans, który powinien się zgadzać.

Oto dlaczego teraz świadomie stara się nie ulegać emocjom i z ufnością czeka na powrót prądu. Zerka na zegar ścienny, który szczęśliwie działa na baterie, i dokonuje obliczeń: w rynienkach w ladzie chłodniczej lody na pewno wytrzymają dwie godziny, przy obecnej temperaturze na dworze być może nawet trzy. Zamienia kilka zdań z Guadalupe, co jakiś czas wraca do pracowni sprawdzić maszyny do lodów, dojrzewalniki, schładzacz, lodówki do przechowywania surowców: nic, ale to zupełnie nic nie działa. Żadna z kontrolki się nie świeci, żadna turbina nie brzęczy. Zaniepokojona, w końcu chwyta za telefon i dzwoni do elektrowni i do urzędu miasta, aby się czegoś dowiedzieć, lecz odpowiadają jej tylko sekretarki automatyczne lub niedoinformowani, niemający o niczym pojęcia niefrasobliwi ludzie, wcale nie dodając jej otuchy, wprost przeciwnie.

Milena Migliari znów wychodzi na główną ulicę i kiwając głową, rozmawia z kobietą z piekarni – tamta wie tyle samo, ile ona i jest równie przejęta. Potem lodziarka kieruje się do pobliskiego biura nieruchomości: dwie pracownice jak zaczarowane gapią się w wyświetlacze telefonów komórkowych, trzecia dzwoni, chcąc uzyskać jakieś informacje, lecz na próżno. Milena Migliari wraca do lodziarni, próbuje się uspokoić, słuchając opowieści Guadalupe o urodzinach jej kuzyna z Quetzaltenango, w których pomocnica uczestniczyła przez Skype'a. Co kilka minut spogląda na zegar ścienny, sprawdza, co się dzieje w pracowni. Ponownie dzwoni do elektrowni i do urzędu miasta. Nic z tego. Chodzi tam i z powrotem, ze sklepu do pracowni, z pracowni do sklepu, z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, rytm jej serca przyspiesza na samą myśl, że nadal nikt nie wie, kiedy przywrócą dostawę prądu, a tymczasem temperatura w rynienkach mogłaby osiągnąć punkt krytyczny, z którego nie byłoby już powrotu. Wciąż nic się nie dzieje, tak więc – żeby wszystko nie przepadło – Milena Migliari zdobywa się na decyzję i prosi Guadalupe o pomoc w napełnianiu rozków i miseczek, by rozdać je przechodniom.

Jak już wiadomo, sezon turystyczny zakończył się jakiś czas temu; po uliczkach starówki przechadzają się tylko starsze panie z siatkami pełnymi zakupów, raz po raz przemykają robotnicy z Afryki Północnej, sporadycznie pojawiają się pary północnoeuropejskich turystów o zagubionym wyrazie twarzy, tu i ówdzie widać zaniepokojonych sklepikarzy, którzy usiłują przewidzieć rozwój wypadków. Gdyby przerwa w dostawie prądu zdarzyła się w lipcu lub sierpniu, wraz z Guadalupe w ciągu pół godziny rozdałyby lody, osiągając przy tym dobry efekt promocyjny. W obecnej sytuacji muszą niemal prosić nielicznych przechodniów, by przyjęli w darze rożek lub miseczkę. Ludzie mają zakłopotane miny, odwracają wzrok, unoszą brodę, przyspieszają kroku – to niewiarygodne,

z jaką nieufnością spotyka się propozycja, by dostać coś gratis. Chcąc kogoś namówić, obie muszą się uśmiechać, zachęcająco kiwać głową i gestykulować, tłumaczyć, że nie żądają w zamian ani krwi, ani zgody na wstąpienie do sekty. Idzie im na tyle niemrawo, że po jakimś czasie Milena Migliari wraca do lodziarni i napełnia półlitrowe pojemniki, po czym zanosi je do biura nieruchomości, do sklepików z asortymentem udającym rękodzieło prowansalskie, do restauracji. Śmiechu to warte, bo latem nie może wręcz sprostać zamówieniom, wielokrotnie musi tłumaczyć, że jej działalność napotyka masę ograniczeń, że proces produkcji jest powolny i złożony i że może obsłużyć jedynie kilka osób naraz. Teraz natomiast, w obliczu sezonowych pustek i braku prądu, nikt nie wydaje się cieszyć na widok cudownych żółto-czerwonych lodowych kulek z owoców poziomkowca z Maquis, złotobrunatnych o smaku głożyny z Montauroux czy jaskrawozielonych z agrestu z Mons. Owszem, kilka osób jej dziękuje, ale wyglądają raczej, jakby wyświadczały jej przysługę, przyjmując pojemnik, o który jeszcze dwa miesiące temu byłyby niemal gotowe się pobić. Kiedy ona z lekkim naciskiem tłumaczy, że lody należy zjeść szybko, aby nie utraciły idealnej konsystencji, patrzą na nią jak na wariatkę, jakby jej nadmierna troska była zupełnie nie na miejscu w tej trudnej dla wszystkich sytuacji.

Milena Migliari wraca do lodziarni, bezskutecznie wykonuje kolejne telefony i znów otrzymuje wymijające odpowiedzi. Sprawdza temperaturę w rynienkach, używając termometru na podczerwień, który na szczęście też działa na baterie: pokazuje minus dziesięć stopni. Jeszcze może być, ale wkrótce temperatura wzrośnie, nie ma co do tego wątpliwości. Lodziarka już widzi oczami wyobraźni siebie, jak wodzi łyżką po różnobarwnych kałużach, wymieniając zrozpaczone spojrzenia z Guadalupe. Nie chodzi tylko o nieuchronną stratę lodów; ogarnia ją uczucie ogólnego rozkładu, który dotyczy także jej życia.

Dzwoni telefon, a ona zrywa się na równe nogi, by odebrać, myśląc z niedowierzaniem, że może któraś z nieczułych dotąd na jej apele instytucji postanowiła powiadomić ją o rozwoju sytuacji. Przyciska słuchawkę do ucha, z emocji drżą jej dłonie.

– Halo?

– Czy to „La Merveille Imparfaite ”w Fayence? Ta lodziarnia? – Głos kobiety po drugiej stronie słuchawki wybija się na tle hałasu jadącego samochodu.

– Tak, słucham. – Milena Migliari próbuje przybrać profesjonalny ton, ale z racji okoliczności nie przychodzi jej to łatwo.

– Właśnie przeczytałam niesamowite rzeczy o waszych lodach. – Akcent kobiety brzmi nieco obco, choć doskonale opanowała francuski.

– No cóż, dziękuję. – Milena Migliari nie wie, czy powinna czuć się szczęśliwa, że ktoś docenił jej pracę, czy też raczej niepocieszona faktem, że jej dzieło wkrótce rozplynie się na jej oczach.

– „Milena Migliari, Włoszka osiadła na francuskiej ziemi, z cudowną wrażliwością i przenikliwością oddaje kwintesencję całkowicie naturalnych, lokalnych i sezonowych składników, poddając je próbie podniebienia najbardziej wyrafinowanych znawców i serwując je w niedościgłych miseczkach i rożkach mieniących się delikatnym lub intensywnym natężeniem malarskich barw...”

Nie ulega wątpliwości, że jej rozmówczyni ma przed oczami tekst Liama Bradforda, blogera kulinarnego, który zjawił się tu w lipcu, by rozkoszować się Różową Morelą z Saint-Paul, Granatową Śliwką z Tourrettes, nie mówiąc już o Śmietance z Montauroux.

– Cóż, staram się... – odpowiada Milena Migliari, bo wydaje się jej, że powinna coś powiedzieć, lecz zaraz potem czuje się głupio. Powraca myślami do chwili, gdy na komputerze w domu przeczytała recenzję ozdobioną zdjęciem przedstawiającym ją i Guadalupe, jak stoją za ladą, patrząc niczym osoby poszukiwane przez policję; wspomina satysfakcję połączoną z niepokojem, gdy zobaczyła, jak efekty jej pracy powodowanej instynktem i potrzebą eksperymentowania ubrano w dość obco brzmiące słowa.

– *We said tomorrow, that was the bloody agreement! No, no, no, Friday is too late, for God's sake!*[1] – Głos w telefonie zwraca się do kogoś, kto siedzi w samochodzie, przybierając przy tym tak agresywny ton, że brzmi zupełnie inaczej.

Milena Migliari daje znak Guadalupe, że nie ma pojęcia, z kim rozmawia.

– Bardzo panią przepraszam. – Głos ponownie zwraca się do niej, znów po francusku i znów uprzejmym tonem, choć już nie do końca takim samym jak przedtem. – Czy dostarczacie lody do domu?

– To zależy. – Milena Migliari czuje się zaskoczona, a także trochę rozkojarzona pytającym wzrokiem Guadalupe.

– Od czego? – Głos brzmi, jakby jego właścicielka miała zaraz stracić cierpliwość.

– Od ilości, miejsca i czasu. – Milena Migliari myśli, że tak naprawdę to w tej chwili byłaby gotowa pokonać kilkadziesiąt kilometrów piechotą, żeby tylko zanieść gdzieś półlitrowy pojemnik; miałaby poczucie, że udało jej się coś ocalić z tego ogólnego rozkładu.

– Chcę dziesięć litrów. Do Callian. Natychmiast.

Owszem, można w tym wyczuć sporą dozę obcesowości.

– Przepraszam, ile litrów? – Milena Migliari jest pewna, że jej rozmówczyni pomyliła się w nazewnictwie francuskich liczb; od kiedy trzy lata temu otworzyła lodziarnię, najważniejsze zamówienie dotyczyło dwóch litrowych pojemników, i to w samym środku sierpnia.

– Dziesięć. Jedyńka i zero. Połowa dwudziestu. We wszystkich dostępnych smakach. – Jej ton jest teraz mocno natarczywy. – Czy to możliwe?

– Oczywiście, że tak. – Milena Migliari z trudem otrząsa się z niedowierzania.

– Wspaniale, bardzo się cieszę! – Entuzjazm w głosie rozmówczyni przyprawia lodziarkę o konsternację, podobnie jak niedawne przejście od uprzejmości do zniecierpliwienia.

– Ja też! – Milena Migliari nie potrafi ukryć radości, choć pośród jej myśli pojawia się wątpliwość, że może to tylko jakiś żart. – Poda mi pani adres?

– Chemin de la Forêt, posiadłość „Les Vieux Oliviers”. – Głos dokładnie wymawia każde słowo, chcąc wydobyć je z hałasu w tle. – Zobaczysz pani wyraźny napis na ściętym pniu, po prawej stronie bramy. Na pewno się pani nie pomyli.

– Dobrze. – Milena Migliari chciałaby zapytać o coś jeszcze, ale nie wie dokładnie o co. – W takim razie do zobaczenia niebawem.

– Do zobaczenia! – Głos po drugiej stronie wydaje się usatysfakcjonowany konkluzją i na tym rozmowa się kończy.

Milena Migliari odkłada słuchawkę, przez kilka sekund wpatruje się w Guadalupe. Następnie bierze się w garść, jej ruchy nabierają prędkości.

– Pomóż mi napełnić dziesięć litrowych pojemników. Wszystkimi smakami.

– Dziesięć? – Na twarzy Guadalupe maluje się osłupienie.

– Tak, dziesięć! Dziesięć! – Milena Migliari zdejmuje z półki litrowe styropianowe pojemniki i ustawia je w rzędzie na ladzie.

Guadalupe również ochłonęła; po chwili obie z zapalem zaczynają wymachiwać szpatułkami.

1 Mówiliśmy o jutrze, przecież tak się, do cholery, umawialiśmy. Nie, nie, nie, w piątek będzie za późno, na Boga! (ang.)

Nick Cruickshank w swoim białym ape piaggio capri z białym dachem i siedzeniami wyściełanymi białą tapicerką jedzie między szpalerami drzew oliwnych po asfaltowej alejce w kolorze sjeny palonej. Niebo ma bladoniebieską barwę i poranek można by nawet uznać za ładny, biorąc pod uwagę porę roku, ale jego boli głowa i nadal dręczą nudności po whisky, którą pił wczoraj z tym głupkiem Wallym, choć zaraz po wstaniu poprosił panią Jeanne, by w ramach odtrutki przygotowała mu Bloody Mary. Trójkołowiec wygląda śmiesznie, ale przysparza też sporo frajdy; przysłano mu go z Włoch, zapewne z myślą, że prędzej czy później pojazd pojawi się w jakimś wideoklipie lub fotoreportażu. Jeśli się dobrze zastanowić, to od dłuższego czasu dostaje w prezencie rzeczy, które chętnie kupiłby sobie sam, gdy tymczasem musi ciągle płacić za te, bez których najchętniej by się obywał. Na przykład od lat nie wydał ani centa na gitarę czy głośnik albo na skórzaną kurtkę (kiedy jeszcze wolno mu było je nosić), albo chociażby na jedwabny krawat, a tymczasem bezustannie musi znajdować pieniądze na potrzeby dwóch byłych żon i pięciorga dzieci oraz na ich wszystkie nieposkromione zachcianki. To paradoksalne, owszem, ale jego życie w istocie utkane jest z paradoksów. Jak choćby pomysł napicia się Bloody Mary, by zażegnać skutki pijaństwa. Niemniej jednak jego osobisty lekarz, James Knowles, wiele lat temu powiedział mu, że coś jest na rzeczy: pomidor zmieszany z etanolem w nowym drinku ma eliminować pozostałości toksycznego metanolu z krwi, lub coś w tym rodzaju. W każdym razie problem pojawia się sporadycznie: od dwa tysiące szóstego roku Nick Cruickshank prowadzi aż nazbyt zdrowy tryb życia, z rzadkimi odstępstwami, kiedy komuś uda się go zwieść na złą drogę, jak to się stało poprzedniego wieczoru.

Nick Cruickshank boryka się zarazem ze złym samopoczuciem, na które nałożyła się ta cała historia z brakiem prądu, przywodząca na myśl poczucie nieuchronnej katastrofy, która być może już się rozpoczęła. Aldino odkrył, że elektryczności zabrakło w całej gminie; i jak tu nie pomyśleć, choćby mimochodem, że ktoś celowo włamał się do elektrowni, by potem rozpocząć drobiazgowo zaplanowaną rzeź? To nie żadne paranoje; po prostu świat staje się miejscem pełnym napięć, w którym lepiej mieć się na baczności, jeśli choć trochę chce się zwiększyć szanse, by uniknąć marnego końca. Wystarczy spojrzeć na środki ostrożności, do jakich muszą się uciekać w czasie koncertów Bebonkersi: kontrole wykrywaczem metali przy bramkach, ochroniarze przed garderobami, uzbrojeni porządkowi pod sceną, wozy pancerne. A to wszystko może spełznąć na

niczym, bo przecież zawsze może się znaleźć dwóch czy trzech kretynów o mózгах wypranych w medresie opłacanej przez saudyjskich drani, którzy zdołają przedrzeć się przez siatkę ochrony, zanim ktoś w porę to zauważy.

Takie przemyślenia wywołują w nim chęć, by dodać gazu, choć ta kupa złomu osiąga co najwyżej pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nick Cruickshank dociska gałkę, próbując wykrzesać z dwustucylindrowego silnika największą możliwą prędkość. W rezultacie ape jedzie niepewnie, trzęsąc się nieznośnie przy każdej najmniejszej nierówności alejki. Co chwila jedno z tylnych kół grzęźnie w koleinach, bryzgając w powietrze rudawym błotem, a on musi kurczowo trzymać kierownicę, żeby nie wypaść z trasy.

W oddali, pośród drzew oliwnych, widzi trzech mężczyzn mocujących się z pomarańczowo-żółto-zieloną siatką splątaną przez alpaki, które z jakiegoś nieznanego powodu postanowiły przebywać właśnie tutaj, choć przecież jest tyle wolnego miejsca na łące czy w lesie. Nick Cruickshank puszcza kierownicę, aby ich pozdrowić, choć znajdują się daleko, a ich twarze wyrażają raczej nieufność niż serdeczność; czuje się w obowiązku, by okazać nieco łaski, jak przystało na obcego obszarnika, który dorobił się, wykonując pracę – im zapewne niewydającą się nawet pracą – i teraz ma wielką wilłę z dziesiątkami hektarów ziemi ich przodków. Jeżeli przyjąć, że to rzeczywiście ziemia ich przodków, bo gdy się im dobrze przyjrzeć, nawet będąc w ruchu, to ich twarze zdradzają rysy raczej bliskowschodnie niż francuskie. Jeśli się nad tym gruntownie zastanowić, mogą to być nawet islamscy terroryści, którzy pośród siatek w gaju oliwnym ukryli karabiny AK-47 i tylko czekają na odpowiednią chwilę, by nafaszerować pociskami symbol innowierstwa i zepsucia Zachodu. Aldino zapewnił go, że z pomocą lokalnej policji sprawdził tożsamość wszystkich pracujących w posiadłości, ale być może załatwili sobie fałszywe papiery lub zabili trzech prawdziwych pracowników i zajęli ich miejsce.

Nick Cruickshank czuje, jak narasta w nim przedkoncertowe napięcie, które sprawniej niż Bloody Mary pani Jeanne eliminuje metanol z krwi. Przychodzi mu na myśl, że jego poranny sposób na orzeźwienie mógłby się stać jednym z owych tragicznych, a zarazem śmiesznych szczegółów, które wynajdują przedstawiciele mediów, gdy zaczynają grzebać w życiu – a jeszcze chętniej w śmierci – ludzi takich jak on. Już widzi nagłówki „Sun” czy „The Mirror”: *OSTATNIA BLOODY MARY NICKA CRUICKSHANKA*. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej nasilają się skurcze w mięśniach brzucha i rąk i tym trudniej jest mu odwrócić wzrok od terrorystów pracujących pośród pomarańczowo-żółto-zielonych siatek. Prawe tylne koło jego pojazdu grzęźnie w grudach ziemi, a przednie traci sterowność; ape zmierza nieuchronnie w stronę gaju oliwnego. Nick mocno ciągnie za kierownicę, aby odzyskać panowanie nad pojazdem, lecz bez skutku: trójkołowiec jedzie, gdzie chce, podskakuje na kolejnych grudach, kołami ściga siatki z gaju oliwnego, cały

się trzęsie, cudem omija kolejne drzewa, ale nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później o coś się rozbije. I rzeczywiście, w tym momencie pędzi wprost na drzewo o brzdowatym pniu, wielkim jak noga słonia; wali w nie przednim kołem, aż dzwoni cały żalony stelaż pojazdu.

Uderzenie jest o wiele łagodniejsze, niż się spodziewał, zapewne ze względu na zaplątane w koła siatki, jak również dlatego, że nie jechał z zawrotną prędkością. Tak czy owak, dochodzi do niepotrzebnego urazu: Nick Cruickshank uderza w kierownicę, powietrze uchodzi mu z płuc, choć próbuje zamortyzować wstrząs rękami.

Jeszcze gorzej jest, gdy wysiada – zgięty wpół, na bezdechu – i w oddali widzi trzech typów z Bliskiego Wschodu, którzy nie zachowują się już jak robotnicy, lecz naprawdę wyglądają na terrorystów. Biegną w jego stronę, ich oczy pobłyskują złowrogo, wyrażając fanatyczną, brutalną potrzebę wypełnienia misji. Z pewnością nie spodziewali się, że ich zadanie zostanie aż tak ułatwione, że ich cel znajdzie się uziemiony i ogłuszony w zasięgu ręki i nie będą musieli do niego mierzyć z odległości, gdy będzie w ruchu. Będą w tym upatrywać dowodu na to, że ich misja jest święta i słuszna, że prowadzi ich Allah.

Nick Cruickshank przez chwilę myśli, że mógłby spróbować ucieczki; pomimo wstrząsu po zderzeniu i mimo skutków wczorajszego pijaństwa formą zdecydowanie przewyższa wielu ociężałych kolegów, którzy wszystko sobie odpuścili. On przestał sobie odpuszczać już ponad dekadę temu; ćwiczy co najmniej godzinę dziennie, przebiega dystans dziesięciu kilometrów, pływa, jeździ konno, jada tylko zdrową żywność, całkowicie zrezygnował z mięsa. Terrorysty są od niego oddaleni o jakieś czterdzieści metrów, a na przeszkodzie stoją im siatki, które niby mocowali; gdyby zaczął teraz slalomem pokonywać gaj oliwny, być może miałby szansę się uratować. Niemniej jednak myśl o tym, że mógłby zostać zabity podczas ucieczki, jak królik, w dodatku po przejażdżce ape capri, wydaje mu się pozbawiona godności, zupełnie nie *cool*. Rzecz nie w tym, by bronić czegoś za wszelką cenę, ale bezsprzecznie należy chronić wizerunek; i nie chodzi tu tylko o niego, lecz również o jego fanów, a także o tych, którzy jego fanami nie są, ale dla których stanowi wzór. Jeśli spojrzeć wstecz na jego życie, od kiedy Bebonkersi stali się sławni, nigdy nie musiał się za niczym uganiać ani niczego unikać. Raz w Birmingham z jego winy nie odbył się koncert (ku wściekłości pozostałych członków zespołu) tylko dlatego, że nie zdążył na pociąg, choć ten stał jeszcze na peronie, a on był od niego oddalony zaledwie o kilkadziesiąt metrów i gdyby tylko się pospieszył, z pewnością dałby radę wsiąść. Innym razem ominęła go uroczystość u królowej w pałacu Buckingham, ponieważ nie chciało mu się nastawić budzika na zbyt wczesną godzinę (kiedy jeszcze wstawał późno). Lecz i wtedy była to kwestia stylu – w jego życiu nie ma nerwowości, pośpiechu, niepokoju, nieustępliwości, wysiłków czynionych na przekór okolicznościom.

Owszem, nieraz zdarzyło mu się wściec czy przesadzić, z pewnością nie może temu zaprzeczyć, ale zawsze robił to w imię jakiejś zasady albo w ramach artystycznych i egzystencjalnych poszukiwań. To dlatego od wielu lat panuje pogląd (pośród fanów, w mediach, nawet w niektórych dowcipach), że właśnie on jest uosobieniem tego, co jest *cool*; ze względu na połączenie elegancji i naturalnego dystansu, które towarzyszy mu zarówno wtedy, gdy coś robi, jak i wtedy, gdy nic nie robi. Nie jest to jednak kwestia nastawienia, po prostu ma taki sposób bycia. Od zawsze; od kiedy był nieszczęśliwym dzieciakiem z Manchesteru i wydawało mu się, że nijak nie przystaje do wszystkiego, z czym się styka. Nie jest to też chłód ani emocjonalna obojętność: wystarczy posłuchać którejkolwiek z jego piosenek, by zrozumieć, że jest całkowitym przeciwieństwem tego, co emocjonalnie obojętne. To dzięki irlandzkiej krwi, która płynie w jego żyłach w ilości pięćdziesięciu procent. Gdyby za wszelką cenę poszukać jakiejś definicji, można by stwierdzić, że jest to skłonność do widzenia rzeczy w odległej perspektywie, co nieuchronnie znacznie zmniejsza ich wagę. Dodajmy, że pośród przywar przypisywanych mu z biegiem lat (przez dziennikarzy, byłe żony, pozostałych członków zespołu) trudno szukać tchórzostwa. Jeśli już, to nagminnie wytykano mu zbyt dużą skłonność do ryzyka związanego z narkotykami (kiedyś), kobietami (kiedyś), agresywnymi fanami, szybkimi samochodami, narowistymi końmi, falami oceanu i tak dalej. I nie ma w tym krztyny mitomanii: od czasu gdy w trzeciej klasie podstawówki jako cherlak o tyczkowatych nogach ciosem pięści w brodę rozłożył na łopatki swojego prześladowcę, byczka z piątej klasy, po czym go skopał, pozostawiając bez ruchu, potrafi opanować strach.

Tak więc zamiast wdać się w rozpaczliwy slalom pośród drzew oliwnych, Nick Cruickshank z wyrazem twarzy świadczącym o skrajnej nonszalancji odwraca się w stronę swoich przyszłych zabójców, podnosi rękę w geście będącym nieco wymęczonym i ironicznym powtórzeniem gestu pozdrowienia z ape, gdy jeszcze myślał, że ci ludzie naprawdę pracują, a może nawet są jego fanami. Lekko pochylony do przodu nie do końca może utrzymać równowagę, ale nie sądzi, by jego wizerunek jakoś na tym ucierpiał; prostuje się, poprawia chustkę na czole, udaje mu się nawet zawadiacko uśmiechnąć w oczekiwaniu, aż zaczną do niego strzelać. Wydaje mu się, że to wszystko, że taki finał mógłby nawet mieć jakiś sens; że może być zwieńczeniem jakiegoś etapu, jak zwykło się mówić. Zresztą sam sobie na to zapracował: nikt nigdy go nie prosił, żeby stał się ziemskim katalizatorem miłości i nienawiści, aspiracji i frustracji, podziwu i zawiści. W trakcie swojej kariery mógł wielokrotnie umrzeć na różne, o wiele głębsze sposoby: po przedawkowaniu jak wielu jego kolegów, uduszony własnymi wymiocinami jak Jimi, tonąc w basenie jak Brian lub w wannie jak Jim, rozbijając się w helikopterze zaraz po koncercie jak Stevie Ray. W sumie mógłby to być całkiem godny finał, dzięki któremu stałby się jeszcze ważniejszym symbolem niż

John, który za życia nie był raczej wielkim człowiekiem, ale po śmierci zyskał status godnego podziwu męczennika. Choć w jego wypadku, rzecz jasna, należałoby sprawdzić, czego może być symbolem: kreatywności przeszczepionej ze sztuki na grunt życia, bez ogródek i ustępstw? Wolności kultury Zachodu zaatakowanej przez islamski fanatyzm? Odpowiedź niech znajdą fani i media; jego, wobec takiego obrotu spraw, nie mogłoby to obchodzić mniej.

Trzej nieuchronni zabójcy są już oddaleni raptem o kilka metrów, ciężko dyszą i wpatrują się w niego świdrującym wzrokiem, lecz, o dziwo, w rękach nie trzymają kałasznikowów ani pistoletów, ani nawet noży, nie wyglądają też, jakby mieli zamiar go kopać czy okładać pięściami. Wprost przeciwnie, jeden z nich pokazuje na rozbite ape, potem na jego nogi i pyta:

– Okay?

Mija kilka sekund, zanim myśl o śmierci w stylu *cool* przemienia się w świadomość bycia zupełnym głupkiem. Nick Cruickshank kiwa głową i potwierdza:

– Okay, okay.

Trzej mężczyźni wpatrują się w niego z pytającym wyrazem twarzy, po czym patrzą na siebie; zapewne nie są terrorystami, ale bez wątpienia nie są też jego fanami. Wygląda na to, że nie mają najmniejszego pojęcia, kim on jest ani co o nim myśleć, ani co takiego mu się właśnie przydarzyło.

Nick Cruickshank uśmiecha się znowu, tym razem ze zdecydowaną autoironią, choć wcale nie jest pewien, czy oni dostrzegają w nim tę cechę. Czy odczuwa ulgę? Nie. Zażenowanie? Też nie. Przede wszystkim ma dość; to po prostu poranna wpadka. Niewyraźnym gestem żegna trzech nieznanym, na oślep przemierza gaj oliwny, dochodzi do alejki i kieruje się w stronę domu. Teraz, gdy już wie, że śledzi go kilka spojrzeń naraz, choćby nawet nie było ich wiele, zaczyna dochodzić do siebie i z wolna odzyskiwać swobodę ruchów: stapa, obciążając przednią część stopy i kołysząc się w falowym rytmie, co wiele lat temu jakiś kretyn nazwał *Nickwalk* i wkrótce potem podchwycili to inni kretyni – teraz zaś ów chód z każdym krokiem pozwala mu poczuć wzrost samokontroli.

– *Monsieur?![2]* – odzywa się głos za jego plecami, słyszalny wyraźnie pośród szmerów i zgrzytów.

Nick Cruickshank odwraca się niespiesznie z myślą, że może trzej mężczyźni rzeczywiście są terrorystami, choć dość nieporadnymi w działaniu, a może po prostu czekają na odpowiedni moment, by go uśmiercić.

Lecz oni właśnie z wielkim trudem wypchnęli ape z gaju oliwnego – zdyszani pokazują mu pojazd, z tym samym co wcześniej zakłopotanym wyrazem twarzy.

Nick Cruickshank kiwa głową w geście adresowanym do nich i do siebie samego, ponownie się uśmiecha i rozkłada ręce; nadal nieco osłabiony wraca po

swój przeklęty trójkołowiec.
2 Proszę pana?! (franc.)

Milena Migliari z pomocą Guadalupe przyczepia zwinięte karteczki do uszczelnionych taśmą klejącą pojemników. Pomysł, by przygotowywać takie karteczki, przyszedł jej do głowy, kiedy jeszcze robiła lody w domu i sprzedawała je do restauracji „Le Lavandin”, którą zamknięto dwa lata temu po tym, jak szef kuchni, a zarazem właściciel, spadł z drabiny. Zawsze bawiły ją krótkie sentencje znajdujące w chińskich ciasteczkach przynoszących szczęście czy bileciki z herbatek ziołowych pijanych wraz z Viviane wieczorami: krótkie przepowiednie, w dużym stopniu zbieżne z jej myślami lub czynnościami wykonywanymi w danym momencie. Tak oto zaczęła poszukiwać cytatów w ulubionych książkach i przepisywać je wiecznym piórem na wykrojone z papieru pakowego karteczki o wymiarach cztery na dwa centymetry; następnie zwijała je w cienkie ruloniki i przymocowywała czerwoną tasiemką do opakowań. Kto kupi litr, siedemset pięćdziesiąt mililitrów lub pół litra lodów, zawsze znajdzie w paczce taki bilecik. Wymaga to trochę czasu, zwłaszcza latem, gdy lodziarnia pracuje na pełnych obrotach, ale ona lubi poświęcić godzinę każdego wieczoru, żeby wyszukać jakąś złotą myśl i ją przepisać; lubi wyobrażać sobie wyraz twarzy osób, które w domu rozwiną rulonik, zanim spróbują lodów, lub potem, a jeszcze lepiej w trakcie.

Guadalupe pomaga jej włożyć do torby termicznej pierwszych pięć litrowych pojemników, razem zamykają ją szczelnie, po czym zdecydowanymi ruchami szpatułek napełniają pięć kolejnych pojemników. Na szczęście konsystencja lodów ciągle jest przyzwoita i powinna taka pozostać aż do momentu dostawy. Oczywiście lepiej byłoby włożyć wszystko na moment do schładzacza, ale trudno. Milena Migliari co chwila spogląda na Guadalupe, obie się śmieją: to zamówienie *monstre*[3], które nadeszło w tak rozpaczliwej sytuacji, to swego rodzaju cud, niemal nie do wiary. W gruncie rzeczy jednak ilekroć ktoś zjawia się w lodziarni, wydaje się jej, że to cud; jeszcze nie przywykła do myśli, że istnieją ludzie, którzy tak bardzo lubią jej lody, iż gotowi są przybyć tu z daleka i wracać wielokrotnie w ciągu miesiąca, a nawet tygodnia, aby spróbować nowych smaków lub ponownie rozkoszować się już poznanymi, choć wiedzą, że nigdy nie będą one takie same jak za pierwszym razem. Wypisała to nawet niebieskim flamastrem na przyczepionej do ściany kartce: „Każdy smak za każdym razem się zmienia. Nie miejcie nam za złe, jeśli nie znajdziecie dokładnego odpowiednika tego, co wam zasmakowało, lecz spróbujcie docenić różnicę”. Już na samym początku zrozumiała, że nie czerpie najmniejszej satysfakcji z odtwarzania w nieskończoność jednej i tej samej receptury, nawet wtedy, gdy jest szczególnie udana, prawdziwym źródłem radości

są bowiem ewentualne niespodzianki, eksperymentowanie i podejmowanie ryzyka. Rzecz jasna, zdarza się jej popełnić błąd, podążyć za przecuciem, które wydawało się fortunne, gdy tymczasem potem przynosi rozczarowujące rezultaty; ale należy brać to pod uwagę, to po prostu część gry.

Ponadto decyzyja, by używać jedynie lokalnych surowców, i to tylko w odpowiednim sezonie, sprawia, że składniki kończą się czasem w ciągu kilku dni i trzeba czekać cały rok, aby znów je dostać. Być może to najtrudniejszy do wyjaśnienia aspekt jej pracy – nawet klientom, którzy dobrze ją znają, czasem robi się przykro, kiedy dowiadują się, że czarnego bzu z Châteaudouble, który był przecież dostępny jeszcze tydzień temu, już nie ma lub że będą musieli poczekać do następnego listopada, aby znów rozkoszować się granatami z Bargemonu. Viviane często jej powtarza, że popada w purystyczną skrajność, że nie byłoby w tym nic złego, gdyby zamroziła lokalne składniki, tak by móc z nich dłużej korzystać, lub gdyby kupowała je gdzie indziej, jeżeli będą dobrej jakości. Jej natomiast zdawałoby się to oszustwem i tak czy inaczej, jest przekonana, że magia jej lodów polega właśnie na ich zmienności uwarunkowanej porą roku, miejscem, temperaturą na dworze czy nastrojem osoby, która ich próbuje. To właśnie w trakcie tych rozważań przyszedł jej pomysł na nazwę lodziarni. („To bardzo sugestywne pod względem filozoficznym, ale czy nie lepiej byłoby po prostu „La Merveille”? Lub „Włoskie lody”? Albo chociażby „Le Bon Goût”? Albo może „Soleil de Provence”? Bo przecież chodzi tu o działalność komercyjną, której celem są przede wszystkim turyści” – pytała ją Viviane trzy lata temu, gdy podejmowała decyzję. I naturalnie mówiła to dla jej dobra i dla ich wspólnego dobra, uruchamiając swój zmysł praktyczny, który zazwyczaj zdaje się jej taki pokrzepiający).

Lecz rzecz polega właśnie na tym, że nie interesuje jej robienie dobrych lodów dla turystów, lecz odkrywanie tajemniczych niuansów smakowych, poznawanie związków między wrażeniami a obrazami i wspomnieniami, przechodzenie od złożoności do maksimum prostoty. Każdego tygodnia całymi godzinami rozmawia z drobnymi rolnikami i sprzedawcami z okolicznych targów, notuje, rozmyśla, eksperymentuje, spędza kolejne godziny w Internecie i bibliotece, czytając wszystko, co zdoła znaleźć na temat smaków, począwszy od tekstów Teofrasta po ilustrowane książki dla dzieci, nowe i stare zbiory przepisów, traktaty z dziedziny biochemii i nauk o żywieniu. To fascynujące poszukiwania, choć wymagają od niej zaangażowania i nie wiążą się z wielkim zyskiem poza pełnią lata. Poświęca im całą energię umysłową i fizyczną, lecz gdyby jej to nie bawiło, a przecież bawi ją szalenie, i gdyby nie miała świadomości, że zdoła kogoś uszczęśliwić, to wołałaby od razu to wszystko rzucić i znaleźć sobie inne zajęcie.

Wreszcie kolejnych pięć litrowych pojemników jest już gotowych, a do każdego przytwierdzona zostaje karteczka. Guadalupe pomaga ułożyć je w drugiej

torbie-lodówce, po czym przenoszą wszystko do lodziarni. Milena Migliari zdejmuję rękawiczki, czepek i ochraniacze na buty, które zawsze nosi w pracowni, wkłada płaszcz i czapkę, bierze obie torby, powtarza Guadalupe, że bez kłopotu poradzi sobie sama, skręca za róg i szybkim krokiem przemierza główną ulicę w stronę parkingu, na którym zostawiła furgonetkę.

3 Olbrzymie (franc.)

W kuchni pani Jeanne spogląda na niego z zaniepokojonym wyrazem twarzy i pyta:

– *Ça va*[4], Nick?

– *Ça va, ça va.* – Nick Cruickshank wyjmując z lodówki butelkę niefiltrowanego soku jabłkowego bio, napełnia szklankę z grubego szkła, opróżnia ją kilkoma haustami. Jego ciało doprasza się napojów regenerujących: napełnia drugą szklankę, opróżnia ją, potem napełnia trzecią. Jeśli coś mu zostało z czasów, gdy brał narkotyki, to skłonność, by jak najszybciej zaspokajać potrzeby ciała, by od razu reagować.

Pani Jeanne nadal mu się przygląda. Pod fartuchem w prążki widać jej krągłe, miękkie ciało; ma szeroką twarz, mleczną cerę, małe, bardzo uważne niebieskie oczy i sposób bycia wielkodusznej wiejskiej matki, która nieco nadmiernie troszczy się o swoje dziecko, bywa pobłażliwa, ale potrafi być też surowa, gdy trzeba je przed czymś ustrzec lub dla jego dobra skłonić do refleksji.

Nick Cruickshank podchodzi do jednego z okien, czuje delikatny dreszcz rozkoszy, a zarazem dyskomfort, który pojawia się u niego, ilekroć ktoś uporczywie mu się przypatruje. Gdy się dobrze zastanowić, to od kiedy ma na to odpowiednie środki, zawsze udawało mu się znaleźć kobietę, która mogłaby się zająć jego domem, a więc przynajmniej także po części jego równowagą emocjonalną. Było ich co najmniej cztery czy pięć, miały różne pochodzenie, kolor skóry, mówiły w rozmaitych językach, ale łączyło je to, że stanowiły wiarygodny, płatny substytut matki. Lecz Jeanne jest zdecydowanie najlepsza – w pełnionej funkcji zawarła najwięcej naturalności i autorytetu, najwięcej autentycznych uczuć. Paradoks (już nie pierwszy) polega na tym, że jego prawdziwa matka nie miała żadnej z cech, których później szukał u jej zastępczyń. Była chudą, nerwową kobietą, inteligentną i niespokojną, i o wiele bardziej niż zajmowanie się nim i jego bratem interesowała ją malowanie obrazów i pisanie poezji. Kiedy miała ich zachęcić do lektury książki lub do wysłuchania płyty z muzyką klasyczną, stawała się nieustępliwa, ale Nick Cruickshank nie może sobie przypomnieć, by kiedykolwiek przygotowała chociażby ciasto czy w jakikolwiek sposób przejawiała kobiecą łagodność i wielkoduszność, o którą już wtedy tak rozpaczliwie zabiegał. Mimo wysiłku nie przypomina sobie, aby choć raz go pocieszyła lub czule przytuliła, by choć raz go pocałowała, okazując zrozumienie lub dodając otuchy. Owszem, czasem głaskała go po czole, gdy chorował, lecz było to na tyle rzadkie, że aż zdumiewające. Kiedy złapał odrę i dostał maligny od wysokiej gorączki,

niemal przyplacając to życiem, podarowała mu szarego kotka, ale gdy tylko doszedł do siebie, z braku cierpliwości i czasu oddała kota swojej kuzynce Rae, która mieszkała w Yorkshire. Matka kojarzyła mu się głównie z ironicznym spojrzeniem, sarkastycznymi komentarzami, ciętymi uwagami, krytycznymi sądami dyktowanymi wybujałym zmysłem estetycznym, którego oczekiwać nic nie mogło spełnić, oraz całkowitym brakiem zrozumienia dla przeciętności i banałów. To możliwe (a nawet pewne), że przywilejem było zetknięcie się z tak wymagającym umysłem podczas dorastania i że w znacznym stopniu zaważyło to na tym, co później udało mu się osiągnąć, niemniej jego dzieciństwo nie należało do rozkosznych. Nawet potem, gdy był już dorosły i sławny, matka nie okazywała mu zbyt wielu oznak uznania, chyba że do takowych można zaliczyć komentarze w rodzaju: „Doskonale, granie rocka nie tylko nie pozwala ci wyjść z wieku dojrzewania, ale także wymaga od ciebie, abyś pozostał tam nieskończenie długo”.

Niemniej jednak jeszcze jako dziecko odkrył, że istnieje też całkowicie odmienny rodzaj kobiecości – pozbawiony tej nerwowości i nieuchwytności, jakimi odznaczała się jego matka – dzięki cudownym wizytom ciotki Maeve, siostry ojca. Raz na jakiś czas obdarowywała go czekoladkami lub ilustrowanymi książkami, które mu czytała, trzymając go na kolanach, głaszcząc przy tym po włosach i całując w głowę. Kiedy trochę podrośł, zabierała go do kina na filmy wojenne lub westerny, które tak bardzo lubił; potem chodzili do herbaciarni na czarną herbatę *Darjeeling* i *scones* z bitą śmietaną. Ciotka Maeve zupełnie nie przestrzegала narzuconego przez matkę żelaznego podziału na problematykę wysoką i niską, tematykę szlachezną i nieszlachezną: lubiła opowiadać mu błahe historie dotyczące krewnych i znajomych, gwiazd kina i muzyki czy też członków królewskiej rodziny. Chętnie się śmiała, w sposób cudownie przyziemny, wprost olśniewający; do dziś pamięta jej zapach, biel jej skóry i miękkość uścisku. Tekst *My Wondrous Enveloper* napisał z myślą o niej, choć wszyscy tkwią w przekonaniu, że zainspirowała go jakaś czuła dziewczyna, bohaterka jednej z jego historii miłosnych. Nie przypadkiem matka traktowała ciotkę Maeve z pobłażliwością przemieszana z dozą wyniosłości, jaką Anglicy zwykli okazywać Irlandczykom; niemal na pewno była o nią zazdrosna z racji tego, ile dla niego znaczyła. Tak czy inaczej, po tym, jak jego ojciec uciekł do Irlandii, wizyty ciotki Maeve stały się coraz rzadsze, aż ostatecznie się skończyły, gdy wyjechała do Australii z pewnym mieszkańcem Sydney poznanym na wieczorku tanecznym. Stamtąd posyłała mu zabawne pocztówki ze zdjęciami emu, kangurów i ludzi w kostiumach kąpielowych wylegujących się na bezkresnych plażach; potem umarła. Dla niego była to straszna strata, ale równocześnie zaczęła w nim kiełkować potrzeba wszechogarniającej, czulej kobiecości, stając się dla niego kwestią zasadniczą.

– *Tu es pâle*[5]. – Pani Jeanne podchodzi, aby przyjrzeć się jego twarzy, gdy

tymczasem on nadal stoi zwrócony w stronę okna. Za pomocą wzroku, słuchu, węchu i dotyku potrafi nadzorować jego stan fizyczny i umysłowy – mogłaby kazać mu wystawić język, żeby sprawdzić jego kolor, dwoma palcami rozszerzyć powieki, aby zobaczyć, czy oczy nie są szkliste, włożyć mu dłoń pod pachę, aby upewnić się, że nie ma gorączki.

– *Je vais bien, merci!*[6] – Nick Cruickshank próbuje uwolnić się od nadmiaru matczynej troski, bo jeszcze nie doszedł do siebie po wydarzeniach w gaju oliwnym. Gdy o tym pomyśleć, kolejny paradoks (znowu) polega na tym, że ów wszechogarniający, czuły rodzaj kobiecości odnajdywał raczej w kobietach, które zajmują się nim zawodowo, niż w tych, z którymi łączyły go poważne związki uczuciowe. Rzeczywiście, niemal wszystkie jego partnerki były w typie jego matki, a nie ciotki Maeve. O wyostrzonej inteligencji, czasem artystycznie utalentowane, ale zarazem niezrównoważone emocjonalnie i powściągliwe w okazywaniu uczuć, by nie powiedzieć zimne. Do wyboru miał ich przecież co nie miara, od kiedy skończył dwadzieścia lat – w czasie samych tras koncertowych spotykał tysiące kobiet, na trzech czy czterech kontynentach. Lecz nigdy nie pociągały go ani bezkrytyczne fanki, ani niewydarzone lalunie snujące się na pokoncertowych balangach czy imprezach wytwórni płytowych, ani modelki i aktorki, tak uwielbiane przez jego kolegów, całkowicie pochłonięte odgrywaniem roli siebie samych, podjarane nieuchwytnym blaskiem sławy i płynącymi z niej korzyściami materialnymi. Zgoda, być może kilka razy któraś mu się spodobała, ale to zauroczenie trwało kilka godzin, co najwyżej jeden dzień; potem znów stawał wobec przeraźliwej samotności, na krawędzi otchłani. Owszem, zdarzyło mu się poznać jedną czy dwie kobiety, którym udało się wnieść nieco pogody do jego życia, ale jakiś przewrotny mechanizm zawsze sprawiał, że źle się wobec nich zachowywał – dość pomyśleć o tym, jak potoczyły się sprawy z jego drugą żoną. Zupełnie jakby był skazany na odnajdywanie w towarzyszach swojego życia tych samych cech, które sprawiły, że tak podle było mu z matką; to naprawdę niesamowite. Kilka lat temu przeczytał książkę amerykańskiego psychologa, która traktowała właśnie o tym, o podświadomym powrocie do przyczyn pierwotnego złego samopoczucia; ale, jak widać, sama świadomość na niewiele się zdaje, jeśli wziąć pod uwagę jego wybory w życiu uczuciowym aż po Aileen. Z Aileen wydawało mu się, że oto znalazł kobietę, która może być inteligentna, pełna energii i twórcza, a zarazem chce i potrafi się nim zaopiekować, i miał wrażenie, że to swego rodzaju cud. Nie żeby co dzień przygotowywała mu ciasto (biorąc pod uwagę dietę, której przestrzega od lat, i tak by go nie jadł), ale z całą mocą zadbała o wszelkie aspekty jego życia, począwszy od stroju scenicznego po teksty piosenek i dom; udało jej się nawiązać świetne relacje z jego dziećmi, a nawet z jego byłymi żonami. Cechowały ją intuicja i umiejętność szybkiej reakcji; dawała rady i sugestie, ilekroć zachodziła taka potrzeba, przychodziła mu z pomocą, a gdy

należało, to na niego naciskała, przekonując na przykład, by uwolnił się od przedmiotów i osób, które wiązały go z wcześniejszym życiem nicią tęsknoty lub poczuciem winy.

Na szczęście mimo wielu zmian, które Aileen wprowadziła w „Les Vieux Oliviers”, nie udało się jej usunąć pani Jeanne. Nie żeby nie próbowała, ale w końcu musiała zrozumieć, jaka to dla niego ważna osoba, więc postanowiła ją znosić, przynajmniej tymczasowo, pomimo napięć terytorialnych i problemów natury formalnej, które rodziły się między nimi raz po raz.

– *Est-ce que tu veux deux oeufs battus?* – Pani Jeanne jest przekonana, że najedzony człowiek to człowiek szczęśliwy; gdy tylko widzi, że Nick Cruickshank czuje się trochę przybity, proponuje mu kogel-mogel, najlepiej z kropelką rumu.

– *Non, merci*[7]. – Nick Cruickshank jednym haustem opróżnia trzecią szklankę soku jabłkowego, po czym odstawia ją do zlewu. Zawsze lubił grube szkło; być może i to pozostało mu z dzieciństwa, wiążąc się ze wspomnieniem butelek zostawianych przez mleczarza na wycieracze przed domem w Manchesterze. Czy to możliwe, że ciągle wikła się w nieudane historie miłosne z obawy przed tym, że pogoda ducha i stabilność odbiorą mu inspirację? Czy to miłosny ekwiwalent wielodniowej diety składającej się z wafli ryżowych i wody, przestrzeganej, by powrócić do stanu pierwotnej twórczej rozpaczy?

– *Un peu de guacamole, peut-être?*[8] – Pani Jeanne nadal przygląda mu się z troskliwym wyrazem twarzy. Kiedy dziesięć lat temu przyjmował ją do pracy, cechowała ją stanowcza niechęć do awokado, w zasadzie uważała je za niejadalne; to cudowne, jak udało jej się pokonać uprzedzenia, rozszerzyć menu, aby go uszczęśliwić.

– Czy mogę dostać pieprzoną pintę kawy? – Do kuchni wparowuje Wally Thompson. Ma zmierzwiłone, nieco przerzedzone popielate włosy, jego nabrzmiałe powieki świadczą o wczorajszym pijaństwie i paleniu, na jego rękach i nogach widnieją tatuaże, które wystają spod krótkich szarych spodenek i czarnego podkoszulka z logo Guinnessa, na stopy włożył białe kapcie frotté ze złoconym logo paryskiego Ritza.

Pani Jeanne patrzy na niego nieprzychylnym wzrokiem – z wyjątkiem pana domu nie lubi, gdy ktoś nachodzi świętą przestrzeń jej kuchni a już zwłaszcza ktoś taki jak Wally, niewychowany, sprowadzający go na złą drogę typ, z którym wolałaby go nie widywać.

– Pani Jeanne zaraz ci ją przygotuje – mówi Nick, wypychając go z kuchni. Odwraca się, dając jej znak: – *Du café pour ce baudet, s'il vous plaît!*[9]

Ona przytakuje, lekko się uśmiechając; zrozumiała, ale wyraz jej twarzy nadal jest pełen dezaprobaty.

Wally niechętnie wychodzi na korytarz, szurając gumowanymi podeszwami kapci po terakocie; zalatuje od niego alkoholem, marihuaną, drogimi perfumami,

które nadal zupełnie do niego nie pasują, nawet teraz, po tylu latach. Patrzy na Nicka tym swoim uporczywym wzrokiem, pytając:

– Taki z ciebie ranny ptaszek, co?

– Jest prawie w pół do pierwszej, Mr Thompson – odpowiada mu oschle Nick Cruickshank, bo tak właśnie od zawsze przedstawiają się ich relacje i dlatego, że w dużej mierze obarcza go winą za poranne zdarzenie w gaju oliwnym. Gdyby tyle z nim wczoraj nie wypił i gdyby nie dostał od niego tej supermocnej trawy, z pewnością nie pomyliłby się w ocenie trzech pracowników.

– Ach, proszę o wybaczenie, Mr Clean – mówi Wally, kilkakrotnie szturchając go zaczepnie w żebra. Od samego początku był naczelnym dupkiem w zespole i mimo upływu czasu nic się nie zmieniło – stracił jedynie poczucie humoru, stał się bardziej zachłanny i roszczeniowy, bo przez te wszystkie lata Bebonkersi nagrali tylko trzy jego piosenki, co nie przełożyło się na stały dopływ gotówki z tytułu praw autorskich, jakim mogą się poszczycić Nick Cruickshank i Rodney Ainsworth. W każdym razie na sprzedaży płyt i na koncertach zarobił nieskończenie więcej, niż gdyby grał w jakimkolwiek innym zespole lub gdyby wykonywał jakąkolwiek inną pracę na miarę swoich możliwości. A poza tym to nieprawda, że dyskryminowali go z założenia, jak twierdzi – po prostu brakuje mu prawdziwego talentu kompozytorskiego, jest dobrym basistą i tyle. Nawet superbasistą, trzeba przyznać, bo nigdy nie myli chwytów ani nie gubi rytmu. Gdyby potrafił także pisać piosenki, od razu by je przyjęli, przynajmniej w latach, gdy brakowało im inspiracji. Tymczasem jemu udało się sklecić tylko kilka udanych riffów na bas (niektóre były nawet dość pamiętne, zgoda); na tyle go stać, to jego naturalny limit. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych na własną rękę próbował założyć zespół – żenującą kapelę o nazwie Blue Angels – najlepiej było widać, jakie „arcydzieła” potrafi z siebie wykrzesać. Lecz nie da mu się tego wytłumaczyć; przez ten jego niewysłowiony żal wielokrotnie dochodziło między nimi niemal do rękoczynów. Ileż to razy Nick Cruickshank miał ochotę go wyrzucić, zacząć współpracę z *session man*[10], jak zrobili Stonesi, raz na zawsze pozbyć się tej udręki i nie mieć już więcej do czynienia z tym typem, który żyje w przekonaniu, że odmawia mu się nie wiadomo jakich zasług.

Jednocześnie Wally Thompson należy do osób, które Nick Cruickshank zna najdłużej i z którymi spędził najwięcej czasu. Gdyby zebrać razem próby, nagrania, koncerty, podróże samochodem, busem i samolotem, pobyty w hotelach, obiady, kolacje, palenie trawy, picie, czekanie w garderobie, to spędzili razem całe dekady, co daje takie samo poczucie bliskości, jak z członkiem rodziny. Ale z takim, z którym było się razem na wojnie, z którym przeżyło się najwspanialsze i najokropniejsze przygody, upadki i wzloty, a potem kolejne upadki i tak dalej. Dlatego nie było mowy, by go tutaj nie zapraszać; podobnie jak nie oczekiwał, że Wally zachowa się inaczej niż zazwyczaj.

– No i? – pyta Wally, drapiąc się po tyłku i rozglądając po salonie, zupełnie przymulony, z wielkim bębniem od piwa (i wszelkich innych napojów alkoholowych, które trafiają mu w rękę). – To jak wyglądają plany na popołudnie?

– Plany wyglądają tak, że każdy robi, co mu się podoba.

Nick Cruickshank uważa, że nieodparte poczucie bliskości ma tę zaletę, iż nie trzeba dbać o formalności. Gdyby mógł wybierać, wolałby posiedzieć w spokoju przynajmniej jeszcze jeden dzień, może poczytać jakąś książkę lub obejrzeć jeden ze swoich ulubionych seriali, ale trudno. Fakty są takie, że po latach ciągłego zamętu i wrzawy – w studiu nagraniowym, w domu, na ulicy, na scenie, poza sceną – nauczył się doceniać ciszę i samotność, i to, żeby nie mieć przy sobie ludzi, którzy zakłócają mu tok myślenia bezustanną gadaniną.

– Aha. – Wally patrzy na niego z miną człowieka oczekującego pomimo ubożego życia wewnętrznego ciągłych propozycji, sugestii i wskazówek, na które potem będzie mógł poutyskiwać.

– Gdzie jest Kimberly? – Nick Cruickshank pokazuje na pokój, który wraz z Aileen przeznaczili dla Thompsonów.

Twarz Wally'ego wyraża bezmierną arogancję; przez chwilę Wally drapie się po kroczu.

– Cholera wie. Siedzi w kiblu albo gada przez telefon, albo się tapetuje.

Nick Cruickshank chciałby mu powiedzieć, żeby spróbował się poprawić, nawet choć trochę, choćby na pięć minut, nawet tylko po to, by zaskoczyć innych, skoro nie potrafi zaskoczyć samego siebie; ale równie dobrze mógłby nakłaniać osła, aby wziął udział w wyścigu o Grand Prix – to zupełnie bezcelowe. Poza tym należy spojrzeć prawdzie w oczy: wśród rockmanów trudno znaleźć ludzi o nadzwyczajnej inteligencji, a tym bardziej o wybitnej wiedzy. Najczęściej cechuje ich brak precyzji umysłu związany ze stylem życia, z ciągłą konfrontacją z publicznością, ze swojej strony infantylną, z niedojrzałym zachowaniem i sposobem wypowiedzi, które są rzeczywistymi narzędziami w tym fachu. Wally Thompson nie wyróżnia się szczególnie swoją głupotą czy niewiedzą – w rzeczywistości plasuje się mniej więcej pośrodku. Zresztą jest wprost przeciwnie: ci, którzy mają ambicje, by się doskonalić, spotykają się z podejrzliwością, jeśli nie z wrogością; czasem wystarczy zostać przyłapanym na lekturze powieści niebędącej czystą makulaturą, aby zyskać etykietkę mądrali. Pamięta minę Rodneya, gdy zobaczył go z *Panią Bovary* w samolocie lub z *Ulissesem* Joyce'a w apartamencie hotelowym („Och, bardzo przepraszam, panie profesorze!"). Jego matka miała w tej kwestii rację i należy to stwierdzić: świat muzyki rockowej zasadza się na permanentnym regresie. Lepiej ukrywać wszelkie próby rozwoju, jeśli w ogóle się je podejmuje, lub równoważyć je prostactwem i umysłowym otępieniem.

Nagle wieża, lampy, kontrolka w modemie internetowym zapalają się

wszystkie jak na komendę. Z korytarza dobiega głos Aldina:

– Światło wróciło!

– Czyli nie ma żadnych planów? – Wally nie odnotowuje nadejścia nowiny; to całkowicie możliwe, że w stanie porannego otumanienia nawet nie zauważył braku prądu. Wpatruje się w Nicka Cruickshanka swoim wodnistym spojrzeniem, uśmiechając się półgębkiem. – Sprowadzasz tu ludzi z całego świata i nawet nie poczuwasz się do tego, by coś, do cholery, zorganizować?

Nick Cruickshank instynktownie odpowiedziałby mu, że Wally powinien okazać wdzięczność za zaproszenie do tego domu w towarzystwie swojej obleśnej żony, ale się powstrzymuje, ze zwykłego poczucia gościnności. Pospiesznym gestem wskazuje w stronę okna i rzuca:

– Jeśli chcecie, jutro rano możemy przejechać się konno.

Wally patrzy na niego, jakby propozycja sprawiła mu skrajny zawód, ale chrząka tylko i kiwa głową.

Nick Cruickshank daje znak, jakby chciał powiedzieć: „Do zobaczenia później”, po czym kieruje się do drzwi. Myśli, że może powinien zadzwonić do Aileen, aby dowiedzieć się, jak upływa sesja fotograficzna z wyrzutkami z Lorgues, albo zawiadomić Renégo, by na jutro rano przygotował konie, albo znaleźć jakiegokolwiek inne zajęcie, które oddaliłoby go od daremnych prób prowadzenia rozmowy na niebanalne tematy z Wallym „The Wall” Thompsonem.

4 Wszystko w porządku? (franc.)

5 Jesteś blady (franc.)

6 Czuję się dobrze, dziękuję! (franc.)

7 Nie, dziękuję (franc.)

8 Może zjesz trochę guacamole? (franc.)

9 Proszę kawę dla tego głupka! (franc.)

10 Muzyk sesyjny (ang.)

Milena Migliari prowadzi swoje pomarańczowe renault kangoo drogą biegnącą po równinie u stóp wzgórz, na których zboczach leżą wioski rozsiane pośród składów materiałów budowlanych, punktów sprzedaży basenów, placów z koparkami i willi w tak zwanym stylu neoprowansalskim, stawianych na każdym wolnym kawałku ziemi. Raz na jakiś czas nachodzi ją wątpliwość, dlaczego spośród wszystkich miejsc na świecie wybrała właśnie to, by tu zamieszkać i pracować, ale potem myśli, że jedynie w sposób nieunikniony pozwoliła się unieść nurtowi, od kiedy w centrum jogi na wzgórzach Marche poznała Viviane i postanowiła pojechać za nią do Francji, zacząć wspólne życie, które z czasem stawało się coraz lepiej zorganizowane, kupić za bezcen od ekscentrycznego notariusza-malarza dom z przeszklonym patio, wynająć stary bar, by urządzić w nim lodziarnię, kiedy znalezienie odpowiedniego miejsca zakrawało już niemal na niemożliwość. Nigdy nie należała do osób snujących długoterminowe plany, nawet te niezbyt długoterminowe, nawet te średnioterminowe. Zawsze działała w krótkich odcinkach czasu, chcąc, by wszystko działo się zgodnie ze swoim rytmem, by po kolei się układało. Od zawsze cechowało ją dość fatalistyczne podejście do zdarzeń, jak również skłonność, by nie umniejszać ich wagi ani jej nie wyolbrzymiać, w odniesieniu do opracowanej wcześniej hierarchii. Chociażby ten telefon przemiłej, bardzo nerwowej Angielki, która właśnie dziś postanowiła kupić dziesięć litrów lodów; nie żeby miało to radykalnie zmienić jej sytuację finansową, lecz to zarazem wiadomość od wszechświata, który mówi jej, by nie traciła nadziei, że miłe niespodzianki się zdarzają. Rzecz jasna, jeżeli nie jest to idiotyczny żart kogoś, kto zabawia się kosztem innych. Już wkrótce wszystko się wyjaśni; Milena Migliari jedzie w górę krętą drogą do Callian, na wyżynę zaraz za najwyższym wzniesieniem miasteczka, gdzie znajduje się Chemin de la Forêt.

W tej okolicy drogi są zazwyczaj wąskie i trzeba mieć się na baczności, bo miejscowi prowadzą zwykle tak, jakby uważali, że nie natkną się nigdy na nikogo, kto nadjeżdża z przeciwka. Często zdarza się jej hamować w ostatniej chwili albo gwałtownie odbijać w bok, aby uniknąć czołowego zderzenia z jakimś kretynem lub kretynką, którzy z uporem wciskają pedał gazu. Przy każdym zakręcie wzrasta w niej napięcie, jakie towarzyszy jej zawsze, gdy ma umówione spotkanie – nieważne, czy to wizyta u dentysty, u koleżanki, czy u klienta, jak w tym wypadku. Myśl, że musi się spotkać z określoną osobą w określonym miejscu z określonych przyczyn, wprawia ją w niepokój, a ona nie może na to nic poradzić. Ponadto ta droga jest jeszcze węższa niż inne – z jednej strony ciągnie się kamienny murek,

a z drugiej las – i jeszcze dłuższa niż sądziła.

Nagle droga się kończy przed okazałą bramą; po prawej stronie lodziarka widzi ścięty pień z wyraźnym napisem „Les Vieux Oliviers”, jak powiedziała jej przez telefon Angielka. Przez ciemnozielone pręty żelaznego ogrodzenia dostrzega łąkę, żywopłot i drzewa, zadbane na zlecenie bogatych właścicieli, którzy z pewnością pojawiają się tu bardzo rzadko. W tej okolicy częstotliwość bywania w domach jest odwrotnie proporcjonalna do ich rozmiarów: najmniejsze intensywnie wykorzystuje się latem i w trakcie urlopów, największe przez większość czasu świecą pustkami. Nawet nie do końca jasne jest, do kogo należą duże domy, owiane na poły legendarnymi opowieściami o rekinach finansjery i gwiazdach futbolu, muzyki lub kina. Niektóre nazwiska właścicieli restauracji i agencji nieruchomości wymieniają zapewne celowo, aby przydać tej okolicy choć trochę atrakcyjności Lazurowego Wybrzeża i prawdziwej Prowansji, która znajduje się nieco bardziej na zachód, i aby uniknąć opinii, że są tu ściśle wydzielone działki, uczęszczane przez Niemców i Holendrów, którzy lubią sztuczne jeziora, oraz przez bogaczy chcących trzymać się trochę z dala od popularnych lokalizacji.

Milena Migliari wysiada z furgonetki, patrzy uważnie na małą mosiężną tabliczkę domofonu umieszczoną na lewej kolumnie przy bramie: nie ma na niej żadnego nazwiska. Chwilę się waha, potem niepewnie naciska przycisk. Nikt nie odpowiada. Rozgląda się wokoło, patrzy w górę: na szczycie kolumny widzi kontrolkę i głośnik systemu alarmowego. Zastanawia się, czy przybliżyć twarz do małego szklanego oka kamery, aby udowodnić, że nie zamierza dokonać napadu ani nie jest dziennikarką plotkarskiego pisma czy kimś podobnym. Ponownie wciska przycisk, znów zagląda za pręty ogrodzenia: domu stąd nie widać, jak również brak jakichkolwiek oznak życia.

Wreszcie z domofonu dobiega ją kobiecy, zdecydowanie podejrzliwy głos:

– Kto tam?

Milena Migliari przybliżyła twarz do kamery, uśmiecha się, co w tej sytuacji wychodzi jej fatalnie, i oznajmia:

– Przyjechałam z lodami.

– Z jakimi lodami? – Głos w domofonie staje się jeszcze mniej przyjazny, przede wszystkim zaś nie przypomina głosu osoby, która dzwoniła do lodziarni – nie ma w nim ani krzty angielskiego akcentu.

– „La Merveille Imparfaite” z Fayance. Dzwonili państwo do mnie pół godziny temu, zamawiając dziesięć litrów.

Nagle czuje się niewiarygodnie głupia, że przyjęła tak niecodzienne zamówienie, nie potwierdziwszy go choćby telefonicznie. Oto kolejny doskonały przykład gorzkiego rozczarowania spowodowanego tym, że ciągle oczekuje miłych niespodzianek; nie po raz pierwszy zdarza się jej być tak łatwowierną. Jako dziecko wierzyła, ilekroć ojciec obiecywał przez telefon, że przyjedzie po nią i spędzą

razem cudowny weekend, a potem nie dzwonił, by uprzedzić, że plany się zmieniły, przez co matka wściekała się nawet bardziej na nią niż na niego. Także Viviane często jej powtarza, że nie powinna żyć z głową w chmurach, tylko nabrać bardziej praktycznego stosunku do życia. Ale gdyby nie żyła z głową w chmurach, nie byłaby tym, kim jest, i z całą pewnością nie stworzyłaby takiej lodziarni; zadowolilyby ją preparaty rozpuszczalne i wytwarzałyby standardowe lody. Co zapewne byłoby o wiele bliższe rzeczywistości od tego, czym się zajmuje, niemniej bez wątplenia dawałoby jej o wiele mniej radości. Tak czy inaczej, już dawno temu zrozumiała, że nikt nie jest w stanie zmienić swojego charakteru, a na pewno nie w sposób zasadniczy i trwały.

– Dziesięć litrów lodów? – W głosie z domofonu pobrzmiwa teraz niedowierzanie. W tle słyhać głos drugiej osoby, następnie oba naraz w niezrozumiałej wymianie zdań, a potem zalega cisza.

Milena Migliari stoi, wpatrując się w małe szklane oko kamery umieszczonej na mosiężnej tabliczce. Zastanawia się, czy znów nacisnąć przycisk, aby to wyjaśnić, czy dać sobie spokój, wyciągnąć jakąś naukę z tego doświadczenia, chociaż tyle, by ponownie nie wpaść w podobną pułapkę.

Ale nagle słyhać trzask: brama zaczyna się otwierać, wydając cichy odgłos naoliwionego mechanizmu wysokiej klasy.

Przez chwilę waha się, co zrobić, potem wsiada do furgonetki, przejeżdża przez otwartą bramę, przemierzając ostrożnie długą aleję, która po jakimś czasie łagodnie skręca. Asfalt ma kolor sjeny palonej, wyglądałby zupełnie jak ziemia, gdyby nie był tak gładki i jednorodny. Po lewej widać wawrzynowy żywopłot, aż nazbyt perfekcyjnie przyszczyżony, po prawej szpaler cyprysów i oleandrów, a za nim wycinek wzgórza porośniętego starannie skoszoną trawą.

Nagle spośród cyprysów i oleandrów wyskakuje duże zwierzę, które wygląda jak lama, przemyka o kilka centymetrów przed maską furgonetki. Milena Migliari hamuje, niemal wali głową o przednią szybę, torby-lodówki spadają na podłogę, uderzając o tylne siedzenie. Zanim zdąży do siebie, na drogę wyskakują kolejne dwie białe lamy, przemykają przed furgonetką i pędzą aleją w ślad za ciemną w stronę, z której przybywa Milena Migliari. Ich widok jest tak niespodziewany, że wprowadza ją w całkowite osłupienie, serce wali jej jak młotem, a ona dyszy i patrzy nieruchomym wzrokiem, jak lamy w sprężystych podskokach znikają za zakrętem alei. Zastanawia się, czy przypadkiem mogą się wydostać z posiadłości, jeżeli to zwierzęta domowe, ale stąd nie widać bramy, a poza tym nie ma wystarczająco dużo czasu, by zawrócić i za nimi podążyć, więc jedzie przed siebie.

Aleja przechodzi w jeszcze jeden zakręt, po jej bokach wciąż rośnie żywopłot, wysoki jak bariera ochronna, potem droga staje się prosta i widać dom, a raczej tył obszernego budynku w żółtym kolorze, o dwupiętrowej części

centralnej i jednopiętrowych skrzydłach. Przed domem jest plac przykryty drewnianym dachem, pod którym stoją liczne samochody.

Milena Migliari patrzy na drzwi domu, próbując zrozumieć, przed którymi powinna stanąć. Nie może się zdecydować, więc zatrzymuje kangoo w połowie placu, zamyka szybę samochodu, po czym znów ją otwiera. Zastanawia się, czy to, że ostatecznie otworzono jej bramę, oznacza, że zamówienie można uznać za wiarygodne, czy może powinna najpierw porozmawiać z osobą, która odebrała domofon, i dowiedzieć się, jak naprawdę mają się sprawy. W końcu sięga po torby i kieruje się do środkowych drzwi domu, w żołądku czując skurcz spowodowany buzującą w niej mieszaniną skrupowania, ciekawości i wahań.

Drzwi otwierają się, zanim zdąży zadzwonić; w progu stoi jakiś olbrzym z ogoloną głową i odpychającym wyrazem twarzy, przygląda jej się spod przymrużonych powiek, zerka na torby termiczne, potem na furgonetkę i znów na torby, jakby podejrzewał, że mogą zawierać nie wiadomo co.

Nick Cruickshank podchodzi do wejścia. Aldino, który rozmawia z kimś na progu, odwraca się do niego, dając mu znak, by został w środku. Po porannych zajściach w gaju oliwnym Nick Cruickshank czuje się teraz jak głupek paranoik, więc odpycha Aldina i wygląda przed dom.

Na progu stoi babka w czapce z daszkiem w zielone i niebieskie trójkąty; ma długie włosy, krótki płaszcz w kratkę, szerokie spodnie i czarne wojskowe buty na grubej podeszwie. W ręku trzyma dwie torby termiczne ze sztywnego plastiku; stoi pewnie na nogach, ale jej tułów jest lekko przechylony w bok: wygląda na zdecydowaną, by pozostać tam, gdzie jest, ale równie dobrze byłaby gotowa sobie pójść. Kilka metrów za nią stoi pomarańczowa furgonetka, na której boku widnieje fioletowy napis: „La Merveille Imparfaite”.

– Nie zamawialiśmy *jamais* żadnego *glace*. *Jamais*. *No glace*. Okay?

Francuszczyzna Aldina jest jeszcze bardziej ograniczona niż jego angielszczyzna, która sama w sobie nie jest najlepsza, ale to nie jest dla niego żaden problem – już dawno temu odkrył, że włoski brutal półanalfabeta to wcielenie, które się sprawdza. Przy bliższym poznaniu okazuje się inteligentniejszy i bardziej wrażliwy, niż się wydaje, przewyższa swoich kolegów ochroniarzy.

– W takim razie kto do mnie dzwonił i podał mi ten adres? – Babka w czapce z daszkiem odpowiada mu po włosku, z przedziwną mieszaniną zakłopotania i bojowego nastroju. Pokazuje palcem za siebie: – I kto otworzył mi bramę?

– Z całą pewnością nie my. – Aldino nadal stoi murem w drzwiach, w protekcyjnym geście wyciągając rękę do tyłu.

– Wyluzuj, Al. – Nick Cruickshank wie, że potrzebuje ochrony, ale nadmiar prewencji zawsze bardzo go drażnił i w tej kwestii nic się nie zmieniło. To prawda, że w Internecie można znaleźć nagranie sprzed dwudziestu lat, na którym podczas koncertu w Glasgow ściągnął z siebie gitarę Telecaster i walnął nią w głowę jakiegoś typa, ale to był przypadek obrony własnej: gość chwilę wcześniej rzucił w niego butelką piwa, cały czas darł się, plując jak oszalały i próbując wdrapać się na scenę, by go zaatakować. Od dwóch dekad stara się wyjaśnić, jak było naprawdę, już właściwie się poddał; niech ludzie uważają to za przejaw skrajnego zdziczenia gwiazdy rocka.

W każdym razie kobieta w czapce w trójkąty nie wygląda na niebezpieczną; jej spojrzenie wskazuje, że nawet go nie rozpoznała. Przez jej twarz nie przemknął cień uśmiechu, nie przebiera nogami z ekscytacji. Wprost przeciwnie, wydaje się dość znużona całą sytuacją, choć zarazem ma w sobie coś lunatycznego. Odstawia

na ziemię torby termiczne.

– Ale przecież ktoś mi otworzył bramę, zgadza się? Inaczej jak bym tu weszła? – Zupełnie naturalnie przechodzi na angielski, ale po jej rozmowie z Aldinem nie ma wątpliwości, że ona też musi być Włoszką.

Nicka Cruickshanka od zawsze pociągała różnorodność akcentów: intonacja, modulacja, rytm, barwa głosu. W Anglii niemal zawsze po kilku zdaniach potrafi wskazać region, miasto, warstwę społeczną, z których wywodzą się jego rozmówcy; w Stanach przychodzi mu to trudniej, ale, tak czy inaczej, sprawia mu przyjemność, gdy potrafi odróżnić ludzi z Brooklynu, Bostonu czy Houston. To wykładnia jego muzycznego ucha, owszem, lecz także jego potrzeby odczytywania świata.

– No właśnie, jak tu weszłaś? Może mi to wyjaśnisz? – Aldino patrzy na Włoszkę od lodów, rozglądając się wokół; niczego nie rozumie.

Główną aleją nadjeżdża czerwony kabriolet BMW należący do Aileen, jak zawsze ze zbyt dużą prędkością; hamuje gwałtownie na placu parkingowym. Aileen wysiada, jest elegancka mimo zniecierpliwienia: ma fryzurę na boba, jej włosy błyszczą jak kasztany, nosi duże okulary przeciwsłoneczne, kurteczkę z czerwonej antyskóry, jej długie nogi przyobleczone są w dżinsy podarte na kolanach przez chińskich rękodzielników pracujących we Włoszech, na nogach ma niebieskie kozaki, naturalnie również z antyskóry.

Z samochodu wysiadają także Tricia, jej chuda, koścista asystentka z rybią twarzą, i makijażystka Maggie ze spłaszczonym nosem i włosami w kolorze aluminium obciętymi na jeża. Pięćdziesiąt procent pozorów, pięćdziesiąt procent treści.

Zaraz potem nadjeżdża kombi fotografa Toma Harlana, który wysiada, trzaskając drzwiami: jego ryża broda jest gęsta jak sierść dzikiego zwierzęcia, na głowie ma kapelusik z bardzo małym rondem, nosi kurtkę z czarnej antyskóry, którą dostał od Aileen. Sześćdziesiąt procent pozorów, czterdzieści procent treści. Z drugiej strony wyskakuje jego asystent – jak on, do cholery, się nazywa? – jest chudy i niezgrabny; podaje swojemu szefowi dużą torbę, z tylnego siedzenia zabiera lampy błyskowe, zasilacze, statywy. Nadjeżdża także srebrny espace ekipy „Star Life”; redaktor naczelna, dziennikarka, fotograf i kamerzysta wysiadają ze zgiełkiem. Osiemdziesiąt procent pozorów, dwadzieścia procent treści.

Aileen patrzy na Włoszkę z lodami, wskazuje na jej pomarańczową furgonetkę.

– *Est-ce que vous nous avez apporté la glace?*[11] – Aileen mówi po francusku z pełną swobodą, podobnie jak po włosku, hiszpańsku i niemiecku; łatwo uczy się języków, co jest pozostałością po dzieciństwie spędzonym w podróżach po całym świecie u boku ojca dyplomaty.

– Tak, ale wygląda na to, że nikt tu nie zamawiał lodów. – Włoszka również

odzywa się po angielsku, wygląda na bardziej zakłopotaną niż rozdrażnioną, mając teraz wokół siebie to całe zbiegowisko.

– Co to znaczy? – Aileen przechyla głowę; widząc ją obok babki od lodów, trudno sobie wyobrazić dwie bardziej odmienne kobiety – pod względem urody, proporcji, sposobu poruszania się, ubierania i bycia.

Włoszka od lodów wskazuje na Aldina:

– Twierdzą, że nawet nie otworzyli mi bramy.

– To ja otworzyłam bramę! Byłam zaraz za tobą! – Aileen jak zawsze wypowiada się z dużą dozą energii i ekspresji. – Ale musiałam się zatrzymać, bo zobaczyłam, że biała i brązowa alpaka zaczęły się gryźć. Z niewiarygodną wściekłością, niemal powygryzały sobie sierść! Trąbiłam, żeby je rozdzielić, ale one walczyły zażarcie! Maggie musiała wysiąść i rozgonić je parasolem.

– Wskoczyły mi pod koła, najadłam się strachu. – Włoszka od lodów gestami opisuje ten skok, ona także jest bardzo ekspresyjna. – Nie wiedziałam, co to za zwierzęta, myślałam, że to lamy.

– Samców trzeba wykastrować, bo inaczej to tak, jakby trzymać dwa koguty w jednym kurniku. – Fotograf Tom Harlan zawsze dobitnie stara się dawać dowody swojej rzeczowości; nigdy o tym nie zapomina.

– O nie, biedactwa! – wykrzykuje z przerażeniem Aileen, chociaż nigdy nie darzyła alpaka zbyt dużą sympatią, a przynajmniej od kiedy jedna z nich zębami rozerwała jej rękaw bluzki; wie jednak, że nosząc antyskórę, powinna zachowywać się jak miłośniczka zwierząt.

Nick Cruickshank wzrusza ramionami: alpaki dostał w prezencie od tego palanta Steve'a McAbee po tym, jak wystąpiły w jego wideoklipie nakręconym w Szkocji; był przekonany, że tutaj będzie im wspaniale.

Włoszka od lodów wydaje się teraz przejęta alpakami, jakby ich los był jedną z wielu innych niezalatwionych spraw tego świata. Jej spojrzenie wyraża zaangażowanie; stoi jak wryta w tych swoich wojskowych butach na grubej podeszwie, otoczona ludźmi, którzy w większości nie zwracają na nią uwagi. Nagle przypomina sobie, dlaczego tu jest, i wskazuje na torby termiczne.

– To chcecie te lody czy nie? – pyta. Nie wygląda na zaniepokojoną tym, czy je sprzeda, wydaje się, że jest gotowa zabrać je z powrotem.

– Jasne, że tak! Przepraszamy za zamieszanie! Byłam pewna, że uda mi się wrócić przed twoim przyjazdem! – odpowiada Aileen, podchodząc do niej, by energicznie uściśnąć jej dłoń; uśmiecha się w typowy dla siebie pełen perswazji sposób.

– Nie ma sprawy. – Babka z lodami w odpowiedzi uśmiecha się do niej ze skrzepowaniem.

Aileen odwraca się do Nicka Cruickshanka:

– Liam Bradford napisał na swoim blogu, że jest nadzwyczaj zdolna!

Twierdzi, że ona potrafi uchwycić kwintesencję każdego smaku z wrażliwością prawdziwej artystki! A na TripAdvisor otrzymała dziesiątki fantastycznych recenzji! Jak to możliwe, że nic o niej nie wiedzieliśmy?

Tom Harlan, jego asystent, Tricia, Maggie, ekipa „Star Life”, a nawet Aldino też się odwracają, by na niego spojrzeć, oczekując wyjaśnień, jak mogło do tego dojść.

Nick Cruickshank potrząsa głową i rozkłada ręce.

– Jest tyle rzeczy, o których nie mamy pojęcia.

Prawda jest taka, że nie mają zielonego pojęcia o niczym, co znajduje się tuż za ogrodzeniem tej posiadłości; jedyne miejsca, o których może powiedzieć, że je zna, to aerodrom, dwie restauracje (nazwy jednej z nich nawet nie pamięta) i kilka sklepów, w których pojawił się z krótką wizytą, osłonięty daszkiem czapki i okularami przeciwsłonecznymi, chcąc ukryć twarz przed natarczywymi turystami. Biorąc pod uwagę ich relacje z otoczeniem, zamiast w Fayence równie dobrze mogliby być gdziekolwiek indziej we Francji, Włoszech czy w Hiszpanii lub Portugalii.

Aldino wskazuje na obie torby-lodówki z białego i niebieskiego plastiku, nadal okazując nieufność, jakby mogły być pełne materiałów wybuchowych.

– Czy w środku są lody?

– Co to za pytanie? – odpowiada babka od lodów. Śmieje się teraz, a jej oczy błyszczą. Wydają się wielobarwne, a może to listopadowe słońce sprawia, że się tak mienia; tak czy inaczej, są to oczy nadzwyczaj czujne, a zarazem nieco rozmarzone. Kobieta bierze torby, w każdej ręce trzyma jedną z nich. Jej ruchy odznaczają się pewnością, niemniej jej lunatyczne zachowanie przydaje im nieco nieuchwytniej aury. Z torbami termicznymi w rękach idzie w stronę domu, ruchem głowy odprawia Aldina, który proponuje jej pomoc, po czym kieruje się do drzwi wejściowych.

– Kuchnia jest tam, z boku! – Aldino kroczy przodem, jakby chciał zapobiec niebezpiecznemu najściu.

Nick Cruickshank patrzy na Aileen, która jakby znieruchomiała wobec oczekiwania towarzyszących jej ludzi.

– Jak poszły zdjęcia?

– Ach, świetnie! – odpowiada Aileen, nabierając rozpędu, jakby uwalniała się ze stopklatki: uśmiecha się i nachyla, by pocałować go w czoło, ruchy jej nóg odznaczają się nerwowością.

– Udało nam się stworzyć dość niesamowite kompozycje z udziałem mężczyzn i kobiet! – opowiada Tricia i dosłownie aż wibruje z entuzjazmu; jej żyłasto-kościste ciało wyraźnie drży.

Tom wyciąga z torby lustrzaną, włącza aparat i zbliża wyświetlacz do twarzy Nicka Cruickshanka.

– Popatrz na to. I na to. I na to. I na to tutaj.

Nick Cruickshank ogląda zdjęcia, nieco roztargniony ze względu na nadmierną bliskość fotografa i jego zapach. Po każdym kliknięciu jego oczom ukazują się stare żebraczki, nałogowi alkoholicy i rozmaici biedacy w kurtkach ze sztucznej wężowej skóry o barwie tropikalnej zieleni, w różowych fluorescencyjnych kamizelkach ze sztucznych strusich piór, w ognistoczerwonych kozakach ze sztucznej krokodylej skóry i w jaskrawoniebieskich kapeluszach ze sztucznej skóry jaszczurczej. Zamierzeniem Toma Harlana było maksymalne uwypuklenie zmarszczek i innych oznak ciężkiego życia obecnych na twarzach, co kontrastuje z przesyconą kolorystyką kreacji z antyskóry stworzonych przez Aileen. Pomysł, by nająć wyrzutków społecznych do roli modeli i im za to zapłacić, także okazał się genialny – w ten sposób można wyświadczyć realną pomoc ludziom w trudnej sytuacji, zdobyć rozgłos w mediach, wzmocnić politycznie poprawny wizerunek materiału, którego nie uzyskuje się ze zwierząt czy nawet z ropy naftowej. Naturalnie, niektórzy oskarżają ją o wykorzystywanie nieszczęśników w celach komercyjnych, ale dziś zakrawa już niemal na niemożliwość zrobienie czegoś, co natychmiast nie zostałoby skomentowane w Internecie i mimo sukcesu obrócone w przedmiot zarzutów. Jeśli o to chodzi, są i tacy, którzy widzą w niej wyzyskiwaczkę ze względu na wsparcie, które on okazał jej w promocji antyskóry, uczestnicząc w pierwszych konferencjach prasowych, towarzysząc jej podczas pierwszych pokazów i pozwalając się z nią fotografować. Tak jakby nie można było wspierać swojej kobiety tylko dlatego, że się w nią wierzy, a nie dlatego, że jest się ofiarą manipulacji; chodzi o to, by nie dać się zbrukać błotem, którym próbują cię obrzucić, by nie zwracać na to uwagi. Raptem wczoraj Linda z biura prasowego w Londynie wysłała mu linki do dwóch blogów, na których powypisywano nikczemne rzeczy, nawet o niedzielnym koncercie Bebonkersów – coś w stylu, że to sposób na zawłaszczenie cierpienia ludzi po masakrze w Paryżu i tak dalej. Poprzez organizację koncertu przeciw przemocy, z którego dochód zostanie przeznaczony na rzecz bliskich ofiar? Naprawdę trzeba mieć gruby pancerz, aby ochronić się przed tępą krytyką anonimowych kretynów. Tak czy inaczej, Aileen niezaprzeczalnie wykazała się dalekowzrocznością, gdy zapewniła sobie wyłączne prawa do produkcji od Andora Kértésza, tego szalonego węgierskiego geniusza, któremu udało się pozyskać z liści agawy włókno wyglądające jak skóra i równie wytrzymałe, i znalazła odpowiednią nazwę zamiast pierwotnego koszmarku Agavleder. Tak zdolna i przedsiębiorcza kobieta, rzecz jasna, musi budzić zawiść, zwłaszcza odkąd jej pomysły przekładają się na sukces.

– No i? Co uważasz? – pyta Aileen, zerkając na wyświetlacz lustrzanki: jej ruchy są szybkie, niecierpliwie, jej głowa z pewnością roi się od nowych pomysłów.

– Na pewno są ciekawsi od zwykłych modelek i modeli.

Lecz Nick Cruickshank musi przyznać, że odczuwa swego rodzaju dyskomfort przemieszany z podziwem dla jej przedsiębiorczości. Czy chodzi o to, że ona nigdy nie potrafi ustać w miejscu? Że ledwie osiągnie jakiś cel, to od razu musi znaleźć sobie nowy? Że w gruncie rzeczy jest trochę prawdy w tym, że wykorzystuje biedaków do promocji swoich produktów, choć płaci im tyle, że mogą za to przeżyć długie miesiące? Nie robi tego jednak cynicznie, jej pragnienie, by pomóc ludziom i poprawić jakość życia na Ziemi, jest autentyczne. W ubiegłym roku wspomogła szkołę podstawową w Burkina Faso, finansując budowę studni z wodą pitną; rok wcześniej wybudowała magazyny, podarowała narzędzia pracy, a nawet ciężarówkę spółdzielni drobnych hodowców kawy w Boliwii. Rzecz jasna, w zamian dostaje ulgi podatkowe, a przy tym umacnia swój wizerunek, ale niesiona przez nią pomoc ma realny i konkretny wymiar.

Aileen potakuje głową; wygląda na zadowoloną z efektów pracy i z jego aprobaty.

– Tak świetnie weszli w rolę. Powinieneś ich widzieć.

– Niektórzy za bardzo się puszyli – komentuje Tom, nie mogąc darować sobie uwagi ujmującej nieco słodyczy.

– Byli tacy szczęśliwi, biedni! – wtrąca się Tricia, jak zawsze wspierając swoją szefową. – Przynieśliśmy im nawet pyszne croissanty, pochłonęli je w kilka minut!

– Byliby jeszcze szczęśliwsi, gdyby dostali kilka butelek calvadosu – kwituje Tom, nie wychodząc z roli i przyprawiając o uśmiezek redaktor naczelną i kamerzystę „Star Life”.

– Potem zostawiliśmy kurtki, buty, kapelusze i całą resztę pracownikom ośrodka. – Wystarczy spojrzeć teraz na Aileen, by zrozumieć, że naprawdę wierzy w to, co mówi: jej przekonanie o szlachetności jej czynów jest bezdyskusyjne, nie ma nic wspólnego z grą aktorską. – Wystawią je na aukcję przed Bożym Narodzeniem, zarobią masę pieniędzy.

– Świetnie – mówi Nick Cruickshank, zastanawiając się, czy poczucie niepełnego zaangażowania wynika z narastającej w nim obojętności wobec spraw świata.

Tom z powrotem wkłada aparat do torby, idzie w stronę domu, za nim podąża obładowany sprzętem asystent. Tricia i Maggie rzucają okiem na Aileen, one też kierują się do domu, a za nimi redaktor, dziennikarz, fotograf i kamerzysta „Star Life” wraz z całym dobytkiem.

Aileen odwraca się, aby przyjrzeć się jego twarzy, i pyta:

– A jak u ciebie?

– Świetnie, poza tym, że nie było prądu i prawie zabiłem się, jadąc ape.

Nie żeby Nick Cruickshank chciał dramatyzować; ale niemal za każdym razem, gdy widzi Aileen powracającą z jakiejś wyprawy, odnosi wrażenie, że jest

mało produktywny, i od razu zaczyna sprawdzać, ile uwagi ona jest w stanie jeszcze mu poświęcić.

– Mówiłam ci tysiące razy, żebyś uważał z tym cholernym trójkołowcem! – komentuje Aileen, obserwując go od stóp do głów, by upewnić się, czy nie doznał uszczerbku, ale gdy tylko nabiera przekonania, że nic mu się nie stało, odwraca wzrok w stronę domu.

Nick Cruickshank wzrusza ramionami: trudno znaleźć kogoś, kto lepiej od niego udawałby nonszalancję. Faktem jest, że pierwszą rzeczą, jaka zrobiła na nim wrażenie w Aileen, kiedy zjawiła się w londyńskim biurze Baza, chcąc nawiązać współpracę jako kostiumolog przy światowej trasie koncertowej w dwa tysiące ósmym roku, była właśnie jej uwaga. Wciąż pamięta, jak go słuchała, gdy tłumaczył jej, czego oczekuje; pamięta, jak bezustannie zmieniał się wyraz jej twarzy, odgłosy nabieranego oddechu, drobne reakcje na każdą nową informację. Choć dotąd w swoim życiu otrzymał wiele dowodów troskliwości, gorliwości i oddania, a nawet uwielbienia, to uwaga, jaką poświęcała mu Aileen, jego zdaniem odznaczała się znacznie wyższą jakością: było w niej więcej inteligencji, więcej świadomości, więcej umiejętności natychmiastowych skojarzeń. To stąd wzięła swój początek ich nieprzeparta bliskość: od refleksu, z jakim Aileen odpowiadała na każde pytanie, od precyzji, z jaką dokonywała słusznego wyboru, mając wiele możliwości. Nie bez znaczenia był też jej wygląd: jej oczy, usta, włosy, nogi, sposób poruszania się, ale tym, dzięki czemu wydała mu się taka wyjątkowa, był zdumiewający brak rozkojarzenia czy przejawów lenistwa umysłowego. Nie miała skłonności do uogólniania, do niedookreślenia. Uwaga Aileen napędzała ich związek bardziej niż jakikolwiek narkotyk czy połączenie narkotyków, z tą przewagą, że on mógł zachować całkowitą trzeźwość umysłu; każda rozmowa stawała się swego rodzaju wyzwaniem i należało użyć wszelkich możliwych środków, nawet takich, o których istnieniu nie wiedział. Wytwarzał się między nimi (opowiedział o tym nawet w wywiadzie dla „Rolling Stone’a”, także wtedy wywołując nieprzyjemne komentarze) swego rodzaju efekt Lennon/McCartney – jeden wypychał drugiego z jego strefy bezpieczeństwa, zmuszając go tym samym do osiągnięcia poziomu, na który samodzielnie zapewne nigdy by się nie wybił. Z partnerstwa Cruickshank/McCullough nie zrodziły się niezapomniane piosenki (owszem, Aileen stała się inspiracją dla dwóch, trzech, ale być może nie tych najlepszych), lecz raczej objawienia i przecucia, chęć odnowy i poprawy. Czy tak intensywny przepływ energii prędzej czy później nieuchronnie musiał się wyczerpać z racji samej swojej natury? Albo przynajmniej zmienić formę, kiedy przechodzili od ekscytującego zauroczenia do stałego związku? On sam wie doskonale, że jego potrzeba uwagi wykracza poza normę; żyje nią, nie może się bez niej obejść, również dlatego wykonuje ten, a nie inny zawód. Ale jak długo uwaga jednej tylko osoby może zastępować zainteresowanie okazywane przez

dziesiątki tysięcy ludzi na stadionie? Tak realnie. Nawet najbardziej zagorzały z grona jego fanów nie zdołałby poświęcić mu takiej dawki uwagi, jaką dostaje w trakcie koncertów – dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Aileen nadal patrzy w stronę drzwi do domu; nie ma ochoty tkwić na zewnątrz, w ruchach jej nóg widać coraz większe zniecierpliwienie.

– Okay, ja idę do środka – oznajmia.

– Idź, idź – mówi Nick Cruickshank, patrząc, jak odchodzi; na jego ustach maluje się nic nieznaczący półuśmiech. Gdy się nad tym zastanawia, nie wydaje mu się, aby uwaga Aileen słabła w miarę upływu czasu, w sposób niemal niezauważalny, w jaki zapewne prędzej czy później słabnie każda uwaga. Zdaje mu się, że pewnego wieczoru przy kolacji usiadł naprzeciwko niej, zaczął coś opowiadać i zdał sobie sprawę, że jej uwaga nie była taka jak przedtem. Czy może raczej nie była skierowana wyłącznie na niego, w tym niewiarygodnym natężeniu umysłowej i uczuciowej wymiany, która czyniła ich wzajemność tak szczególną. Początkowo ogarnęła go panika: oskarżył ją, że go nie słucha, uderzył pięścią w stół, rozlał czerwone wino na obrus. Aileen nie straciła rezonu, a jedynie z wielkim spokojem słowo w słowo powtórzyła mu wszystko to, co dotychczas powiedział, co, rzecz jasna, nie było sednem całej sprawy. Poczł się jak głupek, pomyślał, że być może wziął chwilowe rozkojarzenie za trwałą przemianę. Lecz ich wzajemna relacja umysłowa i uczuciowa nie odzyskała już wcześniejszego napięcia twórczego – ani nazajutrz, ani kolejnego dnia. Potem on zaczął nagrywać w Los Angeles nowy album Bebonkersów i było o wiele mniej czasu, by się nad tym zastanawiać.

Nie żeby było im razem źle od tamtej pory, żeby ze sobą nie rozmawiali albo się nie kochali, ale niezaprzeczalnie powstała jakaś rysa, część elektryzującego napięcia, które wypełniało każdą ich rozmowę, bezpowrotnie się ulotniła. Czy tak właśnie się dzieje, kiedy dwoje ludzi jest ze sobą dość długo? On z pewnością nie jest ekspertem od długodystansowych związków; choć zawsze tkwił w przekonaniu, że jest monogamistą, jego relacje nie trwały dłużej niż sześć czy siedem lat. Czy wina leżała po obu stronach, jeśli założyć, że można tu mówić o winie? Czy on także odczuwał względem niej mniejsze zainteresowanie, ciekawość, napięcie? Jak bardzo liczył się fakt, że początkowo był jeszcze w związku małżeńskim z drugą żoną, co przydawało ich relacji aury przygody i grzeszności, potem zaś rozwiódł się, przez co ich związek stał się całkowicie legalny? Jaką rolę odegrał nagły sukces antyskóry w tym, że cudowna uwaga Aileen zaczęła zmieniać swój obiekt zainteresowania?

On z pewnością namawiał ją do coraz śmielszych pomysłów w pracy, to dzięki jego namowom z kostiumołożki stała się projektantką, a z projektantki kobietą interesów. Z drugiej strony Bebonkersi nie są przecież ciągle w trasie – wprost przeciwnie. Co miałyby z nimi robić tak utalentowana, niecierpliwa,

energiczna kobieta jak ona? Szyć im czapki i kamizelki noszone w wolnym czasie? Zająć się kostiumami scenicznymi jakiegoś konkurencyjnego zespołu? Pracować przy jakimś głupim telewizyjnym *talent show*? Logiczne wydało mu się nakłonienie jej do wykorzystania swych zdolności, a także okazanie jej znaczącej pomocy finansowej, po części, bo w nią wierzył, po części zaś po to, by nie mieć u swego boku źródła niespożytej żywiołowości, która nie może znaleźć ujścia. Jego księgowy był pewien, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, a tymczasem sukces antyskóry przekroczył wszelkie oczekiwania, Aileen wykazała się smykałką do interesów równą swemu wyczuciu estetycznemu. Jeśli w konsekwencji jej cudowna atencja nie jest już w stu procentach skierowana na niego, to nie koniec świata: z pewnością nie zamierza odgrywać roli ofiary. Zresztą, gdy naprawdę potrzebuje uwagi, to ona mu ją okazuje, choć może nie od razu i nie tak intensywnie i długotrwanie jak kiedyś. Lecz nadal otrzymuje od niej dobre rady, jej umiejętności organizacyjne są zawsze do jego dyspozycji. Poza tym możliwe, że od soboty sytuacja poprawi się w sposób zaskakujący; to jeden z powodów, dla których dał się przekonać, by dokonać tego kroku. Ponownie, choć za pierwszym i drugim razem nie poszło zbyt dobrze.

Włoska lodziarka wychodzi drzwiami kuchennymi, trzymając puste torby termiczne, wraca na plac za domem, w ślad za nią kroczy Aldino, jakby nadal spodziewał się, że mogłaby wyciąć jakiś numer.

Nick Cruickshank unosi podbródek, jakby pytał: „Czy wszystko w porządku?”.

Włoszka przytakuje ruchem głowy, patrzy na niego z nieco pytającym wyrazem twarzy. Światło się zmieniło, ale i teraz lśni wieloma barwami: w jej oczach, ubraniu, w jej sposobie poruszania się. On już wie, że go nie rozpoznała, co po prawdzie jest rzeczą dość niezwykłą.

Przez chwilę Nick Cruickshank ma wrażenie, że widzi siebie jej oczami, i nie wydaje mu się, aby był taki zachwycający bez znanego nazwiska i piosenek swojego autorstwa, bez legendarnej aury spowijającej Bebonkersów. Czymże jest w jej oczach? Angielsko-irlandzkim przedstawicielem bohemy, zamożnym i dojrzałym, który wałkoni się na południu Francji wraz ze swoją superprzedsiębiorczą dziewczyną i ich poplecznikami, taplając się w morzu rozmaitych pozorów.

Włoszka wkłada torby-lodówki do furgonetki, zamyka drzwi. Patrzy na niego trochę niepewnie, potem niespodziewanie się uśmiecha. Jej uśmiech nie ma w sobie nic z bezwolnego podziwu przemieszanego z chorobliwą ciekawością, z jakimi Nick Cruickshank styka się na co dzień; wydaje się zawierać jakieś pytania pozostałe bez odpowiedzi.

Nick Cruickshank przez chwilę odczuwa konsternację, nie jest pewien, czy próbować zagaić, jak zdarza mu się z miejscowymi; ale z jakiegoś powodu myśli,

że jego i tak fatalny wizerunek, jaki zdążył jej ukazać, wydałby się tylko gorszy. Udaje mu się jedynie podnieść rękę w geście pożegnania, zresztą dość niezgrabnym.

Włoszka od lodów odpowiada mu szybkim ruchem ręki, siada za kierownicą, zamyka drzwi, włącza silnik i zawraca; po dwóch minutach jej pomarańczowa furgonetka znika już w głębi alei wjazdowej.

Nick Cruickshank drapie się w czoło, myśli o rzeczach, na które nie ma najmniejszej ochoty w najbliższych dniach, odwraca się, by spojrzeć na Aldina, który wreszcie zaczyna wyglądać na odprężonego. Obaj wracają do domu, każdy idzie przed siebie innym rozkołysanym krokiem.

11 Czy przywiozła nam pani lody? (franc.)

Milena Migliari otwiera boczną furtkę, popycha stopą wewnętrzne drzwiczki, odkłada torby termiczne na brzydkie płytki patio przykrytego przeszklonym sklepieniem. Za każdym razem odnosi wrażenie, że wnętrze ma w sobie coś z Meksyku: przez tę bujną roślinność, łuki, schody prowadzące na pierwsze piętro, przez oblepiającą, wilgotną duchotę. Mogłaby równie dobrze wejść głównymi drzwiami, ale z jakiegoś nieznanego sobie powodu wchodzi zawsze od tej strony.

Viviane wygląda od razu na półpiętro, schodzi po schodkach; wystarczy jeden rzut oka, by zrozumieć, że jest mocno podenerwowana.

– Cholerny prąd! – Przeczesuje ręką włosy, dłuższe u góry i krótko ścięte przy skroniach i po bokach, odgarnia kosmyk do tyłu. – Właśnie dziś, kiedy rano wzięłam wolne, żeby popracować nad książką, szlag by to trafił!

Milena Migliari już ma jej odpowiedzieć, że w lodziarni cały sprzęt się wyłączył i gdyby nie cudowne zamówienie Anglików, musiałaby wszystko wyrzucić. Ale zaraz nachodzi ją myśl, że od jakiegoś czasu jej rozmowy z Viviane stają się wymianą utyskiwań: na pracę, gospodarkę, rząd, pogodę, właściwie na każdy temat. Jeszcze nie wie dlaczego, ale tak właśnie jest. Być może zależy to od charakteru Viviane, która zwykle widzi wszystko w czarnych barwach, a ona koniec końców się do tego dostosowuje w sposób na poły automatyczny; być może znalezienie powodów do zadowolenia wymaga więcej kreatywności niż narzekanie. Dlatego teraz się uśmiecha, wskazując podbródkiem dwie puste torby.

– No co? – Viviane patrzy na nią świdrującym spojrzeniem niebieskoszarych oczu zza szkieł w przezroczystych oprawkach; ma na sobie spraną szarą koszulkę, sprane dżinsy, granatowe podkolanówki w żółte gwiazdki, jej stopy są masywne. Zerka na torby-lodówki, potem znów na nią.

– Jacyś Anglicy zamówili u mnie dziesięć litrów lodów, gdy już byłam pewna, że będę musiała wszystko wyrzucić. – Milena Migliari zatacza ręką szeroki gest, jakby chciała ogarnąć lodziarnię, dom Anglików i całą przestrzeń, jaką musiała pokonać.

– Dziesięć litrów? – Viviane przygląda się jej; z powodu wykonywanego zawodu może więcej wywnioskować z jej sylwetki niż z twarzy.

– Mają wielką posiadłość nad Callian, wielu gości, pracowników, różnych ludzi. – Milena Migliari czubkiem stopy dotyka jednej z toreb. – Ale mam nadzieję, że zjedzą je od razu i nie będą ich trzymać w zamrażalniku, żeby stały się twarde jak skała i porowate. Być może powinnam była im zostawić tylko pięć

litrów, a resztę zabrać z powrotem.

– O Matko Boska, Milena! – Viviane ma wiele powodów, żeby odezwać się wybuchowym tonem. – Rozumiem to poczucie uczciwości wobec sztuki, czy jakkolwiek chcesz je nazywać, ale do jasnej cholery! Co by się stało, gdyby zrobiły się trochę porowate?

– To już nie byłyby moje lody, jasne? Konsystencja to jedna z ich najważniejszych cech! – Milena Migliari przybiera bojowy ton, jak za każdym razem, gdy ktoś oskarża ją o zbyt ni perfekcjonizm lub nieprzystawalność do rzeczywistości. Jak wtedy, gdy w lipcu dwóch jowialnych, korpulentnych Belgów poprosiło ją o lody czekoladowe, ale nie gorzkie, a ona odpowiedziała, że nie tylko takich nie ma, lecz również, że nie znajdzie dla nich żadnego smaku, bo najwidoczniej nie pojmują, czym są lody, że lepiej by zrobili, kupując dwa rożki z maszyny Carpigiani w barze przy parkingu. Powiedziała to bez wrogości, choć była poruszona, jednak oni śmiertelnie się obrazili i już w kilka minut później powypisywali straszne rzeczy na stronie TripAdvisor. Lecz najgorsze było to, że gdy wieczorem opowiedziała całą historię Viviane, trochę w poszukiwaniu zrozumienia, a trochę żeby się razem pośmiać, przyjaciółka potraktowała ją jak obłąkaną fundamentalistkę, jeszcze gorzej niż ci dwaj Belgowie: powiedziała, że jeśli nadal będzie tak robić, to nigdy nie spłacą kredytu, że musi przestać żyć z głową w chmurach i pogodzić się z rzeczywistością. Było jej o wiele bardziej przykro, niż to później wspominała, i po raz pierwszy (a może drugi czy trzeci) doznała uczucia, że chyba nie nadają na identycznych falach.

– Kim byli ci Anglicy? – W spojrzeniu Viviane pojawia się także iskierka ciekawości, ale ukryta pod grubą warstwą braku zaufania.

Milena Migliari próbuje sprowadzić rozmowę na inny tor: zdradza szczegóły swojej wyprawy do „Les Vieux Oliviers”; opowiada o goniących się alpakach, które chciały się pozagryzać, o olbrzymim włoskim bodyguardzie, który nie wiedział, kto otworzył jej bramę, o niebieskich kozakach i kurteczce z czerwonej skóry należących do pani domu, o kolczyku w lewym uchu pana domu, przywodzącym na myśl starego pirata.

– A jak nazywa się pan domu? – Viviane przesuwa stopą po podłodze w kolorze psich wymiocin, stanowiącej jedyny szczegół, przez który były nieprzekonane, kupując ten dom, zanim odkryły, że prawdziwy problem stanowi przeszlony dach, który sprawia, że patio nagrzewa się tak, iż właściwie nie da się tu wysiedzieć od wiosny po późną jesień. Wystarczy tylko na nie spojrzeć – poruszenie, wilgoć i temperatura sprawiają, że są całe spocone, choć to już druga połowa listopada.

– Cru coś tam. Cruck... Chyba Crucshan. – Milena Migliari nie jest pewna, czy dobrze zapamiętała nazwisko, słysząc je od kobiety, która w kuchni odbierała od niej lody i niechętnie słuchała jej drobiazgowych instrukcji dotyczących

sposobu podania.

– Cruickshank? – Viviane wyciąga szyję do przodu, jak zawsze, gdy jakaś wiadomość robi na niej wrażenie.

– Być może. – Milena Migliari nie rozumie powodów tej nagłej zmiany zachowania.

– Nick Cruickshank? – Viviane naciska coraz bardziej, jakkolwiek byłby tego powód.

– Być może. – Milena Migliari potrząsa głową. – A kto to?

– Jak to: „kto to”? Do cholery, Mileno! – Głos Viviane przyjmuje napominający ton realistki, co zresztą należy już do ich podziału ról: jedna jest wiecznie rozkojarzona, a druga twardo stąpa po ziemi, jedna kieruje się instynktem, a druga rozumem. To uproszczenie, bo Viviane jest kobietą konkretną, ale zarazem wrażliwą, a w produkcji lodów potrzebny jest zmysł praktyczny, nie zaś sama wyobraźnia.

Milena Migliari wzrusza ramionami. Nie potrafiłaby określić, kiedy zaczęły wyznaczać sobie role. Być może od początku, ale najpierw wydawało się to przede wszystkim zabawą z przejawami czułości i erotyzmu. Częściowo ją to pokrzepiało, częściowo podniecało; sądziła również, że role są elastyczne, że można się nimi wymieniać lub w każdej chwili z nich zrezygnować. Tymczasem się utrwaliły, aż poczuła, że jest jej ciasno. Czasem bardzo ciasno.

– Halo, Ziemia do ciebie! – Viviane patrzy w górę, wykonuje gest, jakby na niewidzialnym motku zwijała niewidzialny sznur, chcąc ściągnąć ją na ziemię. – To wokalista Bebonkersów. Nie słyszałaś o nich? Nie słyszałaś ani jednej piosenki? Może przez pomyłkę w radiu? *Enough Isn't Enough* nic ci nie mówi? Poza wszystkim grają koncert charytatywny w aerodromie w Fayence w najbliższą niedzielę, wszędzie wiszą plakaty!

– Pewnie, że ich słyszałam. – Milena Migliari miała już dość traktowania jej jak ignorantki. Słyszała Bebonkersów jak każdy, kto mieszkał na Zachodzie w ciągu ostatnich trzydziestu lat. I ten Anglik rzeczywiście wyglądał jej jakoś znajomo; ale była podenerwowana z powodu braku prądu i niecodziennego zamówienia oraz przejęta stanem lodów, no i oszołomiona tym, że potraktowano ją jak intruza.

– Całe szczęście. – Viviane przybiera wyraz udawanej ulgi; przystawia dwa palce do czoła i się śmieje. – Witamy na Ziemi.

– Wybacz, ale kiedy spotykasz kogoś poza jego kontekstem, to masz problem, żeby go rozpoznać, prawda? – Milena Migliari próbuje oprzeć się poczuciu winy, że nie rozpoznała Nicka Cruickshanka z Bebonkersów: zdarza się jej to, gdy orientuje się, że nie jest dostatecznie poinformowana o tym, co dzieje się na świecie, lub gdy wykazuje braki w wiedzy ogólnej, nie mówiąc już o tym, gdy zdarzy się jej zrobić jakiś błąd w języku francuskim. I choć lubi muzykę, to nie

należy do osób, które stawiają ołtarze wykonawcom; nigdy nie miała muzycznych idoli. Poza tym jeśli coś ją uderzyło w tym całym Nicku Cruickshanku, to nie jego wygląd gwiazdy rocka, lecz do głębi niepewny wzrok, naprawdę do głębi.

– No dobra, tak czy inaczej, to typowe dla Mileny. – Viviane, ciągle się śmiejąc, podchodzi do niej i klepie ją w tyłek.

Także wyrażenie: „to typowe dla Mileny” czasem ją bawi, a czasem zupełnie nie. Jak teraz na przykład; ma ochotę natychmiast zmienić temat.

– A tobie jak idzie z książką?

– Wolalabym o tym nie rozmawiać, dziękuję! – Viviane reaguje tak, jak można było przewidzieć, bo z wielkim trudem kompiluje swój podręcznik o metodzie Fourniera. Metoda nosi nazwisko swojego pomysłodawcy: polega na intensywnym masażu rozluźniającym punkty spustowe w ciele i umożliwiającym przepływ energii. Viviane praktykuje go przez pięć dni w tygodniu w swoim gabinecie w Draguignan, a w każde poniedziałkowe popołudnie również w ośrodku medyczno-sportowym w Grasse; doczekała się już pokaznej grupy osób, które twierdzą, że zrobiła z nimi porządek. Tyle że wymyślanie i doskonalenie nowych technik masażu to jedno, a pisanie książki, w której szczegółowo objaśnia się teorię i praktykę, to drugie. Viviane pracuje nad nią od miesięcy i nie jest zadowolona z rezultatów, co, rzecz jasna, wpływa na jej samopoczucie i na ich wzajemne relacje.

Milena Migliari wykonuje gest obiema rękami, przemieszczając je z góry na dół; robi tak zawsze w chwilach napięcia.

– Tylko pytałam, okay?

– Dziękuję, że pytasz! – Viviane chodzi tam i z powrotem, mocno stawiając stopy na płytkach, po czym się zatrzymuje. – A tak z innej beczki, dzwoniłam do doktora Lapointe’a, do Grasse.

– Ach! – Milena Migliari czuje, jak w jednej chwili krew zastygają jej w żyłach. – I co powiedział?

Viviane odchrząkuje nerwowo; robi tak, ilekroć targają nią silne emocje.

– Że możemy zacząć w poniedziałek.

– W poniedziałek? – Milena Migliari ma ściśnięty żołądek, z trudem bierze oddech. Przecież od tyłu dni czekała, aż w końcu to usłyszy; od dobrego tygodnia.

– Nie cieszysz się? – Viviane mierzy ją wzrokiem, obserwując pozycję jej głowy, rąk i nóg.

– Cieszę. – Głos Mileny Migliari nie brzmi dostatecznie przekonująco, trochę dlatego, że wie, iż mowa ciała ujawnia raczej oznaki paniki niż zadowolenia.

– Myślałam, że będziesz się cieszyć. – Viviane mruży oczy.

– Ależ się cieszę. – Milena Migliari na próżno usiłuje wyrazić zadowolenie. Już od miesięcy to rozważają, od całych miesięcy. Viviane zaczęła o tym mówić w wieczór swoich urodzin, kiedy wypity butelkę szampana i obie były nieźle

wstawione. Ale musiała zacząć o tym myśleć o wiele wcześniej, bo potrafiła określić precyzyjnie wiele szczegółów. Na fali euforii i uniesienia upatrywała w tym przepięknej deklaracji miłosnej, sposobu, by utrwalić ich więź i zapewnić sobie przyszłość; obejmowały się i całowały z radością. Lecz gdy nazajutrz na trzeźwo wróciły do tego tematu, Milena Migliari była o wiele mniej zachwycona: kliniczne i mechaniczne aspekty całego przedsięwzięcia, planowanie, odpowiedzialność wobec hipotetycznej osoby trzeciej. Jej umysł przepełniały wizje laboratoriów, lekarzy w fartuchach i maseczkach, igieł, sond, próbowek, szkiełek, mikroskopów, badań krwi, wstrzyknięć.

– Cóż, wcale tak nie wyglądasz. – Viviane znów zaczyna chodzić tam i z powrotem, odłącza wtyczkę polewaczki, potem znów wkłada ją do gniazdka.

– A jak wyglądam? – Milena Migliari chce naprawdę wiedzieć, bo wcale nie jest pewna. Ze zdenerwowania zrywa listek geranium rosnącego bujnie w meksykańskim klimacie przeszklonego patio; rozciera go w palcach, liść jest mięsisty i wilgotny.

– Jakbyś była zupełnie nieprzekonana – odpowiada Viviane dość neutralnym tonem, ale widać, że kosztuje ją to sporo wysiłku.

– Ależ nie. – Milena Migliari próbuje zrozumieć, czy przemawia przez nią swego rodzaju egoizm, małoduszność, niechęć do długotrwałych zobowiązań czy może niedostatek miłości. Zastanawia się, dlaczego nie potrafi zareagować na ten pomysł z entuzjazmem, dlaczego wydaje się jej niedorzeczne i anachroniczne wyobrażenie siebie samej z wielkim brzuchem, rozkołysanej jak wieloryb, niemogącej przygotowywać lodów lub wykonywać jakiegokolwiek innej czynności w normalny sposób. Zastanawia się, dlaczego chęć macierzyństwa Viviane wydaje się jej swego rodzaju przejawem apodyktyczności, próbą ograniczenia jej wolności, sprowadzenia jej do wymiaru pierwotnej samicy. Zastanawia się, czy to takie straszne, że nigdy tak naprawdę nie miała ochoty, by wydać kogoś na świat, nawet przedtem, w swoich związkach z mężczyznami; że nigdy nie odczuwała powołania, by być rodzicielką, żywicielką i kogoś wychowywać.

– A właśnie, że tak. – Viviane podnosi teraz głos, nie przestając chodzić tam i z powrotem.

– Być może jestem trochę roztrzęsiona przez ten brak prądu w lodziarni i całą resztę, w porządku?

To prawda, że jest nieco roztrzęsiona, łyzy cisną się jej do oczu, ale wiązanie nastroju z brakiem prądu wydaje się jej tchórzostwem, nieumiejętnością nazwania rzeczy po imieniu.

– Kogo obchodzi lodziarnia! – Viviane wpada w furię, czerwienieje na twarzy. – Przecież sezon na lody skończył się wiele tygodni temu! Powinnaś była już ją zamknąć!

– Nie istnieje określony sezon na lody. – Milena Migliari odpowiada

z uporem, choć nieco zbyt cichym głosem. – Jest ich wiele i są różnorodne, podobnie jak różnorodne są surowce, pogoda, nastawienie osoby, która je lody.

– Ale skoro nie ma nabywców, to możesz mi wyjaśnić, dla kogo je robisz? – Viviane jeszcze bardziej podnosi głos, gestykulując z coraz mniejszym opanowaniem.

– Robię je dla tych, którzy mają na nie ochotę. Na przykład jak ci Anglicy dzisiaj.

To prawda, że zamówienie Anglików nie było normalne, ale nie chodzi wcale o to, czy są nabywcy, czy też ich nie ma; przygotowanie lodów to po prostu jej zawód i pasja, i być może Viviane jest o to trochę zazdrosna.

– Owszem, i ci Anglicy rozwiążali kwestię bilansu na najbliższe miesiące!

Trzeba przyznać, że na początku Viviane bardzo ją wspierała: dodała jej odwagi przy rozpoczęciu produkcji lodów, pomogła jej znaleźć lokal, otrzymać kredyt, uporać się z biurokracją i całą resztą. Lecz od kiedy działalność nieco okrzepła, zaczęła się od niej coraz częściej dystansować za pomocą sarkastycznych żartów i superrealistycznych uwag, jakby chciała okazać, że wytwarzanie lodów to raczej swego rodzaju hobby, a nie prawdziwa praca, a gdyby nawet traktować to jako pracę, to z pewnością nie jest porównywalna z efektami osiąganymi w jej centrum masażu, do którego ściągają setki osób.

– Cóż, może przynajmniej rozwiążali ją na dziś. – Milena Migliari próbuje bronić swojego stanowiska.

– Tak! Jak pięknie żyć chwilą! – Viviane chwyta się teraz pod boki, jakby powstrzymywała się przed wyrządzeniem szkód, na przykład rozbiciem doniczki z geranium. – Jeśli się rozmyślałaś, to będzie uczciwiej, jeśli mi o tym powiesz!

Milena Migliari przygryza dolną wargę, bo pamięta, jak obie lubiły żyć chwilą, jak również dlatego, że nie może znieść myśli o tym, że mogłaby się sprzeniewierzyć tak ważnym wspólnym planom. Od dziecka jej poczucie lojalności wynikało raczej z lektury powieści niż z realnych doświadczeń i tyle razy zawiodło ją zachowanie innych, że rozpaczliwie stara się dochowywać umów i obietnic. Chwyta Viviane za rękę, ściska jej dłoń.

– Nie rozmyślałam się.

– Nie? – Viviane patrzy na nią z nagłym błyskiem nadziei w oku spoza szkieł nieco brudnych od śladów palców.

– Nie. – Milena Migliari myśli, że prawdopodobnie dobre intencje mogą przezwyciężyć instynktowne wahania, gdy się tego mocno pragnie. – Ale może lekki niepokój jest czymś normalnym, nie sądzisz?

– Oczywiście, że to normalne! – Viviane obejmuje ją gwałtownie, ściska ją swymi silnymi rękami. – To najnormalniejsza rzecz w świecie, *ma poulette*[12]!

Milena Migliari odczuwa ulgę, że w niewielu słowach i gestach udało się jej rozwiązać rozczarowanie, które wydawało się nieodwracalne; uznaje to za swego

rodzaju cud komunikacji międzyludzkiej.

Viviane całuje ją w czoło, w policzki, nos, usta, brodę i oczy.

– To coś, co zrobimy całkowicie razem, *ma poulette*! Będę cię wspierać na każdym kroku, zobaczysz! To będzie cudowne dla nas obu! To będzie niezwykle!

– Dobrze. – Milena Migliari osusza łzy w kącikach oczu, dłonią wyciera nos. Z niechęcią myśli, jak czas zmienia pojmowanie wszystkich rzeczy: *ma poulette* na przykład wydawało się jej zabawnym i czułym określeniem, teraz zaś wywołuje w niej skrępowanie. (I przypomina jej, że głównym powodem, dla którego trzyma się kury, jest to, że dają jajka).

We dwie z uśmiechem na ustach wchodzą do domu. Milena Migliari idzie na górę, by umyć ręce, zrobić siusiu i zmienić koszulkę; kiedy wraca na dół, Viviane umiera z głodu, więc od razu przygotowuje dla niej omlet z serem i sałatkę z orzechami.

12 Moja kurko! (franc.)

Kiedy Nick Cruickshank jest w „Les Vieux Oliviers”, całe godziny spędza samotnie, piechotą lub konno przemierza łąki i lasy posiadłości lub zaszywa się w swoim studiu na większą część dnia. Nie żeby Aileen tego nie zauważała albo nie zwracała mu na to uwagi tonem mniej lub bardziej urażonym, zależnie od okoliczności – jakby odebrano jej coś, do czego miała prawo. On zazwyczaj odpowiada, że musi mieć poczucie, iż wolno mu robić, co zechce; nawet nie robić nic, bez żadnych zakłóceń. „Zakłóceń?” Aileen uśmiecha się delikatnie, udając osłupienie, lekko kiwa głową. Także w poprzednich związkach właśnie to doprowadzało do nieskończonych utyskiwań i oskarżeń, próby sił, do ciągłych konfliktów i ucieczek. Z Aileen problem wyłania się raczej tutaj niż w Londynie, bo tam w dużej mierze egzystują niezależnie od siebie, a przynajmniej tak było dotychczas: każde miało swój dom, swoje obowiązki i swój rytm. W rzeczywistości spotykają się wieczorem, jeśli w tym samym okresie są w mieście, i niemal zawsze gdzieś wychodzą; nie żeby przez te lata mieli się wspólnie dostosowywać do jakiegokolwiek domowej rutyny. Do Sussex Aileen jeździ niechętnie, bo twierdzi, że odnosi wrażenie, jakby uczestniczyła w jego życiu z okresu pierwszego małżeństwa – drażni ją widok pokoi dzieci z zabawkami z czasów, gdy były małe, drażnią ją róże i rododendrony posadzone przez Hoshiko. W rezultacie także on rzadko się tam zjawia, zamienia kilka zdań ze stróżem Romanem, sprawdza, czy dom nie niszczeje, i odczuwa swego rodzaju smutek. To samo dotyczy St Barths, gdzie za każdym razem ich dni upływają w napięciu i milczeniu, jest tam jeszcze gorzej niż w hotelu. To przez Manchester, bo Aileen twierdzi, że czuje się obco w wąskim kręgu rodziny, starych przyjaciół i dawnych miłostek, choć od lat wszyscy na wszelkie możliwe sposoby starają się, by czuła się jak w domu.

Tak więc „Les Vieux Oliviers” jest jak dotąd jedynym miejscem, w którym próbowali żyć ze sobą dłużej niż dwa tygodnie z rzędu, co czyni zeń swoiste laboratorium. Aileen użyła wszystkich zasobów niezwyklej energii, aby je przekształcić: w ogrodzie usunęła i na nowo posadziła rośliny, przesadziła żywopłoty, zmieniła kształt basenu, wyburzyła wiele ścian wewnętrznych, wymieniła okna, pomalowała na biało dach. Prowansalskie wyposażenie, które tak bardzo lubiła Marie, druga żona Nicka Cruickshanka, całkiem zniknęło, jeśli nie liczyć dwóch foteli, kanapy i dywanu, które udało mu się ocalić w studiu i w domku w lesie. Nowy styl – połączenie high-tech, sztuki ubogiej i designu z lat sześćdziesiątych – jest intrygujący, choć o wiele mniej komfortowy niż poprzedni.

Tymczasem proces transformacji trwa i prawdopodobnie nigdy się nie skończy; czasem Aileen dzwoni do niego podekscytowana z jakiegoś zakątka świata, żeby mu powiedzieć, że znalazła stół ze szkła i stali autorstwa Philippe'a Starcka, znakomity do salonu, rzeźbę dłuta Tiny Palomy, wprost stworzoną do przedpokoju, czy obraz Hansa Herrmanna, który znakomicie wyglądałby w korytarzu. Nie stawia oporu, bo ufa jej wyczuciu, bo podoba mu się myśl o kreatywnych inwestycjach w ich wspólnym życiu i dlatego, że sprawia mu ulgę fakt, iż jej energia skupia się raczej na nośnikach ich związku, niż na związku samym w sobie. Rzeczywiście rzadko zdarza mu się widzieć ją wyciągniętą w hamaku lub czytającą w spokoju książkę dłużej niż dziesięć minut; Aileen odczuwa stałą potrzebę, by się przemieszczać z miejsca na miejsce na tych swoich nerwowych nogach, by dzwonić, organizować telekonferencje, by zbierać informacje, omawiać pomysły, domagać się odpowiedzi, odkrywać możliwości, objaśniać, informować, ponaglać. Z drugiej zaś strony czy w początkach ich znajomości to właśnie jej umysłowy i fizyczny dynamizm nie zrobił na nim niemal takiego samego wrażenia jak jej nadzwyczajna uwaga? To prawda, że wtedy ten dynamizm nie był jeszcze tak ukierunkowany, miał w sobie coś naiwnego, aż po kolejnych sukcesach stał się bardziej wyrazisty, wręcz niepohamowany, niewyczerpany, taki jak teraz.

Ktoś puka do drzwi; Nick Cruickshank podskakuje na starej prowansalskiej kanapie, jakby coś go ukłuło.

– O co chodzi?

– *Viens manger, Nick!*[13] – Zza grubych drewnianych drzwi dobiega głos pani Jeanne, pełen matczynej troski.

– *Okay, merci!* – Nick Cruickshank odkłada gitarę akustyczną na stojak, ostatni raz zaciąga się trawą Wally'ego, gasi skręta w popielniczce; myśli, że ucieszyłby się, gdyby udało mu się uniknąć spotkania z innymi i zjeść coś samotnie w kuchni.

Najciszej jak potrafi, przemierza korytarz, ale kiedy staje w progu dużej otwartej przestrzeni salonu-jadalni, widzi, że wszyscy już tam siedzą przy długim orzechowym stole: Aileen, Tricia, Maggie, Tom, asystent „Jak on się nazywa?”, tych czworo ze „Star Life”, Wally, Kimberly, Aldino, Damian Baumann, Christie Swoonie, Marguerite i Hugo Bertrand. Bez mała cały komitet zasiadł przy tym piekielnym stole.

– Och, kogo my tu mamy! – Aileen udaje zaskoczoną, również pozostali odwracają się, by na niego spojrzeć. – Myśleliśmy, że zabarykadowałeś się tam na zawsze.

– Nie byłem zabarykadowany – mówi Nick Cruickshank i siada po prawej stronie Aldina, który ze skrzepowaniem wrzuca sobie do ust kawałek chleba z masłem wielkości połowy jego dłoni. Nick Cruickshank myśli, że w rzeczywistości Aileen ma rację: zabarykadował się w swoim studio. Zrobił tak

dlatego, że w każdym innym miejscu w domu czuje się osaczony – wystarczy spojrzeć na te wszystkie oczy, usta i ręce w ruchu, całą tę grę pozorów.

Także Wally i Kimberly nie wydają się zbyt zadowoleni z towarzystwa, ale z mniej szlachetnych powodów: Wally, bo poza Aileen i Christie Swoonie (która go nie znosi) nie ma tu zbyt wielu atrakcyjnych kobiet, na których mógłby zawiesić oko; Kimberly, bo poza gospodarzami, Christie i Bertrandami nie ma tu zbyt wielu dostatecznie zamożnych i znanych osób, które mogłyby wzbudzić jej zainteresowanie. Rzeczywiście, cały czas wodzi kciukiem po wyświetlaczu swojego gigantycznego smartfona, podpierając się na łokciu i przedramieniu; ma mętny wzrok, grube kreski narysowane eyelinerem, tlenione, mocno ściągnięte włosy, nastrzyknięte kości policzkowe, wargi jak gumowe pontony, rozpiętą bluzeczkę, która ukazuje jej podniesione push-upem piersi, i naszyjnik z gigantycznych pereł podarowany przez mężusia, by wybaczyła mu jakieś świętstwo. Tylko Wally Thompson mógł ożenić się z tak pustą i wulgarną kobietą, która w momencie ślubu odpowiadała w pełni jego najohydniejszym nastoletnim fantazjom seksualnym.

– Wally powiedział mi, że jutro rano zabierzesz nas na konną przejażdżkę. – Kimberly musi być przekonana, że taki przeciągły sposób mówienia jest sexy, podobnie jak ospałe ruchy powiek i głowy.

– Zobaczmy. – Nick Cruickshank nie ma najmniejszej ochoty zobowiązywać się wobec tych dwojga, bo już wystarczająco drażni go fakt, że są u niego w domu, ale także dlatego, że ma nadzieję, iż dojdzie do jakiejś katastrofy, która wydarzy się dziś lub jutro i wszystko zniweczy.

Aileen też nie może znieść Wally'ego i Kimberly, ale kiedy przyszło do ustaleń, kogo ugościć na miejscu, a kto będzie nocował w hotelach, willach i domach w wiosce, zgodziła się, że Thompsonowie bardziej niż ktokolwiek inny poczuliby się urażeni, gdyby umieszczono ich poza posiadłością. I tak oto będą się plątać pod nogami przez cztery dni, co w sumie nie jest jeszcze najgorszym złem.

Redaktor naczelna „Star Life” wciąż przygląda się innym gościom przy stole, wymienia szybkie spojrzenia i uwagi z ludźmi z ekipy; choć zgodnie z umową mają zakaz robienia zdjęć i filmowania przy stole przed sobotą, to nie ma wątpliwości, że rejestruje najmniejsze szczegóły, aby we voyeurystycznym duchu przytoczyć je później w długim artykule z okładki.

Nadchodzi pani Jeanne w towarzystwie młodziutkiej i nieco wystraszonej pokojówki Didiane pchającej wózek z wielkim glinianym garem zawierającym słynne risotto z karczochami. Bez zbytej ceremonii gar staje na stole, a pani Jeanne zanurza w nim chochlę.

– Nick! – Pani Jeanne daje mu znak, żeby jako pierwszy podał talerz. Nie żeby nie znała etykiety; raczej chciała zaznaczyć, że nie ma żadnych wątpliwości, kto jest tutaj najważniejszy, wbrew wszelkiej kurtuazji.

– *Merci, Jeanne. Vous pouvez le laisser ici*[14]. – Aileen daje jej uprzejmy, aczkolwiek stanowczy znak, aby goście nie pomyśleli, że nie ma nad tą kobietą żadnej władzy. Z początku nieco naciskała na Nicka Cruickshanka, by ją zwolnił, tłumacząc, że za takie same pieniądze mogliby znaleźć kogoś, kto lepiej zaspokajałby ich apetyty i dysponował większą wiedzą na temat współczesnej kuchni, a ponadto potrafił porozumieć się po angielsku z ich gośćmi i zwracał choć minimum uwagi na formę. Nick Cruickshank musiał zażarcie się opierać, by ją wybronić, aż w końcu oświadczył, że jeśli zwolni panią Jeanne, to on więcej nie postawi nogi w tym domu. Sprawa pozostała niezadowolona, wcale a wcale nie uległa rozwiązaniu; jeszcze nie widział, aby w kwestiach zasadniczych Aileen dała za wygraną.

Pani Jeanne kontynuuje, jakby jej wcale nie słyszała: napełnia talerz pana domu, potem Aileen, a potem pozostałych. Na koniec bierze talerz Kimberly, wcześniej jednak obrzuca ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem, aż w końcu, w przebłysku świadomości, ta postanawia odłożyć komórkę na stół swoją tłusciutką rączką z paznokciami pomalowanymi na biało, nie przestając jednak patrzeć w ekran.

Kiedy pani Jeanne wychodzi, a za nią znika Didiane, Aileen patrzy na Toma Harlana i redaktor naczelną „Star Life”; wznosi oczy ku górze, wzbudzając lekkie uśmiešky.

– O co chodzi? – Nick Cruickshank udaje, że nie zauważył niemego wyzwania, jakie właśnie rzucono.

– Nic, nic. – Aileen wymienia kolejne ironiczne spojrzenia ze swoimi sąsiadami, potem ostrożnie zbliża widelec do risotta, jakby była pewna, że czeka ją jakaś przykra niespodzianka.

Po stole krążą trzy butelki côtes de provence, ale nikt tak naprawdę nie pije, być może z powodu obecności dziennikarzy, być może z racji przewidywanych ekscesów w kolejnych dniach, być może dlatego, że nie ma szczególnego nastroju do biesiady. Wally jako jedyny – jak tylko skończył gin z tonikiem, który przyniósł sobie do stołu – wychyla kieliszek w kilku haustach i od razu napełnia go ponownie; podśmiewa się, w obleśny sposób spogląda na Christie Swoonie, mamrocze coś do Kimberly, która wbija mu paznokcie w nadgarstek.

Risotto jest nadzwyczajnie pyszne, jak wszystko, co przygotowuje pani Jeanne. Nick Cruickshank nieraz przyglądał się, jak je przyrządza: zewnętrzne liście karczochów gotuje aż do otrzymania zielonego wywaru o głębokim smaku, z części wewnętrznej dokładnie usuwa kłujące czubki i włoski, po czym kroi ją na cienkie plasterki, które następnie przesmaża delikatnie na patelni z oliwą i czosnkiem, zanim doda je do ryżu w glinianym garnku i lekko pokropi białym winem, a potem zaleje dużymi łyżkami zielonego wywaru; następnie miesza wszystko cierpliwie, aż w końcu dodaje masło i starty parmezan dla nadania całości

kremowej konsystencji. Efekt jest taki, że do doskonałości nie może się bardziej zbliżyć żadne inne risotto z karczochami – intensywny i wyrazisty słodko-gorzki smak, cudownie kremowa konsystencja, w której jednak z osobna można wyczuć językiem każdy kawałek karczocha i każde ziarenko ryżu. Całe lata świetlne od bezbarwnego, brejowatego risotta z karczochami, które zdarzało mu się jadać w najlepszych restauracjach świata. Czasem dziwi się, że nauczył się doceniać te niuanse; przebył niebywałą drogę od pospiesznej i niedbałej kuchni matki, mającej na celu jedynie przetrwanie, do tego, czego doznaje tu i teraz. (Doskonale pamięta trzy kawałki wątróbki rzucone na patelnię z odrobiną soli, bez krztyny masła, oliwy, przypraw czy czegokolwiek innego, które następnie, przypalone i suche, były serwowane na talerzu z okrzykiem: „No już, zjadajcie!”).

Biesiadnicy dzielą się na jedzących ze smakiem, jak Aldino, Tom Harlan, jego asystent, Maggie, Hugo Bertrand, fotograf i kamerzysta ze „Star Life”, oraz na tych, którzy właściwie nie tykają talerza, jak anorektyczka Tricia, Christie, która dba o linię bardziej niż o cokolwiek innego na świecie, pani redaktor, która ma wyraźne problemy z nadwagą i panuje nad sobą z wysiłkiem, dziennikarka, która służalczo stara się do niej dostosować, Wally, który choć wypił już za dużo, to nie może przestać, Kimberly, która zapewne napchała się wcześniej jakimiś świństwami i teraz jedynie dzióbie zawartość talerza.

Aileen czubkiem widelca nabiera maleńkie kęsy risotta, kładzie je na języku, delikatnie porusza żuchwą, siedząc prosto na swoim krześle. Nigdy nie rzuca się na jedzenie; potrafi przeżyć całe dnie na wyciskanych sokach owocowych, kilku cukierkach bez cukru i litrach wody. Jedzenie w niewielkich ilościach mówi wiele o jej charakterze, podobnie jak krótki czas przeznaczony na sen: umie zasnąć na żądanie (za pomocą pigułki), ale potem w środku nocy bezustannie się kręci, zapala czołówkę, by poczytać, sprawdza w komórce, czy dostała jakieś ważne wiadomości, wstaje, by zrobić siusiu, wraca do łóżka, rozkopuje się, przeciąga kołdrę na swoją stronę. Nawet gdy śpi, wygląda zawsze tak, jakby zaraz miała się zerwać z nienacka, kiedy tylko ty się odprężysz. Dzielenie z nią łóżka to swego rodzaju ciągła walka, ćwiczenie wytrzymałości, do którego Nick Cruickshank wcale się jeszcze nie przyzwyczał. Kiedyś nawet jej o tym powiedział, w najdowcipniejszy sposób, na jaki było go stać, aby ująć nieco ciężaru sprawie, lecz jej wcale nie było do śmiechu, odparowała, że skoro mu to tak przeszkadza, to może powinni pomyśleć o dwóch oddzielnych sypialniach. Pojawiła się w nim myśl, czy aby nie skorzystać z okazji i odpowiedzieć natychmiast, że się zgadza, ale z pewnością odczytałby to jako definitywne zakończenie romantycznej fazy ich związku. Przypomniało mu się nawet, jak jego rodzice zaczęli spać w oddzielnych pokojach i po niecałym roku ojciec odszedł z domu; pomyślał więc, że być może trzeba choćby minimalnie się dostosować, jeśli chce się być razem. Faktem jest jednak to, że z drugą żoną spało mu się znakomicie, nie musiał się do niczego

dostosowywać; przynajmniej z tego punktu widzenia zmiana nie okazała się zbyt korzystna.

– *Alors? C'est bon?*[15] – Pani Jeanne znów zagląda do jadalni, by sprawdzić, jak smakuje risotto.

– *C'est grand!*[16] – Nick Cruickshank uśmiecha się z wdzięcznością, ale przykro mu się robi na myśl, że musi się dzielić tak szczególnym darem z ludźmi, którzy nie są w stanie w pełni go docenić.

– Mmmm... – przynajmniej Aldino mruczy z satysfakcją; Tom Harlan kiwa głową, ale nie wdaje się w rozmowę; jego chudy, blady asystent chwytą kolejny widelec risotto, jakby w obawie, że ktoś wyrwie mu talerz.

Aileen natomiast nadal sonduje potrawę czubkiem widelca, nie czyniąc żadnych komentarzy; wyciąga kawałek karczocha, przeżuwa go starannie, opowiada dalej Bertrandom o dzisiejszej porannej sesji fotograficznej, wyraźnie i ostentacyjnie okazując brak zainteresowania arcydziełem pani Jeanne.

W rzeczywistości pani Jeanne zupełnie się nie narzuca; zadowala ją jej niekwestionowana pozycja w kuchennym królestwie, opuszcza je jedynie po to, by podać jedzenie i zebrać talerze. Ma znakomite wyczucie czasu; nigdy nie przychodzi o minutę za wcześnie czy za późno, w jej ruchach nigdy nie ma śladu pośpiechu czy rozleniwienia. Teraz na przykład znów zniknęła, wyslizgnęła się, zanim ktokolwiek zdążył to odnotować.

Nick Cruickshank próbuje skupić się na smaku i konsystencji ostatnich kęsów, ale nie może nie zauważyć podejrzliwych gestów Aileen i opieszałości Wally'ego, bezmyślnej miny Kimberly, a także szpiegujących oczu redaktorki naczelnej „Star Life”. Stara się na nikogo nie patrzeć, ale jego wzrok sam wędruje to w lewo, to w prawo, a przy każdym spojrzeniu ogarnia go rozpacz z najrozmaitszych powodów. W końcu nie wytrzymuje i odwraca się do Wally'ego.

– Nie smakuje ci? – pyta.

– Karczochy są twarde – mamrocze Wally z pełnymi ustami i wyrazem twarzy pełnego głupka. – A ryż niedogotowany.

Aileen gwałtownie odwraca głowę do naczelnej „Star Life”, a na jej wargach pojawia się kolejny ironiczny uśmieszek; tylko czekała, aż ktoś podważy umiejętności pani Jeanne.

– Tak, rzeczywiście. – Kimberly wykrzywia swoje żabie usta w grymasie wstrętu, jakby zazwyczaj zajadała się o wiele bardziej wysublimowanymi smakołykami.

Nick Cruickshank próbuje obmyślić jakąś sarkastyczną, może nawet pouczającą odpowiedź, ale zbyt przytłacza go świadomość, że zasiada przy jednym stole z ludźmi, którzy wcale go nie obchodzą lub których nie znosi, a pośród nich wybija się jego basista, ten cham i kretyn, który niejako mimo woli odniósł światowy sukces i uważa, że poznał nie wiadomo jakie prawdy. Myśl o latach

spędzonych wraz z nim w podróżach po świecie i o tym, że Wally siedzi teraz tutaj ze swoją odrażającą żoną, nagle wydaje mu się nie do zniesienia – to zbyt wiele.

– O co chodzi? – Wally pomimo swojej tępoty coś chyba wyczytał w jego wzroku, bo napina mięśnie twarzy, robiąc jedną ze swoich najbardziej odpychających min. – No?

– Nic, nic. – Jeszcze kilka lat temu Nick Cruickshank być może wylałby na niego kieliszek wina albo przynajmniej rzuciłby kawałkiem chleba, po czym pozostali członkowie zespołu stanęliby po stronie jednego lub drugiego i rozpętałyby się jedna z tych bójek, podczas których demolowali restauracje lub hotele i które przeszły do czarnej legendy Bebonkersów. Lecz od tamtego czasu sporo pracował, by panować nad swoimi najgorszymi instynktami; odwraca jedynie głowę w drugą stronę, wykluczając Thompsonów ze swojego pola widzenia.

Aileen odkłada widelec i kromkę chleba na talerz z risottem, odsuwa go, choć nadal jest do połowy pełny. Odwraca się do Nicka Cruickshanka i oznajmia:

– Jutro o dziesiątej przyjadą Lucien Deleuze i Marissa ze swoimi ludźmi, przywiozą altanę i inne rzeczy.

Nick Cruickshank czuje się nagle postawiony pod ścianą, jak za każdym razem, gdy podaje mu się godzinę lub termin.

– Nie mogliby przyjechać pojutrze?

– Jasne, że nie. – Aileen patrzy na niego z wystudiowanym zaskoczeniem, lekko kiwa głową. – Być może nie zdajesz sobie sprawy, Nick, ale zostało bardzo mało czasu.

– Ach, pewnie – odpowiada Nick Cruickshank, odkładając widelec na stół i wstając.

Reakcja Aileen ma w sobie coś z urazy podszytej lekkim niepokojem.

– Dokąd się wybierasz?

– Zobaczmy się później. – Nick Cruickshank rozciąga wargi w uśmiechu, z serwetką w ręku wykonuje w stronę biesiadników pożegnalny gest, po czym upuszcza ją na stół.

– Nick! – Aileen próbuje zatrzymać go wzrokiem, ale, rzecz jasna, nie chce robić scen przy gościach i ludziach ze „Star Life”; odwraca się w stronę tego nudziarza Hugona Bertranda, udając, że nagle zainteresowało ją to, o czym tamten rozprawia.

Nick Cruickshank idzie korytarzem, wchodzi do kuchni.

Pani Jeanne nawet nie jest zbyt zaskoczona jego widokiem, okazuje mu jedynie trochę troski.

– *Ça va?*[17]

Kiwa głową, choć jest dość spięty: w rzeczywistości jest bliski wybuchu. Podchodzi do okna, zawraca, wkłada ręce do kieszeni, potem je wyjmuje.

Z biegiem lat wypróbował wiele technik osiągnięcia wewnętrznej równowagi, od jogi po shuai jiao i malarstwo, ale nigdy tak naprawdę nie udało mu się jej uzyskać; niezrównoważenie ciągle gdzieś się w nim czai, czekając na najmniejszy pretekst, by się objawić. Owszem, stanowi istotną część jego charakteru, jest duszą jego piosenek, głównym źródłem inspiracji, motorem działań. Gdyby osiągnął stan wiecznego spokoju, to wówczas koniec z Nickiem Cruickshankiem i z Bebonkersami. A zatem?

Pani Jeanne wskazuje mu wielką deskę z drewna oliwnego, na której układa sery, by po risocie zanieść je do jadalni; nic nie mówi, jest między nimi swego rodzaju porozumienie, które nie potrzebuje zbyt wielu słów.

Nick Cruickshank wyciąga rękę, palcami odłamuje kawałek bleu d’Auvergne, po czym zjada ser, chodząc po kuchni. Nie jest już głodny; ciągle czuje się osaczony i myśli o tym, że w najbliższych dniach to poczucie będzie się jedynie nasilać, z godziny na godzinę.

Pani Jeanne dwa czy trzy razy rzuca na niego okiem, poprawiając nożem wygląd uszkodzonego sera, następnie posyła Didiane, by zebrała na wózek talerze i sztucce. Wyciera ręce w fartuch, podchodzi do lodówki, żeby wyjąć biały styropianowy pojemnik, stawia go na stole, zdejmując przykrywkę oraz papier ochronny. Bierze łyżkę i miseczkę, kładzie je obok pojemnika, gestem zaprasza Nicka Cruickshanka, by do niej podszedł.

Nick Cruickshank kręci głową, ale podchodzi do stołu, bo byłoby mu przykro, gdyby odrzucił jej propozycję. Do pokrywki z białego styropianu przyczepiony jest ciasno zwinięty, przewiązany czerwoną wstążeczką bilecik z papieru pakowego. Nick Cruickshank rozwiązuje węzełek i rozwija bilecik; wypisano na nim piórem: „Życie jest zbyt krótkie, by je zmarnować, realizując cudze marzenia”.

Pani Jeanne patrzy na niego z pytającym wyrazem twarzy, bo widzi, że mężczyzna stoi nieruchomo.

Nick Cruickshank nie może się ruszyć ani nic powiedzieć: w przedziwny sposób kotłują się w nim myśli i doznania, spośród których wyłania się wspomnienie, gdy pewnego razu jego ojciec zacytował to samo zdanie Oscara Wilde’a – jemu lub jego bratu, lub matce, zapewne całej rodzinie. Tak jakby ojciec poświęcił choćby pięć minut swojego życia na realizację marzeń innych ludzi niż on sam. A on? Jego piosenki w jakiś sposób wiążą się z cudzymi marzeniami, to niezaprzeczalne; uderzają w struny, wywołują rezonans. Ale od tego do realizacji marzeń droga daleka. A jego życie prywatne? Kiedyś? I teraz?

Pani Jeanne nadal go obserwuje, widać, że zaczyna się poważnie przejmować.

Nick Cruickshank zwija z powrotem bilecik, wkłada go do kieszeni. Ale tkwi jeszcze w stanie zawieszenia, z trudem próbując się z niego otrząsnąć.

Didiane wraca z wózkiem pełnym brudnych talerzy i sztućców i także patrzy na niego nieco zaniepokojona. Zza zamkniętych drzwi jadalni dobiegają głosy i śmiechy ludzi; trudno powiedzieć, czy ludzie ci mają jakieś marzenia, ale żądania owszem, z pewnością. I to spore.

Nick Cruickshank bierze łyżkę ze stołu, zagłębia ją w najciemniejszym miejscu jednego z czterech smaków lodów, patrzy na nie, wkłada je do ust i powoli smakuje.

13 Chodź jeść, Nick! (franc.)

14 Dziękujemy, Jeanne. Może pani go postawić tutaj (franc.)

15 I co? Dobre? (franc.)

16 Świetne! (franc.)

17 W porządku? (franc.)

Czwartek

Milena Migliari myśli, że podczas wczorajszej kłótni z Viviane miała rację przynajmniej w jednej kwestii: sezon na lody nigdy się nie kończy. Wystarczy rozejrzeć się po bazarku na placu przed kościołem, sprowadzonym do niezbędnego minimum, jak to bywa w drugiej połowie listopada, a pomysły na najpyszniejsze jesienne lody same przychodzą do głowy.

Weźmy kasztany z Var, mniejsze od tych z Ardèche i mniej znane, niemające też odznaki ChNP: ich mahoniowy kolor przepięknie lśni, gdy właściciel straganu Richard po zważeniu przesypuje je do płóciennej torby, z którą przyszła. Są pyszne, smakują lasem, orzechami laskowymi, górskim chlebem, ich pokrzepiającą słodycz można by podkreślić miodem kasztanowym, wytwarzanym z nektaru kwiatów tych samych drzew, które nimi owocują. Albo granaty z Bargemonu, które kupiła dwa stoiska wcześniej: sprzedawca, delikatnie nacinając nożem skórkę, ukazał jej rubinowe, błyszczące ziarenka ściśnięte jedno przy drugim, takie błyszczące, pełne życia, ociekające słodko-kwaskowatym sokiem. Lub weźmy szarony, które Philippe uprawia w okolicach Turrettes i sprzedaje na pobliskim straganie, dla ochrony pakowane po trzy sztuki; są okrągłe i pomarańczowe jak małe słońca. Nie trzeba się daleko wybierać, aby znaleźć wspaniałe inspiracje dla nowych przepisów. Im bliżej zimy, tym robi się ciekawiej; należy pomyśleć o jeszcze niewypróbowanych smakach i znaleźć nowe podejście do tych tradycyjnych, jak gorzka czekolada czy śmietankowy. Dochody będą znikome, bo w tygodniu nie będzie prawie nikogo, a i w weekendy klientów przyjdzie niewielu; ale za to bez nacisku ze strony ludzi oczekujących przy ladzie ona będzie miała o wiele więcej czasu, by szukać i się namyślać. Tak, koniec sezonu na lody to frazes i jak wszystkie frazesy jest po prostu ostoją ludzi pozbawionych wyobraźni.

Lecz jeśli w poniedziałek rozpocznie tę całą stymulację hormonalną w ośrodku Plamondon, wraz ze wszystkimi tego następstwami, czas i przestrzeń, by zajmować się jesiennymi i zimowymi lodami, znacznie się skurczą, to nie ulega wątpliwości. A jeszcze gorzej będzie z lodami wiosennymi i letnimi, nie mówiąc już o przyszłorocznych jesiennych i zimowych. Zupełnie pochłoną ją karmienia i pieluchy oraz przygotowywanie kaszek zamiast lodów. Będzie mogła poświęcać swojej pracy jedynie wycinki dnia, jeśli dobrze pójdzie; być może będzie musiała scedować prawie wszystko na Guadalupe, uprościć przepisy, zrezygnować z poszukiwań i eksperymentów. Już sama myśl o tym przyprawia ją o zawrót głowy i prawie się potyka, przechodząc obok straganu Marianne i Richarda, którzy

co czwartek przyjeżdżają tutaj z Luberonu z kozimi serami.

Zastanawia się, czy jednym z powodów, dla których Viviane tak bardzo chce mieć dziecko, nie jest to, że wcale nie cieszy jej to całe zaangażowanie w lody. Być może początkowo wydawało jej się to prostym zajęciem i dobrym sposobem na wypełnienie czasu; nie spodziewała się, że można się temu oddawać z taką pasją. Milena Migliari pamięta doskonale, jak zaczęła osiągać pierwsze naprawdę dobre efekty i znajdować pierwszych klientów, którzy doceniali jej pracę, jak zdała sobie sprawę, że jest dopiero na początku drogi. Wieczorem opowiedziała o tym Viviane, aby podzielić się swoim entuzjazmem. Viviane jej wysłuchała, potem się uśmiechnęła, jak można się uśmiechnąć do podekscytowanej małej dziewczynki, po czym powiedziała: „*Ma poulette*, w gruncie rzeczy lody to tylko lody. Robisz je dobrze, i tyle”. Ona próbowała jej odpowiedzieć, że w takim razie również masaż to tylko masaż, i tyle; że nie trzeba zadawać sobie tyle trudu, by go doskonalić, nie trzeba pisać o nim książek z szeregiem ogólnych założeń i objaśnień anatomicznych oraz z dobrej jakości ilustracjami i zdjęciami, i tak dalej. Viviane poczuła się dotknięta, jakby jednej i drugiej działalności nie można było ze sobą porównywać i jakby przebiegała między nimi ta sama granica, która dzieli pracę od hobby. Być może dlatego, że zajęła się masażem o wiele wcześniej niż ona lodami, być może dlatego, że postrzega masaż jako konieczność, lody zaś jako fanaberię; być może dlatego, że jej dochody są o wiele wyższe i pewniejsze. Tak czy inaczej, znów wszystko sprowadza się do podziału ról, które sobie wyznaczyły, nie zdając sobie z tego sprawy: marzycielka i osoba konkretna; ta, która ugania się za ulotnymi niuansami odróżniającymi smaki, i ta, która zarabia na chleb.

Faktem jest, że od pewnego momentu wsparcie moralne ze strony Viviane osłabło, aż przyjęło postać swego rodzaju nieprzemyślanych oporów, na które składały się wątpliwości, krytyka, obiekcje, mniej lub bardziej jawne utyskiwania. Viviane zaczęła ją oskarżać coraz mniej żartobliwym tonem, że traci czas, podejmując poszukiwania mające na celu udoskonalenie receptur, wydając zbyt wiele pieniędzy na składniki, wytwarzając zbyt mało lodów, gdy zapotrzebowanie jest duże, i zbyt dużo, gdy zapotrzebowanie jest małe. I zaczęła narzekać na godziny pracy, na to, że partnerka wraca do domu późnym wieczorem i że gdy nie ma jej w lodziarni, to spędza czas na poszukiwaniach w bibliotece lub Internecie. Potem zaczęła mówić o dziecku. Trudno sobie uzmysłować, że te dwie sprawy nie były ze sobą powiązane, bo były. Tak więc skąd w istocie wziął się pomysł, by mieć dziecko? Z przyływu miłości? Z potrzeby planów na dłuższy czas? Z chęci stworzenia związku, który trudno byłoby podważyć? Ze strachu, że jej się wymknie, pochłonięta swoim zamiłowaniem do lodów lub jakimś innym, które jeszcze się nie objawiło?

Kolejną bezdyskusyjną rzeczą jest to, że Viviane wykazywała narastającą wrogość wobec jej pasji do tańców ludowych. Przebieg był podobny: początkowo

bawiło ją, że Milena Migliari chce brać udział w zajęciach grupy tanecznej z Callian w każdy piątkowy wieczór, twierdziła, że wydaje jej się to dobrym sposobem na towarzyskie spełnienie i wyrażenie swojej energii fizycznej. Pewnego razu ją odwiozła i nawet wzięła udział w tańcu bretońskim, a gdy wracały do domu, powiedziała, że widok tego, jak dobrze tańczy, sprawił jej przyjemność, że jest z niej dumna. Potem jednak jej nastawienie się zmieniło, aż w końcu zaczęła jej dokuczać i rzucać krótkie prowokacyjne uwagi, wyrażane niemal przy każdym piątkowym śniadaniu: „Naprawdę musisz iść tańczyć także dziś?”; „Nie nudzą ci się te wszystkie kółka graniaste?”; „Naprawdę nikt nie zginie, jeśli raz nie pójdziesz”. Być może irytuje ją myśl, że dla niej taniec to jednocześnie zabawa i zobowiązanie, przeszkadza jej lojalność wobec innych ludzi, którzy spotykają się w suterenie starego budynku gminy. Faktycznie coraz częściej narzeka, że musi jeść kolację sama po ciężkim dniu pracy, gdy tymczasem Milena jest poza domem i jak pasikonik podskakuje w rytm muzyki, jakby nie wystarczały miesiące letnie, gdy za każdym razem późno wraca do domu.

Prawdą jest, że w czerwcu, lipcu i sierpniu zamyka lodziarnię o dziesiątej wieczorem, po czym porządkuje pracownię i sklep wraz z Guadalupe, rzadko kiedy zaciąga żaluzje przed jedenastą. Ale to jej praca, a nie hobby czy mrzonka. I choć w ostatnich miesiącach każdego popołudnia staje na głowie, by przyrządzić świetną, gotową do odgrzania kolację, to wieczorem Viviane jest zawsze nachmurzona, czyni jej wymówki: że dom jest pusty, że samotnie musi dziobać w talerzu przed telewizorem, że nie ma z kim porozmawiać. Tak oto na zmęczenie nakładają się zmartwienia i próby udawania, że wszystko jest dobrze, choć tak naprawdę miałyby ochotę się rozplakać. Niemniej taniec pogarsza sprawę, bo Viviane postrzega go jako zbędną, dziecinną igraszkę, bez której znakomicie można by się obyć, gdyby tylko Milena zechciała choć trochę bardziej zadbać o ich związek (który wieczorem sprowadza się praktycznie do wspólnego zalegania w półśnie przed telewizorem). Dotychczas trzymała się mocno, bo taniec jest zbyt ważny dla jej równowagi psychicznej i zależy jej na ludziach, z którymi ćwiczy, ale w każdy piątek ma, rzecz jasna, okropne poczucie winy, zanim pójdzie na zajęcia, w ich trakcie i po, gdy spieszy do domu, wiedząc, że zastanie Viviane, która usilnie będzie robić z siebie ofiarę. W czasie rozmów z koleżankami z grupy tanecznej zrozumiała, że jej sytuacja nie ma w sobie nic wyjątkowego: niemal wszyscy narzeczeni czy mężowie nie znoszą myśli o tym, że raz w tygodniu one pragną oddawać się polkom, mazurkom, walcom, *gigue*, tańcom szkockim, kontredansom, gawotom, *bourrée* i *cercle circassien*.

Lecz o to właśnie chodzi: jak to się stało, że w związku z Viviane, który na początku miał w sobie stokrotnie więcej wolności niż jej wcześniejsze związki z mężczyznami, nie tylko zaczęły wyznaczać sobie role, ale w dodatku role tak konwencjonalne? Z jakiego powodu jedna z nich musi odznaczać się lekkością,

a druga być uciążliwa, jedna dążyć do otwarcia, a druga do ograniczeń, jedna potrzebuje przestrzeni, a druga pragnie sprawować kontrolę? Jak to możliwe, że zazdrość i potrzeba posiadania wzięły górę właściwie jak w relacji z Robertem i z innymi, którzy byli przed nim? Czy to jej wina, czy też wina Viviane, a może wina ich obu, czy też winić należy potrzebę bezpieczeństwa, w której kleszczach tkwi każdy związek? Czy między dwojgiem ludzi, którzy ze sobą żyją, prędzej czy później nieuchronnie rodzi się konflikt rozbijający się o aspiracje i wymagania, niezależnie od tego, jakiej płci są te osoby?

Milena Migliari wraca do lodziarni, niosąc torby z zakupami, Guadalupe otwiera jej drzwi, po czym idą odłożyć wszystko na stół w pracowni. Guadalupe pomaga jej wyjąć kasztany, orzechy, szarony i granaty; wkrótce obie całkowicie oddają się obieraniu, krojeniu i napełnianiu stalowych misek, w których owoce zostaną poddane pierwszym zabiegom, zamieniając się w przepyszne jesienne lody na przekór tak zwanemu końcowi sezonu.

Czekanie nigdy nie było czymś, co Nickowi Cruickshankowi wychodziło najlepiej; a nawet można by ze spokojem stwierdzić, że niecierpliwość jest jedną z dominujących cech jego charakteru. Nie w sensie przymusu bycia w ciągłym ruchu, działania czy posiadania; w sensie niedyspozycyjności do bycia zależnym od cudzego rytmu, technicznych i biurokratycznych procedur, decyzji organizacyjnych, zmian klimatycznych. Czy chodzi o odebranie samochodu czy też paszportu w konsulacie lub gitary u lutnika, czy o miksowanie dźwięku w studiu, czy o datę wydania nowej płyty przez wytwórnię, zdarza mu się popadać w agresję, gdy sprawy pozostają niezłatwione. Dotyczy to naturalnie kwestii, które go interesują; to, co go nudzi lub z jego strony obarczone jest wysiłkiem umysłowym, mógłby odkładać w nieskończoność, przesuwając w obszar myślowej elipsy, która pojawia się, by po chwili znów zniknąć (a potem, rzecz jasna, pojawić się ponownie).

Tak czy inaczej, właśnie przebiegł dystans dziesięciu kilometrów po łąkach posiadłości, spędził trzy kwadransy w siłowni, wziął orzeźwiający prysznic, zjadł pożywne śniadanie składające się z soku pomarańczowego, płatków owsianych, chleba z serem i przepyszny omelet autorstwa pani Jeanne, który nie był ani za suchy, ani zbyt wilgotny, a i tak nadal jest za wcześnie, by udać się na aerodrom. Jediną rzeczą, jaką może zrobić, to siedzieć zamknięty na cztery spusty w swoim studio, grać na fortepianie drapieżne boogie-woogie, prawą stopą wybijając rytm, w nadziei że nikt nie zjawi się, by zawracać mu głowę w nie wiadomo jakiej sprawie.

Kiedy boogie-woogie już go męczy, a opuszki palców zaczynają boleć od uderzania w klawisze, oddaje się powolnym wariacjom melodii w tonacji Es-dur, która przyszła mu do głowy kilka dni temu. Akordy następują po sobie dość standardowo, bez gwałtownego zrywania z zasadami harmonii, ale on doskonale wie, że w tym wszystkim czai się gdzieś piosenka. Trudno wyjaśnić, skąd o tym wie; po prostu wie. Można grać przez całe tygodnie (albo i miesiące) i nie pozostanie po tym żaden znaczący ślad, a potem nagle zaczyna się widzieć sekwencję, która nie rozmywa się w nicości jak inne, ale powraca jak *idée fixe* swoim nastrojem, odcieniem, echem. Nie da się tego zaplanować – to się po prostu dzieje (lub nie). Jedyne, co można zrobić, to wejść w stan harmonii, nadstawić ucha na sygnały, a gdy się pojawią, to za nimi podążyć niczym ścieżką w dżungli; tyle tylko, że ta ścieżka kształtuje się w miarę, jak ją przemierzasz, krok po kroku. Nie ma co patrzeć na kompas ani spoglądać na mapę czy podejmować decyzji

w kwestii trasy, bo ona rozciąga się pod twoimi stopami.

Przynajmniej tak się dzieje w jego wypadku, bo nie potrafi odczytywać ani sporządzać zapisu nutowego i, rzecz jasna, nigdy nie uczył się komponowania. Nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak Bach, Mozart czy Beethoven komponowali swoje utwory; możliwe, że z doskonałą wszechogarniającą jasnością widzieli drogę, którą chcieli podążać, że niczym z lotu ptaka potrafili ogarnąć dżunglę swoim umysłem. On tymczasem jest w dżungli pogrążony, a otaczają go wszelkiego rodzaju roślinność, gałęzie, pnącza sięgające kilkudziesięciu metrów ponad jego głowę; nie potrafi znaleźć żadnej ścieżki, dopóki nie ukaże się ona jego oczom. Akordy przychodzą jeden po drugim, po czym pojawia się melodia, a następnie słowa, przynajmniej te kluczowe, jeśli nie od razu wszystkie. Dopiero wtedy może podjąć próbę eliminacji zbędnych zbieżności modulacyjnych, pauz i powtórzeń, przy czym bezustannie musi trzymać się dostrzeżonej ścieżki, nie podejmować prób zmiany kierunku. Ów szacunek podyktowany jest instynktem, nie zaś rozumem, i bierze się ze świadomości, że każda próba zmiany trasy byłaby bezskuteczna, bo ścieżka już istnieje. Oto najtrudniejsza rzecz do wyjaśnienia: to, że najpierw danej piosenki nie było, a potem jest, tak jakby istniała od zawsze, jakby napisała się sama. Co oczywiście nie znaczy wcale, że nie była obarczona wysiłkiem, bo przed odkryciem jakiegokolwiek ścieżki należy stworzyć dżunglę; ponadto każdemu krokowi towarzyszy uwaga, niebywała precyzja intuicji i dostrajania się, podejmowania słusznych wyborów na rozwidleniach, unikania kanibali czy ruchomych piasków. Tak właśnie zawsze wyglądało to u niego, i z tego, co wie, wygląda to podobnie także u innych. I dotyczy to wszystkich piosenek, nie tylko tych udanych; również nieudanych utworów kiedyś nie było, a potem nagle dzieje się tak, jakby istniały od zawsze. Gdy się temu przyjrzeć, prawdziwy problem nie polega na wyjaśnieniu, w jaki sposób ujawniają się piosenki; problemem jest wytłumaczenie, skąd się biorą. Zrezygnował z tego już jakiś czas temu; nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie znajdowały się jego utwory, zanim zasiadł do fortepianu czy wziął do ręki gitarę i spod jego palców zaczęło wyłaniać się coś zaskakującego.

Niezmiennie dziwi go także to, że piękno piosenki może być niezależne od wartości intelektualnych czy moralnych osoby piszącej. Nick Cruickshank zna przynajmniej trzech czy czterech kolegów po fachu, którzy są emocjonalnie wypaleni, intelektualnie bezbarwni i artystycznie ugodowi, a udało się im napisać kilka niewiarygodnych piosenek, które poruszyły serca i dusze milionów ludzi. To tak jakby ujawniły się wbrew nim, jakby po prostu przez nich przepłynęły. Niemniej on także – choć żywi nadzieję, że nie jest ani wypalony, ani bezbarwny, ani ugodowy – doskonale pamięta swoje głębokie zdumienie, gdy pewnego smętnego dnia w East Sussex podczas brzdąkania na gitarze ujawnił mu się utwór *Refound*. Sekwencja akordów i melodia objawiły mu się nagle, jak gdyby jakaś

światlista siła wszechświata zaszczepiła mu je do uszu, kiedy jego możliwości odbioru były najbardziej wyostrzone, gdy niczego nie planował i nie był skoncentrowany na żadnym określonym celu. Zaraz potem przyszły do niego słowa, cudownie zharmonizowane z muzyką, z podobną oszałamiającą naturalnością. Nie miał przy sobie nic do nagrywania, więc grał ją i śpiewał przez jakieś dwie czy trzy godziny z rzędu, aby pozbyć się obawy, że umknie z jego pamięci. Potem stało się tak, jakby *Refound* istniała już zawsze i od zawsze.

Kiedy dał ją do posłuchania pozostałym Bebonkersom zebranych w londyńskim studiu nagraniowym, przypatrywał się ich minom, spodziewając się komentarza: „To nie ty ją napisałeś! Ściągnąłeś ją od innych!”. Tymczasem wszyscy trzej patrzyli na niego w zdumieniu, bo bezspornie była to przepiękna piosenka, jedna z tych, które zdarzają ci się raz na dziesięć lat, gdy jesteś zdolny i masz szczęście, albo i nigdy. Lecz i tak nie opuściła go niepewność, czy aby to rzeczywiście on ją napisał; musiał zapytać Johna Wilcoxa, który spośród znanych mu ludzi ma najrozleglejszą wiedzę muzyczną i który w dziesięć minut potrafi napisać partię na rożek angielski lub w jedno popołudnie jest gotów przygotować aranżację na orkiestrę symfoniczną. Dał mu posłuchać taśmy, bojąc się, że Wilcox wyłączy odtwarzacz po kilku taktach, a on usłyszy, że istnieje już tradycyjna pieśń irlandzka czy szkocka lub może neapolitańska o identycznej melodii. Lecz John wysłuchał utworu do końca, po czym pokręcił głową, uśmiechnął się ze wzruszeniem w oczach wywołanym świadomością tego, co się wydarzyło. „Jest twoja, Nick”.

Tylko kilku (nielicznym) spośród jego kolegów ujawnił się jeden wielki utwór, innym (nielicznym) ujawniło się ich wiele w różnych fazach ich życia – jak rybakom, którzy łowią dużo ryb, gdy tymczasem inni siedzą nad wodą z wędką w garści i czekają na cud, który nigdy nie nadejdzie. Metoda i dyscyplina są niezbędne, ale, naturalnie, same nie wystarczą. I nie istnieje wiedza teoretyczna czy zakres badań, które mogłyby coś zagwarantować: ile wielkich przebojów zostało napisanych przez absolwentów konserwatoriów, a ile przez ludzi, którzy jak on nie znają zapisu nut? Statystyka jest niewiarygodnie nieprzychylna dyplomowanym muzykom; ich strata. Piękna piosenka to dar. Dar, po który nie można sięgnąć samemu, tylko należy go otrzymać. Ale cała rzecz polega na tym: kto przekaże ci ów dar? Oraz: w jaki sposób uda ci się go zatrzymać? Lub odzyskać, jeśli go straciłeś? Czy musisz unurzać się w poczuciu braku, nieszczęściu, rozpacz? Bo nie ma cienia wątpliwości, że smutne piosenki są piękniejsze od tych radosnych i że te nieliczne piękne radosne piosenki podszyte są smutkiem.

Faktem jest, że nie ma mowy, by uzyskać przepiękną piosenkę w taki sposób, w jaki Aileen produkuje swoje kreacje z antyskóry po tym, jak opanowała techniki wykonywania wykrojów i szycia, przestudiowała prace wielkich projektantów i przeanalizowała koszty oraz przeprowadziła badania rynku, po

czym zebrała zespół zdolnych i kompetentnych ludzi. Jeśli w ten sposób będziesz usiłował uzyskać piosenkę, otrzymasz jedynie zlepek zasłyszanych elementów dźwiękowych; w radiu i w Internecie aż się od nich roi, i niektórzy zarabiają na nich masę pieniędzy. Niemniej jednak nawet najgłupsza piosenka pop śpiewana przez najbardziej trywialną idiotkę na niebotycznych obcasach musi zawierać przynajmniej jakiś drobiazg, który przyszedł, a nie został wykoncypowany, aby sprawić, że w milionach ludzi zagrają wewnętrzne struny. Przynajmniej jeden element o tajemniczym pochodzeniu, krótką, nie do końca wytłumaczalną sekwencję.

W gruncie rzeczy to samo dzieje się, gdy ktoś się zakochuje; nie można o tym zdecydować racjonalnie, określając parametry, na podstawie których dana osoba może ci się spodobać. To się dzieje lub nie. A gdy już się dzieje, czy istnieje jakiś sposób, aby mogło trwać? A gdy się kończy, to co robisz? Czy powtarzasz te same ruchy z czasów, gdy byłeś zakochany? Powracasz do tych samych miejsc? Mówisz znów te same rzeczy, co na początku? Ubierasz się w ten sam sposób z nadzieją, że magia się powtórzy, choć dobrze wiesz, że tak już nie będzie?

A propos powtórzeń: czy ktoś kiedyś zbadał, jaki proces zachodzi w głowie osoby, która napisała przepiękną piosenkę i musi ją śpiewać i śpiewać od nowa przez trzydzieści lub więcej lat z rzędu, koncert po koncercie? Nade wszystko próbując ją odtworzyć jak najdokładniej, zgodnie z tym, jak zapamiętali ją ludzie, biorąc pod uwagę, że tylko nieliczni się cieszą, słysząc niemożliwe do rozpoznania wersje w stylu Boba Dylana. Nie podobają się nawet fanom starego Boba, nie licząc tych, którzy postrzegają go jako delficką wyrocznię, a co dopiero fanom Bebonkersów, ogarniętym obsesją tak zwanego oryginalnego brzmienia. Cokolwiek mieliby na myśli, mówiąc o „oryginalności”, zważywszy, że pierwotne brzmienie cechowało się nieskończone większą swobodą i eklektyzmem niż to, co teraz próbują odtwarzać z taką wiarygodnością i skrupulatnością. Prawdopodobnie chodzi o formułę, którą wypracowali w pewnym momencie w latach dziewięćdziesiątych, po długiej serii wielokierunkowych eksperymentów, i której od tamtej pory nie zmieniali. Bardzo możliwe, że także Picasso po okresie niebieskim i różowym, po okresie afrykańskim, po kubizmie analitycznym i syntetycznym i po tym, jak osiągnął styl, który dziś każdy może rozpoznać na pierwszy rzut oka, nabrał ochoty, by znów poeksperymentować. Lecz doskonale wiedział, że nie będzie mu się to wcale opłacać; a jeśli tego nie wiedział, z pewnością wytłumaczyli mu to właściciele galerii.

A zatem? Czy będzie skazany na ciągle odśpiewywanie tych samych piosenek, za każdym razem próbując odtworzyć ducha, w jakim przyszedł do niego po raz pierwszy? Choć tego ducha już brak od dłuższego czasu. Czy nie powinien próbować ukazać czegoś, co choć trochę odzwierciedla to, co dziś myśli i czuje? Zamiast udawać wiecznego nastolatka (jak celnie przewidziała jego matka). Czy

nie czuje litości i zażenowania wobec swoich kolegów, którzy w nieskończoność odgrywają ustaloną na początku rolę, choć nijak ma się ona do ich dzisiejszej roli w świecie? Na przykład Bruce, który z uporem użala się nad swoim *alter ego* uciekającym z przedmieść New Jersey, gdy tymczasem ludzie mogą oglądać jego zdjęcia na trybunie honorowej konkursu Jumping International w Monako lub podczas Rolex Grand Prix w Genewie, jak przygląda się swojej dwudziestoletniej córce ujeżdżającej konia o wartości ośmiu milionów dolarów (jednego z dziesięciu czy dwunastu, które posiada). Albo Mick, który w wieku siedemdziesięciu dwóch lat skacze i wygina się na scenie dokładnie tak samo jak wtedy, gdy liczył dwadzieścia dwa lata; od lat sześćdziesiątych nie przybrał choćby kilograma i każdy koncert kończy *Satisfaction*, co już zapewne przyprawia go o wymioty. Z drugiej strony co niby miałyby robić, spędzać całe dnie na grze w golfa? Pisać piosenki o znoju posiadania aroganckich, zepsutych dzieci, całkowicie pozbawionych jakichkolwiek marzeń, chyba że chodzi o wciąż nowe dobra materialne? Kazać sobie postawić fotel na scenie i na siedząco śpiewać o uciążliwości farbowania włosów co trzy dni lub o trudzie znalezienia doradców finansowych, którzy nie zwialiby do Paragwaju z jego pieniędzmi?

To daremne pytania; natchnienie pojawia się lub nie, osobisty rozwój obiera nieprzewidziane ścieżki, a uczciwość wobec sztuki niemal zawsze można rozpatrywać w kategoriach postawy, jeśli nie alibi dla przegranych. Najlepsze, co możesz zrobić, to dbać o etykę zawodową, być uczciwym wobec siebie i tworzyć formy, w które może wpaść nieco cudownie zakrzywionego światła; alternatywne wyjście to rzucić wszystko, po prostu zniknąć. Jeśli nie dajesz rady czy też brak ci ochoty, to przynajmniej nie narzekaj, daruj sobie skargi i użalanie się nad sobą, serdeczne dzięki.

Nick Cruickshank przechodzi przed przeszklonymi drzwiami i widzi niewielką karawanę ciężarówek, które ostrożnie przesuwają się po trawniku przed domem, kierowane gestami Aileen, u której boku stoją Tricia, Maggie, Tom Harlan wraz z asystentem i ekipa „Star Life”, a wszystko to pod czujnym okiem Aldina. Jego wahanie trwa tylko chwilę, po czym jak złodziej wymyka się chyłkiem ze swojego studia, pokonuje korytarz i wychodzi tylnymi drzwiami, zanim ktokolwiek zdąży go zauważyć.

Milenie Migliari szarony zawsze wydawały się czarodziejskimi owocami: ta ich intensywna pomarańczowa barwa na bezlistnych jesiennych drzewach, zaraz po zerwaniu cierpkie i dojmująco słodkie, gdy dojrzeją, ich złocony miąższ niemal rozplywa się pod cienką skórką. Wiele osób ich nie lubi, być może z powodu ich kleistej konsystencji, przez to, jak się je jada, wyciągając język, napinając wargi, ssąc, brudząc sobie nos, brodę i ręce ich słodkim śluzem. Szarony są tajemnicze. A w ich pestce kryją się maleńkie białe sztućce; naprawdę tak jest. Dowiedziała się o tym zaledwie kilka lat temu dzięki swojej przyjaciółce z dzieciństwa, Alessandrze, zwanej Micior; z początku nie chciała w to uwierzyć, nawet wtedy, gdy Micior przesłała jej mailem artykuł ze zdjęciami. Sama musiała sprawdzić, by się przekonać, że w istocie tak jest: kiedy przekroisz pestkę wszerek, znajdziesz tam białe włókno w kształcie widelca, łyżki lub noża – są maleńkie, ale precyzyjnie zarysowane. Według przekonań chłopów z miniaturowych sztućców znalezionych w pestkach szaronów można się zawczasu dowiedzieć, jaka będzie zima: łyżka oznacza, że spadnie masa śniegu, nóż to srogi mróz, a widelec, że nie będzie aż tak źle. Szkoda tylko, że szarony z pestką stają się coraz rzadsze; jeśli pewnego dnia hodowcy sprawią, że całkiem zanikną, ludzie będą myśleli, że to była legenda. W wypadku lodów wyzwanie polega na tym, żeby w ostatecznym efekcie nie wyszedł ulepek, skoro już sam owoc jest taki słodki, przy jednoczesnym zachowaniu smaku, koloru i konsystencji na tyle, na ile to możliwe. Słowem, przygotowanie lodów z szaronów nie jest zadaniem łatwym, dzięki czemu należą również do najbardziej intrygujących.

Teraz jednak ktoś puka do przeszklnych drzwi lodziarni: uporczywe stukanie dobiega do pracowni poprzez dźwięki kiepskiej poprockowej francuskiej piosenki płynącej z radia.

Milena Migliari nie ma najmniejszej ochoty robić sobie przerwy w samym środku pracy; daje znak Guadalupe, która i tak miała już wyjść, aby odebrać karton nowych styropianowych pojemników od pana Deleuze'a.

Guadalupe idzie zobaczyć, a po kilku sekundach wraca w stanie skrajnego podniecenia: gestykułuje, z trudem znajdując słowa.

– O co chodzi, do cholery? – Milena Migliari instynktownie przechodzi do ataku.

– To Nick, wokalista Bebonkersów! – Guadalupe podskakuje w miejscu, nie mogąc się uspokoić. – Grają koncert w niedzielę w aerodromie! To on, przysięgam!

– I czego chce? – Milena Migliari jest zakłopotana podekscytowaniem swojej pomocnicy wywołanym obecnością celebryty i drażni ją, że ktoś, sławny lub nie, przychodzi jej przeszkadzać, choć na przeszklonych drzwiach wisi kartka z jednoznacznym napisem: „*Fermé*”[18].

– Nie wiem! Czeka na zewnątrz! Dawał mi znaki! – Guadalupe nie potrafi ustać w miejscu, wyciera dłonie w fartuch, poprawia czepek na głowie, znów zagląda do sklepu.

– Możesz się uspokoić? Spytaj, czego chce. – Milena Migliari ząbkowaną łyżką nadal usuwa z mięszu szaronu białe włókna o gorzkawym posmaku, ale i jej udziela się ekscytacja.

– Jak mam go spytać, czego chce? – Guadalupe patrzy na nią rozgorączkowana.

– Po prostu spytaj! Otwórz drzwi i zapytaj, czego chce! – Owszem, teraz i ona jest poruszona; i to z powodu kogoś, kogo nawet nie rozpoznała, stojąc z nim twarzą w twarz, co jest podwójnie śmieszne. Wyciąga rękę, by wyłączyć radio, które tylko wzmacnia harmider.

Guadalupe bierze głęboki oddech, jakby przygotowując się do nie wiadomo jakiego zadania; wraca do sklepu. Słysząc zgrzyt klucza w zamku, potem głos mężczyzny z nieco przeciągłym angielskim akcentem:

– *Bonjour, je suis désolé de vous déranger, mais je voulais...*[19]

– *Pas du tout! Vous ne nous dérangez pas du tout, Monsieur Nick!*[20] – Głos Guadalupe łamie się, wpadając w piskliwy ton wywołany wzruszeniem. – Hej, Milena!

– Nie mogę stąd wyjść! – Milena Migliari nie ma ochoty się w to angażować; usiłuje skupić się na mięszu szarona.

Lecz Nick Cruickshank już tu jest, stoi w drzwiach dzielących sklep od pracowni i uśmiecha się do niej z miną podstarzałego wyrostka, nieco sponiewieranego przez życie, który jednak zachował w sobie coś z młodego chłopaka, bo może sobie na to pozwolić lub nie może się bez tego obyć.

– Dzień dobry – mówi.

– Dobry. – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że nie jest zbyt wylewna, ale prawda jest taka, że czuje się, jakby najechano jej prywatną przestrzeń, w dodatku w momencie, w którym jej równowaga nie jest idealna. Wskazuje na miskę z mięszem szaronów. – Przepraszam, ale pracuję.

– Widzę. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. – Nick Cruickshank być może jest trochę speszony, a może wcale. Ma na sobie kurtkę motocyklową, ze skóry prawdziwej lub sztucznej, zieloną bluzę z jakimś nieczytelnym znakiem, krwistoczerwoną apaszkę, sprane czarne dżinsy, wysokie buty z klamrami; jego ubiór wygląda jak kostium sceniczny, który nosił już wielokrotnie. – Chciałem ci coś powiedzieć.

– Co? – Milena Migliari w ramach samoobrony reaguje oschłym tonem i surowym spojrzeniem.

Guadalupe opiera się o lodówkę, w jej spojrzeniu widać cierpienie; być może miała nadzieję, że rockman zostanie owacyjnie przyjęty, obsypany propozycjami spróbowania lodów, komplementami za swoje piosenki i różnymi miłymi uwagami.

– Twoje lody są niewiarygodnie smaczne. – Nick Cruickshank jest tak poważny, że nie wiadomo, czy mówi serio, czy może żartuje.

– Dziękuję. – Milena Migliari ledwie się uśmiecha, lekko kiwa głową; stara się nie robić min czy nadmiernych ruchów, by łatwiej nad sobą panować.

– Prawdę mówiąc, to najlepsze lody, jakie kiedykolwiek jadłem w życiu. – Nieco zachrypnięty tembr głosu Nicka Cruickshanka odznacza się doskonale znaną żywością, niesie ze sobą echo niezliczonych piosenek oraz miejsc, historii, chwil, które się z nimi łączą.

– Cóż, miło mi. – Milena Migliari czuje, że jej uśmiech jest o wiele szerszy, niżby sobie tego życzyła, ale nie może na to nic poradzić, mięśnie jej twarzy samoistnie się rozluźniają. Jak można pozostać obojętnym na takie słowa, wypowiedziane z tak wyraźnym przekonaniem?

Guadalupe, widząc, jak jej wrogość ustępuje, odsłania w uśmiechu olśniewająco białe zęby, poprawia włosy pod czepkiem, cały czas patrząc na Nicka Cruickshanka wzrokiem pełnym uwielbienia.

– Nie mówię tego, żeby ci kadzić, jak zwykle się robić. To nie frazes, przysięgam. – W jego oczach pobłyskuje nieskrywana szczerłość, przyprawiająca wręcz o konsternację. Muzyk pachnie paczuli lub marihuaną, albo jednym i drugim naraz.

– Nie? – Milena Migliari znów próbuje przybrać bardziej powściągliwy wyraz twarzy, ale jakiś przyływ lekko zmienia rytm jej serca. Niby dlaczego? Jak może zawierzyć komuś, kto z pewnością ma na stałe zmieniony smak przez zażywane od kilkudziesięciu lat najrozmaitsze używki? Komuś, kto wczoraj, zanim spróbował jej lodów, bez wątpienia wypalił skręta, więc doceniłby wszystko, byle było słodkie. Czy ona także jak Guadalupe uległa wpływowi tego celebryty?

Nick Cruickshank wykonuje gest; jego ruchy są płynne, ale przerywane krótkimi przestojami dyktowanymi nagłym przyływem wątpliwości lub natchnienia, jakby były spowolnione.

– I jesteś odważna.

– Dlaczego? – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że sprawia wrażenie, jakby niecierpliwie oczekiwała odpowiedzi; chciałaby cofnąć czas i zareagować tylko wzruszeniem ramionami.

Nick Cruickshank dotyka ręką czoła, jakby podążał za wrażeniami, które trudno ubrać w słowa.

– Nie starasz się, by któryś ze smaków stał się prostszy lub mocniejszy, niż jest.

– Tak? – Znow usiłuje ukryć targające nią uczucia, ale bez skutku.

Nick Cruickshank przytakuje energicznie.

– Potrafisz uchwycić esencję każdego smaku i wszelkie doznania, wspomnienia i skojarzenia, które przywołuje: i te cudowne, i te nikczemne.

Milena Migliari czuje, że zaczyna się czerwienić, choć to ostatnia rzecz w świecie, jakiej by teraz chciała; w tej samej chwili doznaje nieopanowanego pragnienia, by dowiedzieć się, jak to możliwe, że ktoś taki jak on mógł jej powiedzieć to, co właśnie powiedział.

Guadalupe niepewnie przesuwa wzrok z niej na niego. Jej angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia, nie chodzi jednak o to, że nie jest w stanie zrozumieć słów – sensu ich wymiany.

Nick Cruickshank wskazuje ręką na pracownię i jej wyposażenie.

– Mógłbym rzucić okiem?

– Jeśli nie wejdiesz tu w tych buciorach. – Milena Migliari mówi to bez zastanowienia, być może chcąc umocnić swoją władzę nad terytorium, nie pozwalając na zwiększenie obszaru najazdu.

– Och, przepraszam. – Nick Cruickshank wykonuje zgrabny skok w tył; do środka pracowni wkłada już tylko głowę.

Milena Migliari odczuwa swego rodzaju łaskotanie, jak za każdym razem, gdy lody wychodzą jej lepiej, niż się spodziewała, lub gdy udaje się jej opanować określony krok w tańcu. Daje znak Guadalupe.

– Podasz mu parę ochraniaczy?

Guadalupe jednym susem jest już przy szafie, wyciąga z pudła sterylne ochraniacze z przezroczystego plastiku i podaje je Nickowi Cruickshankowi.

Rockman przygląda się im z bliska, jakby były jakimś tajemniczym przedmiotem, wkłada je ze swobodą, która każe zapomnieć o jego początkowym zakłopotaniu. Szurając, przechadza się po pracowni, patrzy na swoje stopy.

– *Wow*.

– I czepek. – Milena Migliari nadal jest stanowcza.

Guadalupe pospiesznie wyciąga z pudła czepek z włókniny i podaje go Nickowi Cruickshankowi.

Zbiera swoje długie, w czarne, w części posiwiałe włosy i nakłada czepek, przybierając zabawny wyraz twarzy.

– Takie są przepisy. – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że jej prośby ocierają się o absurd, ale w tej chwili potrzebuje jakiejś tarczy, jakiegokolwiek. Poza tym przeszkadza jej, że obserwuje ją Guadalupe z tą swoją osłupiałą miną; gestem nakazuje jej, by udała się po pojemniki do pana Deleuze'a.

Guadalupe reaguje dopiero po kilku sekundach; wreszcie się otrząsa. „Już

idę, idę”. Tak czy inaczej, w jej wykonaniu wychodzenie z pracowni trwa długo, podobnie jak wychodzenie ze sklepu i zamykanie drzwi.

Nick Cruickshank robi lekki ukłon, wyciąga rękę.

– Wczoraj nawet się sobie nie przedstawiliśmy. Nick.

– Milena. – Wyciąga rękę zza stołu i ściska jego dłoń.

– Ładne imię. Mi-le-na. – Nick Cruickshank przechadza się po pracowni w przezroczystych ochraniaczach na buty i czepku, które wyglądają groteskowo w zestawieniu ze strojem rockmana; przygląda się przeszkłonym lodówkom, pasteryzatorom, dojrzewalnikom, maszynom do lodów i schładzaczom. Robi to z szacunkiem, jakby zwiedzał atelier wielkiej artystki.

– A które najbardziej ci smakowały? – Milena Migliari nie wie, dlaczego go o to pyta; prośenie o opinię osób, które próbują jej lodów, to rzecz, której nie robi nigdy, ale to przenigdy. Początkowo zdarzało się jej zapytać o zdanie Viviane, ale potem przestała, jako że jej oczy nigdy nie zapalały się blaskiem, mówiła tylko „dobre” albo „owszem”.

Nick Cruickshank przybiera wyraz twarzy cierpiętника, jakby stanął przed zbyt bolesnym wyborem.

– Spróbuj powiedzieć. – Milena Migliari zastanawia się, dlaczego tak nalega. Czy chodzi o sposób, w jaki on na nią patrzy, o jego nieskrywaną ciekawość? Lecz czy cztery lata temu nie postanowiła, że ma już dość spojrzeń mężczyzn, jakiegokolwiek miałyby nimi kierować intencje? Czy może chodzi o to, że po prostu podnieca ją rozmowa o lodach z człowiekiem, który potrafi formułować niebanalne uwagi i komentarze?

– Migdałowe były jak gwiazdy. – Nick Cruickshank wykonuje falujący gest, unosząc rękę w stronę sufitu. Jego ruchy odznaczają się teatralnością, ale, co dziwne, nie wyglądają na grę aktorską; tak jakby należały do innego wymiaru, do innej epoki.

– A pozostałe? – nalega Milena Migliari, nie zmniejszając nacisku; to absurd, owszem, ale robi to odruchowo.

– Te z granatu, mój Boże... – Nick Cruickshank wykonuje kolejny gest, zarysowując półkole. – Ich kolor, intensywność smaku. Były poruszające.

– Rozpoznałeś granat? – Milena Migliari nie potrafi ukryć już nic, nawet swojego zaskoczenia.

Nick Cruickshank patrzy na nią, wydaje się skonsternowany.

– Jak mógłbym tego nie poznać? Tak cudownie udało ci się zachować jego słodko-cierpki smak, lekko taninowy, taki żywy. Nie spłaszczyłaś go, nie stłumiłaś, tylko uchwyciłaś jego naturalną duszę. Odnalazłaś dokładny punkt styczności między prawdą a rozkoszą.

– Tak? – Milena Migliari zdała sobie sprawę, że jest wstrząśnięta, ale z drugiej strony po raz pierwszy słyszała, żeby ktoś w taki sposób wypowiadał się

o jej lodach. No dobrze, ma wielbicieli, jak Katharina i Ditmer Bouwmeesterowie, którzy wytwarzają czekoladę wysokiej jakości nieopodal Utrechtu i w lipcu przyjeżdżają tu co dzień, lub ten Liam Bradford, którego fantastyczna recenzja na blogu zachęciła Angielkę, żeby dokonała swojego superzamówienia, albo Marianne O’Neil, która poświęciła wiersz jej Dzikiej Brzoskwini z Saint-Paul-en-Forêt. Ale nikt nigdy nie mówił do niej z taką niepohamowaną uczuciowością jak ten angielski rockman, z taką pasją, zarówno w spojrzeniu, jak i w głosie, w gestach, w ruchach i w oddechu.

– Tak, tak, tak. – Nick Cruickshank wykonuje lekki ukłon i rozpościera ramiona, jakby znów znajdował się na małej scenie osiemnastowiecznego teatru, ale w trakcie próby, bez udziału publiczności. W jego zachowaniu nie ma zauważalnych oznak afektacji czy samouwielbienia; po prostu wyraźnie różni się ono od zachowań innych ludzi.

Milena Migliari nie wie już, co powiedzieć; brak jej słów. Przelewa do miksera porcję mięszu szaronów, dodaje tłuste mleko, które kupuje w Montauroux u Didiera Tornauda, początkującego rolnika, który zanim zmienił swoje życie, pracował jako informatyk w Bordeaux.

Nick Cruickshank podchodzi do niej, szeleszcząc ochraniaczami.

– Ale ja chciałem ci powiedzieć coś innego.

– Co? – Milena Migliari czuje teraz, że wewnątrz niej przepływa fala alarmowa; wznosi się od brzucha w stronę serca.

Nick Cruickshank już ma się odezwać, gdy zmienia wyraz twarzy, jakby przyszedł mu do głowy inny pomysł. Odznacza się szorstkim wdziękiem, który współgra z jego niedbałą elegancją, ze swobodą jego ruchów:

– Te lody, które smakują jakby były z daktyli...

– Nie rozgryzłeś ich! – Milena Migliari odczuwa niewytłumaczalną ulgę na myśl, że nie udało mu się zidentyfikować smaku; i po części zawód, owszem. Ale ulga przeważa, ciekawe dlaczego.

– Hej, kto ci powiedział, że ich nie rozgryzłem? – Nick Cruickshank reaguje nagłym przyplywem złości, jakby spotkał go najbardziej niesprawiedliwy zarzut.

– Daktylowe robię w okolicach Bożego Narodzenia. – Z nedorzecznym pośpiechem chce uciąć tę jego pełną pasji wylewność; zaszufladkować go jako powierzchownego i zarozumiałego człowieka, przekonanego, że może rozprawiać o złożoności smaków, choć tak naprawdę ich nie pojmuje.

Nick Cruickshank patrzy na nią z blaskiem płonącym w oku.

– Wiem, z czego były. To głożyna. *Ziziphus jujuba*.

Zaskoczenie jest tak silne, że przyprawia ją niemal o wstrząs i sprawia, że Milena Migliari chwieje się na nogach. Po chwili nachodzi ją ochota, żeby się roześmiać; wybucha konwulsyjnym śmiechem.

Nick Cruickshank przez chwilę jest speszony, potem także zaczyna się

śmiać; obcas jego buta owiniętego ochraniaczem stuka o podłogę.

Śmieją się oboje z powodów zupełnie niejasnych. Wydaje się, że nie mogą przestać; dopiero po kilku sekundach wraca powaga.

Milena Migliari próbuje odzyskać swoje nastawienie z chwili, gdy on zjawił się w środku, balansujące między brakiem zaufania a ciekawością, ale na próżno.

– A co ty wiesz o głożynie?

Nick Cruickshank wzrusza ramionami, uśmiecha się.

– Masz już jasne pojęcie o tym, co mogę i czego nie mogę wiedzieć?

– Ależ nie. – Potrząsa głową, choć w rzeczywistości tak właśnie myślała, że już wyrobiła sobie o nim zdanie, bez ewentualności, aby mógł wiedzieć, że głożyna w ogóle istnieje.

Nick Cruickshank poprawia sobie czepek: naciąga gumkę, po czym ją popuszcza.

– Wiesz, w *Odysei*, kiedy Odys wraz ze swoimi ludźmi przyplływają na wyspę Lotofagów i ulegają pokusie, zjadając czarodziejskie owoce, które sprawiają, że zapominają o żonach, rodzinach i nawet tęsknocie za domem...

– To była głożyna afrykańska! – Milena Migliari czuje, jak serce skacze jej w piersi, a skóra twarzy piecze.

– *Ziziphus lotus*! – Także Nickowi Cruickshankowi udziela się podniecenie, aż rockman prawie podskakuje.

– Tak! – wykrzykują jednocześnie; są tak samo odurzeni.

Milena Migliari nieco się reflektuje, nieznacznie kręci głową.

– Ale głożyny nikt nie zna. To właściwie zapomniany owoc.

– W Sussex mam drzewko głożyny, jest bardzo stare. – Nick Cruickshank wykonuje gest, jakby chciał wskazać Sussex. – Ludzie kiedyś uważali, że przynosi szczęście domownikom.

– Tak. – Milena Migliari mówi głośniej, niżby tego chciała, ale nie potrafi nad sobą zapanować.

Nick Cruickshank z kolei nadal ma szalenie skupiony wzrok.

– To takie zwykłe, a zarazem przedziwne owoce. Kiedy są jeszcze jasne i nie do końca dojrzałe, to smakują jak jabłka, prawda? Nabierają swojego rzeczywistego smaku dopiero wtedy, gdy są ciemne i pomarszczone.

Milena Migliari przytakuje z nadmierną gorliwością i dodaje:

– I są takie słodziutki, ale ich liście zawierają substancję, która hamuje odczuwanie słodczy. To zyzyfina.

Nick Cruickshank wpatruje się w nią bez słowa, wydaje się oczarowany.

Ona nie chce odwracać wzroku, ale nadal czuje pieczenie na twarzy; żeby nie wyjść na głupią, próbuje udac zniecierpliwienie, choć wcale nie jest pewna, jak jej to wyjdzie.

– Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

On zakrywa ręką oczy, jakby chciał sobie przypomnieć pytanie; znów na nią patrzy.

– Nie powiedzcieć, tylko zapytać.

– O co chciałeś mnie zapytać? – Czuje znów, jak wzbiera w niej ostrzegawcza fala.

– Dlaczego cud jest niedoskonały? – On patrzy na nią z wyczekiwaniem.

Ona zastanawia się, czy powinna znaleźć celną odpowiedź, czy może wybrnąć z tego jakąś ciętą ripostą; ostatecznie mówi bez zastanowienia:

– Bo jest nietrwały.

On ciągle się jej przypatruje; jego wzrok przyprawia ją o konsternację swoją czujnością, otwartością, tym, że nie został skażony cudzymi opiniami.

– Przemija. Wraz z zadziwieniem, ciekawością, dokładnością, zabawą, rozkoszą i radością, którą zawierał.

– Weźmy przepyszne lody. – Zdaje sobie sprawę, że jej wzrok przypomina jego, że mówi podobnym tonem, jakby jakimś dziwnym sposobem uległa zarażeniu. – Przez chwilę są tak wspaniale chłodne, cechuje je najbardziej urokliwa równowaga między miękkością a spoistością. Jesteś tak szczęśliwy, że trzymasz je w rękach, że możesz je smakować. A chwilę potem wszystko się kończy. Nie możesz nawet zjeść drugiej porcji, bo dobrze wiesz, że to już nie byłoby to samo.

On nadal na nią patrzy; potem lekko się uśmiecha.

– Wiesz, że jesteś jeszcze bardziej zaskakująca niż twoje lody?

– Ty też jesteś dość zaskakujący, jeśli o tym mowa – odpowiada bez zastanowienia, przy braku kontroli, który wywiązał się między nimi od początku rozmowy. Od razu myśli, że nigdy nie powinna była mówić mu nic podobnego; ale już powiedziała, już się stało.

Jego spojrzenie jest tak przenikliwe, że wygląda, jakby mogło ranić.

– A teksty, które piszesz na tych bilecikach przewiązanych czerwoną wstążeczką? Mój niewiarygodnie pasował.

– Naprawdę? – Coraz trudniej jej utrzymać spokój w tej wymianie zdań; czuje się, jakby próbowała stać nieruchomo na silnym wietrze.

On podchodzi jeszcze bliżej, jego ruchy wydają się niepojęte.

– Bo jest w tobie coś naprawdę szczególnego.

Ona czuje, jak ostrzegawcza fala przybiera postać strachu, który ogarnia jej płuca, więzi oddech.

On dotyka dłońmi jej skroni, podchodzi bliżej; całuje ją w czoło.

Ona odnotowuje ruch powietrza, wilgoć warg na skórze, ciepło ciała, zapach paczuli lub marihuany, albo obu tych rzeczy naraz, szelest plastikowych czepków, które się stykają. Jest tak zaskoczona, że gdy tylko on się oddala, znów nabiera ochoty, by się roześmiać; śmieje się, a jej twarz płonie, serce bije nieregularnie.

On też się śmieje, oddalony od niej o kilka centymetrów, z twarzą

promieniującą porozumiewawczą radością dziecka lub dzikiego człowieka.

Ona zмага się z kontrastującymi ze sobą wrażeniami i myślami; nie potrafi ocenić, czy ten pocałunek był najbardziej niewinną, czy może najgroźniejszą rzeczą pod słońcem. Czy nadal zachowywać się przy nim naturalnie? Czy powinna jak najszybciej wytworzyć dystans?

Nick Cruickshank uśmiecha się, ale także przez niego przebija przynajmniej cień niepewności. Wykonuje gest.

– Dążę do ufizyczniania kontaktu z ludźmi, którzy mi się podobają.

Milena Migliari myśli, że także ma skłonność do ufizyczniania kontaktu z ludźmi, którzy jej się podobają: zawsze ma ochotę schwycić kogoś za nadgarstki, ucisnąć, poklepać po plecach, pogłaskać po głowie, lekko szturchnąć. Wielokrotnie na tym tle doszło do kłótni z Viviane, która uważa, że kontakt fizyczny powinien być zarezerwowany wyłącznie dla bliskich relacji, być może również dlatego, że jej praca polega na codziennym manewrowaniu ciałem obcych ludzi. Lecz tutaj nie chodziło jedynie o chęć ufizyczniania, jakkolwiek chciałoby się to nazwać; on ją chwycił i pocałował, mimo że tylko w czoło. Ich ciała przywarły do siebie z pewną siłą, uruchamiając wrażenia dotykowe, mimo że trwały one nie dłużej niż dwie czy trzy sekundy. Na ile niewinny może być tego rodzaju gest ze strony mężczyzny; w dodatku mężczyzny, który niemal bez wątpienia przez dziesięciolecia był seryjnym uwodzicielem.

Nick Cruickshank zapewne odgadł te myśli, bo wygląda, jakby czuł się coraz mniej swobodnie. Z kieszeni džinsów wyciąga stary zegarek cebulę przyczepiony srebrnym łańcuszkiem do szlufki, patrzy na niego, jakby miał coś pilnego do zrobienia.

– Muszę już iść.

Milena Migliari próbuje zrozumieć, co się stało chwilę temu i co dzieje się teraz, ale nie udaje się jej znaleźć odpowiedzi.

Nick Cruickshank przecina rękami powietrze.

– Idę polatać. Szybowcem.

– Ach, to musi być wspaniałe! – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, na ile jej wypowiedź jest ogólnikowa, ale prawda jest taka, że jej doznania i myśli nadal kłębią się bez ładu i składu.

– Tak, właśnie. – Nick Cruickshank pokazuje na miąższ szaronów w mikserze, jeszcze niez mieszany z tłustym mlekiem. – Także te lody będą cudowne, jestem tego pewien.

– Mam taką nadzieję. – Milena Migliari kiwa potakująco głową, nie mając pewności co do niczego.

Od strony drzwi do sklepu dochodzą odgłosy: to Guadalupe, która wróciła i z kimś się śmieje. Chwilę potem wchodzi do pracowni, stawia na podłodze pudło ze styropianowymi pojemnikami, wbija swoje ciemne, lśniące oczy w Nicka

Cruickshanka, jest jeszcze bardziej podekscytowana niż przedtem.

– Wybacz, jest ze mną koleżanka, która mnie zabije, jeżeli nie zrobisz sobie z nią zdjęcia.

W progu pracowni staje jej koleżanka Delphine, ekspedientka z pobliskiej piekarni: widząc Nicka Cruickshankę, zaczyna robić miny i piszczeć:

– *Mon Dieu, c'est lui! Je ne peux pas le croire, c'est génial!*[21]

Nick Cruickshank uśmiecha się z wyraźną uprzejmością; zdejmuje z głowy czepek, potrząsa włosami.

Milena Migliari już ma powiedzieć dziewczynom, żeby zostawiły go w spokoju, ale się powstrzymuje. Dlaczego miałyby chronić kogoś, kto przyszedł jej przeszkadzać w środku pracy i pocałował ją znienacka, choćby tylko w czoło?

Nick Cruickshank pozbywa się także ochraniaczy z butów, idzie za Guadalupe i Delphine do sklepu, staje pod ścianą, jak przed rozstrzelaniem.

Milena Migliari przypatruje się tej scenie zza stołu, częściowo zasłonięta framugą drzwi; myśli, że kiedyś tym dziewczętom wystarczyłyby autograf, który mogłyby zachować dla siebie i być może pokazać koleżankom, a teraz domagają się dowodu w postaci zdjęcia, którym natychmiast podzielią się z nieograniczoną liczbą osób.

Guadalupe i Delphine przyciskają się do Nicka Cruickshankę, bok w bok, skroń w skroń, szczerzą zęby w uśmiechu, dwa pstryknięcia każdym telefonem, potem ściskają go i całują w policzki, drżąc z podniecenia. Widać, że kontakt fizyczny nie sprawia im żadnych problemów.

– *Salut, je m'en vais*[22]. – Nick Cruickshank grzecznie, ale z wyraźną stanowczością kończy całą scenę. Zagląda do pracowni, wykonuje gest na pożegnanie, nadal teatralnie, ale ze zdecydowanie mniejszym wigorem niż na początku. – Dziękuję za poświęcony mi czas. I szczerze gratuluję. Pa.

– To ja dziękuję. – Milena Migliari uśmiecha się do niego w sposób najbardziej powściągliwy, na jaki ją stać; wraca do miksera, ale zanim znów go włącza, czeka, aż usłyszy dźwięk zamykanych drzwi. Czy zostałby dłużej, gdyby Guadalupe nie przyprowadziła koleżanki i nie wpadła na genialny pomysł, żeby robić sobie z nim selfie? Ale o czym mieliby mówić po tym, jak rozmowę zepsuł pocałunek w czoło? Czy przynajmniej ustaliliby, co nim powodowało? Czy stałoby się jasne, czy chodziło o zwykły impuls bez szczególnego znaczenia, czy o odruch samca, który zwykł utwierdzać się w swojej mocy uwodziciela wobec każdej napotkanej kobiety, także wobec tych, które wcale mu się nie podobają i nie są nim zainteresowane? Dlaczego teraz traci czas na rozmyślenia o tym? I dlaczego nadal jest poruszona w sposób zakrawający na śmieszność? Dlaczego drżą jej nogi, a także dłonie, w których trzyma mikser?

Guadalupe żegna się z Delphine, ciągle chichocząc, zamyka sklep na klucz, wraca do pracowni, jest nadal podekscytowana.

– Widzisz, jaki miły jest Nick? I mimo wieku, ciągle jest najbardziej *cool* ze wszystkich! Daj mi tylko chwilę, wrzucę zdjęcia do netu i przyjdę ci pomóc.

– Dobrze, dobrze. – Milena Migliari włącza mikser, miesza miąższ szaronów z tłustym mlekiem; pocałunek Nicka Cruickshanka na jej czole, jego gesty i słowa sprzed pocałunku tak samo wirują w jej głowie, i wszystko miesza się ze wszystkim.

18 Zamknięte (franc.)

19 Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem... (franc.)

20 Ależ nie! Wcale nam pan nie przeszkadza, panie Nicku! (franc.)

21 Boże, to on! Nie mogę w to uwierzyć!, cudownie! (franc.)

22 Cześć, to ja już pójdę (franc.)

Aerodrom w Fayence-Tourrettes zajmuje obszar czterdziestu pięciu hektarów, pasy startowe porasta trawa, pas główny jest długi na osiemset trzydzieści metrów i szeroki na czterdzieści pięć. Nick Cruickshank odkrył to lotnisko wiele lat temu, gdy przemierzał Europę w poszukiwaniu najlepszych lokalizacji do lotów szybowcem; i spodobało mu się tu tak bardzo, że o kilka kilometrów stąd kupił dom, po czym zaczął nabywać także sąsiednie ziemie. Nie było to trudne, biorąc pod uwagę, że od jakiegoś czasu wszyscy zaczęli dzielić posiadane tereny na działki i sprzedawać je pod budowę willi i domów mieszkalnych w tak zwanym stylu neoprowansalskim. W krótkim czasie równina porosła tandetną architekturą, podobnie jak wzgórza; dla gmin wydawanie zezwoleń jest korzystne, bo w ten sposób zgarniają podatek gruntowy. Za to on wokół domu ma trochę miejsca: kilkadziesiąt hektarów zieleni, gdzie nikt nie mąci mu spokoju. Tak więc (kolejnym) paradoksem jest, że teraz to on nakłonił natrętów do przyjazdu, oferując jedzenie i nocleg, napoje alkoholowe i rozmaite atrakcje. Aileen upierała się od miesięcy; jej naciski były taktowne, ale też konsekwentne i nieustępliwe. Wpadła na pomysł, by połączyć prywatne przyjęcie z koncertem charytatywnym, w odstępie jednego dnia, i zaproponować obie imprezy jako pakiet magazynowi „Star Life”, lokalnym władzom, mieszkańcom, fanom, innym członkom zespołu oraz jemu.

Tak więc dziś zaczną tu ściągać zaproszeni goście, a jutro zjawi się ich cała chmara. W okolicy jest niewiele hoteli, więc Aileen wynajęła wszystko, co udało się jej znaleźć, w tym także wille i wiejskie domy. Co naturalnie stanie się powodem urazy lub satysfakcji właścicieli wybujałego ego, którzy zaczną porównywać swoje noclegi, podzielią się na obozy tych, którzy nocują w „Les Vieux Oliviers”, i pozostałych. Niektórzy (jak Noel) będą woleli nocować u znajomych rosyjskich oligarchów w Saint-Tropez, żeby potwierdzić regułę, inni (jak Kate) będą jeździć tam i z powrotem do Cannes, choć o tej porze roku jest zupełnie opustoszałe, jeszcze inni (jak Reina) będą udawać, że bez kłopotu dostosują się do byle jakich warunków, a potem przez całe miesiące będą narzekać. Nie mówiąc już o mieszaninie prawdziwych i fałszywych przyjaciół, znajomych, współpracowników, współników w interesach, o tych, którzy przyjadą podglądać, i tych, którzy będą chcieli się pokazać, dać się sfotografować i sfilmować. Dorzucmy do tego dzieci, które będą się tu kręcić same lub w towarzystwie opiekunek rejestrujących i przekazujących matkom najmniejsze szczegóły, które w przyszłości mogą stać się przedmiotem szantażu. I, rzecz jasna, ekipę „Star

Life”, która jako sponsor całej imprezy bezczelnie przemiele i doprawi ten pasztet, aby stał się jak najatrakcyjniejszy dla plotkarzy i podglądaczy. To zaiste wspaniała perspektywa.

Poza tym naturalnie trzeba ustalić, jak, do cholery, Bebonkersi znajdą czas i nastrój, aby przeprowadzić próbę, która nie będzie zwykłą próbą dźwięku przed niedzielnym koncertem, biorąc pod uwagę, że nie grali razem przynajmniej od pięciu miesięcy i że połowa z nich będzie zupełnie nie do użycia po sobotniej imprezie. Biorąc pod uwagę także to, że niedzielny koncert z pewnością będzie musiał sprostać oczekiwaniom: charakter dobroczynny i ciekawość przywiodą tu całe mnóstwo ludzi spodziewających się pamiętnego wydarzenia, jak również radio, telewizję lokalną i ogólnokrajową. Zoomy tysięcy telefonów komórkowych stopią w jedną odrażającą plamę efekty świetlne pieczołowicie opracowane przez Jimmy’ego Rose’a, a nędzne mikrofony wypaczą robotę wykonaną na mikserze przez genialnego Jamiego Cullinghama. Już pół godziny po zakończeniu imprezy fani niemal z całego świata rzucą się, aby studiować pod lupą każdą sekundę półtoragodzinnego koncertu, porównywać go z ubiegłorocznymi występami lub z tymi sprzed dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu lat, oburzając się przy tym lub wzruszając; jako członkowie jednego plemienia rozmarzą się tęsknie lub będą złorzeczyć. Z pewnością jedni stwierdzą, że Bebonkersi są cudowni, bo każdy kawałek grają jak zawsze, a inni powiedzą, że są żałośni w swoim uporze; jedni orzekną, że zespół to żywa legenda, inni określą ich mianem dinozaurów. Znajdzie się też cała armia prawdziwych nienawistników, niegdysiejszych fanów lub ludzi, którzy nigdy nie pałali do nich miłością, szukających dowodów na to, że Bebonkersi stali się komercyjnym produktem jak Coca-Cola, że są grupą starych wieprzy z milionami na koncie i nic ich już nie obchodzi pierwotny duch ich muzyki wbrew buntowniczemu wizerunkowi, który nadal starają się utrzymać. Nick Cruickshank już sobie wyobraża bezmyślne oskarżenia, nawarstwiające się w gigantycznym śmietniku, jakim jest Internet: standardowe brzmienie, utracony *Zeitgeist*, zdradzone ideały, kalkulacje pod przykrywką dobrej sprawy i tak dalej. Miliony frustratów niezdolnych do zrobienia czegoś istotnego lub choćby tylko przyzwoitego, zasiadający przed swoimi ekranami i wyświetlaczami, gotowi wyłapać nieistniejące lub ledwie zauważalne błędy i wypisywać: „Niesamowita wpadka Nicka w 2:24” lub „Wally Thompson stracił czucie i go to wali”, albo „Oni tak serio?”, lub „Chciałbym wiedzieć, co się stanie z hajsem z tej pseudodobroczynej imprezy”, lub „WTF????”. I tak dalej. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej ten cały niedzielny koncert wydaje mu się koszmarem. A o sobotniej uroczystości lepiej nie mówić.

Jedyne, na co ma teraz ochotę, to zasiąść za sterami szybowca, wzbić się w górę i zataczając koła, unieść się w niebo, popatrzeć na tę dolinę i wzgórze, i góry z lotu ptaka, aż domy, drogi i wszelkie przejawy życia staną się tak małe, że

przejdą w obszar nieistnienia.

Jean Leblanc już na niego czeka u boku wyprowadzonego z hangaru szybowca Glaser-Dirks DG-303: ściska dłoń Nicka Cruickshanka, jak zawsze demonstrując swoją siłę, błękitne oczy rozjaśniają blaskiem jego pociągłą twarz:

– *Salut, Nick.*

– *Salut, Jean.*

Znają się od kilkunastu lat i cieszą się, ilekroć się widzą, ale nie mają w zwyczaju zbyt wiele ze sobą rozmawiać. Sprawdzają stan szybowca: lewy bok kadłuba, lewe skrzydło, stateczniki, płozy, fletnery, trymery i prawy bok kadłuba. Sprawdzają hak holowniczy, ciśnienie w oponach, a wszystkie czynności wykonują z ową mieszaniną rutyny i uwagi, charakteryzującą działania podejmowane wielokrotnie, ale za każdym razem mające kluczowe znaczenie. Ze spadochronem zbliża się Lucien, z racji młodego wieku i szczupłej sylwetki nazywany Petit. W odróżnieniu od Jeana, którego muzyka wcale nie interesuje, jest fanem Bebonkersów; ilekroć Nick Cruickshank go widzi, Lucien w podeksycytowaniu przygląda się jego minom i gestom.

Nick Cruickshank zakłada na siebie spadochron, samodzielnie reguluje paski, choć Petit za wszelką cenę rwie się do pomocy. Otwiera osłonę z pleksiglasu, wskakuje do środka, sprawdza zamknięcie kabiny, drążek sterowy i pedały, przerywacze i mechanizm zwalniający hak holowniczy. Uwielbia te przygotowania; przywodzą go o to samo poczucie niepokoju i pewności, jakie odczuwa, gdy w garderobie wraz z kierownikiem sceny przegląda rider techniczny, choć wie, że obsługa dopięła już wszystko na ostatni guzik.

Szybowiec idzie w ruch; Jean go popycha, Petit podtrzymuje prawe skrzydło, by nie stykało się z trawą. Zatrzymują się dwadzieścia metrów za robinem DR400, który jest już gotowy do holowania. Pilot holujący wykonuje gest na powitanie, sprawdza linę, zaczepia ją, kontroluje mechanizm wyczepienia awaryjnego i czop zabezpieczający. Daje znak, idzie zasiąść za sterami i zapuszcza silnik.

Nick Cruickshank zamyka osłonę, zapina pas bezpieczeństwa, sprawdza zbiorniki balastowe, ponownie patrzy na drążek sterowy i pedały, ustawia trymery w pozycji gotowej do startu, blokuje przerywacze. Sprawdza zegary od lewej do prawej, najpierw na górze, potem na dole: anemometr, wariometr, dwuwskaźnkowy wysokościomierz, zakrętomierz i kompas. Wyzerowuje wysokościomierz, włącza radio, ustawia częstotliwość. Czuje, że rośnie mu ciśnienie, jak wtedy, gdy wychodzi z garderoby i zmierza za kulisy z innymi członkami zespołu, odczuwając znajome wrażenia, które mogą stać się przyczyną satysfakcji lub katastrofy. Wiele lat temu jeden z jego pierwszych instruktorów powiedział mu, że pilot szybowca ma trzykrotnie większe szanse niż kierowca samochodu, by zginąć w wypadku, i że w szybownictwie jeszcze bardziej niż

w innych dyscyplinach ryzyko zwiększają: brak skupienia, niewiedza i głupota. Spodobało mu się i nadal mu się podoba; jego zdaniem to konstruktywne zajęcie, w którym gra bez wątpienia warta jest świeczki. Rzuca okiem na wiszący luźno na maszcie wskaźnik wiatru, daje znak, unosząc kciuk do góry; jest gotowy do startu.

Robin DR400 sunie powoli do przodu, trzydziestometrowa lina rozwija się i napina, szybowiec zaczyna się poruszać. Petit idzie u jego boku, przyspiesza, nadal podtrzymując prawe skrzydło, biegnie truchtem, po czym puszcza skrzydło. Jean pozostał w tyle i patrzy z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nick Cruickshank ściska dłońią drążek, przesuwając go do tyłu; jego serce nieco przyspiesza. Jak wtedy, gdy wykonuje ostatnie kroki, zanim stanie w świetle reflektorów; jak wtedy, gdy najbardziej pierwotna część mózgu wywołuje napięcie w każdym mięśniu przed spotkaniem z wielotysięczną, buzującą od oczekiwań publicznością, a jego część najbardziej światła nakazuje mu opanowanie wyrazu twarzy i gestów w tym entym objawieniu stylu *Cruickshank cool*.

Samolot holowniczy nabiera prędkości, skrzydła tną powietrze i zaczynają generować ciąg, glaser-dirks podskakuje na trawie z narastającą częstotliwością. Następnie szybowiec odrywa się od ziemi, na krótko zanim wzbije się w powietrze także robin DR400; unoszą się obaj, złączeni napiętą liną i wzmagającymi się wibracjami. Nick Cruickshank nie spuszcza z oka zegarów, porusza drążkiem, aby wznieść się nieco ponad poziom wyznaczony przez śrubę holownika, tak by żaden z nich nie stracił równowagi. To gra przeciwstawnych sił, zmaganie z grawitacją, która ciągnie w dół, z gęstością powietrza, które unosi; ciągła oscylacja między tym, co naturalne i nienaturalne. Wysokościomierz wskazuje wysokość sześćdziesięciu, osiemdziesięciu, potem stu stóp; liczby wzrastają wraz z odległością od ziemi i wraz ze wzmaganiem się odgłosów powietrza nad osłoną. Zieleń łąki początkowo z wolna, a potem coraz gwałtowniej nabiera granic, drogi przecinające nizinę stają się wyraźnie zarysowane i coraz mniejsze, podobnie jak samochody, domy, niebieskie baseny, ogrody wokół domów, hangary i betonowe alejki wokół hangarów. Sto czterdzieści stóp, sto osiemdziesiąt, dwieście, dwieście dwadzieścia: wkrótce elementy krajobrazu stopniowo tracą swoje zwykłe znaczenie, aż wyzbędą się go zupełnie, kiedy on osiągnie poziom wyczepienia; staną się tylko punktami orientacyjnymi na powierzchni ziemi, w miarę zwiększania się wysokości, owocem coraz trudniej zrozumiałych starań, które coraz trudniej traktować poważnie.

Nagle słycać gwałtowny trzask: zanika napięcie holownicze, prędkość zmniejsza się z każdą chwilą. Lina zerwała się lub wyczepiła, samolot holowniczy podskakuje i dokonuje zwrotu w lewo. Nick Cruickshank czuje, że jego serce zaczyna bić wolniej, krew w jego żyłach ziębnie; natychmiast popycha do przodu drążek sterowniczy, w odruchu, który wyrobił sobie podczas symulacji nagłych wypadków, pikuje szybowcem, by nabrać prędkości, wykonuje zwrot w prawo.

Różnica polega na tym, że żadna z symulacji nie odbywała się na wysokości mniejszej niż trzysta stóp nad ziemią, a on znajduje się teraz na wysokości dwustu stóp i nadal leci w dół: krajobraz zbliża się gwałtownie, jego elementy z każdą sekundą ponownie nabierają zwykłych znaczeń. Spadochron na tej wysokości na nic by się nie zdał, można tylko ryzykownie wylądować lub się rozbić. Pięćset pięćdziesiąt mil na godzinę; jeszcze trochę i zakres manewrowania znacznie się zmniejszy wraz z możliwością, by z tego wybrnąć bez szwanku.

Nick Cruickshank jest skrajnie skupiony na obliczeniach i na obmyślaniu ruchów niezbędnych do wykonania zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zejścia na łąkę przy aerodromie, w kierunku przeciwnym do startu, a tymczasem, o dziwo, nachodzą go myśli, które wcale nie pomagają mu w manewrowaniu, wprost przeciwnie. Chociażby taka, że poczucie nieuchronnego końca wczoraj rano w gaju oliwnym było w rzeczywistości przedsmakiem właśnie tego; że rozbicie się szybowcem o kilkaset metrów od miejsca, w którym w niedzielę miał zagrać koncert, byłoby wspaniałym zwieńczeniem jego legendarnej biografii; że byłby to także doskonały sposób, by wymigać się od sobotniej imprezy; że nie zdąży skończyć piosenki, nad którą pracował wczorajszego wieczoru; że nigdy więcej nie zobaczy lodziarki Mileny i nie spróbuje przygotowywanych przez nią lodów, jak również nigdy więcej nie pocałuje jej w czoło. Bardziej niż myśli przypomina to migawkowy zlepek obrazów i wrażeń: niczym błyski przesywają jedną część jego mózgu, gdy tymczasem druga nadal sprawuje kontrolę nad prędkością, odległością od ziemi, kątem zwrotu i całą resztą. Obie części mózgu działają równolegle i niezależnie od siebie, jedna odznacza się ciepłem, druga chłodem, a wszystko to w czasie, który kurczy się coraz gwałtowniej wraz z przestrzenią dzielącą go od uderzenia.

Nick Cruickshank znajduje się o kilkadziesiąt metrów od ziemi, nadal próbuje dokonać zwrotu, nadal jest w pół drogi między ewentualnością cudownego ocalenia lub rozbicia się na drodze albo o przeraźliwie bliskie drzewa, które wyznaczają teren aerodromu; tymczasem jednak chwilę potem znajduje się już nad łąką, nie mając przed sobą żadnych przeszkód; udaje mu się odzyskać równowagę, przez kilka metrów leci lotem ślizgowym, jego zetknięcie z ziemią nie jest nawet aż tak gwałtowne, podskakuje na trawie i w końcu się zatrzymuje.

Siedzi nieruchomo, nie odpinając pasów bezpieczeństwa ani nie otwierając osłony. Oddycha powoli, czeka, aż serce wróci do normalnego rytmu, spogląda na starego beżowego garbusa należącego do Jeana, który powoli sunie przez łąkę w jego stronę. Tym razem nie żałuje, że nie szybował wysoko na niebie najdłużej, jak się dało; tym razem całkiem się cieszy, że znów znajduje się na ziemi.

Viviane przyjeżdża po nią samochodem do lodziarni, by razem udały się na wizytę u doktora Lapointe'a w Centrum Plamondon, w Grasse. Ilekroć razem podróżują, prowadzi Viviane; nie żeby kiedyś o tym zdecydowały, po prostu tak jest. Być może zależy to od faktu, że Viviane lepiej zna okolicę i co dzień spędza więcej czasu za kierownicą. Tak czy inaczej, prowadzi swojego peugeota dość agresywnie, gwałtownie skręca, przyspiesza tak, że niemal ociera się o zderzaki jadących przed nią samochodów, hamuje w ostatniej chwili, szybko zmienia biegi, przyspiesza, wyprzedzając, i mknie dalej po wolnym pasie. Milena Migliari myśli, że początkowo sposób prowadzenia Viviane ją denerwował i właściwie w tej samej mierze był dla niej pokrzepiający jako wyraz wewnętrznego nerwu, ale i pośpiechu wywołanego zmysłem praktycznym, dla którego ważniejsza od zachwyty nad krajobrazem jest realizacja celu. Teraz raczej ją irytuje; Milena Migliari zapiera się nogami o podłogę, ściska dłońmi brzegi siedzenia i wciska się w oparcie.

Viviane rzuca na nią okiem.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak, tak. – Milena Migliari myśli, że tak naprawdę nic nie jest w porządku, ale nie może sobie wyobrazić, jak miałaby jej wytłumaczyć, dlaczego tak jest; uważa, że byłoby to przykre i nielojalne, a przede wszystkim niewiarygodnie poniewczasie. W tej chwili wolałaby jednak być w lodziarni, by skończyć lody kasztanowe, zamiast mknąć w stronę Grasse i katastrofy. To prawda, że Guadalupe zna już każdy etap obróbki i świetnie poradzi sobie sama, ale boli ją myśl, że zostawiła lody nieukończone, i to tylko po to, by pojechać do cholernego centrum medycznego na rozmowę o procedurze zapłodnienia in vitro. Co sprowadza ją wprost do myśli o tym, że nie będzie mogła pracować w pełni lata, kiedy ludzie będą się tłoczyli w kolejce przed ladą, a nawet przed sklepem. Być może będzie musiała zaprzestać pracy już w połowie lipca, bo jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie wtedy w ósmym miesiącu ciąży, a doktor Lapointe uprzedził ją już (z jednym z tych swoich pobłażliwych uśmiechów), że różnica temperatur między chłodem pracowni a skwarem na dworze nie jest wskazana dla starej pierwiastki tuż przed porodem. Gdy tak ją określił, zaczęła się śmiać, ale Lapointe wyjaśnił, że może się cieszyć, bo w latach siedemdziesiątych za starą pierwiastkę uważano dwudziestoośmioletnią ciężarną, gdy tymczasem dziś granica przesunęła się do trzydziestu pięciu lat. Co zresztą nie wydało jej się ani trochę mniej oszałamiające, podobnie jak cała terminologia, którą wraz z Viviane przyswoiły w czasie rozmów z lekarzami i przeglądając Internet, i powtarzały ją potem setki

razy w domu niczym dwie papugi, skrupulatnie podsumowując kolejne etapy tego, co będzie się dziać w ich życiu przez kolejne miesiące (i lata, i dziesięciolecia).

Fakt jest taki, że gdy wraz z ukochaną osobą poświęcasz się jakimś planom, ponadto planom nie całkiem akceptowanym przez społeczeństwo, a nawet nielegalnym w niektórych krajach, koniec końców przyjmujesz perspektywę marynarza okrętu podwodnego, by posłużyć się wyrażeniem jej ojca, które do niedawna wydawało się jej trudne do zrozumienia. Teraz natomiast sądzi, że trafnie określa to, co może się wydarzyć między dwojgiem ludzi wspólnie wytwarzających pancierz opinii i oczekiwań, w którym ostatecznie szczelnie się zamkną w przekonaniu, że nie mogą go opuścić, bo zaraz zmiażdżyłoby ich zewnętrzne ciśnienie. I tak oto siedzą w swojej łodzi podwodnej z macierzyńskimi planami; gdy tylko wyobrazi sobie, że mogłaby z niej wysiąść, od razu czuje się jak zdrajczyni. Ale co ma zrobić? Brnąć w to dalej ze ślepej lojalności? Bo już się zobowiązała? Żeby ucieszyć Viviane? Czy jedynie czystym przypadkiem w jednym z bilecików do łodzi zamówionych wczoraj przez Anglików wypisała to zdanie Oscara Wilde'a, które mówi, że życie jest zbyt krótkie, aby poświęcać je na realizację cudzych marzeń? Czy te marzenia nie powinny być także jej marzeniami?

Jeśli ma być ze sobą całkowicie szczerą, to odpowiedź brzmi – nie. Nie jest. Jeśli ma być całkowicie szczerą, to wcale nie jest przekonana, czy ma ochotę na zrobienie córki bądź syna, tym bardziej w tak mało spontaniczny i naturalny sposób. Wydaje się jej niedorzecznością i anachronizmem, że miałyby się znaleźć w sytuacji nioski, której los z góry zaplanowano. Przy całej odpowiedzialności fizycznej i moralnej, która z tego wynika, przy naciskach ze strony osoby, którą kocha, ze strony innych, ze strony społeczeństwa. Gdy o tym myśli, w przeszłości nie zdarzyło się ani razu, by facet, z którym była, nie przypomniał jej o roli rodzicielki: albo dlatego, że bał się ciąży, albo wprost przeciwnie, uważał to za ostateczny sprawdzian dla ich związku. Jeśli przyjrzeć się całej kwestii z odrobiną dystansu i ze szczyptą poczucia humoru, jest to niedopuszczalne. Być może inaczej było w czasach jaskiniowych, kiedy życie ludzi upływało pośród ciągłych zmagania planów i okoliczności, a te ostatnie niemal zawsze brały górę nad tymi pierwszymi. Lub tysiące lat później, kiedy kobiety nie miały wyboru, nie chcąc być postrzegane jako żałosne stare panny, czarownice lub wariatki. Ale dziś?

Nagle słysząc wybuch; samochód podskakuje, wpada w poślizg, zmierza w stronę przeciwnego pasa ruchu, wydając z siebie przeraźliwy odgłos tarcia, i to właśnie wtedy, gdy z naprzeciwka nadjeżdża tir.

– Eeej! – krzyczy i zapiera się nogami, z przerażeniem patrząc, jak zbliżający się przód tira staje się coraz większy.

– Cholera! – Viviane z całej siły skręca kierownicę w prawo, przywiera do niej, opony piszczą, w ostatniej chwili udaje się jej wrócić na drugą stronę drogi.

Kierowca tira trąbi z furją, przejeżdża obok nich z łoskotem żelastwa; poryw powietrza zakołysał peugeotem.

Viviane kurczowo trzyma kierownicę, by nie stracić panowania nad pojazdem, hamuje, zjeżdża na pobocze, po czym się zatrzymuje.

Milena Migliari serce wali jak młotem, czuje nagły przypływ adrenaliny.

– Co się stało? – pyta.

– Złapałam gumę. – Viviane poprawia okulary na nosie, bierze głęboki wdech, liczy na palcach: jeden, dwa, trzy. Jest dość spokojna, biorąc pod uwagę, że właśnie uniknęła czołowego zderzenia, po którym zostałyby z nich mokra plama. Wrzuca jedynekę, przez kilkadziesiąt metrów jedzie przed siebie z niewielką prędkością, samochód trze i podskakuje raz po raz, zatrzymuje się na przydrożnym placu. Obie wysiadają; przednia prawa opona leży w strzępach na ziemi.

– I co teraz? – Milena Migliari odczuwa przedziwną mieszankę strachu i ulgi, wywołaną niedawnym zagrożeniem, jak również myślą, że wizyty w Centrum Plamondon rządzą się nieubłaganym harmonogramem i nawet kilkuminutowe spóźnienie oznacza odroczenie na nie wiadomo kiedy. Zastanawia się, czy pęknięcie opony to znak od losu, by cała ta historia z zapłodnieniem się skończyła. A może znakiem od losu jest to, że nie rozbiły się o ciężarówkę? Jak należy interpretować to, co właśnie się stało? I czy w ogóle jest sens interpretować te rzeczy, czy może należy raczej podjąć racjonalny wybór, bez odwoływania się do zewnętrznych znaków?

– Trzeba zmienić koło, szlag by to trafił. – Viviane idzie otworzyć bagażnik, wyjmuje koło zapasowe i turla je wzdłuż samochodu. Wraca po lewarek i worek z narzędziami, kładzie wszystko na ziemi.

Milena Migliari wcale nie uważa się za osobę niezdolną do przeciwdziałania trudnościom natury praktycznej: regularnie zajmuje się aparaturą w lodziarni, udało się jej nawet naprawić maszynę do lodów, w której zacięła się łopatką. Ale wymiana koła w samochodzie zawsze wydawała jej się czymś, co przekracza jej możliwości, ze względu na dźwiganie i niezbędny wysiłek; jeśli miałyby wskazać czynność, którą lepiej zostawić mężczyznom, to byłoby właśnie to.

– Nie wezwiemy pomocy drogowej?

– No co ty? Jaka znów pomoc drogowa? Zanim przyjedzie, minie z pół godziny. – Viviane zupełnie nie wygląda na zaniepokojoną wymianą koła, a jedynie niecierpliwi się na myśl o możliwości odwołania wizyty. Wyjmuje z worka klucz krzyżakowy, czy jak, u diabła, się on nazywa, przystawia go do śruby koła, przyciska z całych sił, ale bezskutecznie.

– Tylko nie zrób sobie krzywdy! – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że mówi tak częściowo powodowana autentyczną troską, częściowo zaś tym, że w głębi duszy ma nadzieję, iż wymiana koła okaże się o wiele bardziej skomplikowana, niż to sobie wyobraża Viviane.

– Za mocno je dociskają tymi cholernymi pistoletami pneumatycznymi! Oszuści! – Viviane opiera się o dach samochodu, kopie klucz, prawie na niego wskakuje i w końcu udaje się jej zwolnić śrubę. Kilka razy ją przekręca, potem powtarza cały zabieg z kolejną śrubą: zakłada klucz, wskakuje na drążek, odblokowuje śrubę i ją przekręca.

Milena Migliari przygląda się jej, to z podziwem, to z przerażeniem wywołanym prędkością, z jaką Viviane udało się znaleźć skuteczną metodę, i wściekłością, jaka towarzyszy jej działaniom.

Viviane idzie naprzód jak czołg, nie zatrzymuje się ani na chwilę: odkręca wszystkie śruby, potem ustawia lewarek pod samochodem, obraca szybko kluczem jak korbą; samochód zaczyna się podnosić.

Milena Migliari waha się, czy zaproponować jej pomoc, mając jednak nadzieję, że w końcu Viviane napotka jakąś przeszkodę, która wydłuży całe to zajście.

– Co mogę zrobić?

– Nic. – Viviane potrząsa głową; już zdejmuje koło, zakłada zapasowe, dokręca śruby, opuszcza lewarek, znów wskakuje na klucz, chcąc ostatecznie wszystko docisnąć.

Milena Migliari z wielkim wysiłkiem podnosi dziurawe koło, aby wnieść do sprawy choć drobny wkład. Chowa je do bagażnika, zmagając się z ciężarem i wyrzutami sumienia, że wolałaby siedzieć i czekać na pomoc drogową, aż w końcu minęłaby pora wizyty w Centrum Plamondon, a wraz z nią rozwiałaby się myśl, że taka wizyta w ogóle jest potrzebna.

Viviane wyjmuje lewarek spod samochodu, kończy go składać, chowa klucz krzyżakowy do worka, idzie włożyć wszystko do bagażnika, wyciera ręce w szmatę i oświadcza:

– Jedziemy.

– Poradziłaś sobie błyskawicznie. – Milenie Migliari jest przykro, że jej przerażenie przerasta podziw, ale tak już jest i nic nie może z tym zrobić.

Viviane przystaje, patrzy na nią, chwyta się pod boki, jakby chciała ją za coś upomnieć; tymczasem uśmiecha się do niej i nachyla, by ją pocałować.

Milena Migliari jest tak zaskoczona i tak przepełniona różnorodnymi uczuciami, że do oczu napływają jej łzy.

Viviane szmatą wyciera jej dłonie pobrudzone w trakcie odnoszenia koła.

– Jedźmy już. W przeciwnym razie nici z wizyty.

W jednej chwili znów są w drodze, przyspieszają, jakby nic nigdy się nie stało. Minęło może dziesięć minut, od kiedy złapały gumę, co najwyżej kwadrans.

– Damy radę, damy radę. – Viviane prowadzi w swój zwykły agresywny sposób, wrzuca kolejne biegi; wygląda, jakby panowała nad sytuacją, jak zawsze.

– Byłaś niesamowita z tym kołem. – Milena Migliari naprawdę tak myśli,

choć czuje, że znów zmierza ku katastrofie. Lecz to właśnie tę cechę na samym początku postrzegała u Viviane jako pokrzepiającą; tę jej zdolność do rozwiązywania problemów z taką samą energiczną skutecznością, z jaką wykonuje swoje masaże. Bez żadnych wątpliwości, bez cienia niepewności, bez wahania. To w ten sposób pozyskała kredyt na dom w Seillans, pomimo nieufności banku; to w ten sposób przekonała ją, by założyła lodziarnię, pomimo wszelkich obaw.

Viviane kilka razy rzuca na nią okiem, uśmiecha się, poprawia okulary na nosie.

Także Milena Migliari się uśmiecha, rozdarta między czułością, jaką wzbudza w niej ten znajomy profil, i niepokojem, który ściska jej wszystkie organy wewnętrzne. Pamięta, że kiedy zaczęły być razem, jedną z rzeczy, które najbardziej jej się podobały w byciu z kobietą zamiast z mężczyzną, było to, że nie będzie musiała się już martwić kwestią posiadania lub nieposiadania dzieci. Myślała, że raz na zawsze się od tego uwolniła i tyle; że skończyła już z tym całym bałem oczekiwań, wyjaśnień, usprawiedliwień wobec siebie i wobec innych, z planami na przyszłość, ze skomplikowanymi domysłami. A tymczasem w pewnym momencie ta kwestia znów się pojawiła i pociąga za sobą o wiele więcej determinacji i nacisków niż w jej dotychczasowych związkach heteroseksualnych. Nie rozumie, jak doszło do tego, że przez tak długi czas nie zdawała sobie z tego sprawy, że nie potrafiła uczciwie określić swojego stanowiska, zamiast okazać niezdecydowanie, ale zarazem otwarcie na wszelkie możliwości. Jakby priorytetem było uniknięcie dyskusji i rozczarowań, a sama kwestia mogła pozostać w zawieszeniu przez czas nieokreślony, a najlepiej całkiem się rozwiać. Być może naprawdę była otwarta na wszelkie możliwości, ale pod względem o wiele bardziej teoretycznym niż praktycznym; sprawa zapłodnienia wydawała się jej pomysłem do rozważenia i niczym ponadto. Czy jej podejście jest formą niedojrzałości? Niezdolnością do wzięcia na siebie odpowiedzialności, która nie jest czymś błahym jak wytwarzanie dzień w dzień przepysznych lodów? Faktem jest, że kiedyś ona i Viviane były wolnymi kobietami, cieszyły się, że są razem, chciały żyć tak, jak im się podoba, nie poddając się wpływowi innych ani tym bardziej swoim nawzajem, a chwilę potem znalazły się zamknięte w łodzi podwodnej pozornie wspólnych planów, z tym nedorzecznym poczuciem misji. Jak to możliwe, że ciepłe, nieuchwytnie uczucia zaowocowały takim pospolitym pomysłem, a pospolity pomysł stał się projektem, a projekt przemienił się w plan coraz ściślej określonej marszruty, teraz zaś we dwie na oślep próbują poddać go realizacji, nie dyskutując już o przyczynach i sensie? Nie potrafiąc już nawet o tym porozmawiać.

– O czym myślisz? – Viviane rzuca jej spojrzenie, zmienia bieg i gwałtownie przyspiesza.

– O niczym. – Milena Migliari znowu próbuje się uśmiechnąć, ale teraz kosztuje ją to zbyt wiele wysiłku. Patrzy na tatuaż, który nosi na wewnętrznej

stronie nadgarstka: dwie odwrócone litery „A” w kształcie węża, który wznosi się i opada, tworząc okrąg, oznaczające *Arte* i *Amore*, *Sztuka* i *Miłość*. Zrobiła go sobie dwadzieścia lat temu wraz ze swoim przyjacielem Luca, który trzy lata później zginął w wypadku motocyklowym w Hiszpanii. (Nigdy nie byli ze sobą, ale byli do siebie tacy podobni, tacy sobie bliscy). Viviane nigdy się nie podobał, bo twierdzi, że tatuaże są próbą wyrażenia charakteru przez ludzi, którzy go nie mają, i że drażni ją, gdy musi robić masaż komuś wytatuowanemu. Rzecz polega na tym, żeby potraktować go jako część siebie, domagając się ochrony tak samo jak inne.

– Naszły cię wątpliwości? – Viviane mocniej odwraca głowę, ale uważnie patrzy na drogę, nadal jedzie szybko.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – Milena Migliari próbuje znaleźć słowa, by powiedzieć jej, że owszem, naszły ją wątpliwości; na próżno.

– Bo widzę, że tak jest. – Szare oczy Viviane błyskają gwałtownie zza szkieł okularów.

– Ależ nie. – Milena Migliari patrzy na coraz gęstszy zabudowę za parkanami i żywopłotami po boku drogi.

– Jeśli chcesz, to zawróćmy. – Viviane zwalnia, jakby naprawdę była gotowa zatrzymać samochód i zawrócić. – Zadzwoń i powiem, że zmieniliśmy zdanie, że już nie chcemy tego zrobić.

– Nie-e. – Milena Migliari stara się, żeby jej głos zabrzmiał przekonująco, potrząsa głową; czuje się przeraźliwie nieszczerą, nieuczciwą wobec siebie i wobec świata.

Kiedy Nick Cruickshank wraca do „Les Vieux Oliviers”, na tyłach domu, po wschodniej stronie i na trawniku przed rezydencją zastaje zaparkowane samochody i ciężarówki we wszelkich kolorach i rozmiarach. Pod zadaszeniem stoi też turkusowy bentley continental Rodneya Ainswortha, zaparkowany po skosie, przez co zajmuje dwa miejsca zamiast jednego.

Nick Cruickshank niezauważenie próbuje prześliznąć się do domu, ale Tricia nakrywa go zaraz przy wejściu; stoi bez ruchu, jakby właśnie wróciła z wojennego frontu.

– Aileen szuka cię od wielu godzin!

– Zabrakło mi gruntu pod nogami, w porządku? – Nick Cruickshank wykonuje nieco zmęczony gest; odczuwa swego rodzaju dystans, jakby jakaś jego część została kilkadziesiąt metrów nad ziemią, w zawieszeniu między możliwością przeżycia lub nie.

– Tak, ale Aileen cię potrzebuje! – Tricia wygląda, jakby nie mówiła o konkretnej potrzebie, ale w szerszym znaczeniu, odnosząc się do emocjonalnej równowagi Aileen, a być może do jej ocalenia.

– A gdzie Aileen? – Z salonu dobiegają głosy i śmiechy, na które nakładają się gardłowe dźwięki wydawane przez Wally’ego i metaliczny głos Rodneya.

– Na trawniku przed domem!

Jest jasne, że zadanie, by zaciągnąć go do raportu, Tricia postrzega jako autentyczną misję

– Może najpierw przywitam się z przyjaciółmi, którzy przebyli tysiące kilometrów, aby się tu stawić? – Nick Cruickshank wskazuje na salon, ale wcale nie jest taki pewny, czy ma ochotę się z nimi witać.

Tricia przytakuje, choć jej mina wyraża skrajne rozdrażnienie.

W salonie Rodney, jego żona Sadie, Todd z żoną Cynthią, Wally i Kimberly z kieliszkami w ręku stacjonują wokół barku; odwracają się w jego stronę, jakby jego widok był zarazem najwspanialszą i najgorszą niespodzianką na świecie, jednocześnie nie będąc wcale niespodzianką.

Nick Cruickshank podchodzi najpierw uścisnąć Rodneya, niby od niechcienia, biorąc pod uwagę tysiące ich wcześniejszych uścisków.

Rodney w swoim charakterystycznym chwycie łapie go za kark na tyle mocno, żeby zabolowały go kręgi szyjne. Nick Cruickshank odrywa się od niego niemal natychmiast; przygląda mu się w ich zwykłej wzajemnej grze spojrzeń. Jego włosy w tajemniczy sposób są gęstsze niż ostatnim razem w Londynie, przed

wakacjami, i w odróżnieniu od Wally'ego udało mu się zachować mniej więcej tę samą linię co w początkach Bebonkersów. Całkiem prawdopodobne, że gorliwym fanom oglądającym go z odległości kilkudziesięciu metrów na scenie lub na zawieszonym wysoko telebimie może się wydawać identyczny z tym, jaki był w czasach nagrywania pierwszej płyty, całe wieki temu.

Także Sadie podchodzi, by go uścisnąć, przyciska się do niego z nadmiernym zapałem. Jej twarz jest napięta jak skórka jabłka, Sadie ubrana jest w typowym dla siebie stylu pantery sado-maso, uperfumowana w nieznośny sposób, jakby miało jej to pomóc w ujarzmieniu niewiernego małżonka. Dwie poprzednie żony Rodneya właściwie były z nią identyczne, co wskazuje na niejaką ciągłość wyborów i być może pomaga jej o czasie namierzać potencjalne rywalki.

Zaraz potem ściska się z Toddem; torsem obija się o bark, po czym wymierza mu dwa czy trzy stanowcze klepnięcia w okolicach łopatki.

Todd uśmiecha się w swój zwykły sposób, nigdy nie jest zbyt zaangażowany w to, co się dzieje.

– Jak leci?

– A co u ciebie? – Nickowi Cruickshankowi sprawia przyjemność, że go widzi, choć zdaje sobie sprawę, że nie ma mu zbyt wiele do opowiedzenia. Fakty są takie, że od lat relacje członków zespołu polegają na telefonicznej wymianie informacji o datach i miejscach nagrań lub koncertów, albo na wspólnym graniu w studiu lub na scenie; całą resztą zajmują się agenci i prawnicy.

– Jakoś leci. – Todd w gruncie rzeczy cechuje się umiarem, nigdy nie robił sobie wiele z tego, że jest gwiazdą rocka. To jedyny bebonkers, który niemal zawsze stał twardo na ziemi, także wtedy, gdy inni szybowali po stratosferze planetarnego sukcesu.

– To całe szczęście. – Nick Cruickshank znów go poklepuje. Tak, Todd jest dla niego ważny; gdyby nie mocne i trafne uderzenia jego perkusji, kto wie, ile koncertów Bebonkersów uwięzłoby w chaosie dźwięków; gdyby nie jego zdrowy rozsądek, kto wie, ile głupich kłótni przerodziłoby się w dzikie bójki.

Także Cynthia podchodzi, by go uścisnąć, na swój nieco oschły sposób; jest jedyną ocalałą spośród pierwszych żon Bebonkersów i nieuchronnie nie łączą jej zażyłe relacje z drugimi i trzecimi żonami pozostałych członków zespołu, także z powodu przepaści pokoleniowej.

Wally, rzecz jasna, nie traci czasu, by znaleźć dla siebie miejsce w tym zamieszaniu: poszturchuje mężczyzn, poklepuje po tyłkach kobiety. Potem zdobywa dla siebie nieco przestrzeni, przepychając się łokciami, wznosi ręce do góry i wydaje okrzyk oszalałego celtyckiego wojownika: „Be-bo-be-bo-be-bonk! Bebonkers na zawsze!”. W trakcie koncertów za każdym razem okrzyk staje się chóralnym, rytmicznym zawołaniem, angażującym tysiące ludzi przekonanych, że wchodzi w skład wiekopomnego plemienia, ale tutaj nikt nawet nie pomyśli o tym,

by mu zawtórować.

Przez kilka minut okazują sobie nawzajem wyrazy zdziwienia i żalu, że tyle czasu się nie widzieli, choć doskonale wiedzą, że mogli się zobaczyć w każdej chwili, gdyby tylko tego chcieli; trudno wyobrazić sobie kogoś, kto miałby większą ilość wolnego czasu i łatwość przemieszczania się. W rzeczywistości od jakiegoś czasu ich drogi życiowe przestały się krzyżować pod względem zainteresowań, znajomości i miejsc; poza graną muzyką niewiele mają już ze sobą wspólnego. To tak jak w każdym bliskim związku, który trwa od dawna; zna się tak dobrze wady drugiej osoby, że wystarczy jeden gest lub słowo albo zmiana wyrazu twarzy, aby wywołać przesadne reakcje. Jeśli unikają spotkań, to powodem jest chęć przetrwania – całego zespołu i każdego członka z osobna. Prawdopodobnie nie graliby już razem, gdyby nie potrzebowali ciągłego dopływu gotówki, aby opłacić koszty swojego wystawnego stylu życia, i gdyby nie to, że tylko razem są w stanie wypełniać stadiony i zapewnić sobie oceaniczne fale publiczności.

– Jak podróż? – Nick Cruickshank stara się poprzestać na pytaniach o bieżące wydarzenia, nie zawadzając o potencjalne punkty sporne.

– Co? – Rodney niemal stracił słuch po kilkudziesięciu latach ostrych riffów na gitarze Les Paul. Kilka razy zmierz yli natężenie dźwięku pod sceną i okazało się, że zależnie od utworu osiąga od stu do stu dwudziestu decybeli – to mniej więcej tyle, ile wytwarza pracujący młot pneumatyczny. Wystarczy kilka minut, aby doznać uszczerbku słuchu, co dopiero po półtoiej lub dwóch godzinach gry przemnożonych przez tysiące koncertów, a do tego niezliczone godziny spędzone na próbach i w słuchawkach przy głośności, od której pękają bębenki. Owszem, głośność, od której pękają bębenki, wprowadza w stan euforii, ale Nick Cruickshank zaczął używać zatyczek do uszu, kiedy jeszcze nikt tego nie robił, gdy tylko zdał sobie sprawę, że przez całą noc po koncercie aż do późnego rana słyszy szumy i brzęczenie. Teraz używa profesjonalnych słuchawek *in-ear* ostatniej generacji, niemniej jednak cieszy się, że kiedyś korzystał z zatyczek rodem z placu budowy. Laryngolog, który w Londynie przeprowadza mu okresowe kontrole, twierdzi, że jego słuch nie ma stuprocentowej sprawności, ale nie jest też zły, biorąc pod uwagę okoliczności. Rodney i Wally natomiast od zawsze postrzegali jako punkt honoru brak ostrożności w przebywaniu w bezpośrednim polu rażenia głośników; zapewne czuli się jak swego rodzaju mityczni herosi, poświęcając swoje przewody słuchowe we wszechogarniającej walce dźwięków. W rezultacie teraz muszą używać aparatów, zarówno kiedy grają, jak i na co dzień, jeśli chcą uniknąć wpadek podczas występu czy po to, by nie umknęło im coś z rozmów w gronie najbliższych; na całe szczęście mają odpowiednie środki, by zwiększyć swoje możliwości słuchowe za pomocą najbardziej zaawansowanej w świecie technologii. Uszy Todda oparły się jako tako zagrożeniu, być może dlatego, że matka natura obdarzyła go supergrubą błoną bębenkową, a może dlatego, że jego

perkusję za każdym razem ustawiano w pewnej odległości od kolumn głośników. W każdym razie muzycy rockowi nie cierpią jedynie ze względu na obrażenia odniesione w bitwie; Wally na przykład stracił część swojej inwencji w grze na basie nie tyle dlatego, że jest na wpół głuchy, ile z powodu ogólnego rozleniwienia, braku dyscypliny, bo jedyną rzeczą, która interesuje go w muzyce, są pieniądze, które może na niej zarobić. Dla zespołu nie stanowi to problemu, biorąc pod uwagę, że udaje mu się to zrekompensować swoim legendarnym, niezmiennym szarpaniem strun.

– Jak podróż?! – Nick Cruickshank udaje przed Rodneyem, że ściska kierownicę, choć dobrze wie, że go tym rozdrażni.

– Świetnie, ale czy można wiedzieć, gdzie ty, do cholery, byłeś? Zjeżdżamy tu jak pielgrzymi, a pana domu ani słyhu, ani widu! – Rodney rzeczywiście bierze to od razu do siebie, a w jego oburzeniu pobrzmiewa autentyczna niechęć. To, że o kilka kroków od niego stoi Wally, z pewnością nie jest pomocne; podczas ostatniej trasy po Stanach Zjednoczonych w rozmaitych sytuacjach ubliżali sobie nawzajem, a impreza po koncercie w Seattle z pewnością skończyłaby się fatalnie, gdyby ochroniarze w porę ich nie rozdzielili.

– La-ta-łem! – Nick Cruickshank, zamiast przestać, sylabizuje i ruchem wyprostowanych rąk naśladuje skrzydła. Nic nie może na to poradzić; im bardziej zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie za sobą prowokacja, tym bardziej ma ochotę ją kontynuować.

– Skończ z tym, sukinsynie. – Poczucie humoru Rodneya kiedyś nie należało do najgorszych, ale z czasem uległo degrengoladzie, jak cała reszta.

Nick Cruickshank myśli o tym, jak on, Rodney i Todd byli sobie bliscy na samym początku – bardziej niż przyjaciele, bardziej niż bracia. Mimo że ich charaktery i pochodzenie były odmienne, muzyka zbliżała ich do siebie do tego stopnia, że czuli się, myśleli, mówili i poruszali się w taki sam sposób. Kiedy trzymali instrumenty w garści i kiedy byli stłoczeni w minibusie, jadąc z koncertu na koncert, lub kiedy siedzieli przy stole podczas konferencji prasowej, nie musieli ustalać, co zrobić i co powiedzieć, mogli po prostu zdać się na swój instynkt stadny. Zanim się poznali, każdy z nich miał za sobą lata świadomie spędzone z dala od rodziny, od szkoły, rówieśników, od życia jako takiego – całymi popołudniami słuchał w zamkniętym pokoju gigantów bluesa czy rocka i próbował nauczyć się gry na wybranym instrumencie, niewprawnie i z uporem naśladując ulubionych wykonawców takt po takcie. Potem się poznali, wspólnie założyli zespół, i po kilku miesiącach strawionych na odtwarzaniu klasyków zrozumieli, że mają charakterystyczne brzmienie, które zrodziło się z połączenia zalet i wad każdego z nich. To tak jakbyś zaczął kopać w przydomowym ogródku i nagle zobaczył, jak tryska ropa naftowa; ich chropawy talent doprowadził ich do napisania pierwszych oryginalnych utworów, do coraz intensywniejszego odbioru

ze strony słuchaczy, do koncertów w miejscach o coraz większych rozmiarach.

Wally dołączył do nich jako ostatni, wskakując na miejsce po kilku basistach, którzy nie byli zbyt wprawni lub nie wierzyli dostatecznie w zespół. W pierwszej chwili nikomu szczególnie nie przypadł do gustu, ale miał bas marki Fender Precision i piętnastocalowy wzmacniacz Fender Bassman Silverface z dwiema lampami, grał już w klubach i mógł z tego wyżyć, kiedy oni byli jeszcze na poły amatorami. Pomimo nieprzyjemnego charakteru odznaczał się wybitną techniką i gdy tylko zaczęli grać, także przy jego udziale cud się powtórzył. W ciągu paru tygodni prób wraz z Toddem stali się kręgosłupem Bebonkersów, rytmiczną, pulsującą podstawą, niezawodnym oparciem dla pozostałej dwójki. Bardziej niż zespół tworzyli swego rodzaju gang powiązany braterstwem krwi (i to dosłownie: pewnego razu we czterech nakłuli sobie palce igłą, rytualnie wymieszali krople krwi i poprzysięgli sobie wierność aż do śmierci. Kiedy o tym teraz pomyśleć, był to niewiarygodny przejaw naiwności i niewiedzy o konsekwencjach używania zgoła innych igieł, która miała im towarzyszyć jeszcze przez jakiś czas). Nick Cruickshank wspomina pierwsze dwa czy trzy lata Bebonkersów jako jedyny okres w życiu, w którym miał wrażenie, że zaznał takiej przyjaźni, jaka wywołała jego zachwyt w trakcie szczenięcej lektury *Trzech muszkieterów* Alexandre'a Dumasa. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”: naprawdę tak było – ich czterech przeciwko reszcie świata. Potem nadeszły prawdziwy sukces, prawdziwe pieniądze, prawdziwa presja, prawdziwi menedżerowie, prawdziwi agenci, prawdziwa armia fanów, i wówczas zaczęły się konflikty osobowościowe, gra o władzę, porównania: który bardziej podoba się dziewczynom, który jest bardziej utalentowany muzycznie, który ma władzę, by narzucić pozostałym, co mają robić. Pierwotny duch zaczął uchodzić wraz ze wzrostem popularności; im bardziej fani upatrywali w nich grupę wspaniałych przyjaciół, których połączyła jedna i ta sama przygoda, tym mniej oni mieli ochotę przebywać razem. Tymczasem są teraz tutaj w tym salonie: oryginalny skład zespołu, autentyczny wyjątek w świecie rocka, wbrew wszelkim realistycznym prognozom. Wytrzymali ze względu na interesowność? Z lenistwa umysłowego? Bo żaden z nich nigdy nie zdołał odnaleźć innej tożsamości poza Bebonkersami (choć prędzej czy później każdy próbował)? Bo łatwiej odegrać rolę, w której mimo sporów z innymi nadal się z nimi współżyje, jak w małżeństwie, które się ciągnie mimo wszystko dla dobra dzieci? Co się stało z początkowym duchem? Przeniósł się na inne zespoły? Które? Rozpłynął się w nicości? Czy to możliwe, aby już zawsze musieli się zmagać z widmem tego, czym byli w najlepszych latach?

– Reszta kiedy przyjedzie? – Kimberly rozgląda się po salonie, przez tarasowe drzwi ukradkiem śledzi pracę ogrodników i robotników na trawniku przed domem.

– Baz powinien zaraz być, godzinę temu dzwonił z Nicei. – Nick

Cruickshank macha ręką, choć nie jest stuprocentowo pewny, czy wskazuje kierunek do Nicei.

Pozostali przytakują, po części zadowoleni, po części nie, ale Kimberly wcale nie obchodzi Baz Bennett; wpatruje się w Nicka Cruickshanka, jakby chciała go rozgryźć.

Nick Cruickshank wykonuje szeroki gest, aby uzmysłwić jej, jak wiele osób ma się pojawić od dzisiejszego wieczoru do jutra.

– Dojdzie tu do regularnego najazdu, Kim, nic się nie bój.

Kimberly ma jednak w głowie trzy czy cztery konkretne nazwiska, które jej zdaniem dodadzą splendoru przedsięwzięciu i usprawiedliwią przyjazd aż tutaj.

– Kate kiedy będzie? – No właśnie, jak mogłoby jej zabraknąć. – A Brad z Angeliną? George i Amal? Beckhamowie?

– Zapytaj Aileen, to ona zajmuje się gośćmi. – Nick Cruickshank odwraca się do niej plecami, wychodzi przez jedno z drzwi tarasowych. Tricia nie odstępuje go jak pies gotowy do aportu, podąża za nim po trawniku.

Aileen stoi obok basenu, rozmawia, gestykulując, pośród grupy, w której skład wchodzi Tom Harlan, redaktorka naczelna, dziennikarka, kamerzysta i fotograf ze „Star Life” oraz inni, o których on nic nie wie. Tymczasem robotnicy i ogrodnicy przesuwiają drewniane stelaże, kopią doły, czekają na instrukcje. Aldino obraca głowę w lewo i prawo, aby kontrolować każdy ruch, choć wydaje się dość zmęczony swoją rolą w tym zamieszaniu.

– Szukałaś mnie? – Nick Cruickshank podchodzi do Aileen. Przypomina mu się, jak początkowo był zafascynowany jej gestami: wydawało mu się, że maluje rękami w powietrzu, jakby przepelniały ją zaskakujące zdolności.

– Oczywiście, że cię szukałam! – Aileen odwraca się z twarzą wykrzywioną ze złości, ale prawie od razu rozluźnia mięśnie i się uśmiecha; jest zbyt świadoma tego, jakich ludzi ma wokół siebie. – Próbujemy podjąć decyzję mniej więcej o tysiącu spraw! Twój wkład byłby nieoceniony!

– Do usług. – Nick Cruickshank także się uśmiecha, chociaż ma jedynie ochotę się oddalić i pochodzić sobie samotnie po lesie, najdalej, jak się tylko da.

Rzecz jasna, Milena Migliari wcale nie lubi, by ją badano, sondowano i mierzono w taki sposób. Nawet terminologia medyczna wydaje się jej odpychająca; nie istnieje choćby jedno słowo, które można by skojarzyć z jakimś przyjemnym obrazem. Cała ta sytuacja byłaby trudna do zniesienia, gdyby Milena Migliari była chora, ale jako osobie zdrowej wydaje się jej to zupełnie niedorzeczne. Tym bardziej zaś przeszkadza jej myśl, że do realizacji tego projektu kobiet bez mężczyzn i tak potrzebny jest samiec, który grzebie tam swoimi łapskami. Wkłada z powrotem majtki, spodnie i buty; jest czerwona na twarzy i dość rozdrażniona. Współczujące spojrzenie Viviane siedzącej na krześle obok lekarskiego biurka tylko dodatkowo ją irytuje.

Doktor Lapointe zdjął już lateksowe rękawiczki i teraz mówi o hormonach, które powinna zacząć brać od poniedziałku przez jakieś dwa tygodnie, aby stymulować jajniki i przygotować błonę śluzową endometrium. Zastrzyki będzie mogła robić jej Viviane: nie powinny być bolesne, bo igła jest tak cienka jak przy podawaniu insuliny cukrzykom. Po pierwszym tygodniu raz na dwa dni trzeba będzie robić badanie USG, aby sprawdzić liczbę pęcherzyków i grubość endometrium; po tym zaś, jak pęcherzyki osiągną pewną średnicę i liczbę, rozpocznie się przygotowanie do *pick-upu*. Czy Lapointe używa angielskiego terminu, żeby pokazać, jak nowoczesna jest jego klinika? Czy może po to, by całej procedurze przydać szczypty science fiction?

Viviane zebrała już wiele szczegółowych notatek podczas poprzednich spotkań, ale teraz je uzupełnia i starannie poprawia niebieskim długopisem w swoim zeszycie w beżowej okładce. Ze spokojem zadaje wszystkie niezbędne pytania, nie pozwala, by Lapointe popadł w ogólności lub skrył się za mętnym żargonem; siłą dodaje jej fakt, że dzięki wykonywanemu zawodowi jest jego quasi-koleżanką po fachu, a bycie rodowitą Francuzką, podobnie jak on, zapewnia jej dodatkową przewagę.

Natomiast Milenę Migliari – ilekroć znajduje się w nieprzyjemnej i skomplikowanej sytuacji jak ta teraz – ogarnia przeświadczenie, że nie posiada odpowiednich środków językowych. Być może to tylko kwestia czasu, ale po trzech i pół roku spędzonych we Francji zaczyna dochodzić do wniosku, że być może nigdy nie będzie się wyrażać z podobną swobodą, jaką ma w języku włoskim. Rozważania te powracają do niej za każdym razem, gdy rozmawia z pracownikiem banku lub z inspektorem z urzędu higieny; albo kiedy wdaje się w dyskusję z Viviane o polityce, sztuce lub życiu. Wobec takiego obrotu rzeczy

uznaje Viviane i doktora Lapointe'a za sojuszników: tych dwoje przeciwko niej jednej. Doskonale wie, że tak nie jest, że Viviane ogromnie na niej zależy i działa z myślą o ich wspólnych marzeniach i tak dalej. Niemniej jednak faktem pozostaje, że to ją poddaje się manipulacjom i to ją się bada, i że to ona ma się poddać stymulacji hormonalnej, i to jej będzie dotyczył *pick-up* jajeczek w Barcelonie, trzydzieści sześć godzin po podaniu gonadotropiny kosmówkowej. Wobec ponagleń Viviane doktor objaśnia, że koniecznie należy się trzymać wyznaczonych godzin, bo choćby nawet dwugodzinne spóźnienie lub przyspieszenie mogłoby wywołać produkcję pęcherzyków i niepowodzenie całego cyklu.

– W chwili pobierania będzie wykonywane badanie USG, zgadza się? – pyta Viviane, która choć nie studiowała medycyny, to na co dzień ma do czynienia z lekarzami, bo to oni podsyłają jej połowę pacjentów. I również ona zleca badania USG, nie chcąc naruszyć ścięgien czy uszkodzić pękniętych kręgow.

– Oczywiście. Hiszpanie podadzą jej lekkie znieczulenie. – Lapointe najchętniej obyłby się bez nacisków swojej quasi-koleżanki po fachu, ale z drugiej strony klinika, dla której pracuje, ma charakter komercyjny, co zobowiązuje go do pewnej dozy cierpliwości.

Milena Migliari zastanawia się, na ile skuteczne może być lekkie znieczulenie, bo czytała w Internecie, że w niektórych przypadkach pacjentów poddaje się całkowitemu znieczuleniu. A poza tym, co może wiedzieć Lapointe o tym, jak bardzo ona będzie odczuwać ból? Czy jemu wystarczyłoby „lekkie znieczulenie”, gdyby nakłuto mu igłą jądra?

– A wybór spermy? – Viviane lekko podnosi wzrok znad swojego zeszytu.

– Dokonają go moi koledzy z Hiszpanii według surowych kryteriów zgodności. – Lapointe wydaje się odczuwać satysfakcję, że jego prace przebiegają w obrębie dwóch państw. – Sperma zostanie dostarczona tego samego dnia, gdy nastąpi pobranie jajeczek.

Milena Migliari miałaby wiele pytań, ale za każdym razem Viviane ją uprzedza; co zdaje się nawet logiczne, zważywszy na jej znajomość anatomii i terminologii medycznej.

– Następnie jajeczka i plemniki będą przechowywane przez dwadzieścia cztery godziny w płynie hodowlanym. – Viviane odczytuje swoje zapiski, trzymając w ręku długopis, którym mogłaby dokonać ewentualnej korekty.

– Właśnie tak – potwierdza Lapointe, choć zaczyna wyglądać na nieco znużonego. – Potem moi hiszpańscy koledzy ocenią liczbę i jakość preembrionów. Liczba zapłodnionych jajeczek to średnio sześćdziesiąt procent, jeśli jajeczka i plemniki są dobrej jakości.

– To znaczy? – Viviane jest zdeterminowana, by wyjaśnić wszystko ponad wszelką wątpliwość.

Lapointe sili się nieco na uśmiech, ale opowiada dalej:

– Stosuje się skalę. Pierwszy stopień oznacza znakomitą jakość, czwarty zaś niedostateczną.

Milena Migliari zastanawia się, czy jej jajeczka okażą się znakomitej jakości czy tylko dobrej, a może niedostatecznej, odzwierciedlając jej wcześniejszy nieregularny tryb życia czy choćby niesprzyjające nastawienie. W trakcie pierwszej wizyty doktor objaśnił jej już (wcale nie wywierając na nią presji), że zdecydowanie lepiej nie zwlekać, biorąc pod uwagę, że jej „oocytowy dobytek” nie jest nieskończony „pod względem ilości i jakości” i z każdym rokiem ulega „niepowstrzymanemu zubożeniu”. Dosłownie tak. Zastanawia się, na ile Viviane mogłaby być rozczarowana ewentualnym niepowodzeniem przedsięwzięcia spowodowanym niedostateczną jakością jej jajeczek; być może by jej to wypominała, zaczęłoby to ciążyć nad ich związkiem niczym widmo. Ogarnia ją wściekłość na samą myśl o tym: w stosunku do Viviane, ale przede wszystkim do siebie samej, bo weszła w całą tę historię bez zbytniego przekonania, dała się nieść przekłębemu rozwojowi wypadków.

– A gdyby jakość jajeczek okazała się niedostateczna? – pyta Viviane, poprawiając okulary i patrząc na doktora z typowym dla siebie naciskiem.

Lapointe napina nieco mięśnie wokół ust.

– Moglibyśmy użyć gamet anonimowej dawczyni, która, rzecz jasna, podpisałaby pisemną zgodę na ich użycie.

– A dawczynią mogłabym być też ja. – Nie jest to ogólnikowa hipoteza wysnuta przez Viviane, lecz rezultat długich porannych i wieczornych dyskusji, podczas których przestudiowały wszelkie możliwości.

– Powiedzmy, że tak – potwierdza Lapointe.

Milena Migliari nie ma teraz ochoty na ponowne rozpoczynanie dyskusji na ten temat, ale w rzeczywistości myśl o tym, że miałyby użyczyć swojej macicy (i reszty ciała) cudzemu jajeczku zapłodnionemu nie wiadomo czym plemnikiem, nie podoba się jej wcale a wcale. Wielokrotnie jasno mówiła o tym Viviane: kto daje jajeczko, musi dać także macicę. Przecież obie ją mają; a poza tym takie jest prawo. Viviane odpowiedziała jej na to (jak zawsze), że to jej wkład do domowego budżetu jest większy i że z pewnością nie mogłaby przeprowadzać swoich masaży, mając wielki brzuch.

– Dotąd chyba wszystko jasne? – Viviane oczywiście woli przejść dalej, nie poprzestając zbyt długo przy tym szczególe.

– Aha. – Mileny Migliari nie stać na lepszą odpowiedź. Czy jest potworem, bo czuje się jak w potrzasku? Bo miałyby ochotę uciec z tej cholernej kliniki, tak by nikt jej już nie znalazł? Tyle rzeczy wolałyby robić w najbliższych miesiącach, zamiast zajmować się rozmnażaniem: chciałyby szukać nowych składników, nowych smaków, obmyślać nowe receptury, napisać książkę o lodach, o której myśli od dawna. Nie ma nic, ale to nic przeciwko dzieciom i ludziom, którzy chcą

je mieć; wystarczyłoby, żeby nikt ich od niej nie żądał, żeby zostawiono ją w spokoju.

– Dobrze. – Lapointe chce już zakończyć rozmowę; w poczekalni siedzą kolejne pacjentki aspirujące do prokreacji.

– A potem? – Viviane nie ma zamiaru kończyć wizyty, zanim nie uzyska pewności co do każdej kwestii.

– Potem preembriony zostaną wprowadzone do macicy za pomocą cewnika. – Tak, Lapointe miał już zdecydowanie dość, z trudem udaje mu się to ukryć. – Dwa lub trzy dni po *pick-upie*.

– A preembrionów jest średnio trzy. – Viviane wpatruje się w niego, gotowa podkreślić lub poprawić to, co już zapisała w zeszycie swoim okrągłym, regularnym charakterem pisma.

Lapointe kiwa twierdząco głową. – Staramy się nie przenosić ich więcej, aby uniknąć ryzyka ciąży mnogich.

– Które i tak istnieje? – Przynajmniej o to Milena Migliari musiała zapytać, choć знаła odpowiedź, bo już o tym rozmawiały.

– Powiedzmy, że tak. Ale istnieje możliwość, by je zmniejszyć. – Lapointe zaczął pisać coś w bloczku recept, aby podkreślić, że czas, który mógł im poświęcić, dobiegł już końca.

Milena Migliari wyobrażała sobie, że oto ma w brzuchu dwa lub trzy obce istnienia, które wysysają jej siły życiowe; to raczej horror niż film science fiction.

– Okay. – Viviane uznaje, że ten temat został zakończony, ale nadal nie ma zamiaru opuszczać gabinetu. – A efekty uboczne embriotransferu?

– Nie istnieją. – Lapointe kręci głową, już nawet nie podnosi wzroku. – Zaleca się jedynie, by przez cztery do pięciu dni siedzieć w domu i nie pracować, nie nosić ciężarów i nie uprawiać ćwiczeń fizycznych ani nie biegać po schodach i tak dalej.

– Nasz dom składa się z samych schodów. – W tonie Mileny Migliari pobrzmiwa nuta nadziei, jakby spodziewała się odpowiedzi, że w takim razie lepiej zrezygnować z zabiegu, że nie ma co nawet o nim mówić. – Na każdym piętrze jest tylko jedno pomieszczenie. Aby dostać się z kuchni do salonu, sypialni, łazienki, gabinetu i na taras, trzeba ciągle chodzić pod schodach.

– Wystarczy nie przesadzać. To kwestia zdrowego rozsądku. – Na ustach Lapointe'a pojawia się jeden z jego pobłażliwych uśmiechów, choć wcale na nią nie patrzy.

– Oczywiście. Potem miną jakieś dwa tygodnie, zanim ciąża zostanie potwierdzona, zgadza się? – Viviane odkłada długopis, zaciąga gumkę na beżową okładkę zeszytu.

– Tak – mówi Lapointe, podpisując receptę. – Kontrolę wykonamy w naszej klinice. Test ciążowy z badania krwi, po dwóch tygodniach USG, aby zobaczyć

stan owodni.

Milena Migliari myśli, że to właśnie terminy takie jak „owodnia” są dla niej przerażające. Ale dlaczego należy przykładać tyle wagi do jakiejś nazwy, w dodatku nieładnej i dosadnej? Ze względu na to, do czego się odnosi, ze względu na to, co zakłada? Czy jej instynktowna niechęć do bycia rodzicielką to powód do dumy czy do wstydu?

– Doskonale. – Viviane już wstała, rzuca okiem na zegarek, wyciągając rękę w niemal identycznym geście jak doktor Lapointe, z niemal identycznych powodów. Także na nią czekają pacjenci, w jej gabinecie w Draguignan; wyprawa do Grasse będzie ją kosztować dobre trzy godziny pracy, które będzie musiała później odrobić.

Lapointe odprowadza je do drzwi, obu ściska dłoń.

– Jak już mówiliśmy, prawdopodobieństwo powodzenia przy pierwszym podejściu wynosi czterdzieści procent. Tak więc należy ściskać kciuki i w razie czego próbować ponownie.

– Jasne. – Viviane żegna się z nim, unosząc podbródek.

– Tak. – Również Milena Migliari kiwa głową.

Viviane przyciska jej rękę do pleców, niemal spycha ją ze schodów.

Jak należy to interpretować? Czy to przejaw opiekuńczości, czy może zaborczości? Czy fakt, że lodziarnia nie przynosi jeszcze dochodów i że to Viviane będzie musiała zapłacić dziesięć tysięcy euro za zabieg, podróż do Hiszpanii i tamtejszy pobyt, jeszcze bardziej zaostri ich podział ról? Czy może tych pytań jest zbyt wiele? I przez to zagubiła się w dżungli domysłów, z której trudno będzie się wydostać? Czy nie lepiej byłoby raz na zawsze porzucić wątpliwości i z ufnością oddać się temu wspólnemu projektowi? Lecz czy takie rzeczy nie powinny dziać się w porywie serca, na fali wspólnego entuzjazmu? Czy powoduje ją tylko strach, jak twierdzi Viviane, czy może usprawiedliwiony niepokój, któremu powinna zawierzyć?

Nick Cruickshank zazwyczaj nikomu nie pozwala wchodzić do swojego studia, nie licząc Annette, pani sprzątającej, gdy jest to naprawdę konieczne. To dwa pokoje przechodnie, w mniejszym stoją biurko, krzesło i prowansalska kanapa ocalone przed radykalnymi zmianami wystroju wprowadzonymi przez Aileen. W większym pokoju znajdują się fortepian Steinwaya, gitary akustyczne i elektryczne, oraz inne instrumenty strunowe na stojakach, mikrofony na statywach, głośniki, monitory i miksery. To jedyne prawdziwie jego miejsce, jakie posiada w całym domu, może się tu zamknąć, by pomyśleć, popisać, pograć o każdej porze dnia i nocy, kiedy nie może spać lub nie ma ochoty nikogo widzieć, lub kiedy najdzie go natchnienie, by napisać nową piosenkę. Oto kolejny paradoks jego życia: im większy dom się zakupi, tym mniej się ma przestrzeni, w której można przebywać bez zakłóceń.

Tym razem jednak o zakłócenia postarał się sam; Baz Bennett od miesiący prosił go, by dał mu posłuchać rzeczy, nad którymi pracuje, więc on, korzystając z okazji, postanowił się dowiedzieć, co o nich sądzi. Musieli znaleźć jakąś wymówkę, aby zaszyć się tu tylko we dwóch, unikając przy tym towarzystwa Wally'ego, Rodneya i Todda.

Baz rozgląda się wokoło z szacunkiem dla twórczej samotni artysty, przemierzonym jednak z obawą, czy rzeczony artysta pracuje nad czymś dobrym, czy może marnotrawi swój czas. Jest menedżerem Bebonkersów od dwudziestu lat, od kiedy Stu Abrahams utopił się w swoim jacuzzi w Los Angeles; to on poprawił ich sytuację finansową, to dzięki niemu zdołali utrzymać się razem pomimo tysięcy nawracających kryzysów, to on wprowadza w ruch maszynę kontraktów, nagrań i koncertów. Nie ulega wątpliwości, że miał decydujący wpływ na to, iż stali się bogaczami, i że dzięki nim także on stał się bogaczem, ale trzeba przyznać, że jego praca wcale nie należy do łatwych; wcale a wcale.

Nick Cruickshank włącza maca i głośniki, majstruje przy Pro Tools, wyświetla na monitorze to, co wydaje mu się najbardziej udane spośród rzeczy, nad którymi pracuje. Melodia, którą stworzył na mandolinie oktawowej, zamiast na gitarze czy fortepianie, wyłoniła się w ten sam tajemniczy sposób, co jego najlepsze piosenki. Problem polega na tym, że nie ma zbyt wiele wspólnego z repertuarem Bebonkersów, chyba żeby sięgnąć po pierwsze dwa albumy, kiedy jeszcze eksperymentowali z różnymi dźwiękami i instrumentami i nie bali się zapuszczać na terytoria odległe od ich rockowo-bluesowego gruntu. Zanim postanowili, że lepiej będzie sprawę uprościć, skoncentrować się na kilku akordach

wygrywanych na dwóch gitarach elektrycznych, basie i perkusji ze sporadycznym dodatkiem fortepianu lub organów Hammonda, biorąc pod uwagę, że wychodziło im to tak dobrze i tak bardzo podobało się znacznej większości ich fanów. Zanim oni sami i inni łyknęli myśl, że są przywiązani do korzeni, choć prawdziwym powodem było to, że poszukiwania w innych kierunkach wymagałyby więcej wysiłku i niemal na pewno spotkałyby się z o wiele chłodniejszym przyjęciem mas. Zanim zaczęli przedstawiać swoje ograniczenia jako godny podziwu wybór. Ale czyż nie tak samo zrobili i inni? Który z popularnych zespołów nie powtarza w nieskończoność wypróbowanej formuły, rozpoznawalnej przez każdego już od pierwszych taktów (aż do znudzenia)?

Baz słucha, przechadzając się po pomieszczeniu z rękami w kieszeniach spodni; wygląda, jakby z wielką uwagą przypatrywał się orzechowym klepkom parkietu.

Nick Cruickshank ma całkowitą świadomość, że zawsze zabawowo traktował to, czym się zajmuje, a przynajmniej czynił tak bardziej niż jakiś dyrektor banku, inżynier czy polityk, przy czym nigdy nie ujawniał publicznie swoich artystycznych myśli. Problem polega na tym, że ludzie (w tym fani i Baz, który lepiej niż ktokolwiek inny powinien wiedzieć, jak mają się sprawy) są skłonni postrzegać jego pracę jako zabawę, niewymagającą wysiłku, smakowity owoc inspiracji. Czasem zastanawia się, czy nie lepiej byłoby zdradzić, jaki żmudny trud niesie za sobą każda z jego piosenek, niekoniecznie budując przy tym męczeński wizerunek twórcy, jak niektórzy jego koledzy (zazwyczaj przeciętni, którzy, tak czy owak, budowali sobie taki wizerunek od samego początku); ale za każdym razem dochodzi do wniosku, że byłoby to zupełnie nie *cool* i nie w zgodzie z jego duchem.

Kawałek się kończy; Baz odchrząkuje, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odzywa.

Nick Cruickshank patrzy na niego badawczo w ciszy swojego studia.

– No i?

Baz Bennett unosi głowę, na jego ustach pojawia się delikatny, wypracowany uśmiech.

– Cóż, ciekawe. Echa irlandzkiego folku, blues Deltę, barkowe wpływy, plemienny nerw. A równocześnie to stuprocentowo twój utwór, to nie ulega wątpliwości.

– Nie wiem. Tak mi wyszedł. – Nick Cruickshank myśli, że to wcale nieprawda, aby tak po prostu mu „wyszedł”: za tym cholernym kawałkiem stoją całe lata twórczych poszukiwań, przesłuchań, eksperymentów i prób.

– Jest bardzo sugestywny. – Baz wpatruje się w niego z tym swoim pokerowym wyrazem twarzy, z miną sfinksa.

– Ale? – Ton Nicka Cruickshanka staje się cierpki, bo jest jasne, że słowa

Baza kryją jakieś ale.

– Co chciałbyś z tym zrobić? – Baz mówi nader spokojnie; doskonale wie, że w każdej chwili może spotkać się z wybuchem agresji ze strony swojego artysty.

– Jak to: co chciałbym z tym zrobić? – Nick Cruickshank czuje, jak wzbiera w nim niebezpieczna fala, ale stara się nad nią zapanować. – Skończyć pisać słowa i nagrać utwór w studiu na następną płytę. Mam już ze trzy czy cztery kawałki w tym stylu.

– Na następną płytę Bebonkersów? – Baz lekko schyla głowę, jakby był na „tak”, ale wygląda, jakby mówił „nie”.

– Bo wydaje ci się nie do pomyślenia, żebyśmy mogli pokazać coś innego niż zwykle? – Wydaje się, że Nick Cruickshank zaraz zacznie wrzeszczeć lub ciśnie jakimś przedmiotem.

Baz rozkłada lekko ramiona, jego twarz nadal nie wyraża emocji.

– Cóż, powinieneś zobaczyć, co o tym sądzą inni.

– Ja chcę wiedzieć, co ty o tym sądzisz! – No proszę, już krzyczy, ale w kogo ma to być wymierzone? W Baza? W pozostałych? W niego samego? – Jeśli innych taki rodzaj muzyki nie interesuje, to nagram tę płytę sam!

Baz w ledwie zauważalny sposób wzrusza ramionami.

– Mówiłem ci już, to bardzo sugestywny kawałek. Nawet przepiękny.

Nick Cruickshank już ma coś krzyknąć, ale niespodziewanie dopada go poczucie pustki, które wygasza jego gniew. Fakt jest taki, że próbował już solowej kariery, podobnie jak inni, i poszło mu równie źle jak innym. Każdy z nich był przekonany, że popularność, jaką cieszy się grupa Bebonkers, przekłada się na jej jednostkowych członków; sądzili, że mogą pozbyć się zespołu, tymczasowo lub na zawsze, poświęcić się muzyce, jaka naprawdę ich interesuje. Tymczasem odkryli, że liczba fanów gotowych śledzić ich indywidualne poczynania to jedynie maleńki ułamek słuchaczy zespołu. Ludzi interesują Bebonkersi i kropka; wszelka próba oddalenia się od zespołu jest postrzegana jako zdrada, a przynajmniej jako egocentryczny wybryk, co najwyżej jako rozrywka wypełniająca pustkę między płytami i trasami koncertowymi zespołu.

– Ja jedynie próbuję zrozumieć, co może być dobre dla Bebonkersów, a co nie, Nick. – Baz wie, że nie musi już nic dodawać; w gruncie rzeczy jest świetnym menedżerem właśnie dlatego, że nie jest wielkim człowiekiem. Nickowi Cruickshankowi i pozostałym zajęło wiele czasu, zanim zrozumieli, że nie ma sensu szukać wspianego przyjaciela do kontaktów z wytwórniami płytowymi i organizatorami koncertów. Wystarczy pomyśleć o Timie Hotchinsonie, który tak się starał, żeby załatwić im pierwsze angaże, i zabrał ich w podróż przez pół Anglii swoim starym busem marki Ford: ale gdy przyszło do pertraktowania z grubymi rybami, nie podołał zadaniu. Albo Stu Abrahams, którego przez tyle czasu uważali za piątego członka zespołu – tuż przed śmiercią, w ramach wielkiej przyjaźni,

niemal doprowadził ich do ruiny. Prawda jest taka, że każdego dnia powinni dziękować Bazowi, choć narzekanie na niego stało się ich wspólnym refrenem. Pewnie, skoro dajesz Bazowi Bennettowi odsetki od każdego zarobionego funta, euro czy dolara, nie możesz narzekać, że wpycha cię na najbardziej wydeptaną ścieżkę. Robi to z umiarem, bo doskonale wie, że istnieją granice, że Bebonkersi mają reputację, którą należy chronić, i że istnieje tak zwana uczciwość wobec sztuki, którą cenią sobie ich fani. Znakomicie wie, że jeśli chce sprzedać jakąś piosenkę do reklamy, musi bardzo dobrze wybrać produkt, aby uniknąć katastrofalnego efektu bumerangu. Jedna marka samochodów może być, inna zupełnie nie; jedna sieć supermarketów tak, inna nie. To gra o zachowanie równowagi, w której z ogromną uwagą należy rozważać relację między dochodami a wizerunkiem; a Baz Bennett potrafi robić to lepiej niż ktokolwiek inny, to niezaprzeczalne.

Podobnie jak niezaprzeczalne jest to, że głównym powodem, dla którego trzymają go przy sobie od dwudziestu lat, są pieniądze, choć lepiej się czują, mówiąc, że ich prawdziwym priorytetem jest dotarcie do jak największej liczby ludzi. A jaki byłby cel dotarcia do jak największej liczby ludzi? W gruncie rzeczy wszystko przekłada się na liczbę pobrań i sprzedanych biletów, które z kolei przekładają się na sumy na kontach bankowych, te zaś przekładają się na liczbę butelek szampanów rocznikowych, które Wally może żłopać, jakby to było piwo (po tym jak pieczołowicie je obfotografował i opublikował zdjęcia na Instagramie). Także Rodney jest prawdziwie uzależniony od pieniędzy; podobnie jak przez lata nie mógł żyć bez seksu i koki (co zresztą sporo go kosztowało), nie mógłby się już obyć bez rollsa, bentleya i ferrari, bez swoich jachtów, ubrań i gitar z gałkami z litego złota dekorowanych czarnymi perłami. Nawet Todd, który myśli o wiele trzeźwiej od pozostałych i zapewne nigdy nie postawił nogi w Monte Carlo, lubi piękne, komfortowe rezydencje, zbiera cenne obrazy, gra w golfa i nosi ubrania szyte przy Savile Row.

A on? Jaki stosunek do dóbr materialnych ma Nick Cruickshank? Choć nie chce tego przyznać sam przed sobą, podobnie jak pozostali stał się poważnym inwestorem. Prawdą jest, że często powtarza, iż ceni pieniądze za wolność, jaką mu dają, i że mógłby się obyć bez dziewięćdziesięciu procent tego, co posiada, ale czasem nachodzą go wątpliwości. Na szczęście w jego dziedzinie liczy się wizerunek, a budowanie wizerunku wychodzi mu na tyle dobrze, że jest on wiarygodny nawet wtedy, gdy nie zgadza się z jego prawdziwym życiem. Ale kto zna jego prawdziwe życie? Ludzie widzą to, co pokazuje na scenie, wychwytują ton jego wypowiedzi w wywiadach, tak przerysowanych, że niemal grożą uwięzieniem go w stereotypie. (I to dosłownie: w ubiegłym roku Baz otrzymał propozycję od Dreamworks, by zamieścić wzorowaną na nim postać w kreskówce, pretraktował przez całe tygodnie, aż w końcu sobie odpuścił, bo nie chcieli

wystarczająco zapłacić). Wydaje się, że wytworzył się swego rodzaju wymóg, aby jak najczęściej okazywał „buntowniczego ducha”, cokolwiek miałyby to teraz znaczyć; nie wpadł jeszcze w fazę desperackiego chwytania się maski, której nie da się utrzymać. Jeśli odrzucić wszelkie przejawy fałszywej skromności, niewielu jest frontmanów, choćby sporo młodszych, którzy potrafiliby wzbudzić tyle emocji z taką samą intensywnością. Także wtedy, gdy poddaje się najbardziej krytycznej samoocenie, nie uważa, by jego charyzma osłabła. Jego głos nadal jest silny, tembr się nie zmienił. Jego ruchy nadal są sprężyste, jego wytrzymałość nie spada; może stać na scenie dwie godziny bez przerwy i śpiewać pełnym głosem, nie ryzykując przy tym, że dojdzie do wpadki czy że będzie wyglądał żałośnie.

Tak, ale czy jest sens, by ciągnąć to dalej? Czy ma powody? Na ile przekonująco mogą brzmieć jeszcze piosenki takie jak *Hard Hard Hard* czy *One Push Too Far* lub *On The Brink*, słuchane przez kogoś, kto zawczasu nie został zjednany dla sprawy? Czy to całe odzwierciedlanie gamy nastoletnich nastrojów – od frustracji seksualnych po społeczne bolączki i cierpienia wieku dorastania – nie brzmi śmiesznie w ustach dojrzałego mężczyzny, który tyle dostał od społeczeństwa, przeciw któremu z początku przeciwstawiał się z obrazoburczą wściekłością? Jak dzisiejsza osiemnastolatka czy osiemnastolatek mają uznać za słuszne jego (powierzchowną) krytykę stanu rzeczy i jego nawoływania (równie powierzchowne) do buntu? A jednak tak się dzieje, choć to niewiarygodne. Być może w jego wypadku, jak i w wypadku pozostałych bebonkersów, wchodzi w grę podobny brak wiary, jaki towarzyszy rozgrywkom wrestlingu, gdy publiczność doskonale wie, że każdy cios, upadek, wyraz furii czy bólu są udawane, a mimo to wszyscy krzyczą, tupią, klaszczą, płaczą i się zachwycają?

Lecz to nie takie proste, bo choć od dłuższego czasu stali się komercyjną machiną, ilekroć on i pozostali bebonkersi znajdują się na scenie i zaczynają grać swoje piosenki sprzed dwudziestu, trzydziestu czy trzydziestu pięciu lat, to w nie wierzą. Naprawdę. Być może nie w pierwszą piosenkę, ale w drugą już tak, lub w trzecią. Wystarczy się rozgrzać, a wtedy muzyka sięga po ich pierwotną duszę, niemal z tą samą intensywnością jak kiedyś: po cierpienia, oburzenie, wściekłą żądze innego świata. Pomimo wszystko, pomimo tego, jakimi się stali, pomimo nieskończonej słabszych utworów, które dziś piszą. Kiedy grają i śpiewają swoje najlepsze kawałki, nie tylko publiczność im wierzy; wierzą sobie także oni. Być może właśnie dlatego ich pierwsze utwory od lat zajmują coraz więcej miejsca w programie w porównaniu z ostatnimi. Rzecz jasna, to wszystko trwa, dopóki trwa koncert, do końcowych aplauzów; potem dosyć, trzeba wrócić do prawdziwego życia.

Czasami Nick Cruickshank zastanawia się, czy Bebonkersi nie mogliby wykorzystać światowej sceny, do której jeszcze mają dostęp, by powiedzieć coś istotnego o tym, co nie działa w dzisiejszym świecie, zamiast w nieskończoność

powtarzać śpiewkę o powierzchownym buncie sprzed trzech dziesięcioleci. Zastanawia się, czy nie mogliby poruszać w swoich utworach bardziej sprecyzowanych tematów, takich jak: nieudolni i skorumpowani politycy, fundamentaliści religijni, korporacje handlujące w Internecie, giganci komunikacji, koncerny naftowe i tytoniowe, producenci broni, wielkie banki zawłaszczające obywatelskie mienie, spółki dewastujące i plądrujące planetę. Czy udałoby im się wyrzucić jakieś konkretne skutki? Popchnąć słuchaczy do swego rodzaju bojkotu na szeroką skalę, do powszechnego odstąpienia od reguł gry?

Dość zręcznie potrafi już odpowiadać na takie pytania, czy to wtedy, gdy zadaje je sobie sam, czy wtedy, gdy dostaje je od fana starej daty, któremu udało się przedrzeć przez ochronę, czy wtedy, gdy stawia je dziennikarz próbujący wyjść poza stereotypy nakreślane przez setki jego kolegów. Naturalnie przyjmuje ironiczny ton, podkreśla, jak niemożliwy jest bunt przeciw regułom w dzisiejszym społeczeństwie, bo reguły zrobiły się już elastyczne, a transgresja stała się masowym produktem jak wszystko inne, można ją kupić za pomocą każdego cholernego komputera, tabletu czy komórki lub w każdym supermarkecie. Praktycznie rzecz biorąc, to, co robi, wiąże się z uznaniem braku swojego znaczenia, choć udaje mu się sprawić wrażenie, że wygłasza swego rodzaju krytykę społeczną lub jawi się jak swoisty dysydent, głos spoza tłumu. Ale przecież od długiego czasu jego głos, jak również głos Bebonkersów, był częścią tłumu, choć fani nie chcą tego przyjąć do wiadomości. Kiedy nagrywali *Enough Isn't Enough*, wydawało się im to niemal hymnem rewolucyjnym, do tego stopnia, że BBC odmówiło puszczenia piosenki na antenie; dziś utwór jest powszechnie znany. Kilka miesięcy temu poproszono go nawet o użyczenie praw na potrzeby reklamy telewizyjnej jakiejś firmy produkującej biszkopty i płatki śniadaniowe!

Nie trzeba wiele, by zrozumieć, że lepiej porzucić myśli o pisaniu żarliwych utworów o wiele ostrzejszych w swojej wymowie niż te niegdysiejsze. Pomijając już ewentualne sprawy w sądzie i ostracyzm oraz fakt, że być może z muzycznego punktu widzenia nie byłyby czymś wielkim. Kogo tak naprawdę mogłyby zainteresować? Mikroskopijną grupkę idealistów? Utopistów? Fanatyków? Czy byłyby w stanie poruszyć opinię publiczną? Wątpliwe; nawet gdyby pozostali bebonkersi byli gotowi podjąć się z nim podobnego przedsięwzięcia (co jest zupełnie nieprawdopodobne) i zdołaliby przemóc opory Baza (co jest praktycznie niemożliwe), to skutki finansowe niemal z pewnością byłyby katastrofalne. I jest niemal równie pewne, że nikt nie potraktowałby ich poważnie: wyglądałoby to tylko na sprytny chwyt marketingowy, cyniczną próbę odzyskania dziewiczości, spekulację ziemskimi bolączkami w celu odświeżenia wizerunku. Stałoby się tak nawet wtedy, gdyby postanowili przekazać zysk ze sprzedaży płyt i z koncertów na cele dobroczynne; wystarczy spojrzeć na bezmyślne oskarżenia i głupkowate komentarze towarzyszące koncertowi zaplanowanemu na niedzielę.

Przede wszystkim zaś dlaczego mieliby używać swojej muzyki, aby uruchomić siły potencjalnie niszczycielskie poza rytualnym kontekstem, poza dającą poczucie bezpieczeństwa przestrzenią stadionu czy hali sportowej? Bo jest tak wiele rzeczy, które nie działają w świecie, tyle rzeczy niewłaściwych i nie do zaakceptowania? Ale cała ich czwórka już dość wie o życiu, by zrozumieć, że brak stabilizacji niekoniecznie jest lepszy od stabilizacji, przede wszystkim gdy chodzi o złożone systemy społeczne. Wystarczy spojrzeć na Bliski Wschód lub Afrykę Północną, aby przypomnieć sobie, że państwo dyktatorskie jest lepsze od państwa w zapaści, będącego ofiarą najdzikszej wojny domowej; lub rozejrzeć się wokół po świecie Zachodu, aby zrozumieć, że wadliwa demokracja zawsze będzie czymś lepszym od demokracji znajdującej się w szponach jakiegoś improwizującego populisty z pianą na ustach. Fanatycy i aspirujący dyktatorzy czają się za każdym poruszeniem mas, gotowi grozić stryczkiem i trzymanymi w zanadrzu tajnymi teczkami; i jest wysoce nieprawdopodobne, by mieli poradzić sobie lepiej od tych, których chcą zastąpić.

A zatem? A zatem nic. Bebonkersi dopóty będą grać *Enough Isn't Enough* z wściekłą werwą, dopóki dadzą radę, i dziesiątki tysięcy ludzi będą skakać na trybunach lub na łące uniesionych falą dźwięków o natężeniu stu dwudziestu decybeli, potrząsając rękami i czerwieniąc się na twarzach, i wyrzucając z siebie wszelkie frustracje nagromadzone w ciągu całego życia, a potem wieczorem wrócą do domów wyczerpani i zadowoleni i następnego dnia pójną do pracy, i opowiedzą kolegom, że byli na koncercie Bebonkersów, którzy mimo upływu lat nie stracili nic ze swojej pierwotnej wściekłości, wprost przeciwnie.

– Mówisz, że mógłbym dostać herbatę z cytryną? – Baz uśmiecha się jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów, który, tak czy inaczej, jest lodowaty.

– Mówię, że tak. – Nick Cruickshank odczuwa ulgę na myśl, że uda mu się porzucić te myśli i wydostać ze studia; idzie otworzyć drzwi i wypycha Baza na korytarz.

Milena Migliari idzie dziarskim krokiem wysoko położoną drogą prowadzącą z Seillans do Fayence, po zboczach przedgórza, chociaż wie, że wkrótce zabraknie światła. Ale zostawiła furgonetkę na parkingu za sklepem i nie ma ochoty siedzieć w domu, jak poradziła jej Viviane – zanim udała się pospiesznie do swojego gabinetu w Draguignan – tonem osoby mówiącej do kogoś na wpół chorego, kto powinien oszczędzać siły. Poza tym za wszelką cenę chce sprawdzić, jak wyszły lody kasztanowe; mimo że Guadalupe powiedziała jej przez telefon, że wykonała wszystko skrupulatnie zgodnie z instrukcjami, musi je obejrzyć i ich spróbować, aby mieć pewność. I choć jest wysoce nieprawdopodobne, by ktoś zjawił się po lody późnym popołudniem w czwartek, to przecież zawsze może się tak zdarzyć; w takiej burzliwej chwili jak ta bardzo potrzebowałyby jakiegoś potwierdzenia sensu tego, czym się zajmuje.

Lubi chodzić takim energicznym krokiem, bo wówczas wszystkie mięśnie jej ciała pracują, a jej samej myśli się tysiąc razy lepiej niż wtedy, gdy siedzi zamknięta w pokoju. Wydaje się jej to także sposobem na potwierdzenie swojej znajomości terenu, metr po metrze, murek po murku, drzewo po drzewie, żywopłot po żywopłocie, zakręt po zakręcie. Już dobrze zna okolicę; czuje się tu prawie jak w domu, choć jeszcze nie do końca. Ale nie ma miejsc, w których czułaby się naprawdę jak w domu; nawet w Weronie, gdzie się urodziła, nawet w Padwie, gdzie studiowała języki obce, nawet w innych miastach, w których spędziła całe miesiące czy lata z powodów naukowych lub zawodowych, czy po prostu zwiedzając świat. Często zastanawiała się, czy dotyczy jej syndrom bezpieczeństwa, od którego nigdy nie zdoła się uwolnić, czy może prędzej czy później odnajdzie miejsce, które będzie jej całkowicie odpowiadało, w sposób zupełnie naturalny, bez zbędnych starań. Czasem obawia się, że zażyłość z miejscem jest równie złudna jak zażyłość z ludźmi czy przedmiotami, z samym sobą, że to mrzonka zrodzona z powtórzenia, które powoduje przewidywalność, a ta z kolei wywołuje poczucie bezpieczeństwa. Trochę jak chodzenie po tej drodze, którą przebywała już tyle razy, że zna ją na pamięć, ale która z pewnością do niej nie należy. Wystarczyłoby, żeby ktoś przejeżdżający samochodem wykrzyknął do niej jakieś świństwo lub by jakiś warczący pies wyszedł z któregoś z ogrodów, szczerząc zęby, a od razu poczułaby się zagubiona, jakby zepsuł się jej kompas.

Odkąd pamięta, powracają do niej dwa sny – dobry i zły. W tym dobrym powoli zanurza się w morzu i kiedy jej głowa znika już pod wodą, nagle zdaje

sobie sprawę, że może oddychać. Ogarnia ją uczucie błogości i euforii na myśl, że może się oddać podwodnym poszukiwaniom, zabawom i fikołkom, a nikt stojący na lądzie jej nie zobaczy. W złym śnie natomiast znajduje się w mieście lub wiosce, której zupełnie nie zna, i nagle zauważa, że nie ma torby z portfelem, telefonem i innymi rzeczami, nie ma pojęcia, dokąd pójść ani skąd przyszła, ani dlaczego, nie pamięta imion swoich przyjaciół i znajomych, których mogłaby poprosić o wskazówki; nie pamięta nawet, jak się nazywa. Ilekroć jej się to śni, budzi się roztrzęsiona, zlaną potem, z walącym sercem i tak przerażona, że nie może zasnąć. Zazwyczaj oba sny wracają naprzemiennie, z kilkumiesięcznymi przerwami, ale ostatnimi czasy ten zły śni się jej częściej. Nie trzeba konsultacji psychologa, by dostrzec związek z jej życiowymi wątpliwościami i niepokojem, z poczuciem obcości i zagubieniem, jakie ciągle nią targają.

A jednak kiedy zjawiły się tu z Viviane po raz pierwszy, tamtego lata, gdy się poznały, wydawało się jej, że jest w domu: nawet jeszcze zanim znalazły prawdziwy dom, w którym obecnie mieszkają, kiedy wynajmowały małe mieszkanie nad pasmanterią *madame Voclain*. Chociaż gnieździły się w jednym pokoiku z aneksem kuchennym, a łazienka była tak maleńka, że biorąc prysznic, nie można było wyprostować rąk, do wilgotnego ciała zaś przyklejała się plastikowa zasłonka w kwiatki. Wtedy nigdy nie pragnęła mieć więcej przestrzeni lub lepszego widoku od tego, który miały na maleńki dziedziniec z drzewem figowym w rogu. Bycie w domu oznaczało wówczas po prostu bycie z Viviane; to one stanowiły dom. I nadal czuła się jak w domu, kiedy przeniosły się do mieszkania piętro wyżej, gdzie miały dwa pokoje i kuchnię z prawdziwego zdarzenia, w której mogła przygotowywać swoje lody bez zbędnej ekwilibrystyki.

Gdy o tym pomyśleć, to przestała czuć się jak w domu właśnie wtedy, gdy kupiły dom: z przeszklonym patio, o tyle piękniejszy i solidniejszy od ich poprzednich mieszkań, wybrany jako miejsce ich zamieszkania na czas nieokreślony, nie zaś na kilka tygodni czy miesięcy. Co to oznacza? Że jedyny dom, w którym potrafi się czuć jak w domu, nie jest materialny, lecz duchowy? To dom emotywny? Miejsce z samej definicji nienamacalne, nietrwałe, podległe zmiennym kolejom wrażeń i uczuć?

A zatem jej domem byłby jej charakter? Jej tak zwana osobowość? Jej marzenia, choćby nieokreślone? Jej ciało, choć nieraz wolałaby, żeby wyglądało inaczej? Jej kobiecość, z wszelkimi wspaniałymi i niemożliwymi do przyjęcia konsekwencjami? Jej praca? Jej pasja do lodów, poświęcany im czas i poszukiwania, wywoływana przez nie radość i zmartwienia? Gdyby była mężczyzną, zapewne powiedziałyby, że tak; mężczyźni całkowicie utożsamiają się z tym, co robią, jak żółwie, które zabierają ze sobą skorupę, dokądkolwiek pójdą. Dom mogą, owszem, kupić, ale nie będą się nim zajmować; zostawiają to kobietom. A kobiety biorą na siebie ten obowiązek z poczucia powinności lub dla

przyjemności, lub ze swego rodzaju naturalnego powołania, także wtedy, gdy mają tysiące innych obowiązków; ostatecznie poświęcają temu niewiarygodną ilość czasu i energii. W zasadzie to tyle co konserwacja jakiegoś pojemnika: czyszczenie, naprawy, weryfikacja sprawności i komfortu, pokój po pokoju, mebel po meblu, przedmiot po przedmiocie. Tak, ale wcześniej nie mówiła o domach, mówiła o tym, jak czuć się w domu, o całkowitej zażyłości z kawałkiem świata. Cóż, jej to nigdy nie spotkało. Nawet gdy była dzieckiem, nawet wtedy, gdy jej rodzice byli jeszcze ze sobą i wydawało jej się, że w jej życiu jest coś określonego wobec bezkształtu wszechświata. Od tamtej pory gdziekolwiek była, zawsze odnosiła wrażenie, że jej relacje z danym miejscem mają charakter prowizoryczny. Co, rzecz jasna, nie było tylko nieprzyjemne; świadomość, że prędzej czy później będzie mogła skądś odejść lub wydostać się z jakiejś sytuacji, uratowała jej życie niezliczoną ilość razy, ocaliła jej ciekawość i chęć poznawania.

Niemniej jednak jeśli ktoś nigdzie nie czuje się jak u siebie w domu, jak może wziąć na siebie odpowiedzialność wydania na świat innej osoby? Aby skazać i ją (lub jego) na to, by nigdzie nie czuła się jak w domu? A może wydanie na świat innej osoby mogłoby okazać się sposobem, by poczuć się wreszcie jak w domu? Czy rozwiązanie mogłoby na tym polegać? Na założeniu rodziny? Ale czy nie czułaby się jak w pułapce przez całe kolejne lata? Jak działało się, gdy była z Robertem lub innymi mężczyznami przed nim, kiedy byli tylko we dwoje i od czasu do czasu, a także czysto hipotetycznie, rozmawiali o rodzinie? Jak dzieje się teraz, gdy jest z Viviane, na długo przedtem, zanim tak zwana inna osoba zacznie się urzeczywistniać? Jak zaczęło się dziać wtedy, gdy wraz z Viviane kupiły dom, a ona przestała się czuć jak w domu?

Wydaje się jej, że olbrzymia większość ludzi w ogóle nie widzi w tym problemu; jeśli nie liczyć tych, którzy domu nie mają, bo zniszczyły go wystrzały armatnie lub musieli go opuścić, bo nie mogli sobie pozwolić na opłacenie czynszu, miliardy ludzi czują się jak w domu tam, gdzie są. Czują się jak w domu również w najbrzydszych i najbardziej przygnębiających domach, w tych najbardziej wystawnych, konwencjonalnych czy odstręczających, w tych, które mają widok na ruchliwą miejską aleję lub na basen w kształcie serca, lub na północne zbocze doliny, dokąd nigdy nie dociera słońce. Nigdy tego nie robiła, ale jest pewna, że gdyby zapukała do jakichkolwiek drzwi i zapytała tego, kto jej otworzy, czy czuje się jak w domu, w odpowiedzi usłyszałyby, że tak. Z pewnością popatrzyliby na nią jak na wariatkę i byliby gotowi do obrony terytorium, przepelnieni roszczeniową dumą podkreślaliby związek ze swoim domem, widzialnym i namacalnym dowodem na to, że legalnie zajmują mały kawałek świata.

Być może problem polega na tym, że ona nie jest normalną osobą; że w gruncie rzeczy jest osobą nieprzystosowaną, z głową pełną pomysłów, które

nigdy nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. A świat rzeczywisty to dostrzega i kiedy tylko może, wali ją obuchem, aby przypomnieć, kto jest silniejszy; lub też próbuje otoczyć ją murem, zamknąć przed nią drzwi, kiedy ona instynktownie chciałaby uciec, by pooddychać świeżym powietrzem i spojrzeć w niebo.

Powraca do tych rozważań nazbyt często i nigdy nie doprowadziły jej do jakichś pożytecznych wniosków. Milena Migliari zmusza mięśnie nóg do wysiłku, kroczy naprzód najszybciej, jak potrafi. Już widzi Fayence, wraz z domkami osadzonymi na zboczach, zamieszkanymi przez ludzi, którzy nie mają najmniejszych wątpliwości, że czują się jak u siebie.

O dziesiątej wieczorem Nick Cruickshank wstaje od stołu, zanim kolacja dobiega końca, jako wymówkę podając, że musi zadzwonić. Nie zwraca uwagi na Wally'ego, który ryczy za nim co najmniej dwukrotnie: „Zadzwonić do kogo?”; wkłada bluzę i kurtkę, wyslizguje się na zewnątrz, tak że nawet Aldino tego nie zauważa. Nie myśli o jakimś konkretnym miejscu, gdzie mógłby pójść; jedyna rzecz, która go interesuje, to uciec od tego zgiełku, spojrzeń, gestów, od tej całej paplaniny, roszczeń i uwag, tak agresywnych i jednocześnie tak błahych, które zawładnęły jego przestrzenią życiową.

Wsiada do małej mazdy, rusza powoli przy zgaszonych światłach, pokonuje plac za domem i aleję aż do bramy, wciska przycisk na pilocie; za ledwie jest na zewnątrz, odczuwa ulgę niczym zbieg. Włącza światła, jedzie wolno drogą ciągnącą się wzdłuż kamiennego muru po jednej stronie i obsadzoną drzewami po drugiej, aż do rozwidlenia prowadzącego do Mons i Callian. Przez sekundę lub dwie waha się, czy pojechać w góry, czy też zjechać na nizinę, wybrać gęste ciemności, czy te nieco rozświetlone, po czym udaje się w prawo, w stronę Callian. Nie wrzuca kolejnych biegów, czubkiem stopy przyciska pedał gazu najdelikatniej, jak to możliwe. I tak po dziesięciu minutach jest już w miasteczku; w okolicy nie ma nikogo, wydaje się, że jest o wiele później niż w rzeczywistości. Jakby bezwiednie jedzie dalej drogą, biernie daje się wieść prowadzącym w dół zakrętom. Nie może skupić się na żadnej myśli, ale nachodzi go to samo uczucie ogólnej nieprzynależności, które odczuwał jako dziecko i potem jako chłopak i dorosły, ilekroć zrywał więzi łączące go z jakąś sytuacją, z racji niecierpliwości czy cierpienia, z nudów, z głupich lub oczywistych powodów, w wyniku nieporozumienia, dochowując wiary zasadom lub tkwiąc w błędzie.

Dojeżdża do nisko położonej drogi, skręca w prawo, jakby płynął z nurtem. Mija Turrettes pod Fayence; zmierza prosto w stronę Draguignan, ale w ostatniej chwili skręca w prawo, samochód wspina się w górę krętą drogą pchaną tą samą siłą bezwładu co przedtem. Dojeżdża do miasteczka, przejeżdża pod łukiem urzędu gminy, dociera na wielopoziomowy parking pod gołym niebem, który latem nie jest w stanie pomieścić samochodów turystów, a teraz stoi niemal pusty. Przez chwilę zastanawia się, czy jechać dalej i wrócić do domu, tymczasem jednak skręca w lewo, zajmuje przypadkowe spośród kilkudziesięciu wolnych miejsc.

Wysiada. Powietrze jest wilgotne, temperatura o wiele niższa niż w ciągu dnia, wokół unosi się mgła. Nick Cruickshank schodzi po schodach w stronę miasteczka, mija wystawę sezonowego baru ozdobioną powiększonymi zdjęciami

hamburgerów, tostów i lodów w absurdalnych kolorach, potem wystawę jednego z wielu biur nieruchomości ze zdjęciami pseudoprowansalskich willi i domków z basenem na pierwszym planie.

Fayence jest opustoszałe, podobnie jak Callian: nie ma ani jednego samochodu na głównej ulicy, którą przejeżdżał trzy minuty temu. Jedyne otwarte lokale to bar obok sklepu z miejscową tandetą – za oświetlonymi szybami rysuje się kilka sylwetek w ruchu; z nielicznych budynków przez listewki zamkniętych okiennic przeziernie światło telewizorów. Ów półletarg, w jaki zapada cała okolica poza sezonem, staje się jeszcze bardziej odczuwalny nocą, gdy wokół zalega gęsta, niemal monolityczna cisza. Ale jutro przynajmniej niektórzy z gości sobotniej imprezy przyjadą tu w poszukiwaniu miejscowego kolorytu; każą sobie otworzyć jedną czy drugą restaurację, przywiozą ze sobą trochę pieniędzy, wniosą trochę ruchu i dźwięków. Z pewnością znajdzie się jakiś dziennikarz lub fotograf poszukujący ciekawych bohaterów, najlepiej w pobudzonym stanie albo z kochankiem u boku. Z pewnością znajdą się też fani czekający na cudowne spotkanie i jacyś miejscowi ciekawscy, i jacyś stalkerzy. Następnie w sobotę na lotnisko przybędą ci, którzy pragną zająć miejsce na trawie z jednodniowym wyprzedzeniem; rozłożą namioty i śpiwory jak najbliżej sceny. Wbrew rozporządzeniu burmistrza, który uznał, że to niewskazane ze względów higieny i bezpieczeństwa, niemniej podobnie jak jego koledzy z innych wiosek w gminie cieszy się z tak głośnego przedsięwzięcia z udziałem tylu ludzi, telewizji, z tego, że nazwa jego miejscowości okrąży świat.

Wystawa lodziarni Włoszki Mileny Migliari jest ciemna, podobnie jak pobliskiego sklepu jubilerskiego; nieco dalej, w pizzerii – to samo. Na rynku, gdzie trzy razy w tygodniu ustawiane są stragany z owocami, warzywami i serami, słabe reflektory oświetlają ciepłym światłem fasadę kościoła i platan. Pośród tej pustki spostrzeżać może kilkanaście osób tworzących koło; kołyszą się na nogach i poklepują nawzajem po plecach niczym w spokojnym tańcu plemiennym bez muzyki.

Nick Cruickshank naciąga kaptur bluzy na głowę, przychodzi mu to naturalnie w tych rzadkich okazjach, gdy zdarzy mu się samotnie trafić pośród ludzi. Zastanawia się, z jakiego powodu ci tutaj się zgromadzili: to *flash mob* protestujących czy świętujących? Za czym? Przeciw czemu? I jaki sens może mieć *flash mob* w miejscu, gdzie nikt go nie ogląda – oprócz niego, który niezauważenie obserwuje ich z góry, opierając się plecami o wilgotną ścianę budynku. Chyba że to fani Bebonkersów, którzy z trzydniowym wyprzedzeniem przybyli na koncert, chcą rozgrzać się w jakiś sposób i wypełnić czas. To się zdarza; znoszą spanie na ziemi, w zimnie, a nawet w deszczu przez kilka nocy z rzędu, tylko po to, by zaznaczyć teren przed innymi, zyskać sobie prawo pierwszeństwa, doładować się okresem oczekiwania. Niemniej jednak gdyby to byli fani Bebonkersów, z pewnością

mieliby ze sobą przenośny odtwarzacz, na którym słuchaliby ich piosenek, lub przynajmniej komórkę z minigłośnikiem bluetooth, albo gitarę, na której by brzdąkali; fałszowaliby w chórze, podawali by sobie puszki i butelki piwa, skręty, fajki chillum. Tymczasem ci tutaj pogrążeni są w ciszy i panuje wśród nich taka harmonia, takie skupienie.

Nick Cruickshank rusza w dół, w stronę rynku, stąpa ostrożnie, skrywając się w cieniu. Aldino oszalałby, gdyby się o tym dowiedział; znów zacząłby tę starą śpiewkę, że jaki jest sens płacić mu słono za czuwanie nad bezpieczeństwem, by potem nie zważać na środki zapobiegawcze i bez powodu wystawiać się na rzeczywiste zagrożenie. On odpowiedziałby mu, że przesadza, że niebezpieczeństwo w zasadzie nie jest takie rzeczywiste, choć doskonale wie, że jest. Pośród fanów istnieją przecież szaleńcy, których uwielbienie może łatwo przerodzić się w nienawiść. Johna zabił pięcioma wystrzałami z pistoletu ktoś, kto znał na pamięć wszystkie jego piosenki i raptem chwilę przedtem poprosił go o autograf. George został napadnięty w swoim domu we Friar Park przez fana z siedmiocalowym nożem, który przebił mu płuco i z pewnością by go załatwił, gdyby jego żona Olivia nie rozbiła agresorowi głowy lampą. Bus Paula został otoczony w Meksyku przez fanów o zbrodniczych zamiarach i nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby policja nie przybyła na czas. Niemniej jednak nie jest tak, że ochroniarz może ci coś zapewnić; wielu bliskowschodnich dyktatorów nafaszerowano kulami, mimo że otaczały ich uzbrojone po zęby falangi. Całkowite bezpieczeństwo nie istnieje, życie w ogóle jest ryzykowne i trudne do przewidzenia.

W każdym razie ludzie zgromadzeni w kręgu na opustoszałym rynku nie wyglądają na niebezpiecznych szaleńców; choć z pewnością są nieco dziwni, skoro robią to, co robią w tym miejscu i o tej porze. Nick Cruickshank podchodzi kilka kroków bliżej, przygląda im się dokładniej: są młodzi, mają około dwudziestki, połowa z nich to chłopcy, a połowa dziewczyny. Gdyby mimo wszystko byli fanami Bebonkersów, co najwyżej mogliby go otoczyć, prosząc o selfie komórką lub o podpis na koszulce; nikt z tych ludzi nie wygląda na potencjalnego zabójcę. Ułożyli swoje torby pośrodku koła, tak żeby mieć swobodę ruchów, ale nie zdjęli szalików, kurtek i czapek, chcąc chronić się przed wieczorną wilgocią i zimnem. Jeden z nich, wyższy i szczuplejszy od pozostałych, wydaje się im przewodzić, a przynajmniej jako pierwszy wykonuje ruchy, które potem naśladują pozostali. Niewiele ma to wspólnego z przemyślaną choreografią; stoją mocno na ziemi, ich kolana lekko się kołyszą, przyciskają dłonie do oczu, po czym je oddalają i znów przyciskają. Również ta wariacja trwa kilka minut, podobnie jak poprzednie; kiedy się kończy, wszyscy znów spoglądają na siebie w skupieniu i z powagą. Jakiś dryblas omiata wszystkich wzrokiem, potem odwraca się i widząc Nicka Cruickshanka, uśmiecha się do niego. Daje mu znak, aby się do nich przyłączył,

wskazuje mu miejsce w kręgu: „Stań tam, o tam”.

Nick Cruickshank dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że podszedł zbyt blisko; znajduje się o kilka metrów od nich. Niemniej jednak kwestia ta nie dostarcza mu powodów do zbytniego niepokoju, bo nie wydaje się, że go rozpoznali, prawdopodobnie z racji ciemności, mgły, żółtego światła reflektorów i kaptura naciągniętego na czoło. Także mężczyzna, który zaprasza go, by dołączył do koła, robi to ze zwykłej życzliwości, a nie dlatego, że on to właśnie on; a przynajmniej tak się zdaje. Po nawiązaniu kontaktu wzrokowego odmowa wydawałaby mu się brakiem grzeczności lub tchórzostwem; zresztą w tej chwili i tak nie ma nic do roboty, mógłby jedynie nadal wałęsać się wąskimi, opustoszałymi uliczkami lub wrócić na parking, by znowu jechać samochodem przed siebie lub znaleźć się w domu pośród kilkudziesięciu osób, których nie ma ochoty oglądać. Tak więc zajmuje wyznaczone miejsce w kręgu; staje sztywno, ręce wkłada do kieszeni kurtki, jego kaptur nadal jest naciągnięty na czoło.

Mężczyzna okazuje mu uznanie skinieniem głowy, potem zwraca się do wszystkich głosem tak cichym, że trudno go usłyszeć:

– Teraz spójrzmy na nową osobę w kole i uśmiechnijmy się do niej.

Nie zachowuje się jak lider ani nie wygląda na to, by inni go za takiego uważali. Zdaje się po prostu, że wziął na siebie zadanie, by wskazywać innym kolejne ruchy do wykonania, być może dlatego, że zna je lepiej niż inni, być może dlatego, że to on zaproponował, by się tu zebrali, a może po prostu dlatego, że z racji wzrostu jest szczególnie widoczny.

Szesnaście, nie, osiemnaście osób zebranych w kole patrzy na siebie i się uśmiecha w parach, przy czym nie wiadomo, czy ich wybór jest świadomy, czy może całkowicie przypadkowy. Nick Cruickshank uśmiecha się do bladej, wychudzonej dziewczyny w czapce z niebieskiej wełny i w szarym płaszczu zapinanym na wiele guzików. Dziewczyna odwzajemnia uśmiech; ma łagodną, szczerą twarz, jej spojrzenie cechuje się niewiarygodną prostolinijnością, Nick Cruickshank nie dostrzega w nim żadnej dwuznaczności. Ogarnia wzrokiem przestrzeń wokół siebie, aby zobaczyć, czy ktoś go rozpoznał, ale wszyscy są skupieni na uśmiechach, nie poświęcają mu szczególnej uwagi. Jeszcze przez kilkadziesiąt sekund w parach uśmiechają się do siebie; zebrani w kole, w ciszy i we mgle, lekko kołyszą się w kolanach, trzymając ręce w kieszeniach, ich twarze pogrążone są w cieniu lub oświetlone żółtym światłem reflektorów.

Dryblas pochyla głowę, jakby mówił, że także i ten etap się zakończył; trudno stwierdzić, czy rezultat jest dla niego satysfakcjonujący, czy nie, jego reakcje cechują się powściągliwością. Wykonuje miękki gest.

– Teraz niech każdy podejdzie do drugiej osoby z koła i ją obejmie.

Nick Cruickshank zastanawia się, czy cały czar tej sytuacji może nagle prysnąć, właśnie nad chwilę przed uściskiem („Ty jesteś Nick Cruickshank! Ej,

sluchajcie, to Nick z Bebonkersów!”).

Dryblas patrzy na niego, jakby chciał dodać mu odwagi, ale i tym razem nie wywiera presji. Niemal od razu odrywa od niego wzrok i idzie uściskać bardzo niską dziewczynę, nieco nieporadnie chyląc się ku niej.

Także Nick Cruickshank wykonuje ruch, a tymczasem z drugiej strony podchodzi do niego jakiś chłopak; spotykają się w pół koła, patrzą sobie w oczy – na szczęście sytuacja nie ulega nagłej zmianie. Znow ma wrażenie, że oto widzi przed sobą nadzwyczaj nieskażoną twarz; chłopak nie podejmuje najmniejszej próby, by ukazać jakiś swój wizerunek, nie dąży do tego, by dostać coś w zamian. Obejmują się i przez kilkadziesiąt sekund pozostają w uścisku; to męski uścisk, stykają się klatkami piersiowymi, biodrami i nogami; lekko poklepują się nawzajem po plecach. Potem jak inni powracają na swoje miejsca w kole; znow wszyscy kołyszą się w kolanach, lekko poruszając rękami.

Dryblas potakuje z typowym dla siebie umiarem. Nie jest typem mówcy, oratora czy piewcy; ogranicza się do uczestnictwa w kole, do dawania wskazówek.

– Teraz obejmujemy drugą osobę, przedtem jednak na nią nie patrząc, i próbujemy przekazać jej sens naszego uścisku. Dopiero potem na nią spoglądamy i uśmiechamy się.

Po jego słowach następuje chwila ogólnej refleksji, a potem słycać szelest, kiedy po omacku ruszają ku sobie, z rękami wyciągniętymi do przodu i zamkniętymi oczami, chcąc trafić na drugą osobę, zarazem jej nie szukając.

Nick Cruickshank podąża ich śladem; zamyka oczy, porusza się ostrożnym krokiem, aż natrafia na jakąś dziewczynę, jak wynika z dotyku i zapachu; zakazuje sobie jednak na nią spojrzeć, zgodnie z zaleceniem dryblasas. Obejmują się na oślep, niezbyt mocno, ale jednak się ściskają, jak zupełni nieznajomi, którzy mimo to zdają sobie sprawę ze swoich wzajemnych kształtów. To, że uścisk jest bezpodstawny i nie wynika z więzi czy przyciągania, sprawia, że wrażenia i myśli w dziwny sposób ulegają przyspieszeniu. Wydaje mu się, że jego ciało podlega nieskończonej serii uścisków, niczym w *time lapse* – niosą za sobą rozmaite żądania, jawne i niewypowiedziane, które się pojawiają, by zaraz zniknąć. Czy to właśnie ów sens, o którym mówił dryblas?

Uścisk trwa dłużej niż wcześniejszy z chłopakiem, trudno powiedzieć, czy to z powodu zetknięcia twardego i miękkiego ciała, czy może dlatego, że wcześniej się nie widzieli, czy może dlatego, że każdy rytuał ulega progresji, a owo obejmowanie się na oślep najprawdopodobniej jest wielkim finałem. Tak czy inaczej, Nick Cruickshank nie spodziewał się fali wzruszenia, którą teraz w sobie odczuwa, ogólnego rozluźnienia systemu obronnego. To tak jakby rozplakać się publicznie bez wyraźnych powodów, mając przy tym silne poczucie straty lub tego, że się coś odnalazło, lub jednego i drugiego jednocześnie. Próbuje się oswobodzić, ale bez powodzenia, nie jest jasne, czy to dlatego, że dziewczyna nie chce go

puścić, czy może dlatego, że on tak naprawdę nie chce się od niej oderwać, jakby wydawało mu się, że to jeszcze nie koniec, jakby jakaś dziwna siła ich ze sobą wiązała. Nie jest też jasne, co robią inni; nie słyszą szelestu ani kroków związanych z powrotem na miejsca, a tym bardziej słów konkluzji. Tak więc on i niewidziana dziewczyna nadal trwają w uścisku przez nieokreślony czas, ich uwaga skupiona jest na ciele i jego ciepłe oraz sensie, który próbują sobie przekazać, jakkolwiek miałby on być.

W końcu się rozdzielają, powoli, jak ktoś, kto budzi się z niespodziewanego snu; robią krok w tył i wreszcie spoglądają sobie w twarz, i Nick Cruickshank widzi, że ona to Milena, włoska dziewczyna od lodów. Zaskoczenie jest tak samo silne jak poprzedzające je wrażenia; przeszywa go niczym elektryczny wstrząs, zapiera mu dech w piersiach.

Ona reaguje podobnie – cofa się gwałtownie z przestraszeniem na twarzy.

Nick Cruickshank myśli przez chwilę, że powie jej, iż nie miał najmniejszego pojęcia, kim ona jest, ale w tym samym momencie nachodzi go wątpliwość, czy aby w jakiś sposób nie był tego świadomy, o tyle o ile jakkolwiek pewność może dać sekundowe zerknięcie spod przymkniętych powiek w fatalnych warunkach oświetleniowych.

Nie odzywają się do siebie, zaczynają znów się wycofywać, aż znajdują się w odległości kilku metrów, na swoich miejscach w kręgu. Lecz zabawa w koło, czy jakkolwiek chciałoby się to określić, już się skończyła; dryblas kiwa głową z nieco przygnębionym wyrazem twarzy:

– Teraz możecie przejść się po miasteczku i obejmować każdego, kto wam się spodoba.

Chłopcy i dziewczęta zbierają z ziemi swoje torby i plecaki; rozglądają się wokół siebie i szybko rozumieją, że w okolicy nie ma zbyt wielu osób, które można by uścisnąć.

Nick Cruickshank chwilę się waha, po czym podchodzi do dryblasza.

– Skąd jesteście?

Dryblas patrzy na niego przez kilka sekund, jakby pytanie wydało mu się niezgodne z duchem gry.

– Z Digne-les-Bains.

– I robicie to w różnych miejscach? – pyta Nick Cruickshank, wskazując na placyk, gdzie jeszcze dwie minuty temu stał krąg ludzi, którzy teraz rozeszli się w różnych kierunkach.

Dryblas przytakuje, lekko się uśmiecha. Podnosi plecak, rusza w stronę jednej z uliczek biegnących w dół zbocza, na którym położone jest miasteczko. Ci, którzy jeszcze zostali, w milczeniu idą jego śladem.

Nick Cruickshank odwraca się w stronę, gdzie stała Milena, włoska lodziarka, ale już jej nie widzi. Rynek jest pusty, jakby nigdy nikogo tu nie było,

widać jedynie fasadę kościoła i platany we mgle oświetlone żółtym światłem reflektorów. Udaje się w stronę schodkowanej uliczki prowadzącej do głównej ulicy, a każdy krok przyprawia go o coraz większą zadyszkę; to nic. Dochodzi do głównej ulicy, patrzy w prawo i w lewo, a zadyszka się wzmaga, co trudno wyjaśnić – to nic, zupełnie nic.

Piątek

Spośród wszystkich chwil w ciągu dnia to rano różnice charakteru między nią a Viviane chyba dają o sobie znać najmocniej; Milena Migliari zastanawia się nad tym od dawna, a problem stale przybiera na sile. Fakt jest taki, że dla niej przejście ze snu w jawę musi dziać się stopniowo; potrzebuje usiąść na brzegu łóżka i chwilę pomyśleć, potem schodzi powoli do łazienki piętro niżej, ogląda swoje odbicie w lustrze, chwilę trwa, zanim przyjmie do wiadomości, że to naprawdę jej twarz. Robi siusiu, przemywa twarz, myje zęby, wraca na górę do pokoju, by się ubrać, schodzi na parter, odsuwa pomarańczową zasłonę, by wyjrzeć za kuchenne okno, które wychodzi na zaułek. Spokojnie napełnia kawiarkę, stawia ją na gaz, przygotowuje sobie miskę płatków owsianych, dodaje ziarna słonecznika i kawałki jabłka lub plasterki banana, zalewa wszystko mlekiem i odrobiną syropu klonowego, nadal tkwiąc niczym w zawieszaniu pośród minionych snów. Zajmuje to może piętnaście minut, ale są dla niej ważne; kiedy jest zmuszona obyć się bez tego, to cierpi.

Viviane natomiast zaraz po przebudzeniu odrzuca kołdrę i wyskakuje z łóżka, zabiera ubranie z krzesła, wkłada je na siebie i równocześnie z całkowitą trzeźwością umysłu zaczyna wyliczać nazwiska pacjentów, problemy zdrowotne, z którymi musi się zmierzyć, godziny przyjęć. Schodzi na dół, zamyka się w łazience i po pięciu minutach jest już na parterze, umyta i uczesana, gotowa rozpocząć swój dzień, łąpczywie wypija kawę z mlekiem i pochłania żytnie herbatniki. Często jest w złym humorze, rozmyśla o rzeczywistych lub tylko urojonych trudnościach, utyskuje na system zdrowotny lub bankowy, albo na stan dróg. Drażni ją widok Mileny Migliari, jeszcze niedobudzonej, jakby niecałkiem opuściła objęcia Morfeusza; zadaje jej oschłe pytania, domaga się precyzyjnych odpowiedzi. Potem gwałtownie wstaje od stołu, podchodzi do zlewu i nerwowo płucze filiżankę, talerzyk i sztućce, z chińskiej miseczki stojącej na komodzie przy wejściu bierze kluczyki do samochodu, wychodzi z domu i udaje się na plac, gdzie zostawiła auto, by potem szybko ruszyć w stronę Draguignan.

Kiedy zaczęły być razem, ich poranne wstawanie nie cechowało się takimi różnicami; jeśli obie miały czas, to wspólnie go celebrowały, jeśli zaś jedna się spieszyła, to druga dotrzymywała jej kroku. Działo się to całkowicie instynktownie, bez żadnych próśb, bez napięć. Wspólny początek dnia był powodem do radości, okazją, by razem się pośmiać, powiedzieć sobie coś, czego w innej sytuacji by się nie powiedziało. Czy utrzymanie tej z pozoru nietrudnej harmonii było obarczone wysiłkiem dostosowania się? Czy był to jakiś eksperyment? Czy było to naturalne

naśladownictwo rodzące się między dwiema osobami, które nagle stają się sobie bardzo bliskie?

Z pewnością Viviane była o wiele mniejszą pesymistką niż teraz i była mniej natarczywa; przez całe minuty przyglądała się z zachwytem jej gestom i wyrazom twarzy, komentowała je z zadziwieniem. Już wtedy dużo pracowała, ale raczej dla przyjemności niż z konieczności; a gdy tylko była wolna, w równym stopniu pociągał ją duch przygody, wycieczki poza utarty szlak i ryzyko. Zresztą ich wspólne przyciąganie było tak silne, pochłaniała je ciekawość tego, czego jeszcze o sobie nie wiedziały, zachwycały je kolejne odkrycia. Problemy natury praktycznej wydawały się drugorzędne lub dawały okazję, by uruchomić ich twórcze umiejętności; z lekkością stawiały czoło wszelkim trudnościom, przekraczały granice. Nawet wrogie spojrzenia i szepty mieszkańców Seillans bawiły je raczej, niż drażniły; sprawiały, że czuły się jak dwie kobiety rzucające wyzwanie konwenansom, każdego dnia obmyślające, jak ma wyglądać ich życie. Kiedy to zaczęło się zmieniać? Kiedy one zaczęły się zmieniać? Czy po prostu przestały być takie, jakie chciałyby być, i stały się na powrót takie, jakie rzeczywiście są? Do jakiego stopnia zabawa w obmyślanie zamieniła się w wysiłek budowania, obarczony pokonywaniem kolejnych trudów i przeszkód? Kiedy lekkość nabrała ciężaru?

Pewne jest to, że codzienna rutyna wpływa na umocnienie nawet najbardziej niewinnych zachowań, aż staje się niemożliwe, by umknęły niezauważenie. Na przykład sposób, w jaki Viviane odchrząkuje krótkimi postępującymi po sobie kaszlnięciami, kiedy jest zdenerwowana, lub jak zdejmuje okulary i przeciera szkła rąbkiem swetra, serwetki lub obrusa. Lub jej mistrzowska umiejętność obierania jabłka tak, by otrzymać jeden obierek, który następnie zostawia na stole niczym puste opakowanie w imię nie wiadomo jakiej zasady. Lub jej nocne chrapanie, przeciągłe jak warkot jakiegoś sprzętu domowego. Lub sposób, w jaki przeciąga kołdrę na swoją stronę, niemal niewidocznymi ruchami. Wszystkie te zachowania, które do niedawna nie tylko jej nie drażniły, lecz wzbudzały w niej czułość, potrzebę okazywania pomocy. A teraz?

– Lecę, widzimy się wieczorem. – Viviane pokasłuje trzy lub cztery razy; już jest za drzwiami, już jest na dworze. Czy dręczy ją jeden z problemów finansowych lub zawodowych, o których opowiadała, od kiedy wyskoczyła z łóżka? Czuje się dotknięta, bo zauważyła brak entuzjazmu dla kwestii sztucznego zapłodnienia, dla krótko-, średnio- i długoterminowych planów, które będą dzieliły od poniedziałku?

Milena Migliari myśli, że także seks między nimi utracił charakter zabawy i improwizacji, jaki miał na początku; przybrał formę następujących po sobie czynności obliczonych na osiągnięcie celu w możliwie najbardziej skutecznym (i najszybszym) sposób. Aspekt mechaniczny przeważa znacznie nad stroną emocjonalną; element zaskoczenia zniknął, nie ma mowy o najmniejszym nieładzie

myślowym. Początkowo wydawało się jej to prawdziwą rewolucją; mogła żyć bez żądań mężczyzny, jego tępych roszczeń, zwierzęcej natarczywości, ciągłego widma szantażu, przemocy kryjącej się za każdym gestem, ryzyka, że jego głos zaraz się podniesie i ją zagłuszy, opiekuńczych propozycji będących próbą zyskania przewagi. Odczuła tak wielką ulgę, że oto nie skanowano jej wyglądu milimetr po milimetrze, jej sposobu ubierania, dbałości o szczegóły, wyboru akcesoriów, przy ciągłym przemieszaniu podziwu z rozczarowaniem. Nie mogła uwierzyć, że nie jest ciągle porównywana do kobiet bardziej od niej seksownych, wyższych, szczuplejszych, o dłuższych nogach, z większymi cyckami, zaczerpniętych z mieszaniny filmów, reklam, stron pornograficznych, miejsc pracy, fantazji wieku dojrzewania, gadek i komentarzy kolegów. Tak bardzo się cieszyła, że nie musi się już dostosowywać do przewidywalnego i nieustępliwego organu seksualnego, który dominuje wszelkie wybory i zachowania swojego posiadacza i który czasem jest jak broń, czasem bywa trudnym w użyciu narzędziem, a niekiedy żalosnym świadkiem słabości. Razem z Viviane wielokrotnie śmiały się z tych głupich wypukłości anatomicznych i z nieproporcjonalnie dużej roli, jaką odgrywają w życiu mężczyzn, w ich myślach, języku, w ciągłych porównaniach do innych przedstawicieli tej samej płci, w żalonych przechwałkach, w głęboko skrywanej niepewności, w wyniszczającej żądzy utrzymania lub wzmocnienia swojej pozycji w hierarchii. Chętnie obywała się bez demonstracji siły przeplatanych przejawami tchórzostwa, bez wszechogarniającego egocentryzmu kapitulującego wobec spadków ufności we własne siły, bez umiejętności postępowania, która wnet ustępuje miejsca przerażeniu, bez powierzchownych tyrad, po których następuje przyznanie się do niewiedzy, bez racjonalizmu skrywającego niezdolność do uczuć. U boku Viviane po raz pierwszy poczuła swobodę bycia po prostu sobą; nie zważała na swoje wady i zalety, wiedząc, że ta druga osoba wreszcie rozumie kierujące nią powody natury myślowej, uczuciowej i fizycznej (zamiast udawać, że je rozumie przez trzy minuty, w momentach kryzysowych), bo także i ona jest kobietą. Wydało się jej niemożliwe, że nigdy dotąd nie brała tego pod uwagę, nie rozważała sytuacji alternatywnej wobec ciągłego wpadania w tę samą pułapkę.

Spędziły całe miesiące, nie planując nic długoterminowo, jedynie z dnia na dzień, czasem z godziny na godzinę. Nocą rozmawiały, kochały się, śmiały, wyobrażały sobie podróże i najbardziej nieprawdopodobne przedsięwzięcia. Viviane nadal doskonaliła się w technice masażu, pracowała w różnych okolicznych ośrodkach medycznych i sportowych lub dojeżdżała do pacjentów. Ona natomiast znalazła tymczasowe zatrudnienie w cukierni w Fayence, a gdy tylko miała czas, próbowała nowych przepisów w zaimprovizowanej lodziarni w ich małym wynajmowanym mieszkaniu. Miały mało pieniędzy, ale żadna z nich się tym nie zadręczała, były pewne, że zawsze znajdą to, czego im trzeba.

Co się potem stało? Między nimi? Im? Co, do cholery, się stało? I ku czemu

teraz zmierzają, pośród przepychanek, oporów i nacisków? Ku zjednoczonej rodzinie, niewiele różniącej się od tych, z których pochodzą? Ku podziałowi ról coraz bardziej dookreślonemu i trwałemu? Czy to nieuchronne, że związek dwóch kobiet z czasem stanie się taki jak relacja kobiety i mężczyzny tylko po to, by przetrwać? Zważywszy, że dwie kobiety w świecie mężczyzn, tak czy inaczej, zawsze odznaczają się będą kruchością, choćby były nie wiadomo jak wyemancypowane, rozwinięte, niezależne i niepoddające się naciskom. Czy to możliwe, że aby nie dać się stłamsić mężczyznom, jedna z dwóch kobiet jest zmuszona w jakiejś mierze przybrać cechy mężczyzny, choć nie ma na to najmniejszej ochoty? Aby odnajdować się na wojennych ścieżkach wytyczonych przez mężczyzn? Aby sprawić, by chociaż ta druga nie była mężczyzną?

Wystarczy rozejrzeć się wokoło, by zrozumieć, że świat stoi wobec zaniku języka, wyobraźni, zachowań, przy czym z pewnością to kobiety znajdują się na pozycji straconej. Istnieją systemy religijne, które odmawiają im praw, próbują podważyć lub obalić uzyskane przywileje, aby sprowadzić je do roli domowych służebnic i rodzicielek. Istnieją systemy zbrojne – czy to terrorystyczne, czy inne – których głównym celem jest sprowadzenie związków międzyludzkich do reguł ucisku, a kobiety niezmiennie będą tam na straconej pozycji. Istnieją fabryki, które przy pełnym poparciu władz produkują broń i sprzedają ją wszystkim stronom we wszelkich konfliktach, tak by mężczyźni mogli bawić się w zabijanie i dewastowanie z radosnym okrucieństwem dziecka, które dojrzało fizycznie, lecz nie umysłowo. Istnieją nielegalne siatki, które sterują ruchami migracyjnymi, zarabiając na tym więcej niż na heroinie, i popychają setki tysięcy mężczyzn o średniowiecznych poglądach, by szukali łatwiejszego życia w krajach, których wartości są przedmiotem ich wzgardy, począwszy od wolności kobiet. Istnieją partie polityczne reagujące na zagrożenie barbarzyństwem przy użyciu sloganów czerpiących z barbarzyńskich wzorców. Przy najdrobniejszej okazji dochodzi do ostentacji pierwotnej męskości: pięści uderzają w pierś, nogi wałają w ziemię, gardła wydają z siebie ryk. Mundury, hasła wojenne, brody, turbany. Pięści, kije, pistolety, strzelby unoszone w górę, by wzbudzić strach.

A zatem? Czy Viviane nadal będzie musiała raz na jakiś czas wykazać się umiejętnością wbicia łokcia między żebra prostaka przepychającego się na dworcu kolejowym? Będzie musiała umieć dać kopa w jaja świntuchowi próbującemu obmacywać ją w supermarkecie? Podnieść głos na łobuza próbującego zawłaszczyć sobie miejsce na parkingu? A po powrocie do domu będzie wywierać na swoją partnerkę podobną presję, jaką wywierałby mężczyzna?

Milena Migliari nabiera jeszcze jedną łyżkę müsli, grzbietem dłoni ociera mleko sojowe z ust. Przeżuwa powoli, próbując skupić się na konsystencji i smaku płatków owsianych, rodzynek i orzechów laskowych, ale nie może, ani trochę.

Nick Cruickshank próbuje pierwsze takty sonatiny C-dur Beethovena na mandolinę i fortepian, którą, być może, mógłby zagrać na jutrzejszej imprezie, gdyby jego samopoczucie, ogólny nastrój i system nagłaśniający w jakiś cudowny (i nieprawdopodobny) sposób zaczęły ze sobą współgrać. To szybki utwór, który zmusza go do maksymalnego rozciągania stawów dłoni, do skakania palcami po progach, przy zachowaniu uwagi, by dźwięki były czyste i odpowiednio głębokie. Być może mandoliniście specjalizującemu się w muzyce klasycznej nie sprawia to wielkich trudności, chyba że grałby ze zdwojoną prędkością, jak szalony wirtuoz, którego można podziwiać na YouTube. Lecz dla gitarzysty rytmicznego i leniwego ucznia jak on stanowi to wyzwanie kosztujące wiele wysiłku. Być może także to właśnie sprawia, że Nick Cruickshank lubi mandolinę, poza tym, że jest instrumentem małym i poręcznym, zmusza go do opuszczenia strefy bezpieczeństwa, wyzwolenia się od odruchów wyrobionych podczas gry na gitarze.

Już w czasach pierwszych płyt Bebonkersów fascynowały go najrozmaitsze instrumenty i często dodawał je do aranżacji piosenek, choć za każdym razem musiał przezwyciężać zacięty opór pozostałych członków zespołu. Na przykład gdy pracowali w studiu nad szalonym boogie-woogie i z ciekawości zajrzał do sali obok, w której stał ksylofon przygotowany do innych nagrań. Spróbował uderzyć pałkami w drewniane sztabki, niezupełnie wiedząc, co robi, i jakby za sprawą magii wpadł na intrygujący pomysł. Tak więc wrócił do kolegów i nie dając się zbić z pantałyku, powiedział: „Na górze grałem na ksylofonie”. Śmiali się i kręcąc głowami, mówili, że ksylofon ma się nijak do boogie i że tak czy inaczej, on nie potrafi na nim grać. On jednak się uparł i zmusił ich do próby, która za drugim czy trzecim razem przyniosła efekty; dzięki ksylofonowi zyskali inne brzmienie niż dotychczas, odróżniając się od zespołów, które używały wciąż tych samych instrumentów. Niemal we wszystkich kawałkach Bebonkersów ze złotego okresu jest jakiś nietypowy instrument, który wzbogaca nastrój o nowe barwy i nieoczekiwane niuanse: buzuki, dulcimer, sitar, harfa celtycka, flet tenorowy czy obój.

Czy jego najnowsza pasja do mandoliny jest próbą wyjścia poza czas, powrotem do wolności i kreatywności z okresu pierwszych płyt? Aby odtworzyć – już znając się na rzeczy – to, co robił trzydzieści pięć lat temu, nie myśląc o tym wcale, podążając jedynie za instynktem? Aby wyzwolić się od wyrzutów sumienia, że w pewnym momencie posłuchał Rodneya, Wally’ego i Todda i on także zadowolili się tak zwanym *Bebonker sound*? Sprowadzając do minimum

instrumentarium, gdy tymczasem jego życie zdaje się zmierzać w przeciwnym kierunku. Czy to nie paradoks (jeszcze jeden), że przez tyle lat harował, pisząc piosenki, nagrywając i wypuszczając kolejne płyty, dając koncert po koncercie bez chwili wytchnienia, by w końcu sprawić sobie kolekcję instrumentów zajmującą liczne pomieszczenia w rozlicznych domach i w rozlicznych krajach, a tymczasem teraz gra niemal wyłącznie na mandolinie kanadyjskiej, która waży tak niewiele i zajmuje tak mało miejsca? W każdym razie odciski na opuszkach mu zostały, podobnie jak sprawność palców. Niemniej jednak w czasie niedzielnego koncertu mandolina zostanie w domu, zamknięta w futerale; nikt z fanów Bebonkersów nie ujrzy go na scenie z czymś innym niż jego stratocaster czy telecaster.

Czy jest sens uczyć się na pamięć Beethovena, Bacha lub O'Carolana, słuchając ich dziesiątki razy w różnych wykonaniach? Biorąc pod uwagę, że nie potrafi przeczytać partytury, musiałby sam opracować palcowanie i chwyt. Czy to możliwe, aby w pewnym momencie niektóre z tych elementów złożyły się na oryginalną, oszałamiająco piękną piosenkę? Gdyby tak się stało, czy pozostali Bebonkersi przystaliby na to, by ją wykonać, biorąc pod uwagę, że niemal na pewno nie miałyby ona nic wspólnego z ich aktualnym repertuarem? Wczorajsza reakcja Baza była więcej niż znamienna – nigdy by na to nie przystali. I to samo dotyczyłoby fanów, którzy zdają się żądać nieskończonych replik ich klasycznych utworów. To zanurzenie się w nie swoją muzykę, przy użyciu nie swojego instrumentu, jest jedynie kolejną próbą braku akceptacji tego, kim ostatecznie się stał, zamiast nadal wyobrażać sobie, kim innym mógłby być.

Ktoś puka do drzwi. Nick Cruickshank zachowuje się jakby nigdy nic, nie przestając grać. Pukanie jednak nie ustaje, więc w końcu mocno poirytowany idzie otworzyć.

To Aldino – jest nieco naburmuszony i zakłopotany, jak za każdym razem, gdy chce go w jakiejś sprawie upomnieć, ale nie śmie tego zrobić. Poprzedniej nocy ogarnął go szal, kiedy zdał sobie sprawę, że Nick Cruickshank oddalił się na własną rękę z posiadłości; wracając, natknął się na niego na tyłach domu – trzymał w ręku latarkę i był poruszony jak mało kiedy.

– Potrzebowałem samotnej przechadzki, okay? – Nick Cruickshank przypuszcza atak w celu obrony.

Aldino kręci głową.

– Nie chcę rozmawiać o wczoraj, lecz o jutrze.

– O co chodzi z jutrem? Jest tyle spraw do omówienia. – Nie żeby Nick Cruickshank nie myślał o jutrze; od tygodni myśl o jutrzejszym koncercie kołacze mu w głowie wraz ze wszystkimi możliwymi reperkusjami. Od miesiący.

– No, o bezpieczeństwo. – Aldino pracuje dla niego już od ośmiu lat, a między nimi toczy się swego rodzaju gra; są niczym niesforny podopieczny i jego cierpliwy opiekun.

– Czy są jakieś problemy z bezpieczeństwem? – Nick Cruickshank odnosi wrażenie, że spośród wszystkich rzeczy do omówienia w sprawie jutra bezpieczeństwo jest jedyną, która nie obchodzi go nic a nic.

– No trochę tego jest. – Aldino niemal nigdy nie potrafi się wzbić na optymizm; być może dlatego właśnie jest dobry w swojej pracy. – Wkrótce przyjedzie Allard z Monte Carlo, żeby sprawdzić teren, ale już wiadomo, że potrzebni będą ludzie przy bramie, za żywopłotem, w domu, na trawniku przed domem i na skraju lasu. Poza tym pozostaje kwestia lokalnej policji. Liczba funkcjonariuszy sprowadza się do minimum, podobnie jak wyposażenie. Jeśli – odpukać – zdarzy nam się jakaś niemiła niespodzianka, to ja nie wiem...

– A jakie to niemiłe niespodzianki mogą nas czekać? – Przez chwilę myśl, że jutro mogłaby się zdarzyć jakaś niemiła niespodzianka, wydaje mu się nawet czymś upragnionym, nadzieją, której można się uchwycić.

Aldino unosi podbródek, rozkłada nieco ramiona.

– Od jednego obłąkanego nieudacznika, który mógłby wyleźć z lasu, po oddział trzech czy czterech wyszkolonych mężczyzn, którzy wyłamią bramę, mając furgonetkę ze wzmocnionymi zderzakami, kałasznikowy, granaty i inne sympatyczne drobiazgi.

– O matko, Aldino! – Nick Cruickshank zaczyna się śmiać, bo przypomina mu się jego paranoiczna reakcja na pracowników w gaju oliwnym; przypomina mu się, jaki się poczuł głupi.

– Nie ma się z czego śmiać. – Aldino zachowuje pełną powagę; całe szczęście, za to właśnie mu płaci. – Ponadto w niedzielę na lotnisku będzie jeszcze gorzej, bo tam, rzecz jasna, zbierze się o wiele więcej ludzi na całkowicie odsłoniętym terenie. Z dwiema drogami po bokach każdy może wejść lub wyjść, jeśli będzie miał ochotę.

Nick Cruickshank próbuje odzyskać powagę; kiwa głową, wciska ręce do kieszeni dzinsów. Myśli o tym, jak Bebonkersi jeździli w swoje pierwsze trasy bez żadnej osobistej ochrony, musieli się zdawać na lokalną policję, zupełnie nieprzygotowaną do powstrzymania ataków chłopaków i dziewczyn chcących zdzierać ubrania, wyrwać włosy lub cokolwiek innego członkom zespołu, którzy znaleźliby się w ich zasięgu. Myśli o historycznych wrzaskach, o zamglonych spojrzeniach, o opętańczych ruchach wykonywanych pod sceną nieodgradzoną najmniejszą barierą; i jak to wszystko stawało się napędem jego występu, dzięki zawrotnym przepływowi pierwotnej energii. On jako frontman był głównym celem ataków, ale i Rodney miał nieopanowanych wielbicieli o kanibalskich skłonnościach, podobnie jak Todd i Wally; nieraz udało im się ocaleć tylko dzięki sprawności nóg: uciekali przed pościgiem i w samą porę zaszywali się w hotelu. Lecz wtedy nigdy by się na to nie uskarżali; było to nieodzowną częścią rockowego misterium, co zresztą zaprowadziło ich tam, dokąd dotarli. Zanim łowcy głów stali

się udreka, a potem prawdziwym koszmarem, według nich ich zabiegi były ekscytujące, były ostatecznym potwierdzeniem ich gwiazdorskiego statusu.

Dziś wszystko znacznie się zmieniło; koncertom towarzyszą ekipy ochroniarzy ze słuchawkami w uszach, scena budowana jest na dużej wysokości, ustawia się metalowe bramki, wyznacza bezpieczną odległość. Ceną za bezpieczeństwo była utrata kontaktu z publicznością nie tylko podczas koncertów, ale także przed nimi i po – przez cały czas. Nick Cruickshank sądzi, że między nim a widownią jest już stała przesłona; poczucie zagrożenia towarzyszące kontaktowi fizycznemu, który w jednej chwili mógłby się przeistoczyć w coś niebezpiecznego, już dawno przeminęło. Nawet nie ma kłopotów z tym, że na dwa dni ryzyko nieco wzrośnie, raz na jakiś czas nie zaszkodzi; a Aldino może spać spokojnie.

Milena Migliari znów pracuje nad mieszanką lodów kasztanowych, bo te przygotowane wczoraj nie sprawiły jej satysfakcji. Nie dlatego że Guadalupe nie posłuchała jej wskazówek, lecz dlatego że trzymała się ich nazbyt kurczowo, nie dając sobie wystarczającej swobody, by wzbogacić je o osobistą nutę. Prawda jest taka, że właściwie każdego można nauczyć praktycznej części danej receptury, ale nie części kreatywnej – ta zależy bowiem od charakteru osoby, od jej wad i zalet, od jej sposobu reagowania w danej sytuacji. Na przykład pewnego dnia wstajesz i odczuwasz niechęć do jakiegoś smaku, do nastroju i historii, które się z nim wiążą, albo odkrywasz, że brakuje ci jakiegoś składnika i nie masz czasu, żeby po niego iść, więc sięgasz po inny, ryzykujesz inne zestawienie, zmieniasz strukturę całości. W ten właśnie sposób udało jej się uzyskać niektóre z jej najlepszych lodów; to dlatego w czasie pracy potrzebuje zawsze zachować margines na improwizację – aby móc się zainspirować tym, co widzi, czuje: pogodą, temperaturą, nastrojem chwili, myślami przemierzającymi jej głowę, nawet muzyką płynącą z radia.

Teraz na przykład w radiu puszcza ją *Enough Isn't Enough* Bebonkersów, przebój śpiewany nieco zachrypłym i ciepłym głosem tego Nicka Cruickshanka, przy szybkim rytmie basu, perkusji i akordów wygrywanych na gitarach elektrycznych. Bez głębszego namysłu dodaje do mieszanki szczyptę soli i niewielką ilość białego pieprzu, aby skonstrastować słodycz mleka. Jak zawsze nie używa wagi, odmierza składniki, posługując się łyżką z długą rączką i przesypując świeżo zmielone przyprawy na talerzyk. To nie te duże zmiany przyczyniają się do interesujących rezultatów, lecz jedynie drobne odchylenia od normy, poprawki, które mogłyby umknąć niezauważone, a tymczasem zostały wprowadzone.

Guadalupe przygląda się jej z zakłopotaniem, jak zawsze, gdy Milena Migliari oddala się od sprawdzonej receptury. Jeszcze nie zrozumiała do końca, dlaczego przygotowane wczoraj lody nie uzyskały jej pełnej aprobaty, choć nie miały widocznych wad, a nawet wydawały się jej udane. („Co to znaczy, że są dobre, ale nie interesujące?” – zapytała ją późnym popołudniem po tym, jak ona ze spokojem spróbowała łyżeczkę, po czym je skomentowała. „Że już je znam” – odpowiedziała, wiedząc, że może się to wydawać dość enigmatyczną wypowiedzią).

Milena Migliari wyciąga rękę, żeby wyłączyć radio, bo rytm piosenki zaczął wprawiać ją w niepokój. Albo może chodzi o słowa; albo o wokal. A może piosenka nie ma z tym nic wspólnego, a niepokój należy łączyć z wczorajszą

wizytą w klinice Plamondon, z myślami, które wybiegają dalej, do poniedziałku, do najbliższego lata, w przyszłość, która nie wydaje się należeć do niej. Próbuje się skupić całkowicie nad tym, co robi: nad swoimi gestami i kolejnymi posunięciami, nad powolnym mieszaniem składników.

Ktoś puka do przeszklonych drzwi lodziarni, jak poprzednim razem; serce nagle zaczyna jej mocniej bić. Wydaje się jej, że się tego spodziewała, że się tego obawiała; od tamtego razu, od wczorajszego wieczoru. Już widzi Nicka Cruickshanka, który staje w progu pracowni, uśmiecha się do niej w sposób, który wydaje się taki spontaniczny, ale równie dobrze może być skrupulatnie wystudiowany i obliczony na efekt. Już słyszy ten sam głos, który dwie minuty temu śpiewał w radiu, a teraz snuje interesujące uwagi o jej lodach i o życiu, z pozoru szczerze, ale równie dobrze mogące być wytworem inteligencji kogoś znudzonego, kto nie zwykł szanować cudzej przestrzeni.

– Ktoś przyszedł. – Guadalupe wskazuje w stronę sklepu.

– Słyszałam. Daj spokój. – Milena Migliari dodaje szczyptę koperku do masy lodów kasztanowych; próbuje się zachowywać, jakby nigdy nic, ale serce nadal bije jej nieregularnie.

– Jak to: „daj spokój”? – Guadalupe pochyla głowę, nie rozumiejąc.

– Nie prowadzimy tutaj salonu towarzyskiego. – Milena Migliari odpowiada nazbyt oschłym tonem, ale jest poruszona i wściekła na samą siebie. Jaki sens miał uścisk z Nickiem Cruickshankiem wczorajszej nocy na rynku? Czy było to równie niewinne jak popołudniowy pocałunek w czoło? Sądząc po tym, jak się teraz czuje, odpowiedź brzmi: „nie”. Lub sądząc po tym, jak czuła się w domu, przewracając się z boku na bok w łóżku, gdy tymczasem jej ciało i umysł przemierzał szereg sprzecznych impulsów. To, jak doszło do uścisku, jest dla niej niejasne, choć wciąż usiłuje odtworzyć precyzyjnie przebieg zdarzenia; być może można to tłumaczyć faktem, że oboje mieli zamknięte oczy. Przedtem jednak ich oczy były otwarte. Czy naprawdę się nie rozpoznali, stojąc w kole ziębnięci pośród ciemności, światła i mgły? W kręgu stało około dwudziestu osób; jakie było prawdopodobieństwo, że właśnie oni dwoje na siebie trafią i się obejmą? Czy on celowo ją namierzył? A może to ona go namierzyła, nie zdając sobie z tego sprawy? Poddała się osobliwemu magnetycznemu przyciąganiu, oszołomiona po dwóch intensywnych godzinach spędzonych na tańcach ludowych w sali urzędu gminy? I co takiego robił Nick Cruickshank pośród obejmujących się osób z Digne-les-Bains? Czy zaczął się tam jak drapieznik? Lecz niby dlaczego ktoś taki jak on miałby się zaczajać na kogoś takiego jak ona, biorąc pod uwagę, że wokół siebie ma tyle odpowiedniejszych i bardziej chętnych ofiar? Czy to z nieco perwersyjnego kaprysu, by spróbować z dziewczyną, która nie lubi mężczyzn? Choć w rzeczywistości skąd miałby o tym wiedzieć. Choć wydawało się jej, że w ich uścisku nie było nic a nic perwersyjnego. Choć wydawało się jej to

najczystszy uściskiem, jaki zdarzył się jej w życiu.

Od strony przeszklonych drzwi lodziarni nadal dochodzi pukanie, coraz bardziej natarczywe, nieustające.

– Co robimy? – Guadalupe ma teraz niemal przerażony wyraz twarzy, to jasne, że odczuwa jej poruszenie.

– Idź i zobacz kto to. Powiedz, że lodziarnia zamknięta. Wisi przecież kartka. – Milena Migliari nie znosi myśli o tym, że jest taka poruszona, ale naprawdę nie może się opanować. Być może myśl o tym wszystkim, co ma się rozpocząć w poniedziałek, wyprowadziła ją z równowagi jeszcze bardziej, niż to sobie wyobrażała, zburzyła jej wewnętrzną harmonię. Wczoraj zmagła się z ciągłymi zmianami nastroju, a teraz serce bije jej nieregularnie, oddycha się jej ciężko.

Guadalupe przechodzi do sklepu, ale nie stosuje się do instrukcji i otwiera drzwi. Jakiś głos mówi:

– Chciałyście, żebym tak sterczała na zewnątrz?

I nie jest to wcale głos Nicka Cruickshanka, lecz Viviane, która chwilę później stoi już w progu pracowni z uśmiechem na ustach, jak zawsze nieodparcie ekspansywna, i trajkocze: – No, *ma poulette!* Jak leci?

– Dobrze. – Milena Migliari jest dość skonsternowana, ponieważ myślała, że Viviane jest w pracy, w swoim gabinecie w Draguignan, przynajmniej od godziny – nie mają w zwyczaju robić sobie tego rodzaju niespodzianek – i ponieważ odczuwa swego rodzaju niedorzeczny i niczym nieusprawiedliwiony zawód.

– Chciałam ci coś pokazać! – Viviane macha jej ręką przed nosem, nadal się uśmiechając; jest w nietypowy sposób nakręcona.

– Co? – Milena Migliari cofa się o kilka centymetrów, ustawia się w pozycji obronnej, bo jest niemal pewna, że to coś łączy się z ich poniedziałkową wizytą w klinice Plamondon i ze wszystkim, co nastąpi później.

– Spójrz tutaj! Tutaj! Masz to przed samymi oczami! – Viviane spowalnia ruch ręki, wyciąga nadgarstek: na wewnętrznej stronie, dokładnie tam, gdzie u niej, widnieje identyczny tatuaż. Dwie litery „A” w kształcie wijącego się węża. To prawdziwy tatuaż, nie został narysowany długopisem dla żartu; dopiero co go wykonano, jest pokryty warstwą kremu chroniącego skórę po podrażnieniu igłą.

Milena Migliari nie jest w stanie nic powiedzieć; to ostatnia rzecz na świecie, jakiej spodziewałaby się po Viviane, zważywszy na wszystkie jej komentarze dotyczące szpetoty tatuaży i głupoty stojącej za decyzją, by je sobie robić. Wielokrotnie nawet się pokłóciły, kiedy ona broniła swojego tatuażu, broniąc zarazem idei, że można nakreślić trwały znak na własnym ciele, aby ujawnić coś ze swojego charakteru lub z marzeń.

– *Arte i Amore*, zgadza się? – Viviane ciągle pokazuje jej lewy nadgarstek, nie przestając się uśmiechać. Próbuje traktować całe zdarzenie z lekkością, ale jej

oczy skrzą się zza szkieł okularów: jest wzruszona jak mało kiedy.

Milena Migliari już ma coś odpowiedzieć, ale myśl o tym, że z miłości do niej Viviane mogła zrobić coś tak sprzecznego ze swoją naturą, działa na nią jak uderzenie obuchem. To maleńki tatuaż, umieszczony w punkcie dość niewidocznym, ale wstrząsająca jest dla niej skala poświęcenia. Łzy napływają jej do oczu; wybucha spazmatycznym płaczem.

– Hej! – Viviane podchodzi, by ją objąć, i mocno ją ściska. – Gdybym wiedziała, że takie będą skutki, tobym się dwa razy zastanowiła!

Milena Migliari kręci głową, szlocha, z trudem nabiera powietrza; doskonale wie, że Viviane na pewno zastanowiła się nie dwa, lecz tysiąc razy, zanim przełamała swoje głębokie opory i podjęła decyzję. Opiera się czołem o jej bark, zatapia twarz w jej płaszczu i golfie, znów płacze.

– Nie musiałaś.

– Ale miałam ochotę! – Viviane odsuwa ją od siebie, by się jej przyjrzeć; po jej policzku także spływa kilka łez, wsuwa dwa palce pod okulary, aby je wytrzeć. – Wydawało mi się, że to będzie coś fajnego. Właśnie teraz, co? Pojechałam do tego mojego pacjenta, który ma studio tatuazu w Callian, pokazałam mu w komórce zdjęcie twojego nadgarstka!

Milena Migliari usiłuje przestać płakać, ale jej się nie udaje; im więcej o tym myśli, tym bardziej łka.

– Jest identyczny z twoim, prawda? – Viviane chwyta ją za lewy nadgarstek, aby porównać go ze swoim, przykłada je do siebie.

– Tak. – Milena Migliari potakuje głową, pociąga nosem; rzeczywiście tatuaże są niemal identyczne, chociaż jej lekko poblakł z powodu upływu czasu, a ten Viviane wydaje się mniejszy, jakby litery „A” były węższe, być może dlatego, że ma szerszy nadgarstek.

– *Bon*, muszę już lecieć, bo inaczej klienci mnie zabiją! – Viviane puszcza jej dłoń, całuje ją, otrząsa się ze wzruszenia. Ruchem ręki żegna Guadalupe, która stoi przy lodówce i w milczeniu obserwuje całą scenę; kilka kroków i jest już poza pracownią i poza sklepem.

Milena Migliari wyjmuje z pudełka papierową chusteczkę, wyciera oczy i policzki, wydmuchuje nos.

Guadalupe patrzy na nią, jej oczy również trochę błyszczą.

– Nie sądziłam, że Viviane kiedykolwiek zrobi sobie tatuaż.

– Ja też nie. – Milena Migliari znów wydmuchuje nos, patrzy w sufit, by powstrzymać łzy. Czy jej reakcja jest przesadna? Czy wywołały ją bardziej wyrzuty sumienia niż wzruszenie, biorąc pod uwagę, że nie jest równie skłonna pokonać swoich naturalnych oporów w imię wspólnych planów? Lecz czy tak naprawdę chodzi o naturalne opory, czy tylko o obawy i wymówki podyktowane egoizmem?

– Tak czy inaczej, to taki romantyczny gest. Naprawdę. – Guadalupe wachluje się ręką, jakby chciała odegrać wzruszenie.

– Tak, to prawda. – Najdziwniejsze jest to, że w chwili, gdy o tym mówi, w jej głowie pojawia się myśl, że wybór Viviane wcale nie musiał być podyktowany romantyzmem, tylko był aktem zawłaszczenia. Zmienność myśli jest tak radykalna, że wprawia ją w oszołomienie i Milena Migliari niemal wypuszcza łyżkę z rąk.

– Wszystko dobrze? – Guadalupe spogląda na nią opiekuńczym wzrokiem.

– Możesz pójść i zamknąć na klucz drzwi do sklepu? Zanim przyjdzie ktoś jeszcze. – Milena Migliari znów próbuje skupić się na przygotowaniu masy, ale na próżno. Ponownie ogarnia ją rozczulenie, prawie wybucha płaczem, lecz chwilę potem rozczulenie ustępuje miejsca zakłopotaniu, a zakłopotanie wściekłości. Przez kilka minut wydaje się jej, że może interpretować gest Viviane zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym, jak na widokówkach o podwójnym obrazie, które zmieniają się zależnie od kąta oglądania. Lecz im więcej o tym myśli, tym bardziej druga interpretacja przeważa nad pierwszą. Odwraca nadgarstek i zaczyna mu się przyglądać: te dwie lustrzane litery „A” należą do jej życia sprzed lodów, sprzed Francji, sprzed jej spotkania z Viviane tamtego gorącego lata, rozedrganego od dźwięków cykad. Są wyrazem tej jej części, która wzbudza niezrozumienie u Viviane, jeśli nie wrogość, być może dlatego, że ona nigdy nie miała ochoty, by się nią tak naprawdę dzielić. Prawda jest taka, że Viviane zawsze nienawidziła tego tatuażu, utrzymując, że nienawidzi wszelkich tatuaży; nie bez racji zresztą, bo jej część, która wiąże się z tym tatuażem, jest zarazem częścią, której Viviane nie będzie mogła nigdy dostać. Na pewno wolałaby, żeby go usunęła, zamiast sama go powielać; kilka razy nawet jej to sugerowała, mówiąc niby mimochodem o swoim kliencie, mającym w Nicei studio, w którym usuwa tatuaże za pomocą lasera Q-Switch, niepozostawiającego śladów.

Milena Migliari miele kolejne ziarenka kardamonu i białego pieprzu, po czym dodaje je do lodów kasztanowych. Przez chwilę wydaje się jej, że gest Viviane zakrawa co najmniej na szantaż emocjonalny; po chwili jawi się jej jako akt skrajnej wielkoduszności. Przez chwilę czuje się ofiarą kanibalizmu, chwilę potem uważa siebie za niewdzięcznego potwora. Zmęczona i niepewna przechodzi od interpretacji do interpretacji.

– Czy nie dodałaś zbyt wiele pieprzu? – Guadalupe wygląda na coraz bardziej zaniepokojoną.

– Nie wiem. – Milena Migliari wkłada łyżeczkę do przygotowanej masy, podnosi ją do ust, próbuje. Oczywiście, dodała za dużo pieprzu, za dużo kardamonu, za dużo soli; smak kasztanów jest zupełnie niewyczuwalny. Nawet gdyby to rozważać w kategoriach niekonwencjonalnej interpretacji, to smak lodów się nie sprawdza, nie daje satysfakcji, jest po prostu obrzydliwy. Bierze miskę,

wylewa masę do zlewu, odkręca kran i wszystko spływa do rur.

Guadalupe patrzy na nią wstrząśnięta, jakby była świadkiem przyływu szaleństwa.

Milena Migliari, wyprzedzając atak, przybiera butną minę, ale jest do cna zniechęcona.

– Można się przecież pomylić, nie?! Bezustannie się mylimy!

Guadalupe kiwa głową; najwyraźniej uważa, że jej szefowa jest dość niezrównoważona.

Nick Cruickshank spogląda na zewnątrz zza lekko odsuniętej zasłony w jednym z okien studia: na trawniku przed domem rozciąga się istny plac budowy rojący się od robotników, ogrodników i elektryków ustawiających altanę, pawilony, łuki, ukwiecone tunele, stoły, bar, niewielki podest, parasole grzewcze, lampy, projektory i głośniki. Aileen chodzi tam i z powrotem, przemieszcza się od punktu do punktu, daje wskazówki, objaśnia, wzywa do siebie ludzi, którzy następnie się rozchodzą, rozprawia o wszystkim ze swoją wszechwiedzącą konsultantką Fiona, z zaprzyjaźnionym architektem, który dziś rano przyjechał z Antibes, z szefową cateringu przybyłą z Nicei, z Tomem Harlanem, z ekipą „Star Life”, z Nishanathem Kapoorem, który zaledwie się zjawił, a już wysunął tysiące roszczeń dotyczących jego roli w jutrzejszym przedsięwzięciu. Nieco dalej Aldino wraz ze swoim kolegą z Monte Carlo długimi krokami przemierzają skraj posiadłości okolony łąką, lasem i gajem oliwnym; to rozumiało, że dopóty nie poczuje się spokojny, dopóki nie nadejdą posiłki, bo nawet teraz sytuacja staje się coraz trudniejsza do kontroli.

Nick Cruickshank zdaje sobie sprawę, że myśli o tym, iż Aileen jest w stanie zająć się tyloma szczegółami z takim zaangażowaniem, przyprawia go zarówno o podziw, jak i o niepokój. Czy to jednak możliwe, aby te dwa odczucia były równoważne, aby pierwsze nie przeważało wyraźnie nad drugim? I dlaczego miałyby wydawać mu się niepokojące właśnie te cechy Aileen, które zawsze cenił, takie jak jej nadzwyczajny upór i umiejętność nietracenia z pola widzenia celów, do których dąży? Czego niby się spodziewał? Że ona ma w głowie przełącznik *on/off*, który pozwala przejść od ferworu wielofunkcyjności do stanu spokoju, a nawet lekkiego rozkojarzenia, kiedy jest z nim w domu? Czy to jego najbardziej samotnicza część czuje się osaczona, ta sama, która sprawia, że lubi trwać w ukryciu i zrywać kontakt ze światem, jako wymówkę podając swoje potrzeby twórcze?

Jaka powinna być Aileen, żeby mu odpowiadać w stu procentach zamiast w pięćdziesięciu? Bardziej mu oddana? Ale jest mu skrajnie oddana: w mgnieniu oka potrafi rozwiązać każdy jego problem praktyczny, w kilku słowach rozwiewa jego wszelkie artystyczne wątpliwości. Czy powinna być spokojniejsza? Ale „spokojna Aileen” to po prostu oksymoron; gdyby zobaczył ją drzemącą na szezlongu u brzegu basenu, od razu zadzwoniłby po lekarza albo przynajmniej do jej wszechwiedzącej konsultantki. Czy przynajmniej raz na jakiś czas powinna wyzbywać się swojego powołania superorganizatorki? Ale nikt nie potrafi się

zmienić, on sam wie o tym najlepiej – napisał o tym nawet jedną ze swoich najlepszych piosenek – *Stop Looking For a Stripeless Zebra (You'll Only Get a Donkey)*.

Ale jak to się stało, że bez dyskusji zgodził się na wielkopańskie przyjęcie w „Les Vieux Oliviers”? Stawiając z początku trochę oporu, i tyle. Stawiając z początku spory opór, zgoda, który jednak skruszał wobec wytrwałości Aileen. Żeby jej nie zawieść? Żeby mieć spokój? Dlaczego nie zaproponował jej zamiast tego skromnej i cichej uroczystości, chociażby na jednej z greckich wysp? Bo wiedział, że ona będzie to postrzegać jako afront, jako umniejszanie pozycji w porównaniu z jego dwiema poprzednimi żonami (które, rzecz jasna, nie miały najmniejszej ochoty kryć się ze ślubem)? Czy to możliwe, że przystał na jej pomysł tylko po to, by doprowadzić sytuację do skrajności, nie zdając sobie z tego sprawy? Pewne jest to, że na maleńkiej greckiej wyspie Aileen nie mogłaby wyżyć się organizacyjnie, jak robi to teraz na trawniku przed domem. I że nie byłoby tam „Star Life”, które wszystko sponsoruje i wywleka na wierzch najdrobniejsze szczegóły, nie byłoby sławnych gości (a przynajmniej tych, których on nie znosi), nie byłoby tej całej paplaniny wokół ich dwojga, wokół niej i wokół antyskóry. Lecz Aileen z pewnością nie jest oportunistką ani nie ma społecznych aspiracji; ma silne zaplecze rodzinne, doskonale poznała świat, zanim zaczęli być razem, odnosi sukcesy w interesach. Z pewnością nie potrzebuje też wystawiać się na widok publiczny, aby zrobić sobie dodatkową reklamę. Czyżby?

Nagle Nick Cruickshank przypomina sobie krąg obejmujących się ludzi z wczorajszego wieczoru: łagodną, obezwładniającą niewinność ich twarzy, brak skrywanych celów w ich spojrzeniach, brak pozowania czy pretensji. No dobrze, to byli dwudziestoletni chłopcy i dziewczęta, niemal na pewno nadal na garnuszku rodziców, niemal na pewno żyjący z dala od pracy, od presji i odpowiedzialności, od tarć wywoływanych wszystkim tym, co nieprzyjemne i trudne w prawdziwym życiu. Trzeba byłoby ich znów zobaczyć za jakieś pięć czy dziesięć lat; prawdopodobnie nie będą się już odznaczać taką sugestywnością, chyba że wybiorą los włóczęgów lub świętych. Możliwe, że kilkoro z nich to autentyczni idealisci, stali w poglądach, i nie połączą się nigdy na dobra materialne czy jakiegokolwiek gratyfikacje społeczne, ale przecież idealisci to nudziarze. Obnoszą się ze swoją moralną wyższością, zawsze mają coś do przekazania innym, na dłuższą metę są nie do zniesienia. Jak Milton Jernigan, który w latach siedemdziesiątych napisał dwa lub może trzy piękne melancholijne utwory i około dwudziestu przeciętnych smutnych piosenek, a stał się kultową postacią, bo od pewnego momentu zrezygnował z praw autorskich i żył jako włóczęga, zanim powiesił się na drzewie w Kinver Forest.

A Milena? Ta włoska dziewczyna od lodów? Nie jest dwudziestolatką utrzymywaną przez rodziców ani nie wygląda na idealistkę z głową naszpikowaną

moralnymi, politycznymi i artystycznymi komunałami. A jednak wczoraj wieczorem zdawała się nieskażona tak samo jak pozostali uczestnicy koła; także ona nie oczekiwała niczego w zamian. Podobnie jak dzień wcześniej, kiedy poszedł ją odwiedzić w jej lodziarni, aby powiedzieć, że nigdy przedtem nie jadł tak dobrych lodów. Owszem, uśmiechnęła się, ale nie było w tym ani odrobiny samozachwytu; pospiesznie zakończyła rozmowę, zmieniła temat. Ale co on tak naprawdę o niej wie? Widział ją trzy razy: za pierwszym ledwie się ze sobą przywitani, za drugim rozmawiali kilka minut, za trzecim milczeli. Czy przypisuje nieznajomej urojone cechy tylko dlatego, że ona nie mieści się w żadnych znanych mu kategoriach? Tylko dlatego, że w tym momencie czuje się, jakby miał nóż na gardle?

Niejednokrotnie zdarzyło mu się pokładać nadzieje w kobietach, z którymi zamienił ledwie parę słów (albo nie zamienił wcale), biorąc pod uwagę jedynie rysy twarzy lub zachowanie, jakieś spojrzenie, gest, a nawet niebanalne ubranie. Czasem nawet nie musiał rozmawiać z nimi twarzą w twarz, pozwalał się ponieść temu, co, jak mu się wydawało, emanowało z nich na odległość. Ileż to takich cholernych wpadek mu się przydarzyło? Ile razy niepotrzebnie wpadał w entuzjazm? To dziecinada, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, wielokrotnie znalazł się przez to w kłopotliwych sytuacjach, a nawet kilku naprawdę przykrych. Doskonale pamięta bolesność upadku, gdy rozwieją się złudzenia, gdy dojdzie do wzajemnego rozczarowania; owo wszechogarniające zażenowanie, uczucie, że jest się największym kretynem na świecie.

Tak czy inaczej, ta cała Milena może i ma szczególny stosunek do swojej pracy i zapewne także do świata, lecz gdy w jej lodziarni pocałował ją w czoło, wyraźnie poczuł, jak się usztywniła. Podobnie wczoraj wieczorem, kiedy czystym przypadkiem objęli się na rynku w Fayence, po czym otworzyli oczy i odkryli, kim są, wcale nie wyglądała na zachwyconą. Wystarczy przekroczyć jej barierę bezpieczeństwa, a w jej spojrzeniu i gestach pojawia się opór, bez dwóch zdań. Być może kiedyś potraktowałyby to jako wyzwanie i próbowałyby mu sprostać, ale dziś już nie. Już od dłuższego czasu nie jest emocjonalnym piratem poszukującym trudnych kobiet, które zadręcza, a potem od razu porzuca, nie martwiąc się skutkami, jeśli przyjąć, że w ogóle kiedykolwiek taki był. Dlaczego właśnie teraz mu się przypomniała? A wcześniej? Przez ten dziwny zbieg okoliczności, że w kole objął właśnie ją? Przecież jej lodziarnia mieści się o dwa kroki od rynku, nie ma w tym nic dziwnego, że tam się pojawiła, po tym, jak zamknęła sklep. A osób w kole było osiemnaście, wliczając w to jego; tak więc prawdopodobieństwo objęcia właśnie jej nie było znów takie niskie. Czy to zależy od faktu, że kiedy przyjechała swoją furgonetką z lodami, a on zobaczył ją u boku Aileen, wydały mu się całkowitym przeciwieństwem pod względem wyglądu, charakteru, sposobu bycia i ubierania się, pod każdym względem? Czy może od

tęgo, że spośród tych dwóch zupełnie różnych kobiet – chociaż tylko przez chwilę – to ona wydała mu się bliższa niż Aileen? Że jego sympatia ulokowała się w niej w sposób zupełnie instynktowny, zupełnie niezracjonalizowany. Co to było? Kolejny przejaw jego mrzonek o tym, że może gdzieś czeka na niego swego rodzaju cudowne spotkanie? To kolejny syndrom tęgo, że ma nóż na gardle; nie ma co do tęgo wątpliwości.

Nick Cruickshank wyłania się ze swojego studia i najciszej, jak potrafi, idzie korytarzem, starając się, aby nie spostrzegli go goście, którzy gadają i śmieją się, pijąc w salonie; zamierza schronić się w kuchni, w kojącym królestwie pani Jeanne.

Lecz goście zauważają go właśnie wtedy, gdy myśli, że udało mu się już na dobre wymknąć. Wally natarczywie pokazuje na niego palcem i woła:

– Hej, Nick! Gdzie ty się, do cholery, wybierasz?

– Muszę coś sprawdzić. – Nick Cruickshank sili się na uprzejmy ton, choć w rzeczywistości miałyby ochotę mu odpowiedzieć, aby zajął się swoimi sprawami, złopał dalej swojego osiemnastoletniego Jamesona i nie zwracał mu głowy.

Wally chichocze drwiąco; zawsze był największym natrętem pod słońcem. Nie chodzi tylko o zwykły upór połączony z brakiem taktu; kiedy Wally czegoś chce, zaczyna zadrećcać ludzi i nie przestaje dopóty, dopóki nie dopnie swego. To właśnie ta cecha zaważyła na jego stylu gry – jako basista jest nieustępliwy, natarczywy, obsesyjny, co spowodowało, że zyskał sobie przydomek „The Wall”. I w ten sam sposób uzyskał wszystko to, co ma dziś; dołączył do Bebonkersów, choć inni go nie lubili, dodawał swoje pomysły do aranżacji, choć inni nie byli do nich przekonani, inwestował pieniądze w zaskakująco dochodowe akcje, nawet wtedy, gdy jego doradca finansowy się nie zgadzał, zaciągał do łóżka setki, a może nawet tysiące nieszczęsnych fanek, które wołałyby kogokolwiek innego z zespołu, żenił się trzykrotnie z niemal identycznymi kobietami, które przynajmniej z początku uważały, że jest obleśny. Jego natarczywość i niezwykle upór przynoszą tak dobre i długotrwałe rezultaty, że nie widzi żadnego, ale to żadnego powodu, by z nich teraz rezygnować.

– A ta konna przejażdżka, którą nam obiecałeś? Kiedy, do cholery, się na nią wybierzemy?

– Ech, nie wiem. – Nick Cruickshank miałyby ochotę wymierzyć mu kuksańca, jak Rodney podczas ostatniej trasy koncertowej; to właściwy odruch, kiedy ma się do czynienia z takim typem.

Jego żona Kimberly podchodzi do nich, mamląc gumę.

– Jakieś nowiny w sprawie kolejnych przyjazdów?

Nick Cruickshank myśli, że to miejsce staje się coraz mniej zdatne do życia, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

– No już, włóżcie na siebie coś odpowiedniego, to zabiorę was na tę cholerną

przejażdżkę.

Wally i Kimberly mozolnie kiwają głowami; prawdopodobnie jest im nie w smak, że tak nagle pozbawiono ich możliwości dalszego napraszania się.

Nick Cruickshank wychodzi na tył domu po Reného, który zajmuje się końmi, choć jest niemal pewien, że już wcześniej zaangażowała go do czegoś Aileen, podobnie jak pozostałych.

Milena Migliari stoi obok mieszalnika, zachwycona dźwiękiem łopatkki, która bez ustanku miesza masę lodową o smaku śmietankowym – jej przygotowaniem zajęła się zaraz po tym, jak wyrzuciła nieudane lody kasztanowe. Śmietanka to smak, do którego powraca, kiedy potrzebuje się zresetować po jakimś rozczarującym eksperymencie; od niego można zacząć wszystko na nowo. Lody śmietankowe mają w sobie coś z inicjacji: są jak białe płótno, jak niezapisana stronica, w której tkwi obietnica tysiąca możliwych historii lub może żadnej. To tak doskonale znany smak, przy czym tak trudny do opisanego słowami. Samo słowo „kremowy” nie wystarcza. „Słodki” go nie oddaje. „Miękki”, „delikatny”, „esencjonalny”, „czysty” lub „śnieżny”? Owszem, jest jednorodny, powleka język, wytwarza warstewkę, która jednak szybko się rozplywa, nie trwa. W lodach śmietankowych nie ma nic oczywistego; ich pozorna prostota przekłada się na całe uniwersum niuansów miękkości i aksamitności pieścących język i podniebienie, przywodząc na myśl niewinne wspomnienia, świeże doznania, bezgrzeszne doświadczenia dotykowe i węchowe. Jeśli istnieją lody, które obalają przesąd, jakoby smak zależał od pory roku, to są to właśnie lody śmietankowe. Równie dobre wiosną, latem, jesienią i zimą, w każdą pogodę, każdego dnia, o każdej porze. Jak przy każdym smaku, ich jakość zależy od jakości składników i od tego, co się robi, by nabrały wyrazu, zamiast go stracić. Wielu lodziarzy używa mleka i śmietanki zakupionych w supermarkecie; inni sięgają po takie obrzydlistwa jak pozbawione życia mleko UHT lub jeszcze gorzej: mleko w proszku lub mleko skondensowane. Następnie, by ukryć niedobry posmak lub aby smak wzmocnić, dosypują do masy lodowej kilogramy cukru, czy to sacharozy, czy fruktozy lub dekstrozy, a nawet dolewają syropu kukurydzianego o wysokiej zawartości fruktozy; dodają też wanilinę lub inne syntetyczne aromaty, a w najlepszym wypadku mączkę chleba świętojańskiego, aby całość zagęścić. Rezultat jest taki, że przemysłowe lody śmietankowe należą często do najbardziej przesłodzonych smaków, jakie istnieją; są nikomu niepotrzebnym ulepkiem. Stają się pozbawione wyrazu i charakteru; są smakiem odpowiednim dla tych, którzy nie wiedzą, jaki smak wybrać.

Ona używa tylko mleka od krów rasy brunatnej Didiera, który pasie je na łąkach w pobliżu Montauroux: jedzą świeżą trawę lub siano suszone na słońcu, zależnie od pory roku. Chronią się pod dachem tylko wtedy, gdy mają na to ochotę. Didier traktuje je z szacunkiem, łącznie z tym, że czasem przygrywa im na lirze korbowej. Jego krowy dają o wiele mniej mleka niż krowy zamknięte w oborach,

trzymane za żelaznymi kratami i faszerowane paszą przemysłową, ale jest ono tak kremowe, że nie trzeba dodawać śmietanki, a ponadto wyczuwa się w nim ziołowe i kwiatowe nuty, każdego dnia inne – słodko-kwaskowe, miodowe i takie pełne życia. To właśnie mleko stanowi podstawę wszystkich wytwarzanych przez nią smaków i stało się też powodem, dla którego postanowiła poświęcić się tylko lodom, rezygnując z sorbetów. (Sorbety to zupełnie inna bajka: są wodniste, cukrowe, grudkowate; rozpuszczają się w ustach, nie zaspokajając języka jak lody, które oblekają go swoją pyszną, ujmującą i trwałą konsystencją). Zważywszy na to, że pasteryzacja zmienia każdy smak, ona przeprowadza ją przez krótki czas w niskiej temperaturze: w sześćdziesięciu stopniach co najwyżej przez pół minuty. Do słodzenia masy używa skoncentrowanego soku winogronowego, czasem miodu akacjowego, czasem syropu z agawy, potem dodaje wanilii burbońskiej pochodzącej z wyspy Reunion; każdy z tych składników wprowadza delikatną, lecz wyczuwalną nutę, która wpływa na ostateczny charakter lodów. Smak śmietankowy jest jednym z tych, które najlepiej określają różnicę między lodami nijakimi a interesującymi, między tymi, które nużą po kilku minutach, a tymi, które się zjada do samego końca. Potrzebowała wiele czasu i wielu prób, aby zaczęły jej wychodzić znakomicie, a mimo to nadal uważa, że jest przed nią coś do odkrycia. Naprawdę – i nie są to puste słowa.

Tak czy inaczej, mieszanie jest etapem, który chyba najbardziej ją fascynuje: wilgotna masa wchłania powietrze, które jak za sprawą magii przemiana ją z wolna w gęsty, miękki i puszysty krem. W ciągu kilku minut lody osiągną niemal ostateczną formę, ale w temperaturze około minus ośmiu stopni Celsjusza ich konsystencja będzie jeszcze nietrwała i wystarczyłby brak prądu – jak w poniedziałek – aby wszystko się rozpuściło. Z mieszalnika, który ma pojemność pięciu litrów, musi wydobywać masę ręcznie; kupiła go, bo nie stać jej było na większy, a poza tym i tak wytwarza tylko niewielkie ilości do spożycia w ciągu jednego dnia. Niektórzy lodziarze używają o wiele większych i bardziej wyrafinowanych maszyn, inni posługują się ciekłym azotem, lecz nie po to, by wytwarzać lepsze lody, ale po to, by zaoszczędzić na czasie i zwiększyć produkcję. By „dokonać optymalizacji procedury”, jak można przeczytać na stronach internetowych, lub „zmaksymalizować wydajność”. Bezustannie ciekawią ją nowinki techniczne, ale nawet gdyby miała na to odpowiednie środki, za nic w świecie nie chciałaby przemienić tej pracowni w swego rodzaju ośrodek badań kosmicznych wyposażony w roboty kontrolowane przez komputery, które za każdym razem w sposób zupełnie przewidywalny wykonują to, co ona robi ręcznie, raz po raz wprowadzając drobne wariacje. Lubi myśl o tym, że może się pomylić, jak stało się raptem przed chwilą przy lodach kasztanowych; cieszy się, że w tę grę wpisane jest ryzyko.

Poza tym ta cała historia z ciekłym azotem ostatnio jeszcze mniej do niej

trafia, bo przywodzi jej na myśl opowieści doktora Lapointe'a o kobietach, które przed trzydziestką przekazują swoje jajeczka do przechowywania w bardzo niskich temperaturach, właśnie w ciekłym azocie, tak aby były gotowe w chwili, gdy postanowią założyć rodzinę, pięć czy dziesięć lat później. Lapointe nazywa to *social egg freezing*, bo celem jest to, by wieść żywot singla, poświęcając się karierze lub imprezom, lub egzotycznym podróżom, bez przeszkody w postaci dziecka, odkładając jego przyjście na świat do czasu, gdy zjawi się mężczyzna, który będzie je chciał, albo do momentu, gdy sytuacja finansowa będzie najdogodniejsza, a związek stabilny (lub być może zakrawający na nudę). Myśl o tym napawa ją smutkiem; ale prawdopodobnie to z nią jest coś nie tak, a nawet można uznać to za pewnik. Tak czy inaczej, nie ma najmniejszej ochoty, aby nad tym rozmyślać; ale te myśli pojawiają się w jej głowie same, niepowstrzymanie i z uporem.

Po zakończeniu procesu mieszania wraz z Guadalupe przenosi lody śmietankowe do stalowego pojemnika, który następnie przekłada do schładzacza – tam w ciągu kilku minut temperatura spadnie z minus ośmiu do minus dwudziestu stopni; w ten sposób redukuje się ilość niezamrożonej wody, za której sprawą lody tracą objętość i kremową konsystencję. Następnie przekładają lody śmietankowe do rynienki w ladzie, umieszczają je obok lodów z szaronów. Kiedy podnosi przykrywkę, widok jest przepiękny: biel i pomarańcz to wspaniałe jesienne zestawienie.

Nagle Milenie Migliari wydaje się, że nie ma już zbyt wiele do zrobienia: lodziarnia jest pusta, miasteczko niemal wyludnione, po głównej ulicy z rzadka przejeżdża pojedynczy samochód, rynienki w ladzie zawierają lody tylko w czterech smakach. Jeszcze dwa dni i będzie poniedziałek. Liczy je na palcach, choć nie ma takiej potrzeby: sobota i niedziela. Jeden i dwa. Plus dzisiejszy dzień, który jednak szybko się kończy.

Nick Cruickshank idzie na padok po trzy konie, bo – jak zresztą się spodziewał – Aileen zaangażowała Reného do przygotowywania jutrzejszej uroczystości. Chwyta je kolejno za uzdę, przywiązuje do belki: Task, Muck i Michelle. Energicznymi ruchami usuwa im błoto z grzbietu, z boków i z brzucha, potem oczyszcza je zgrzeblę; animuszu dodaje mu niechęć wobec najeźdźców obecnych w jego posiadłości. Idzie do siodlarni po wodze i siodła z podbiciem, przygotowuje kolejno konie, wykonując na pamięć czynności, choć od lat jest przyzwyczajony, że zajmuje się tym ktoś inny; dociąga poporęgi, na oko reguluje strzemiona.

Kiedy wraca do domu, panuje tu jeszcze większy zamęt niż dwadzieścia minut temu: do rezydencji wciąż napływają nowi goście, ich głosy i gesty nakładają się na siebie. W salonie luksemburski prawnik Aileen brzdąka na fortepianie *Summertime*, nie zważając na to, że słuchają go zawodowi muzycy. Baz rozmawia o muzyce indyjskiej z Nishanathem Kapoorem, gdy tymczasem Beth Bolton przygląda im się z podziwem, jakby byli dwoma bóstwami, które w cudowny sposób zasiadły na jednej kanapie. Rodney udaje, że słucha dwójki nudziarzy – to zapewne inwestorzy Aileen lub partnerzy w jej projektach charytatywnych. Lecz wokół jest jeszcze przynajmniej ze dwadzieścia innych osób zajętych prowadzeniem rozmów i przybieraniem póz; odwracają głowę w jego stronę ze zmiennym zainteresowaniem. Nick Cruickshank eliminuje wszystkich ze swojego pola widzenia, skupia się na Wallym, który bez umiaru nalega, żeby Todd spróbował jego whisky, choć ten nie pije od około dziesięciu lat. Kimberly nie odstępowała na krok dziennikarki ze „Star Life”, jakby były wielkimi przyjaciółkami: chichocze, wykonuje puste gesty. Nick Cruickshank zmierza prosto do niej, jakby przechodził przez pole bitwy, nikomu nie dając uchwycić się wzrokiem.

– Już idziemy? Konie są gotowe? – pyta Kimberly.

– Konie? – Dziennikarka ze „Star Life” rozgląda się wokoło w poszukiwaniu fotografa lub kamerzysty. – Zaczekajcie chwilę, zawołam Eda i Simona.

Nick Cruickshank nawet jej nie odpowiada; chwyta Kimberly za rękę, wykonuje wściekły gest, chcąc pospieszyć Wally’ego, który jak zwykle reaguje z wielosekundowym opóźnieniem.

Na tyłach domu Kimberly kuśtyka żałośnie na wysokich obcasach swoich muszkieterek. Ma na sobie niebieską kurtkę podszytą białym shearlingiem, białe spodenki ledwo zakrywające jej pachwiny, półprzezroczyste czarne pończochy z zaciemnieniami na wysokości kolan; nawet przez myśl jej nie przeszło, że

mogłaby włożyć coś minimalnie bardziej odpowiedniego.

– Chcesz tak iść na konie? – Nick Cruickshank wskazuje na jej nogi; nie może uwierzyć, że jest w tak bliskich relacjach z takimi ludźmi.

– Nie dałeś mi czasu, żebym się przebrała! – Kimberly, święcie przekonana o swojej racji, z ostentacją przeżuwa gumę.

– Żeś nas wyciągnął właściwie siłą, do cholery. – Wally od razu okazuje jej wsparcie, idąc tuż za nią swoim mozolnym krokiem; zamyka suwak srebrnej kurtki puchowej, którą złapał po drodze.

Niemniej Nick Cruickshank nie uważa, aby Kimberly i Wally byli najbardziej nieznośnymi ludźmi, z jakimi będzie miał do czynienia w najbliższych dniach; ich wady są tak wyraziste, że niemal dodają mu otuchy, poza tym tak dobrze ich zna. Przypomina sobie dziesiątki innych tak zwanych przyjaciół i znajomych, którzy drażnią go o wiele bardziej swoją mentalnością, swoim nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Chodźmy, zanim znajdą nas te hieny ze „Star Life” – mówi.

Thompsonowie niechętnie idą za nim aż do drewnianego budynku siodlarni. Nisko na półce stoi siedem czy osiem par butów jeździeckich w różnych rozmiarach, natłuszczonych i wypolerowanych przez Renégo, który z pewnością uważa, że to wielkie marnotrawstwo, iż tak rzadko się z nich korzysta. Wally przymierza parę butów, które okazują się za ciasne, inne są za duże; trzecia próba kończy się powodzeniem. Chodzi tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni niczym nieco znużony, ale nadal pełen zapału bitewnego rezerwista; głośno stawia kroki na drewnianych deskach.

– A ty nie chcesz włożyć butów? – pyta Kimberly Nick Cruickshank, patrząc na muszkieterki z dekoracyjnymi suwakami po bokach; patrzy w stronę domu z obawą, że zobaczy kogoś, kto się tu wybiera.

– Nie, te buty są świetne. – Także Kimberly dwukrotnie uderza obcasami, grymas na jej twarzy mógłby świadczyć o bólu, lecz być może to jedna z min, które zwykli robić z Wallym, by zapęłnić intelektualną pustkę swoich dni.

Nick Cruickshank wkłada buty, zdejmując z haka dwa kaski trekkingowe mniej więcej w rozmiarach Thompsonów i podaje im je.

Kimberly nakłada kask na utapirowane włosy, bez przekonania zapina pasek pod brodą. Z zaciśniętą żuchwą trudniej jej żuć gumę, ale i tak nie przestaje.

Wally natomiast chichocze, nieco skulony robi krok w tył, jakby na znak, że od razu pojął żart.

– No nie. Co ja mam z tym, do cholery, zrobić? Przecież zacząłem jeździć dużo wcześniej od ciebie!

Nick Cruickshank myśli, że tak jest rzeczywiście: kiedy Bebonkersi zaczęli zarabiać prawdziwe pieniądze, czyli po wypuszczeniu trzeciego albumu, Wally jako pierwszy metodycznie zajął się gromadzeniem symboli statusu, od ferrari po

wspaniałą rezydencję w Kent i konie wierzchowe, na których fotografował się dla kolorowych magazynów, a nawet udzielał wywiadów telewizyjnych. Inni członkowie grupy podążyli jego śladem, jedni kupując sobie pałacyk w Chelsea, aby być bliżej centrum wydarzeń (Nick), inni zapewniając sobie luksusowe jachty (Rodney) lub biorąc udział w aukcjach Christie's (Todd); od tamtej pory bezustannie skupowali kolejne dobra. Choć tak naprawdę ich nie potrzebowali, choć tak naprawdę im się nie podobały. Z drugiej strony niemal wszystkie znane mu tak zwane gwiazdy wydają olbrzymie sumy pieniędzy na rzeczy, których nie cierpią. Kupują domy na tropikalnych wyspach, gdzie zmagają się z klimatem, lub w mieście, gdzie żyją zamknięte, kolekcjonują dzieła sztuki, których nie rozumieją, zagracają domy meblami, srebrnymi zastawami i porcelaną, którą same uważają za okropną, wyszukują prestiżowe roczniki win francuskich, które z trudem wypijają, uprawiają sporty ekstremalne, które wywołują w nich jedynie poczucie porażki, podróżują po świecie na imprezy organizowane przez ludzi, z którymi tak naprawdę się nie przyjaźnią. Robią to z powodu kompleksów społecznych i zachłanności, to jasne, ale przede wszystkim po to, by pokazać namacalne dowody swoich sukcesów rodzicom, sąsiadom, kolegom po fachu, konkurencji i milionom zupełnie nieznanym ludzi, którzy z oddali obserwują ich poczynania. Znowu chodzi o to, by nie zawieść cudzych oczekiwań; a im większe są te oczekiwania, tym większy wysiłek, aby ich nie zawieść. Jeśli zaś chodzi o chorobliwe zapędy mass mediów, o ciągłe próby natarcia i o osady wydawane na podstawie pozorów, to – jak powiedział Rodney w jednym z wywiadów – jedyną rzeczą gorszą od tego, że wszyscy na ciebie patrzą, jest bycie pozostawionym w spokoju, bo oznacza to, że wszyscy mają cię gdzieś.

– No to gdzie są konie? – Wally znowu zaczyna ponaglać, choć jak dotąd trwał w letargu.

Nick Cruickshank prowadzi Thompsonów na padok, gdzie przywiązane do belki czekają trzy kare konie z długimi grzywami i ogonami; są osiodłane, gotowe do jazdy.

– To te? – Wally zaczyna się śmiać, odwraca się do Kimberly i do Nicka Cruickshanka. – Przecież to pieprzone kucyki.

– To konie z Mérens. Nazywane także Ariégeois. – Nick Cruickshank doskonale wiedział, jaka będzie reakcja tego prostaka, ale, tak czy inaczej, czuje, że wzbiera w nim złość.

– To kucyki, przykro mi, że muszę cię rozczarować. – Wally całe życie spędza na porównywaniu tego, co ma, z tym, co posiadają inni; ćwiczy się w tym bez końca. A że jest zupełnie pozbawiony inteligencji i gustu, to jego jedynymi kryteriami są cena i rozmiar. Rozpatruje wszystko i bezustannie porównuje: swoje gitary basowe, swój członek, konta w banku, zainteresowanie fanów, liczbę wywiadów, nieszczęsnice, które udało mu się zaciągnąć do łóżka, te, z którymi się

ożenił, domy, samochody. Kiedy porównanie wypada na jego niekorzyść – jak zresztą dzieje się często – uruchamiają się w nim pokłady żalu; kiedy zaś wydaje mu się, że ma przewagę, to zachowuje się jak oszalała małpa.

– To są konie. Zobacz w Internecie, jeśli potrzebujesz dowodów. – Nick Cruickshank nie podnosi głosu, bo wejście w grę porównań z Wallym Thompsonem tylko by go zdeprymowało.

– Nie, kochany. Moje to są konie. Hanowery sprowadzone bezpośrednio z Saksonii, o taaakim rodowodzie, mają metr siedemdziesiąt pięć w kłębie. – Co za zakuty łeb z tego Wally’ego, to nigdy się nie skończy.

– I dzięki nim czujesz się lepszym człowiekiem? Bardziej zrealizowanym i ważniejszym? – Nick Cruickshank miałby ogromną chęć wymierzyć mu kopniaka w goleń. Albo w jaja.

– Do czego ty, do cholery, zmierzasz? – Wally chichocze swoim odstręczającym gardłowo-nosowym śmiechem; znów odwraca się do żony. – Maleństwo, twoim zdaniem to są konie? Tak szczerze.

Kimberly żuje gumę, trochę z trudem ze względu na pasek zapięty pod brodą, potrząsa głową:

– Są dość kurdupłowate i brzydkie.

Ona za to wygląda jak powiększona dziewczynka z twarzą nastrzykniętą jadem kiełbasianym lub czymkolwiek innym i z wielkim łbem wciśniętym w czerwony kask.

– Wsiadacie czy nie? – Nick Cruickshank musi dokonać wielkiego wysiłku, żeby nad sobą zapanować. – Od dwóch dni zadręczacie mnie, żebyśmy się wybrali na tę cholerną przejażdżkę konną.

– Właśnie, konną. – Wally zupełnie nie ma poczucia umiaru; najgorsze jest to, że uważa, jakoby umiar nie był mu do niczego potrzebny.

– No już, chodźmy. – Nick Cruickshank otwiera furtkę padoku, wpycha ich do środka. Zaciska popręg Taska, podaje cugle Kimberly, pomaga jej wsiąść, przesuwa jej łydki, aby wyregulować puślisko, bo jej się nawet nie śni, by się tym zająć.

– Nie obmacuj za bardzo mojej żony, co?! – Wally, rzecz jasna, nie traci okazji do aluzji i śmiechu.

– Możesz być spokojny. – Nick Cruickshank znów z trudem powstrzymuje się, aby mu nie odpowiedzieć tak, jak by chciał.

Kimberly pozwala mu się obsługiwać jak stajennemu, siedzi nieruchomo w siodle, nie raczy nawet podziękować. Można sobie wyobrazić, jak zachowuje się ta para prostaków wobec ludzi, którzy dla nich pracują: z ostentacyjnym chamstwem i arogancją. Czy to możliwe, że nadal wydają mu się mniejszym złem w porównaniu z hordami najeźdźców, które będą tu nadciągać do jutrzejszego poranka?

Wally przygląda się sceptycznie Muckowi i Michelle, jakby były go zupełnie niegodne.

– A którego z tych osłów zamierzasz przeznaczyć dla mnie?

Nick Cruickshank waha się, bo miałby ochotę mu powiedzieć, że gównu mu da i żeby poszedł się mądrzyć gdzie indziej. Ale przecież już tu są, a zajmowanie się dwójgim gości z pewnością łatwiej usprawiedliwić przed Aileen niż samotną wyprawę, więc mówi:

– No już, weź Michelle.

– Michelle? Przecież ona ma brodę! – woła Wally, rzucając jedno ze swoich odstręczających spojrzeń.

– Kurwa, ten jest strasznie nerwowy! – Kimberly kołysze się w siodle Taska: całkiem prawdopodobne, że nigdy nie dosiada ich hanowerów lub co najwyżej jeździ w kółko po padoku pod okiem świetnie opłacanego instruktora, gotowego pomóc w każdej chwili.

– Wcale nie jest nerwowy. Popuść trochę wodze. – Nick Cruickshank musi zdobyć się na całą cierpliwość, do jakiej jest zdolny, a przecież nigdy nie miał jej w nadmiarze.

Wally samodzielnie reguluje popręg Michelle, chcąc pospiesznie zademonstrować swoje kompetencje, ale za mocno zaciska pasek.

– Popuść trochę, bo będzie jej niewygodnie. – Nick Cruickshank wybrał te konie także dlatego, że kiedyś używano ich do przemytu w górach i musiały sobie radzić na najbardziej stromych ścieżkach, a ta historia przypadła mu do gustu.

Wally zachowuje się, jakby nic nie usłyszał; zapina klamrę, wkłada lewą stopę w strzemień, całą siłą rąk podciąga się w górę, jego ciężki tyłek z plaśnięciem opada na siodło. Michelle, rzecz jasna, jest rozdrażniona, wierzga i rzuca łbem. Wally ciągnie cugle, jak przystało na takiego kretyna jak on, i chichocze.

– *Woah!* Uraziły ją moje wcześniejsze słowa.

– Ty idioto! – Nick Cruickshank próbuje nie podnosić głosu, zaciskając popręg Mucka, ale niezbyt mu się to udaje.

– Coś ty powiedział? – Wally wyregulował chyba swój aparat słuchowy, bo słyszy aż nadto dobrze; spina konia i zawraca.

– Nic. Chodźmy. – Nick Cruickshank dosiada konia, jedzie przodem, by wyprowadzić ich z padoku.

– Powiedziałeś: „Ty idioto”, słyszałem przecież! Dupek! – Wally kłusuje za nim, czerwony na twarzy.

– Hej, Kimberly! – Kilka metrów od parkanu zjawia się Sadie, żona Rodneya, w panoramicznych okularach przeciwsłonecznych, w kurtce z rysia kanadyjskiego i w wysokich butach na cienkim obcasie, jeszcze mniej stabilnych od muszkieterek Kimberly, oraz z wielką torbą od Gucciego na ramieniu. – Jedziemy do Saint-Tropez, do Dimitriego i Vanessy!

– Do Saint-Tropez? – Kimberly szarpie wodze Taska, jakby chciała oderwać mu głowę, i zawraca go, ogarnięta paniką.

– Aha. Chcesz z nami jechać? – Również Sadie żuje gumę z zaangażowaniem właściwym działalności produkcyjnej.

– Tak, tak. Zaczekajcie na mnie. – Kimberly próbuje zsiąść w najgorszy z możliwych sposobów i Task zaczyna kręcić się w kółko.

– Co to, do cholery, ma znaczyć, Maleństwo? – Wally nerwowo ściąga cugle, żeby do niej zawrócić. – Nie jedziesz z nami na tę pieprzoną przejażdżkę?

– Wolę pojechać z Sadie, musimy też odwiedzić kilka sklepów. – Kimberly ponownie próbuje przenieść prawą nogę nad przednią częścią siodła.

– Do cholery, Maleństwo! Tak mnie zostawisz? – Wally robi minę wielkiego rozbawionego dzieciucha: nadyma policzki i prycha.

Nick Cruickshank pospiesznie zeskakuje z konia, wściekłym ruchem przywiązuje cugle Mucka do parkanu, pomaga zsiąść Kimberly, zanim ta połamie sobie nogi.

– Hej, ty, tylko nie próbuj obmacywać tyłka mojej żony! – Oto znów Wally-powtarzalniś w pełnej krasie. A najgorsze jest to, że wcale nie żartuje: naprawdę czuwa, gdy Nick Cruickshank podtrzymuje Kimberly, aż ta bezpiecznie zestawi stopy na ziemię.

Kimberly od razu zrywa z głowy kask, palcami usiłuje natapirować włosy, prycha i daje znak:

– Widzimy się potem, kochanie!

– Pieprz się, Maleństwo. – Rozżalony Wally patrzy za nią, jak oddala się wraz z Sadie.

Nick Cruickshank nie znosi tych dwojga, ale nie potrafi nie odczuwać podziwu wobec tego, że łączą ich te same wady; bez wątplenia są dla siebie stworzeni. To wstrząsające doznanie, które sprawia, że czuje się jeszcze bardziej samotny i osaczony niż wcześniej.

– No to jedziemy? – Wally znów zaczyna na niego naciskać.

– Zaczekaj. – Nick Cruickshank zdejmuje siodło, pułsisko i cugle z Taska, który wygląda na dość zadowolonego, że nie będzie musiał wozić Kimberly; odwiesza wszystko na parkan, szybko znów dosiada Mucka i jadąc przodem, opuszcza padok.

– Jak tu obudzić tę oślicę? – Wally uderza Michelle piętami, chcąc go wyprzedzić.

Nick Cruickshank nawet mu nie odpowiada; wybiera ścieżkę pośród dębów, aby umknąć przed ekipą „Star Life”, która z pewnością już ich szuka, i nie dać się znaleźć Aileen, jak również całej czeredzie pracującej na trawniku przed domem.

Jadą przed siebie w szybkim tempie, omijając pnie, pośród wilgoci poszycia leśnego, zapachu grzybów i zbutwiałego drewna; po kilku minutach docierają na

polanę, na której stoi sekretny domek. Nick Cruickshank zakochał się w nim, gdy tylko go zobaczył, zanim dowiedział się, że należy do sąsiedniej posiadłości, co zmusiło go do nowego zakupu. Nigdy jednak nie chciał go przebudowywać – co z kolei zrobił z dużym domem – naprawił jedynie dach i okna, a wewnątrz wyposażył w niezbędne minimum. Właśnie taki mu się podoba; to proste, nieskażone miejsce, w którym może się schronić w razie potrzeby.

– Co to, do cholery, jest? – pyta Wally, wskazując na domek i nie przestając przy tym dźgać Michelle.

– Nic. – Nick Cruickshank nie ma, rzecz jasna, najmniejszego zamiaru mu tego objaśniać.

– Jak to „nic”? To twoja tajna meta, mów prawdę! – wykrzykuje Wally, świdrując go swoim natarczywym wzrokiem – Kogo tu sprowadzasz? Tę młodą kelnereczkę, która podaje do stołu?

– Czy mógłbyś darować sobie projektowanie swoich obleśnych fantazji na moje życie? – Jak wiele innych razy, jego obrzydzenie wobec Wally’ego przekłada się na myśl o tym, że spędził z nim kilkadziesiąt lat wraz ze wszystkim, co z sobą niosły.

– Kto jest obleśny?! Słuchajcie tylko! Dupek! – Wally spina konia, chcąc dogonić Nicka Cruickshanka. To niewiarygodne, że czuje się urażony słowem „obleśny”, skoro nieustająco zabiega o to, by taki właśnie być. – Jak ma na imię ta kelnereczka? Skoro cię nie interesuje, to może ja spróbuję swoich sił, zanim wróci Kim!

– Jesteś obrzydliwy, Wally! – Nick Cruickshank myśli z przerażeniem, że przynajmniej po części przez jakiś czas pławili się w tym samym bagnie, nazywając je wolnością i przekraczaniem norm, szczycąc się tym niczym tryumfujący barbarzyńcy. Wraz z Rodneyem napisał o tym kilka piosenek należących do najbardziej uwielbianych przez ich fanów i – co niewiarygodne – także przez fanki.

– Oczywiście, ty za to jesteś wzorem cnót – skrzeczy za nim Wally, ciągle poganiając Michelle, która przechodzi w nerwowy kłus, zmuszając go, by stabilnie usiadł w siodle.

Również Nick Cruickshank przechodzi do kłusu, aby nie dać się wyprzedzić; szybko przemierzają polanę i znów wjeżdżają w las. Mkną dalej, ścigając się pośród dębów, rozedrgane konie parskają.

Wally, zamiast uspokoić Michelle, nadal ją spina, choć przy tej prędkości coraz trudniej mu omijać gałęzie, o które w każdej chwili może uderzyć twarzą.

– Hej, wolniej! – Nick Cruickshank, chcąc uniknąć nieszczęścia, kieruje Mucka w stronę pól; zniża głowę, przechyla ją to w lewo, to w prawo, zależnie od tego, co ma przed sobą. Wynurza się z lasu, kłusuje po jego skraju, jadąc w stronę gaju oliwnego.

Lecz Wally go ponagla, z tym samym uniesieniem, z którym w latach osiemdziesiątych wykonywał swoje niekończące się solówki na basie: uderza nogami i cuglami, aż w końcu Michelle ma dość swojego dokuczliwego jeźdźca i przechodzi w galop.

Nick Cruickshank nie ma wyboru, jak doprowadzić do galopu także Mucka, by zrównać się z Wallym.

Wally oczywiście nie ma najmniejszej ochoty, by ktoś się z nim zrównywał; pogania Michelle z jeszcze większą furją, dyszy, prycha i wychyla się w przód.

– Dalej, dalej, dalej! No dalej, do kurwy nędzy!

– Zwolnij! Nie rób z siebie palanta! – Nick Cruickshank próbuje go uspokoić, poruszając lewą ręką w górę i w dół.

Wally traktuje to jak wyzwanie i zdwaja wysiłki: przyciska się do konia jak szaleniec, wrzeszczy w typowy dla siebie gardłowy sposób. Już po chwili oba konie galopują, dodatkowo zmobilizowane tym, że od wielu dni nikt ich nie dosiadał, a René, chcąc pokazać się od jak najlepszej strony, sypał im sówite porcje owsa. Nick Cruickshank próbuje jeszcze zatrzymać Mucka, Wally zaś, korzystając z okazji, by go wyprzedzić, jedzie przyciśnięty do szyi klaczy, z pochyloną głową i tyłkiem w górę: jakby po raz kolejny chciał coś udowodnić. W tej samej chwili poruszają się gałęzie i z lasu wyskakuje czarna alpaka ścigana przez dwie kolejne, tym razem białe; Michelle staje dęba i wierzga. Wally wylatuje z siodła jak z procy: leci w powietrzu przez kilka dobrych sekund, w końcu ląduje niezbyt fortunnie, turla się jak worek kartofli, po czym nieruchomo zalega na plecach.

Nick Cruickshank ostatkiem sił osadza Mucka, który słuchając swojego instynktu, chciałby rzucić się w pogoń najszybciej, jak potrafi.

Wally leży nieruchomo w trawie, w swojej srebrnej kurtce puchowej, firmowych dżinsach i w butach na supernowoczesnych podszewkach.

Nick Cruickshank szybko zsiada z konia, ciągnie cugle Mucka, który nadal drży, obraca głową i strzyże uszami w stronę swojej towarzyszki; Michelle dopiero teraz nieco zwalnia, jakieś dwieście czy trzysta metrów dalej.

– Hej, Wall? – Nick Cruickshank kuca, żeby przyjrzeć mu się z bliska i ocenić sytuację.

Wally rzęzi, jego brzuch to wznosi się, to opada. Żyje, ale z pewnością jest potłuczony.

– Spokojnie, Wall, nie ruszaj się. – Nick Cruickshank stara się odtworzyć w myślach jego lot, ale choć wszystko wydarzyło się raptem dwie minuty temu, to przebieg lądowania jest niejasny i Nick nie potrafił ocenić, czy Wally uderzył w coś głową, czy też nie.

– Aaach... – Wally znów rzęzi, porusza nogą, co oznacza, że kręgi powinny być całe, ale oczy ma nadal zamknięte, oddech spowolniony, z jego nosa wydobywa się niepokojący świst.

– Wall, słyszysz mnie? – Nick Cruickshank lewą ręką przytrzymuje cugle, prawą zaś ostrożnie dotyka jego nóg i rąk, aby sprawdzić, czy są jakieś złamania. Myśli, że w rzeczywistości nie jest tak, że nienawidzi Wally’ego: nienawidzi tego, co Wally sobą reprezentuje, lecz łączy ich zbyt długa historia, zbyt wiele razem przeszli, zarówno wzlotów, jak i upadków. Ten półgłówek stanowi sporą część jego życia; myśl o tym, że z chwili na chwilę mógłby stać się częścią jego przeszłości, łamie mu serce.

Wally wydaje z siebie kolejne rżenie, ledwie może poruszać żuchwą; wygląda na to, że jest z nim naprawdę niedobrze.

– Hej, Wall? – Nick Cruickshank czuje, jak ogarnia go gwałtowny smutek, to zupełnie inne doznanie niż *Cruickshank cool*. – Wall?

Dotyka jego szyi, lewego i prawego barku.

– Kurwaaaa! – Wally podrywa się nagle i siada, z tym samym wyrazem twarzy, który towarzyszył mu w okresach nadużywania wszelkich używek, jak wtedy, gdy niczym Łazarz dochodził do siebie po tym, jak wywachał czy wyżłopał wszystkie możliwe mieszanki białego proszku, pigułek i alkoholu, jakie trafiły mu w rękę, i zaległ na podłodze któregoś z luksusowych apartamentów hotelowych.

– Wall, witamy z powrotem! Ale mnie wystraszyłeś! – Nick Cruickshank odczuwa głęboką ulgę, której nigdy by się nie spodziewał; ostrożnie znów kładzie rękę na jego barku.

– Auaaaa! – Wally wydobywa z siebie zachrypnięty, słaby ton, który pojawiał się w jego najcięższych chwilach.

Nick Cruickshank śmieje się, niemal zapomniał o tym, że powinien trzymać Mucka za cugle, aby mu nie uciekł. Ulga zaraz jednak ustępuje miejsca strasznym wyobrażeniom, które pojawiają się w jego głowie: karetka na sygnale, szpital, w którym niełatwo się porozumieć, a jeszcze trudniej żądać dyskrecji, gipsowanie, wściekłość Kimberly, nici z jutrzejszej uroczystości, wściekłość Aileen, odwołany niedzielny koncert, wściekłość Baza Bennetta i wściekłość fanów.

– Ten pierdolony kucyk złamał mi bark! – Wally chwyta się za ramię drugą ręką; jest biały na twarzy z bólu lub być może dlatego, że wszedł w swój słynny stan autosugestii, jak wtedy, gdy wziął kwas po koncercie w Albuquerque i wydawało mu się, że opuszki palców lewej ręki rozrosły mu się do olbrzymich rozmiarów. Godzinami krzyczał do innych członków zespołu i do wszystkich, którzy pojawiali się w jego pobliżu: „Stałem się pieprzonym gekonem!”. Teraz siedzi na trawie; wszelki ślad po wcześniejszej zuchwałości zaginął i Wally zachowuje się jak zawodowa ofiara.

– Hej, nie martw się, Wall. Nic sobie nie złamałeś. – Nick Cruickshank nie jest tego wcale taki pewien, ale chce go uspokoić. Myśli, że w rzeczywistości trochę go nienawidzi, bo uczucie ulgi już przeminęło i wie, że Wally nie jest bliski śmierci ani nie będzie sparaliżowany do końca życia.

– Chuj z „nie martw się”! Chuj z „będzie dobrze”! To ty mi dałeś tego jebanego kucyka! – Wally wrzeszczy, wykorzystując całą moc swego donośnego głosu, trzyma się za bark i wykrzywia twarz.

– To ty doprowadziłeś ją do galopu! Mówiłem ci z dziesięć razy, żebyś tego nie robił!

Proszę, Nick Cruickshank znów się wścieka na Wally’ego, a jeszcze bardziej na siebie za to, że w ogóle znalazł się w tej sytuacji.

– Skąd miałem wiedzieć, że trzymasz w lesie pieprzone lamy, które mogą wyskoczyć ci na drogę?! – Wally z zasady nie potrafi pojąć rzeczy oczywistych, tym bardziej nie w takim momencie.

– To są alpaki! A ty jesteś palantem! – Choć Nick Cruickshank stara się pamiętać, że powinien trzymać nerwy na wodzy, to słowa same cisną mu się do ust.

– A ty jesteś pieprzonym dupkiem, bo wsadziłeś mnie na to dzikie bydlę, nie wspominając, że masz tu jebane safari! – W minie Wally’ego, która wyraża cierpienie i żal, trudno odróżnić prawdę od przesady.

– Przecież od kilku dni męczyłeś mnie, żebyśmy pojechali na tę cholerną przejażdżkę! Od kiedy cię znam, to nigdy nie wykazałeś się odrobiną rozsądku! – Nick Cruickshank wie, że tylko pogarsza sytuację, że zamiast go słuchać, powinien zająć się organizacją pierwszej pomocy; lecz to silniejsze od niego.

– Ty skurwysynie! Ty z kolei zawsze czułeś się ważniejszy, bo przeczytałeś parę książek i jesteś pieprzonym wokalistą! – Wally krzyczy z tą samą nieopanowaną mocą, z którą wykonuje najbardziej brutalne solówki w trakcie najmniej kontrolowanych bisów Bebonkersów, kiedy publiczność nie potrafi już w ogóle odróżnić piękna od chałtury.

Nick Cruickshank, usilnie koncentrując się wyłącznie na tym, co należy zrobić, wyciąga z kieszeni telefon.

– Nie ruszaj się. Zadzwońię po pomoc.

Również Wally z trudem wyciąga z kurtki swojego iPhone’a w śmiesznej osłonie z drewna orzechowego, z okuciami z litego złota; dzwoni do Kimberly niczym rozmazany dzieciuch, który ledwie sobie coś robi, już woła mamę.

Milena Migliari nabiera łyżką lody śmietankowe wprost z rynienki w ladzie, wkłada je do ust, pozwala, by z wolna rozpuściły się na języku, po czym przelyka; tak, są dobre. A nawet bardzo dobre; to jedne z lepszych lodów śmietankowych, jakie kiedykolwiek przygotowała, a być może nawet najlepsze. Są kremowe, ale nie tłuste, są gęste, ale nie porowate, słodycz zachowuje idealny poziom i pobrzmiwa w nich odległa nuta wanilii, pogłębiająca posmak kwiatów i ziół obecny w mleku. Można to uznać za swego rodzaju cud, jeśli pomyśleć, jak była poruszona na widok tatuażu Viviane i jak wyprowadziły ją z równowagi wszelkie inne myśli, które nadal dają o sobie znać w jej umyśle i sercu. Można by to odczytać jako przesłanie nawołujące do zachowania pogody ducha, które wystosował do niej wszechświat, lub jako sygnał ostrzegawczy, zanim wszystko pójdzie na marne; wszystko zależy od punktu widzenia.

Tak czy inaczej, prawie osiągnęła to, co sobie obmyśliła podczas przygotowania, niemniej lody zaskoczyły ją pewnymi drobnymi, nieoczekiwanymi różnicami. Dzieje się tak tylko przy najbardziej udanych lodach, przy tych, które sprawiają, że łyzy radości napływają jej do oczu; kiedy dosłownie może posmakować różnicę między tym, czego szukała, a tym, co znalazła. Są zarazem proste i skomplikowane, jak prosty i skomplikowany jest każdy smak, podobnie jak proste i skomplikowane są związki ustanawiane przez każdy ze smaków; to, jak cię rozweselają lub wprowadzają w stan melancholii, koją lub wprawiają w niepokój. Te lody śmietankowe zawierają w sobie esencję przeżytych doświadczeń lub jedynie tych, o które się otarła lub sobie wyobraziła; to zbiór nieokreślonych i nieuchwytnych elementów, które według niej stanowią esencję niedoskonałego cudu.

Niemniej jednak teraz rozpaczliwie łaknie cudzej opinii, a tymczasem do lodziarni nikt nie zachodzi, i nie wydaje się, by ktoś mógł tu zajrzeć w ciągu najbliższych godzin. A skoro nie ma nikogo, kto mógłby docenić ów cud, jaki sens miało jego uchwycenie, o ile w ogóle jej się to udało? Kto jej odpowie na pytanie, czy rzeczywiście tak jest, czy też może to tylko ułuda? Wieczorem i jutro trochę ludzi powinno zjawić się w miasteczku na weekend, a w niedzielę na pewno zgromadzą się ich tysiące w aerodromie na koncercie Bebonkersów, lecz niewielu zainteresuje się jej lodami, a tym bardziej nie będą w stanie przekazać jej tak potrzebnych uwag, które cechowałyby się wrażliwością, zrozumieniem i konsekwentnością. Ona potrzebuje ich właśnie teraz, gdy lody śmietankowe się urzeczywistniły, są świeżusieńkie i tętnią życiem, są najwyższym wyrazem jej

umiejętności twórczych.

Guadalupe kończy myć pod strumieniem wody w zlewie mieszalnik i inne przyrządy; odwraca się od razu, gdy ona wchodzi do pracowni.

– Może przyszłabyś powiedzieć, co sądzisz o lodach śmietankowych? – Milena Migliari czuje, że jej ton i gesty są napastliwe.

– Za pięć minut. – Guadalupe przypatruje się jej nieco zakłopotana; prawdopodobnie nie rozumie, jakich to jeszcze opinii od niej oczekuje, skoro już próbowała masy lodowej podczas przygotowania i uznała ją za znakomitą.

– Nie! Teraz! Proszę cię! – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że wzmaga się w niej potrzeba pozyskania opinii; nie może już ustać w miejscu.

Guadalupe zakręca kran, wyciera ręce i idzie za nią do sklepu. Próbuje łyżeczką lodów śmietankowych, które ona jej podaje, chwilę się namyśla, po czym uśmiecha się, oznajmiając:

– Pyszne.

– Nie mówisz tak przypadkiem, żeby sprawić mi przyjemność? – Milena Migliari przygląda się jej, starając się wychwycić objawy zdziwienia lub radości, ale ich nie dostrzega.

– Ależ nie. Są przepyszne. Przysięgam. – Guadalupe na pewno mówi to szczerze, nie ma w zwyczaju prawić czczych komplementów; ale nie wydaje się porażona czy wzruszona, nie wygląda też, jakby doznała rozmaitości wrażeń, jakby w jej umyśle kiełkowały wciąż nowe obrazy.

– Naprawdę? – Milena Migliari przypatruje się jej z niepokojem na twarzy i doskonale o tym wie.

– Oczywiście, że tak, Mileno. – Guadalupe nie wie, jak ją przekonać; ostentacyjnie kiwa głową, przechyla się i gestykuluje, aby nadać moc swoim słowom. – Są doskonałe.

– Ale „doskonałe” nic nie znaczy. – Milena Migliari, zamiast się uspokoić, jest coraz bardziej poruszona, wykonuje gwałtowny gest w stronę witryny. – Nie widziałas, jak nazywa się ta lodziarnia?!

– Przepraszam, chciałam powiedzieć, że są świetne. – Guadalupe znów zaczyna się martwić. – Chciałam powiedzieć, że są bez wad.

– Bycie bez wad to żadna zasługa. – Milena Migliari mimowolnie podnosi głos, ale jej nerwowość zaczyna przeradzać się w panikę. – Bycie bez wad to najgorsza wada! To znaczy, że się jest bez charakteru, że nie ma się nic, co mogłoby poruszyć serca innych!

Guadalupe robi krok w tył, patrząc na nią niepewnym wzrokiem.

Milena Migliari nie ma ochoty ani czasu, aby zrozumieć, dlaczego tak się czuje; wie jedynie, że nagła potrzeba uzyskania odpowiedzi obraca się teraz w falę, która w każdej chwili może ją ze sobą ponieść. Chodzi tam i z powrotem, od pracowni do lodziarni, z przyspieszonym oddechem i biciem serca, jej dłonie są

spocone. Czuje się jak w pułapce, bez drogi i możliwości ucieczki.

– O co ci chodzi, Mileno? – Guadalupe zaniepokoiła się już na dobre; odkąd dwa lata temu zaczęły ze sobą pracować, widziała ją już w różnych stanach napięcia, lecz zawsze łatwo umiałyby wskazać powody, inaczej niż teraz.

– Chodzi o to, że muszę stąd wyjść! – Milena Migliari nie może wprost ustać w miejscu: bierze z półki styropianowe opakowanie o pojemności pół litra, zdejmuje przykrywkę z rynienek z lodami śmietankowymi i szaronowymi i zaczyna nabierać masę łyżką. Pomimo skrajnego wzburzenia jej gesty są dość precyzyjne, choć szybsze niż zazwyczaj – udaje się jej przełożyć do pojemnika odpowiednią ilość lodów, nie musi ich upychać ani zostawiać pustych miejsc. Kiedy już napełniła opakowanie, wkłada je do schładzacza, odczeka kilka minut, po czym wyjmuje je, przykrywa warstwą folii impregnowanej i pokrywką, zakleja całość taśmą klejącą, a następnie umieszcza pojemnik w miękkiej torbie termicznej. Przeszukuje koszyk z zapisanymi, jeszcze niezwinionymi karteczkami, ale nie udaje się jej znaleźć niczego, co by ją przekonywało, więc daje sobie spokój. Do trzech kartonowych pudełek wkłada miseczki, rożki, wafle i łyżeczki, po czym i je układa w torbie termicznej, wraz ze szpatułką do lodów; zdejmuje czepek i ochraniacze, wkłada kurtkę i czapkę.

– Dokąd się wybierasz? – Guadalupe nie wie już, co o tym wszystkim myśleć.

– Potem ci powiem. – Milena Migliari jest już na zewnątrz lodziarni, szybkim krokiem zmierza w stronę swojej furgonetki.

Nick Cruickshank myśli, że jego dom stanowczo przestał już być jego domem – o ile kiedykolwiek był – przez tych ludzi, którzy wciąż wchodzą i wychodzą, otwierają i zamykają drzwi, przestawiają meble, przemierzają korytarze, śmieją się, spuszczaają wodę, nawołują się nawzajem, rozmawiają o niczym lub stale się czegoś domagają.

W pokoju Thompsonów byłoby spokojniej, gdyby nie fakt, że teraz urzęduje tam doktor Angénieux, który zaskakująco szybko przyjechał z Draguignan wraz ze swoim asystentem, jak również z przenośnym zestawem do badań ultrasonograficznych i rentgenowskich, jako że przewóz Wally’ego do szpitala prawdopodobnie nie byłby najlepszym pomysłem, bo rozliczne hieny rozpanoszyły się już w okolicy, przywiedzione jutrzejszymi i niedzielными wydarzeniami.

Wally siedzi w swoim pokoju na brzegu łóżka, jest zbolący i głęboko zawiedziony diagnozą. Lekarz ponownie pokazuje mu na cyfrowym ekranie Fujifilm zdjęcie barku, obojczyka, kości ramiennej i nadgarstka prawej ręki, kiwając przy tym głową.

– *Pas de fractures.*

– Nie ma żadnych złamań. – Nick Cruickshank tłumaczy chyba po raz trzeci, w tonie jego głosu zniecierpliwienie całkowicie wzięło górę nad początkową ulgą.

– To dlaczego tak cholernie mnie boli?! – Wally sam widzi, że nie ma złamań, ale nie przyjmuje tego do wiadomości, burzy to bowiem jego wizerunek ofiary, który chciałby utrzymać za wszelką cenę. – Coś na pewno sobie złamałem!

Aileen znów wchodzi do pokoju, za nią podążają Tricia i Fiona, jej wszechwiedząca konsultantka; nalega, by pokazano jej wyniki badań. Studiuje je z uwagą, przypatrując się Wally’emu; pyta doktora Angénieux, czy przypadkiem nie doszło do uszkodzenia *coiffe des rotateurs*[23].

Doktor Angénieux nie może uwierzyć, że Aileen zna dokładne określenie anatomiczne, w dodatku w języku francuskim; patrzy na nią z mieszaniną podejrzliwości i podziwu.

Aileen wyjaśnia, że jej bratu przydarzył się podobny wypadek, kiedy grał w hokeja w kanadyjskiej lidze A2 w Montrealu.

Nick Cruickshank jest niemal równie zaskoczony co doktor, choć powinien już się przyzwyczaić, że Aileen jest niewyczerpaną skarbnicą doświadczeń i znajomości, co jest jeszcze bardziej powalające ze względu na jej umiejętności nawiązywania superszybkich kontaktów w rozmaitych językach, w każdej chwili, w trakcie każdej czynności, przy jednoczesnym zachowaniu dbałości o każdy

szczegół. To ona zajęła się wszystkim, kiedy wraz z Aldinem przywieźli defenderem Wally'ego do domu, gdy tymczasem on wrzeszczał i użalał się, jakby za chwilę miał skonać. I to jej udało się zaprowadzić odrobinę spokoju; mimo że miała do zrobienia tysiące innych rzeczy, znalazła ośrodek radiologii mobilnej w Draguignan, po czym przekonała doktora Angénieux, że to nagły przypadek.

– *Non, Madame.* – Doktor Angénieux zapewne nadal postrzega ją jako dziwną osobkę, choć doskonale wie, że dziwni i zamożni cudzoziemcy to najlepsi klienci, jakich można znaleźć w okolicy, tak więc traktuje ją z najwyższym szacunkiem. Daje znak swojemu asystentowi, który siedzi przy monitorze, pokazuje dwa czy trzy konkretne punkty na zdjęciach, dwoma palcami przyciska odpowiadające im miejsca na barku Wally'ego, z dużą dozą energii poruszając jego ręką:

– *Vous voyez? Pas de rupture*[24].

– Aua! Zabieraj te łapska! Nie jestem jakimś pieprzonym królikiem doświadczalnym! – Wally'emu wcale nie jest w smak, że się nim manewruje, a jeszcze bardziej nie podoba mu się to, że po raz kolejny podważono skutki wypadku.

Aileen odczuwa ulgę na myśl, że problem w dużej mierze się rozwiązał; jej uwagę zaczynają już przykuwać inne sprawy. Grzecznie uśmiecha się do Angénieux i do jego asystenta.

– *Merci infiniment, Docteur*[25].

Już zbiera się do wyjścia w towarzystwie Trici i Fiony, gdy nagle odwraca się w stronę Nicka Cruickshanka i oznajmia:

– Musiałbym omówić z tobą kilka spraw.

– Tak, jak tylko tu skończę. – Nick Cruickshank czuje się znów przyparty do muru; pokazuje na Wally'ego jako na żywy dowód tego, że z pewnością w tej chwili nie powinien się stąd oddalać.

Aileen nie wygląda na zbyt przekonaną, ale przytakuje głową; wychodzi z pokoju, a za nią podążają asystentka i konsultantka.

Po części chcąc pokazać, że jego obecność jest naprawdę nieodzowna, Nick Cruickshank pyta doktora Angénieux, co można zrobić, żeby Wally nie odczuwał bólu w barku.

Doktor szybko wypisuje receptę, nie zdając sobie sprawy, że zażyłość Wally'ego z opiatami i ich pochodnymi sprawia, iż jest on właściwie odporny na większość leków przeciwbólowych podawanych w normalnych dawkach.

– Czy da radę zagrać w niedzielę? – Nick Cruickshank, naśladowując sylwetkę basisty, palcami lewej ręki przyciska struny niewidzialnej gitary, a palcami prawej szarpie je w perkusyjnym rytmie.

Lekarz rozkłada ręce; nie wygląda na to, by miał ochotę powiedzieć za dużo, również dlatego, że niemal na pewno nie ma najmniejszego pojęcia, czego wymaga

gra na basie elektrycznym.

– Jasne, że nie dam rady, kurwa! – Wallym targa nowy przyływ wściekłości. — Nie mogę nawet się ruszyć, do kurwy nędzy!

– Przecież to nie ja zrzuciłem cię z konia! – Samokontrola Nicka Cruickshanka jest wciąż wystawiana na próbę; właściwie bez ustanku. – To ty chciałeś się popisywać jak ostatni idiota!

– Kto jest idiotą? – Wally czerwienieje na twarzy, niemal zapomina o swojej pozycji ofiary i przybiera groźny wyraz twarzy. – Kto niby jest idiotą?!

– Zgrywaj dalej kalekę, bo lepiej ci to wychodzi.

Tak, nie ma wątpliwości: Nick Cruickshank wyczerpał całkowicie swój i tak nadwerężony zapas cierpliwości.

– Ty dupku! Wytoczę ci sprawę! – Rzeczywiście, Wally przez kilkadziesiąt lat nagromadził w sobie wiele żalu: za każdą nieudaną piosenkę bezskutecznie proponowaną Bebonkersom, za każdy fatalny pomysł aranżacyjny przez nich odrzucony, za każdy kategoriyczny zakaz robienia głupich uwag w wywiadach udzielanych przez zespół, za każde zdjęcie, na którym znalazł się na drugim planie.

– Za co? Za to, że pokazałem ci, jaki jesteś głupi? – Nick Cruickshank wie, że tylko pogarsza sytuację, ale jak, do cholery, można zachowywać się dyplomatycznie wobec kogoś takiego? – Głupota nie jest po prostu wadą, głupota to przewina! To świat powinien wytoczyć sprawę tobie, bo przez ciebie stał się jeszcze gorszy, choć jesteś tylko kroplą w morzu!

– Ty łajzo! Skurwysynie! – Wally robi się siny na twarzy i pluje śliną. – To ty rzuciłeś pomysł, żeby wybrać się na przejażdżkę konną!

– Zaproponowałem to tylko dlatego, że siedziałeś taki rozwalony! – Również Nick Cruickshank podnosi głos, sięgając niemal koncertowego pułapu, teraz, gdy już w końcu przestał zachowywać pozory. – Taki pozbawiony wszelkiej inicjatywy!

Doktor Angénieux wodzi zakłopotanym wzrokiem po pokoju; nie ulega wątpliwości, że w tej sytuacji tylko marzy o tym, aby stąd wyjść, wrócić do swojego zacisznego gabinetu i do bardziej normalnych i spokojnych pacjentów. Rozkłada ręce i mówi:

– Może pomogłyby masaż lecznicze.

– Kiedy? Gdzie? – Wally ujada jak buldog, trzęsąc się z wściekłości, lewą ręką trzyma się kurczowo krawędzi łóżka.

– Jest bardzo dobra masażystka, którą polecamy w podobnych przypadkach – ciągnie doktor, zdejmując biały fartuch, który włożył na siebie niczym kostium teatralny zaraz po przyjściu; składa go, z kieszeni marynarki wyciąga telefon. – Jeśli chcecie, mogą do niej zadzwonić i powiedzieć, że chodzi o nagły wypadek.

– Nie ma mowy, żeby ktoś jeszcze mnie tknął, kurwa jego mać! – Wally wrzeszczy, cały się pieniać. – Nie chcę żadnej pieprzonej masażystki!

Nick Cruickshank odwraca się do niego plecami, żeby już na niego nie patrzeć; doktorowi daje znak, by do niej zadzwonił.

23 Stożek rotatorów (franc.)

24 Widzi pani? Nie ma złamania (franc.)

25 Wielkie dzięki, doktorze (franc.)

Właśnie teraz, kiedy Milena Migliari dotarła do przedostatniego zakrętu ulicy, znienacka nachodzi ją wahanie: w jednej sekundzie gaśnie poczucie nieodpartego przymusu, który wygnał ją z lodziarni i przywiódł aż tutaj. Nagle pomysł, który chwilę wcześniej zdawał jej się taki piękny i naturalny, jawi się jako całkowicie chybiony. Nie jest w stanie zrozumieć, jak mogła nie zdawać sobie sprawy, że nie ma najmniejszych podstaw do takiej improwizacji; że niespodziewana wizyta Nicka Cruickshanka w lodziarni wczoraj rano i uścisk w nocy na placu nie tylko nie wytworzyły między nimi żadnej prawdziwej zażyłości, ale przeciwnie, wywołały u niej głęboki wstrząs i poczucie skrępowania.

To, że w ostatnim czasie nie była do końca przytomna, tylko częściowo usprawiedliwia głupi pomysł, by porwać się bez zastanowienia na tak chaotyczne przedsięwzięcie: czy to możliwe, że nie była w stanie sobie wyobrazić, jak naprawdę będzie wyglądał powrót w to miejsce? Biorąc pod uwagę zakłopotanie, jakie towarzyszyło jej przedwczoraj, gdy przynajmniej przyjechała dostarczyć zamówienie. Prawda, uścisk na placu odznaczał się dziwną intensywnością, stanowił wymianę szczerych emocji, które wzruszyły ją aż do łez. Odniosła też wrażenie, że w jego wypadku było tak samo, sądząc po oddechu i sile, z jaką ją przytulał. Lecz zaraz potem wzruszenie przemieniło się w zwykłe onieśmienie i oboje rozeszli się, każde w swoją stronę, bez pożegnania, bez choćby jednego gestu. Zresztą, co mieliby zrobić albo powiedzieć, skoro uścisk nie zrodził się z inicjatywy żadnego z nich, lecz był po prostu rytuałem tego szaleńczego grona obściskiwaczy z Digne-les-Bains? Uścisk między kobietą niezainteresowaną mężczyznami i mężczyzną zainteresowanym zupełnie innym typem kobiet? Co też jej strześliło do głowy dwadzieścia minut temu? W jakim stanie umysłowym i emocjonalnym się znajduje? Może Viviane ma rację, mówiąc, że powinna zażywać środki uspokajające?

Wielka brama jest już blisko, jakieś dwadzieścia metrów przed nią; Milena Migliari czuje skurcz w żołądku. Zwalnia, zatrzymuje furgonetkę. Wydaje się jej jasne jak słońce, że jedyne, co może zrobić, to zawrócić, zapomnieć nawet o tym, że w ogóle wpadła na taki głupi pomysł, a co dopiero, że była już tak blisko jego realizacji. Uznała, że najlepiej skrócić natychmiast, zanim znajdzie się w polu widzenia kamery monitoringu, zanim stojący przy wjeździe i wyglądający na ochroniarza mężczyzna w marynarce i krawacie zapisze sobie numery rejestracyjne i zgłosi je władzom, żeby potwierdzić tożsamość pomyłonej lodziarki uprawiającej stalking.

Jednak droga w tym miejscu jest tak wąska, że nie da się zawrócić: wije się między kamiennym murkiem po prawej stronie a rowem i drzewami po lewej. Milena Migliari próbuje wymyślić jakiś sposób: nie, nie ma nawet mowy. Wrzuca bieg wsteczny, odwraca głowę, by cofnąć się o kilkadziesiąt metrów aż do pierwszej zatoki, ale wtedy dostrzega nadjeżdżającą z tyłu z dużą prędkością białą ciężarówkę. A właściwie dwie, jedną za drugą; są tak pokaźne, że na pewno nie zdołają jej wyminąć. Zjeżdża maksymalnie w prawo, ryzykując otarcie się bokiem o kamienie murku, ale nie udaje się jej zwolnić więcej niż półtora metra po lewej stronie: nie ma mowy, żeby przejechali. Odkręca szybę, wychyla się, wykonując rozpaczliwe gesty, daje znak, że musi się cofnąć i żeby oni też zechcieli się uprzejmie wycofać. Ale kierowca białej ciężarówki błyska światłami, nie okazując śladu zrozumienia. Milena Migliari czuje się jak w pułapce: owładnięta lękiem, patrzy na bramę, która właśnie zaczyna się otwierać. Ochroniarz na wjeździe daje jej ręką znaki, jakby mówił: wjeżdżaj, wjeżdżaj. Widząc, że jest zablokowana, robi to coraz energiczniej, obiema rękami: no już, rusz się.

Milena Migliari znów się odwraca, żeby spojrzeć na jadące za nią pojazdy, ale zderzak pierwszego dotyka już niemal tyłu jej furgonetki; typ za kierownicą znowu błyska światłami, a dodatkowo naciska klakson. Ona aż podskakuje: nie ma innego wyboru, jak wrzucić jedynkę i jechać powoli w stronę otwartej już bramy niczym w paszczę jakiegoś żarłocznego potwora. Nie może uwierzyć, że to wszystko dzieje się na jej życzenie, że nie zastanowiła się nad sensem tego, co robi, przez całe dwanaście kilometrów dzielących Fayence od tego miejsca, że rozsądek wrócił jej dopiero na ostatnich metrach. Jedzie naprzód pod naporem obu ciężarówek, jest wzburzona i zakłopotana jak rzadko kiedy. Tuż za bramą opuszcza również prawą szybę, wychyla się, by powiedzieć potężnemu mężczyźnie w marynarce i krawacie, że zmuszona jest wjechać tylko po to, żeby nie blokować kierowców za sobą, że wyjedzie, jak tylko zdoła zawrócić, więc żeby nie zamykał.

Mężczyzna jednak ledwie na nią zerka: ma oczy jak szparki, włosy podgolone na karku i na skroniach, całkowicie wczuwa się w swoją rolę. Odczytuje nazwę lodziarni na boku samochodu i daje znak, by jechała dalej, po czym przechodzi do pojazdów jadących za nią. Milena Migliari czeka na jego powrót, żeby wyjaśnić, o co chodzi, ale on, widząc, że nie rusza z miejsca, wykonuje w jej stronę wściekły gest.

– *Allez! Allez! Dépêchez-vous!*[26]

Jedzie więc w górę, ponaglana przez ciężarówkę, która też przeszła kontrolę, i czuje się niewiarygodnie głupio. Co miałyby powiedzieć, gdyby znalazła się w obliczu potężnego włoskiego ochroniarza, który był już bardzo podejrzliwy, kiedy przyjechała z dostawą: że wepchnięto ją tu wbrew jej woli?

Obie wielkie ciężarówki cały czas na nią nacierają, aż do placu na tyłach domu. W porównaniu z poprzednim razem stoi tu teraz o wiele więcej

samochodów, kilka ciężarówek i jeden tir; panuje też nieustanny ruch, ludzie wyładowują i przenoszą drewniane pale i deski, lampy, krzesła, ławki, drzewka cytrynowe, całe skrzynie kwitnących cyklamenów. Nie wie, czy przez to zamieszanie może się czuć choć trochę niewidzialna, czy jeszcze bardziej rozpoznawalna jako intruz: wykonuje szybki manewr, żeby skręcić i zawrócić, i jak najszybciej się stamtąd wydostać. Stara się na nikogo nie patrzeć z obawy, że mogą ją zapytać, co też, u diabła, tutaj robi. Ale im bardziej się stara, by nie patrzeć, tym bardziej patrzy; właśnie w chwili, kiedy zakończyła manewr i ma już przejechać przed frontem domu, drzwi się otwierają i wychodzi z nich młody chłopak w okularach, który popycha jakieś urządzenie na kółkach przypominające skrzyżowanie odkurzacza i kserokopiarki. Zaraz za nim kroczy mężczyzna trochę dojrzalszy, z siwymi wąsami, a jako trzeci pojawia się Nick Cruickshank.

Milena Migliari czuje, jak serce podchodzi jej do gardła; hamuje, choć to ostatnia rzecz, jaką chciałaby zrobić. Po czym przez chwilę ma nadzieję, że będzie mogła łagodnie przyspieszyć i wrócić na aleję wjazdową, zanim on zdąży ją zauważyć; tymczasem w tej samej sekundzie on ją dostrzega, a przynajmniej rozpoznaje furgonetkę. Podchodzi, by zajrzeć przez opuszczoną szybę.

– Hej!

Milena Migliari czuje się jak złodziejka przyłapana na gorącym uczynku; jest całkowicie sparaliżowana.

Nick Cruickshank uśmiecha się do niej.

– Co tu robisz?

Milena Migliari nie ma najmniejszego pojęcia, co odpowiedzieć ani jaki przybrać wyraz twarzy. Robi jakiś niewyraźny gest, zupełnie pozbawiony znaczenia.

– Czy Aileen zamówiła u ciebie jeszcze jakieś lody?

W tym świetle Nick Cruickshank ma twarz o wiele bardziej pobrużdżoną, niż jej się zdawało poprzedniej nocy; jego styl jest też bardziej krzykliwy: srebrne bransoletki i pierścionki, w uchu złoty kolczyk, wokół szyi granatowa apaszka, do tego pomarańczowa koszula i czerwona marynarka w fioletowe paski. Wygląda na aktora, raczej szesnastowiecznego niż osiemnastowiecznego, bez trupy teatralnej i bez sceny, wrzuconego w świat, który nie należy do niego, a w którym jednak radzi sobie całkiem nieźle, ale tylko do pewnego stopnia.

– Nie.

Milena Migliari próbuje wymyślić jakiś wiarygodny powód swojej obecności w tym miejscu, ale nic nie przychodzi jej do głowy.

– *Eh bien, nous allons, Monsieur*[27].

Typ z wąsami przyciąga uwagę Nicka Cruickshanka, wskazuje na młodszego towarzysza, który ładuje dziwne urządzenie na niebieską ciężarówkę z białym napisem „Diagnostics Mobiles”.

Nick Cruickshank wyjmując z kieszeni zwitek banknotów, odlicza kilka, podaje mu rękę; kiedy wąż odjeżdża, znów zbliża się do uchylonego okna.

– No więc?

Milena Migliari myśli, że prawdopodobnie czułaby się lepiej, gdyby naprawdę była złodziejką, która przyszła tu coś ukraść, ale ponieważ tak nie jest, rozważa dwie możliwości: posłać mu enigmatyczny uśmiech i odjechać albo wyznać prawdę. Bierze głęboki oddech, próbując powstrzymać zadyszkę.

– Chciałam poprosić cię o opinię. Jeśli masz pięć minut.

– Tak? – Nick Cruickshank zdaje się zaciekawiony i rozbawiony.

Asystent lekarza wraca z telefonem w rękę.

– *Monsieur Cruickshank, un selfie, s'il vous plaît?*[28]

Nick Cruickshank zgadza się z ledwie zauważalnym zniecierpliwieniem; odwraca się, by złapać właściwe światło, zbliża głowę do głowy asystenta. Zaraz potem żegna go i odwraca się do furgonetki.

– Opinię na jaki temat? Jakies wybory zawodowe? Życiowe?

Milena Migliari czuje, że oblewa ją rumieniec, choć nie jest pewna, czy on może to zauważyć.

– Chodzi o dwa smaki lodów.

Nick Cruickshank cofa się, wykonuje szeroki gest, zataczając ręką półkole, jakby chciał ofiarować jej okazały prezent w postaci przestrzeni, na której może zaparkować furgonetkę.

Milena Migliari śledzi ten gest, choć jakaś jej część chciałaby ruszyć prosto na aleję wjazdową, póki czas; podjeżdża kilka metrów, zatrzymuje się bokiem do ściany domu. Kiedy wysiada z furgonetki, czuje się jeszcze bardziej wystawiona na widok, niż się jej zdawało, pozbawiona nagle wszelkiej możliwości ucieczki. Żeby to sobie jakoś powetować, obchodzi swoje renault kangoo, bierze torbę termiczną i zasłania się nią jak tarczą.

Niecierpliwy i grubiański typ, który wcześniej na nią napierał, wyładował z białej ciężarówki wielki głośnik i pcha go teraz na wózku; wydaje się oszołomiony, kiedy rozpoznaje Nicka Cruickshanka.

– Jakies smaki? – Nick Cruickshank ignoruje wszystko, co dzieje się wokół niego, wpatruje się w nią przenikliwie, jak wczoraj, kiedy wszedł niespodziewanie do lodziarni.

– Lepiej teraz o tym nie mówmy. – Milena Migliari myśli, że już za późno na próby zachowania twarzy; musi być po prostu sobą. – Żebyś się nie sugerował.

Nick Cruickshank zastanawia się z powagą; kiwa głową.

– Słusznie. Ale przydałoby się jakies spokojne miejsce, żeby ich spróbować, prawda? Z dala od tego zamieszania.

Milena Migliari również kiwa głową w bardzo podobny sposób; znowu jest tak, jakby istniało między nimi jakies trudno wytłumaczalne porozumienie, jakby

przybieranie takich samych wyrazów twarzy było zaraźliwe.

Być może Nick Cruickshank też zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ przez chwilę bacznie się jej przygląda; po czym wskazuje kierunek przeciwny do tego, w którym udają się wszystkie osoby rozładowujące i przenoszące różne sprzęty. Rusza w tamtą stronę.

Milena Migliari idzie za nim, ale przychodzi jej do głowy, że w rzeczywistości degustacja lodów może się zamienić w swego rodzaju objawienie, a przecież coś zupełnie innego miała na myśli, kiedy uległa absurdalnemu impulsowi, by tu przyjechać i zapytać go o zdanie. Wyobrażała sobie, że bez żadnych ceregieli napelni mu wafelek albo miseczkę, wysłucha jego opinii; teraz ma wrażenie, że udało się jej jeszcze bardziej zepsuć pomysł chybiony już na starcie.

Nick Cruickshank prowadzi ją wzdłuż zachodniej ściany domu, ale zamiast otworzyć przed nią jakieś drzwi, robi ledwie gest i idzie dalej tym swoim dziwnym, elastycznym i falującym krokiem. Przecinają trawnik, przechodzą obok drewnianego ogrodzenia, za którym pasie się kilka niskich, ciemnych koników. Zwierzęta podchodzą pod płot, żeby im się przyjrzeć. Niewiele dalej rośnie gęsty dębowy las.

Milena Migliari miałaby ochotę powiedzieć, że nie trzeba iść tak daleko, by skosztować lodów, że wystarczyłoby jakiegokolwiek w miarę spokojne pomieszczenie; ale milczy i idzie za nim, ściskając w ręku uchwyt swojej głupiej torby termicznej w kwiaty.

Nick Cruickshank odwraca się, by na nią spojrzeć, wkracza bez słowa na leśną ścieżkę. Nie ma na sobie żadnego płaszcza ani kurtki, tylko tę czerwoną marynarkę w fioletowe paski.

Im głębiej wchodzą w las, tym bardziej Milena Migliari zastanawia się, czy on przypadkiem nie zinterpretował jej prośby o wyrażenie opinii na temat lodów w całkowicie mylny sposób: w końcu on wciąż pozostaje rasowym samcem i łowcą przywykłym prawdopodobnie do chwytania każdej samicy, jaka mu się nawinie. Wcale jednak nie jest tego pewna; w każdym razie nadal za nim idzie, niesiona nurtem, w którym zakłopotanie i ciekawość mieszają się niemal w równych proporcjach.

Idą szybko, w milczeniu; Nick Cruickshank odwraca się parę razy, by sprawdzić, czy ona wciąż za nim postępuje; posyła jej w ciemności lasu lekki uśmiech. Pod ich stopami szeleszczą liście, trzeszczą połamane gałęzie; w powietrzu czuć zapach kory, mchu, grzybów. Milena Migliari przypomina sobie artykuł o „kąpielach w lesie”, o psychicznych i fizycznych dobrodziejstwach spacerowania pośród drzew, niewynikających po prostu z czystości powietrza i oddalenia od zabudowanego i zamieszkałego świata, ale pochodzących od pewnych lotnych związków organicznych, które drzewa wydzielają, by chronić się

przed pleśniami i bakteriami. Dwóch japońskich uczonych przeprowadziło eksperymenty z udziałem mieszkańców miasta i zaobserwowało, że po spacerze w lesie spadło u tych osób ciśnienie krwi oraz częstotliwość uderzeń serca, wraz ze spadkiem poziomu adrenaliny. Nie wie, czy tak naprawdę jest, ale faktycznie czuje mniejszy niepokój niż przed kilkoma minutami, choć jej zakłopotanie całkiem nie zniknęło. Jest to jednak zakłopotanie stłumione, lekkie, niemal przyjemne: bardziej stan zawieszenia niż zagubienia. Podąża za Nickiem Cruickshankiem, który przechodzi między drzewami tym swoim dziwnym krokiem, a jaskrawe kolory jego stroju odcinają się na monochromatycznym tle pni, i chwilami myśli, że mogłaby to być sytuacja zupełnie wyimaginowana, gdyby nie bardzo rzeczywisty ciężar trzymanej w ręku torby termicznej. Myśli też, że miałyby ochotę zrobić lody o smaku lasu – nie owoców leśnych, ale właśnie lasu. Zastanawia się, jak mogłaby to osiągnąć, nie uciekając się do banalnych esencji z drzew iglastych używanych do odświeżaczy powietrza. To wcale nie takie proste: bo przecież jaki smak ma las?

Zdaje się, że mogliby tak iść tą ścieżką bez końca, a tymczasem wychodzą nagle na jasną polanę, na której skraju stoi mały kamienny dom. Nick Cruickshank z dziwnie nieśmiałą miną wskazuje jej budynek.

Milena Migliari znów chciałaby coś powiedzieć, by nie potęgować jeszcze bardziej jakiegokolwiek nieporozumienia, jakie mogłoby zajść; tymczasem milczy i patrzy na domek.

Nick Cruickshank zmierza prosto do wejścia, pochyla się i szuka czegoś w krzakach, wyciąga klucz, otwiera drzwi, odwraca się i gestem zaprasza ją do środka.

Milena Migliari wchodzi niepewnym krokiem: jest tam prawie ciemno, tylko bardziej w głębi przenika kilka smug światła. W powietrzu unosi się zapach trawy cytrynowej, wilgotnego drewna, palonych szczap i palonej trawy. Na wieszaku wiszą kurtka i płaszcz nieprzemakalny, a na surowych deskach podłogi stoi para kaloszy.

Nick Cruickshank idzie otworzyć okiennice trzech małych okien, wpuszcza zewnętrzne światło: ukazuje się spartański pokój z kamiennym zlewem, kuchenką kempingową ustawioną na blacie, starym wiejskim stołem, trzema wyplatanymi krzesłami, fotelem w stylu prowansalskim, pianinem, piecem w jednym z rogów i szczapami drewna w koszu.

Milena Migliari stawia na stole torbę-lodówkę, stara się zebrać myśli. Chciałaby powiedzieć Nickowi Cruickshankowi, że w tym pomieszczeniu panuje zbyt gęsta atmosfera, która mogłaby zakłócić degustację lodów, zamiast uczynić ją bardziej przejrzystą. Ale się nie odzywa.

– To jedyne miejsce osłonięte przed najazdem. – Nick Cruickshank patrzy na nią i wcale nie ma wyglądu rasowego samca i łowcy, któremu udało się właśnie zaciągnąć samicę do swojej jamy: przeciwnie, on też zdaje się mocno zmieszany.

Otwiera jedno z okien, spogląda w stronę swojego wielkiego domu, ale wszystko, co widać, to polana i drzewa. Docierają tu tylko niektóre dźwięki, stłumione przez las i odległość – piły lub wiertarki elektryczne, jakieś nawoływania.

Milena Migliari już ma zapytać, dlaczego również jej nie postrzega jako uczestniczki najazdu, myśli jednak, że nie chce wiedzieć.

Nick Cruickshank zamyka okno, idzie otworzyć drzwiczki pieca: w środku przygotowany jest już papier oraz małe i duże polana. Pociera zapalną, zapala papier, dmucha na pierwsze płomyki, aż w końcu szczapy zajmują się ogniem. Pozostaje tam przycupnięty i przygląda się w zachwycie.

Milena Migliari podchodzi do okna, po chwili się cofa; potem idzie do zlewu i też się wycofuje. Próbuje zachować między nimi dystans, choć wcale nie jest pewna, czy to konieczne; tak samo jak nie ma pewności, czy trzeba rozpalać w piecu z powodu degustacji lodów; wskazuje na stojącą na stole torbę.

– Wystarczy nam pięć minut.

Nick Cruickshank przytakuje głową, ale zaraz potem wskazuje na drewniane schody w rogu pokoju.

– Chcesz zobaczyć, jak jest na górze?

Milena Migliari chce powiedzieć, że nie, ale on już wchodzi, więc idzie za nim po skrzypiących schodkach. Zagląda bardzo ostrożnie do pomieszczenia na górze, widzi, jak on otwiera okiennice trzech kolejnych małych okien: w popołudniowym świetle wylania się granat narzuty na łożko, żółte, czerwone i zielone grzbiety książek stojących na dwóch półkach, czern i biel futerałów na gitarę i na jakiś mniejszy instrument, oksydowana miedź rury od pieca, która trzeszczy w miarę jak rozgrzewa ją palący się na dole ogień.

Nick Cruickshank robi gest, jakby chciał powiedzieć: „to wszystko”; uśmiecha się, znów z tym dziwnym śladem onieśmienia, tak nieprawdopodobnym u kogoś takiego jak on.

– To może zrobimy tę degustację? – Milena Migliari próbuje nawiązać do powodów swojego wtargnięcia, ale musi się bardzo wysilać, bo znajduje się w stanie skrajnej niepewności, każdy najmniejszy szczegół ją rozprasza. Schodzi po drewnianych schodkach do pokoju na dole.

Nick Cruickshank niemal natychmiast podąża jej śladem; zostaje u podnóża schodów, w oczekiwaniu.

Milena Migliari otwiera torbę termiczną na starym stole z orzecha, trochę podziurawionym przez korniki i popękany, ale solidnym, jak drzewo, z którego został wykonany. Wyjmuje półlitrowy styropianowy pojemnik, szpatułkę, kartonowe pojemniki z rostkami, miseczkami i łyżeczkami. Układanie tego wszystkiego w porządku daje jej poczucie celu, łagodzi wewnętrzne zmieszanie; bierze oddech, zrywa taśmę przytrzymującą pokrywkę.

Nick Cruickshank podchodzi kilka kroków; zatrzymuje się, patrzy na

pojemnik, potem na nią.

– Jeszcze nie patrz. – Myśli, że w tym momencie warto zaufać instynktowi, zaniechać prób skomplikowanego rozumowania.

– Okay. – Podnosi ręce i zasłania nimi oczy.

– Poczekaj. – Jest zaskoczona, w jaki sposób komunikacja między nimi staje się płynna, ledwie tylko odsunęła na bok wszelką racjonalność. – Co wolisz, rożek czy miseczkę?

On opuszcza ręce, patrzy na nią.

– To spora różnica, prawda?

Ona z powagą kiwa głową; choć bycie poważną wydaje jej się w tej chwili rodzajem gry, jak cała reszta.

– Wytłumacz mi to. – Uśmiecha się, ale naprawdę oczekuje wyjaśnień; jego cierpliwość pozostaje w zdumiewającym kontraście z wrażeniem pośpiechu, jakie odniosła, kiedy widywała go wcześniej.

– Na początek: rożek wymaga użycia tylko jednej ręki. – To refleksje, jakie poczyniła wielokrotnie sama ze sobą, ale nigdy o tym z nikim nie rozmawiała. – To znakomite, jeśli chcesz jeść lody, spacerując, rozmawiając i rozglądając się dokoła.

– Więc jest to wybór bardziej powierzchowny? – Ten sposób, w jaki na nią patrzy: jakby oczekiwał prawdy, a nie jakiegokolwiek odpowiedzi, i nie tylko dotyczącej rożka.

– Niekoniecznie. – Ona kręci głową; doznaje intensywnej przyjemności za sprawą odpowiedzialnego zadania, jakie jej właśnie powierzył, i uwagi, z jaką ją obserwuje, która, wydawałoby się, mogłaby nie mieć ograniczeń czasowych.

– Ponieważ w zamian rożek nie wymaga żadnego pośrednictwa, zgadza się? – Wciąż się w nią wpatruje; pozostają na tej samej, identycznej długości fal.

– Pozwala ci ustanowić możliwie najbardziej bezpośredni kontakt między twoimi ustami a lodami. – Ona zdaje sobie sprawę, że wypowiada pewne słowa z emfazą, w taki sam sposób jak on, ale nie jest to żadne małpowanie: robiła tak już jako dziewczynka, zawsze. Są w tym do siebie podobni.

– Jak nasi przodkowie, którzy zjadali owoce prosto z drzewa, nie zrywając ich nawet wcześniej rękami. – On porusza ręką, jakby miał przyciągnąć gałąź do ust, wysuwa do przodu wargi z miną łakomej małpy człekokształtnej.

Ona się śmieje; myśli, że jego zdolności mimiczne nie powinny jej zaskakiwać, biorąc pod uwagę jego zajęcie, a jednak zaskakują.

– Albo jak dziecko ssące mleko z piersi.

On też się śmieje, ale szybko powraca do poważnego tonu.

– A więc miseczka jest wyborem zakładającym większe pośrednictwo?

Ona myśli, że mogła sobie oszczędzić porównania do dziecka i piersi; potrząsa głową.

– Niekoniecznie.

On przechyla głowę: to jasne, że bada kwestię pod każdym możliwym kątem, przy braku uprzedzeń, co też jest zaskakujące.

– Liczy się też typ łyżeczki, której używasz, prawda?

– Tak, pewnie. – Ona potwierdza energicznie, a i tak nie wydaje jej się to wystarczające. – To wiele zmienia, czy twój język ślizga się po plastiku, czy też napotyka na przykład zimny smak metalu. To wielka różnica.

– Ogromna! – Emfaza w jego głosie mogłaby wskazywać na to, że sobie z niej żartuje, ale wystarczy spojrzeć mu w oczy, by zrozumieć, że tak nie jest. Wystarczy spojrzeć. – A ty jaką wolisz?

– Z drewna. – Prawdziwą przyjemność sprawia jej też udzielanie mu natychmiastowych odpowiedzi, bez żadnych pauz. – Jest lekko porowata, język musi po niej trochę potrzeć, podążając za smakiem. – To jak sport kontaktowy: chwytanie się za ramiona i popychanie, trochę do przodu, trochę do tyłu, z siłą, ale i z wyczuciem.

On pociąga się za kosmyk włosów. Ma tę nadzwyczajną fizyczną elastyczność: do przodu, do tyłu, na jedną stronę, na drugą. Ale jest też bardzo stabilny, kiedy stoi na dwóch nogach.

– Jaka jest zatem przewaga miseczki nad różkiem?

Ona też przechyla głowę, praktycznie w taki sam sposób jak on; choć się nad tym zastanawiała, nigdy nie zdołała dojść do ostatecznej konkluzji.

– Na pewno zmusza cię do większej koncentracji nad lodami. A także do tego, by lepiej im się przyjrzeć.

On układa dłonie wokół oczu, jakby patrzył, z niewinnością, która zdaje się niemożliwa, ale jest w niej jednak prawda.

– Lepiej też zdajesz sobie sprawę, kiedy się kończą.

– Tak. Tak. – Ona zauważa, że miała ogromną potrzebę porozumiewania się z kimś w taki sposób nie wiadomo już od jak dawna. Praktycznie od zawsze. A przynajmniej od czasu, kiedy chodziła do szkoły podstawowej i spędzała całe popołudnia na rozmowach, zabawie i śmiechach ze swoją przyjaciółką Tanią, co było bardzo dziwne i całkowicie naturalne. – Drewniana łyżeczka skrobie po dnie impregnowanego papieru, pusta miseczka wydaje dźwięk małego trzeszczącego głośnika.

– Ależ to jest mały głośnik!! – On podskakuje, oczy mu błyszczą. – Kiedy byłem dzieckiem w Manchesterze, braliśmy z bratem dwie miseczki po okropnych lodach przemysłowych, które raz na jakiś czas nam kupowano, robiliśmy otwór w denku, przeciągaliśmy przez niego drut, zawiązywaliśmy supeł i w ten sposób mieliśmy telefon!

– Ja też tak robiłam z moją przyjaciółką Tanią! – Ona przejęta jest myślą, że obydwójce przeżyli takie samo doświadczenie, przy tak dużym dystansie przestrzennym i czasowym; znów jej się zdaje, że nie mogłoby być inaczej.

– Natomiast kiedy masz rożek, koniec nadchodzi bardziej stopniowo, prawda? – On kontynuuje ten pozbawiony jakichkolwiek filtrów zabawny strumień porozumienia. – Twój język jest w stanie dotrzeć do małej ilości lodów nawet wtedy, gdy się zdaje, że już ich nie ma.

– Od pewnego momentu smak i konsystencja lodów mieszają się ze smakiem i konsystencją rożka. – Ona, tylko o tym mówiąc, czuje niezwykle wyraźnie kontrastujące ze sobą smaki i konsystencje.

– Och tak! – On porusza się, jakby był całkowicie pochłonięty przez doznania, jakie wywołuje ich rozmowa. – A kiedy lody już rzeczywiście się skończyły, możesz jeszcze chrupać to, co zostało z rożka, aż do samego końca. Może to jeszcze potrwać minutę albo znacznie dłużej. Możesz trzymać w ręku ten kawałeczek wyjedzonego wafelka jeszcze nawet przez godzinę, jeśli zechcesz.

– Tak, ale lody jednak się skończyły. – Ona chciałaby coś dodać, ale nie jest w stanie wybrać spośród natłoku bodźców, które rozpierają ją od środka.

Oboje stoją nieruchomo i w milczeniu, patrząc na siebie i nie patrząc, w małym domku pośród lasu, w wilgotnym powietrzu, które rozgrzewa się stopniowo od ognia w piecu.

– A jedzenie lodów w kryształowym pucharku? – On robi celowo teatralny gest, jakby cytował samego siebie. – Srebrną łyżeczką?

– No cóż. – Robi zde gustowaną minę i nie ma w tym nic z gry. – To najgorszy sposób z możliwych, jeśli chcesz znać moją opinię.

– Oczywiście, że chcę ją znać. – On się uśmiecha. – To wzajemna wymiana zdań, biorąc pod uwagę, że ty chcesz poznać moją opinię, prawda?

– Aha. – Ona się zastanawia, w jakiej dokładnie sprawie chce poznać jego opinię. Czy chodzi o smak lodów śmietankowych i szaronowych? Czy o sens ich wytwarzania? Czy o to, co ma się wydarzyć w poniedziałek? O to, co potem? O to, co teraz?

– W każdym razie poprzedniego wieczoru jadłem twoje lody bezpośrednio z pojemnika. – On się śmieje. – W odróżnieniu od pozostałych, którzy kazali je sobie podać w kryształowych pucharkach.

Ona zdaje sobie sprawę, że zapomniała o powodzie ich obecności w tym miejscu; w mgnieniu oka przytomnieje, zdejmując pokrywkę z pojemnika.

On, zamiast się zbliżyć, robi krok wstecz.

– Nie postanowiliśmy jeszcze, w jaki sposób mam ich spróbować.

Ona kręci głową.

– Ja na pewno nie mogę ci tego powiedzieć. Wybór należy do ciebie. – Owszem, jest coś uroczego w tej grze, a także niepokojącego, bo jest zarazem niewinna i nie jest.

On kładzie sobie dłoń na czole: to gest, jaki widziała już u niego w lodziarni, a także w wideoklipie jednej z piosenek sprzed kilku lat. Przymyka oczy.

– Miseczka. Nie. Rożek.

– Zdecyduj. – Ona naciska; i to też sprawia jej przyjemność.

– Nie wiem. – On kręci głową. – Wydaje mi się, że każda z dwóch możliwości niesie za sobą rezygnację nie do przyjęcia.

Ona czuje wzmagający się od środka dreszcz, jakby poraził ją elektryzujący prąd rozbawienia.

– Kto ci powiedział, że możliwości są tylko dwie?

On wydaje się nagle zdezorientowany, z jego spojrzenia jasno wynika, że jego myśli rozbiegają się szybko w różnych kierunkach.

– Chcesz powiedzieć, że mógłbym ich spróbować prosto z pojemnika?

– Nie. – Owszem, ona czerpie prawdziwą radość z tej wymiany zdań, chciałyby, żeby się nigdy nie skończyła. – Byłoby to mniej więcej to samo, co jedzenie z miseczki, tylko większej.

– A więc? – Patrzy na nią, jakby uzyskanie odpowiedzi było dla niego czymś niezbędnym.

Ona czuje przyspieszone bicie serca wywołane elektryzującą przyjemnością prowadzenia z nim tej gry i efektem zaskoczenia, jakie u niego wywołuje. Bierze ze stołu kartonowe pudełko, otwiera.

– A więc to jest wafłowy koszyczek! Idealne połączenie dwóch poprzednich!

On jest pod wrażeniem, jakby to było jakieś objawienie; podchodzi, by przyjrzeć się lepiej rozszerzonemu i ściętemu rożkowi, który ona trzyma w palcach. Patrzy na nią.

– Jesteś kobietą pełną niespodzianek!

Ona się uśmiecha; oczywiście miło jej słyszeć coś takiego, ale to ton jego głosu wywołuje w niej elektryzującą przyjemność.

– Poza tym są jeszcze puchar z wafla, andruty i rurki.

On przygląda się jej dłoniom z bardzo bliska, zdaje się urzeczony jej gestami.

Ona zdejmuje płaszcz, by mieć większą swobodę ruchów, a także dlatego, że zaczyna jej być gorąco. Myśli przez chwilę, że jej zielony golf jest już trochę spłowiały po wielu praniach i rozciągnięty pod szyją; myśli, że nic ją to nie obchodzi. Zdejmuje impregnowaną folię osłaniającą lody w pojemniku: biel i pomarańcz lodów śmietankowych i szaronowych są bardzo żywe, przepiękne. W lewej dłoni trzyma wafłowy koszyczek, zagłębia szpatułkę w lodach śmietankowych: również konsystencja jest dokładnie taka, jaka powinna być. Nakłada kulkę śmietankowych, a na nią szaronowych, poprawia dwoma albo trzema ruchami, aby nadać ostateczny kształt, który podoba się jej najbardziej, zaokrąglony, ale nie przypominający grzyba atomowego, ani też nie przyklepany. Podaje mu koszyczek i bambusową łyżeczkę.

On obserwuje koszyczek z odległości z wyciągniętą ręką, potem przygląda

mu się z bliska, przymyka oczy, wyciąga język do lodów szaronowych.

Milena Migliari śledzi jego mimikę i zdaje sobie sprawę, że jakaś racjonalna myśl przebija się po kryjomu do jej głowy poprzez dziwną egzaltację, która zajmowała ją do tej chwili: zastanawia się, czy nie rozdmuchała za bardzo całej sprawy, nie uczyniła praktycznie nieuniknionym rozczarowania, które stanie się ich udziałem.

Nick Cruickshank otwiera oczy, przekręca w dłoniach koszyczek z lodami, zanurza w nim łyżeczkę i podnosi ją do ust. Zamyśla się, nic nie mówi, nie patrzy na nią. Podchodzi do jednego z okien, bardzo powoli wyciąga łyżeczkę z ust.

Milena Migliari jest niemal pewna, że pierwsza łyżka lodów go rozczarowała, a kolejne tylko go w tym utwierdzą; że jego entuzjastyczne wrażenie z poprzedniego razu osłabło wobec tego przeciętnego rezultatu, któremu na dodatek towarzyszyło zbyt wiele teoretyzowania i filozofowania. Być może to wina przejrzałej trawy, którą żywiły się krowy Didiera, albo zbyt świeżego siana, albo też jej stanu ducha, nieumiejętności zachowania się w pracy jak prawdziwa profesjonalistka, która na pewno nie pozwala, by wpływały na nią wydarzenia prywatnego życia.

Nick Cruickshank trochę liże lody, a trochę zjada łyżeczką, nic nie mówiąc i nie patrząc na nią, stoi odwrócony plecami. Prawdopodobnie szuka mniej brutalnych słów, by oznajmić jej, że ani śmietankowe, ani szaronowe nie są niczym nadzwyczajnym i że wafłowy koszyczek jest tylko głupim kompromisem między różkiem a miseczką. Dojdzie do wniosku, że musiało go zamroczyć, kiedy sądził, że skosztował najlepszych lodów na świecie. Być może właśnie tak było z powodu sztucznego głodu wywołanego wypaleniem skręta: kiedy przyszedł wczoraj do pracowni, zapach marihuany był bardzo wyraźny, choć zmieszany z paczuli. Poczucie się głupio, że obdarzył ją tyloma bezpodstawnymi komplementami: może teraz w reakcji na to wykaże się dziką szczerością, w duchu piosenki, którą puszczali wczoraj w radiu.

Milena Migliari zastanawia się, co, u diabła, przyszło jej do głowy, żeby postawić się w tak upokarzającej sytuacji. Czy naprawdę było to konieczne? Jakich głupich gratyfikacji się spodziewała? Czy chciała usłyszeć, że obydwójce należą do świata nadzwyczajnej kreatywności artystycznej? Koniec końców również w tej kwestii rację ma Viviane, kiedy mówi, że lody mogą być dobre albo złe, kropka, i że nie ma sensu budować na tym nie wiadomo czego.

Trudno zrozumieć, ile czasu minęło; wszelka percepcja w tym pokoju wydaje się stłumiona, podobnie jak dźwięki gorączkowego zamieszania panującego wokół domu, które ledwie tu docierają przez las, zagłuszone trzaskiem i stękaniem pieca.

Milena Migliari osłania folią pozostałe w pojemniku lody, zamyka pokrywkę, wkłada pojemnik z powrotem do torby termicznej, wsuwa tam też

szpatułkę oraz pudełka z rożkami, miseczkami i łyżeczkami. Myśli, że w tej sytuacji zrobiłaby może lepiej, gdyby się pożegnała i wyszła albo wyszła nawet bez pożegnania; należy zredukować do minimum zakłopotanie, zredukować do minimum szkody.

Nick Cruickshank chrupie teraz wafłowy koszycek, w sposób być może demonstracyjny, aby podkreślić, że w każdym razie udało mu się zjeść go do końca. Odwraca się, podchodzi do niej z wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziała; odkłada bambusową łyżeczkę na stół.

– Posłuchaj, nic nie musisz mówić, okay? – Milena Migliari bierze torbę ze stołu, patrzy w stronę drzwi. Leśną ścieżkę powinna odnaleźć nawet sama, mimo nieprzyjemnej utraty równowagi, jaką odczuwa.

Nick Cruickshank kręci powoli głową; w jego zachowaniu wciąż nie ma śladu teatralności, co jeszcze wzmacnia smutek tej chwili.

Milena Migliari znów spogląda na drzwi. Czuje się trochę jak tchórz, chcąc uciec w ten sposób, nie pytając nawet, dlaczego lody mu nie smakowały. Ogarnia ją gniew, ale nie na niego: ogólnie na świat, na wszystkie powody, które nadmuchały jej oczekiwania po to tylko, by opadły teraz jak źle ubita śmietana.

– Nie były dobre?

Nick Cruickshank znów potrząsa głową.

Milena Migliari czuje, że zalewa ją fala rozczarowania, choć myślała, że już je wchłonęła i częściowo przetrawiła. Czuje rozpaloną twarz, ale krew pozostaje zimna, boli ją żołądek. Ścisła rączkę torby-lodówki, odwraca się; jej nogi są już gotowe, by dotrzeć do drzwi, przejść przez dębowy las, dobrnąć do furgonetki, odjechać z tej cholernej posiadłości.

Nagle Nick Cruickshank chwyta ją za ramię, odwraca do siebie; w jego oczach jest gwałtowność, która ją przeraża.

– Uchwyciłaś wszystko w tych śmietankowych i szaronowych. To, co w środku i co na zewnątrz, odnalezienie i utratę, cudowną radość chwili, która przemija. Jak w przepięknym wierszu. Jak w przepięknej piosence.

Ona jest tak bardzo zaskoczona, że zabiera jej dech, jeszcze silniej zaciska dłoń na rączce torby termicznej. Próbuje stworzyć barierę między słowami, które przed chwilą wymówił, a falą emocji, jakie w niej wywołują, jednak ta bariera szybko pęka: bicie serca się uspokaja, do oczu napływają łzy.

On przygląda się jej z bardzo bliska, a chwilę potem przyciąga ją do siebie obydwoma rękami i napiera zimnymi jeszcze od lodów wargami na jej wargi.

Ona zaciska usta, jak może najbardziej, ale niemal natychmiast z powrotem je rozchyła, otwiera je na smak śmietankowych lodów, na wzmagające się ciepło; ich języki ześlizgują się na siebie z niekontrolowaną niecierpliwością, wywołując wewnętrzne fale, które rozchodzą się po wszystkich zakamarkach jej ciała. Torba termiczna wysuwa się jej z palców, spada na deski podłogi: ona rejestruje ten

dźwięk, jakby pochodził z jakiegoś innego wymiaru niż ten, w którym podróżuje z rosnącą prędkością, oddalając się od samej siebie. A przynajmniej od takiej siebie, jaką zna, od lat spędzonych w objęciach Viviane, od jej pocałunków. Zażyłość odpływa i buduje się od nowa, gdy tymczasem jej ciało i jej umysł wchłaniają jego kształty, jego cielesność, jego oddech, tak odmienne, a jednocześnie tak dobrze znane.

On ją przytula, patrzy jej w oczy tym ciemnym i ciepłym wzrokiem, cały na niej skupiony, zafascynowany. Znowu ją całuje; jego wargi są o wiele bardziej miękkie, niż sobie wyobrażała. Przebiega dłońmi po jej czole, po brwiach, po skroniach, po włosach i znowu po czole; wciąż odnawiany kontakt wywołuje strumienie impulsów, które wywracają jakiegokolwiek pytanie czy próbę określenia tego, co się dzieje. Ona wykonuje dokładnie takie same ruchy, jak przy zabawie przed lustrem: śledzi powoli opuszkami palców kontury jego twarzy. Wciąż powtarzają te same gesty, wolno i dokładnie, jak zahipnotyzowani, patrzą na siebie z odległości kilku centymetrów, poza minimalnym punktem pozwalającym widzieć ostro. Czytają wzajemnie ze swoich twarzy bardziej za pomocą dłoni niż oczu, badają się, smakują; napierają jedno na drugie, po czym odrywają się od siebie i uśmiechają; ten przepływ wciąż trwa i trwa niepowstrzymanie.

Ciągnie się to przez czas, którego ona nie byłaby w stanie zmierzyć, nawet gdyby chciała. On pieści ją coraz rozleglejszymi okrężnymi ruchami, niczym radar poszerzający zasięg działania: krok po kroku dociera do jej ramion, pleców, do bioder, talii, pośladków i ud, po czym znowu zawęża zasięg i na powrót koncentruje się na twarzy, uszach, czole i brwiach.

Ona jest całkowicie pogrążona w tych półkolistych ruchach i w wywoływanych przez nie doznaniach; w jednej chwili jej myśli wracają na swoje miejsce, równie szybko jak znikły, odciągają ją z powrotem do niej samej sprzed tego uścisku. Zdaje jej się nagle, że stoi na skraju przepaści; zawrót głowy wywołuje falowanie jej ciała.

– Ej! – Milena Migliari cofa się gwałtownie, uderza plecami o ścianę.

Również Nick Cruickshank się cofa, w ten swój zwinny i lekko nieskładny sposób. Wpatruje się w nią: intensywnie, niemal z przestachem.

Milena Migliari chciałaby zidentyfikować ten dokładny moment, w którym to, co się działo, przybrało niewłaściwy obrót. Czy była to natarczywość jego rąk, kierunek, jaki prędzej czy później miały obrać? A może błąd został popełniony już na samym początku, kiedy przeszli razem przez las i weszli do tego domu?

Nick Cruickshank robi gest, który zdaje się ogarniać ten pokój i wszystko, co się w nim wydarzyło aż do chwili degustacji lodów; aż do chwili, kiedy otworzył jej drzwi.

Milena Migliari wyciera ręką usta, pociąga nosem. Myśli, że to, co się wydarzyło, jest niewybaczalne, ale winę ponoszą oboje w takiej samej mierze; nie

może oczywiście zgrywać ofiary, choć byłoby to dużo wygodniejsze.

Nick Cruickshank ma teraz zmartwioną minę; robi gest w kierunku dużego domu i otaczającego go chaosu przygotowań.

– Jutro się żenię.

Milena Migliari czuje, jak narasta w niej najdziwniejsza mieszanka ulgi i rozczarowania; uderza jej do głowy z taką intensywnością, że znów się chwieje. Szuka z trudem jakiejś odpowiedzi, która w końcu samoistnie wyłania się na jej wargach.

– Ja w poniedziałek rozpoczynam starania, by urodzić dziecko.

– Ach. – Nick Cruickshank próbuje się uśmiechnąć, ale niezbyt mu to wychodzi; ma minę kogoś, kto właśnie odebrał cios w brzuch.

– Tak, z moją partnerką. – Milena Migliari myśli, że mogłaby nawet odczuć przyjemność, widząc efekt wywołany przez swoje słowa, gdyby sama nie była tak nieprawdopodobnie wstrząśnięta.

26 Dalej! Dalej! Szybciej! (franc.)

27 Proszę pana, to my już idziemy (franc.)

28 Panie Cruicsànc, czy mogę zrobić selfie? (franc.)

Nick Cruickshank przygląda się wyrazowi twarzy Mileny, dziewczyny od lodów, i jest jasne, że ona nie żartuje: patrzy na niego w taki bezpośredni sposób, z tym błyskiem w oczach. Próbuje powiedzieć coś, co mogłoby zabrzmieć *cool*, ale mu nie wychodzi.

– Ach tak.

– Co tak? – Milena przybrała pozycję wyzywającą, a może zaczepno-obronną; nie odrywa od niego wzroku.

– Chciałem powiedzieć, że to dobrze. – Nick Cruickshank zdaje sobie sprawę, że jest speszony, co zazwyczaj mu się nie zdarza.

– Co dobrze? – Milena stoi przed nim nieruchomo; ma zaczerwienione policzki, lekko uniesiony podbródek.

– Dobrze dla was, zgadza się? – Nick Cruickshank przeżywa jeszcze wrażenia sprzed dwóch minut. Czym był ten pocałunek? Próbą ucieczki? Próbą ataku? Aktem desperacji? Było w nim jednak coś nieoczekiwanego: wydawało mu się, że rozpoznał ją nie wiadomo w jakim miejscu, czasie i przestrzeni, jak również, że rozpoznał samego siebie albo tę część siebie, którą utracił lub z której poszukiwania zrezygnował. Prawdopodobnie mówi to bardzo wiele o tym, w jakiej sytuacji znalazł się w ostatnich dniach.

Milena nie przestaje się w niego wpatrywać, a jej spojrzenie jest nie tyle spojrzeniem wyzywającym czy obronnym, ile niezwykle uważnym, które go sonduje i nie zadowala się tym, co widzi.

– To znaczy?

– Ja też, gdybym był kobietą, wolałbym być z kobietą. – Nick Cruickshank myśli, że mógłby wyrazić to lepiej, ale wyszło mu właśnie tak.

– Ach, oczywiście. – Milena porusza głową, prychna przez nos. – Jak każdy mężczyzna, który bawi się tym, że przez dwie sekundy wyobraża sobie, że jest kobietą. To niezły odłot erotyczny, co?

– Ależ nie, nie, nie. – Nick Cruickshank nie może uwierzyć, że nie jest w stanie złożyć w całość nawet minimalnej sekwencji słów, które we właściwy sposób wyrażałyby to, co myśli.

– Wyjaśnij mi więc powód. – Milena wciąż bada go wzrokiem: rozgorączkowana, teraz prawie rozgniewana.

– Bo ja nie znoszę mężczyzn. – Nick Cruickshank usiłuje nadać swojemu tonowi wszelkie pozory prawdy, biorąc pod uwagę, że jego narzędzia werbalne stały się niezdatne. To tak, jakby jakiś nieudolny dźwiękowiec wyłączył mu

mikrofon w połowie piosenki, a on musiał rozpaczliwie starać się, by jego głos był jednak słyszalny pośród protestów publiczności.

– Dlaczego? – Milena naciska, nie pozwala mu się wymigać.

– Z powodu ich ograniczenia. – Nick Cruickshank odpowiada teraz już bez zastanowienia. – Dlatego, że są tacy przewidywalni. Również dlatego, że są tacy brzydcy.

Milena wyraźnie stara się zachować powagę, ale bez powodzenia; parska śmiechem.

Nick Cruickshank odczuwa niespodziewaną ulgę; on też się śmieje.

– Kilka dekad w zespole rockowym to dobry sposób, by poznać mężczyzn z jak najgorszej strony.

– Podobnie jak bycie kobietą przez kilka dekad, zapewniam cię. – Milena śmieje się w taki uroczy sposób, tak też na niego patrzy; jest pięknie niezależna i niecierpliwa.

– Wyobrażam sobie. – Nick Cruickshank myśli, że sytuacja jest absurdalna, jeśli jej się przyjrzeć z minimalnego dystansu, ale gdy jest się jej uczestnikiem, to wydaje się tak naturalna, że trudno nazwać ją „sytuacją”.

Milena nieznacznie kręci głową.

– A więc nie znosisz również samego siebie, skoro jesteś mężczyzną?

– Tak, często mi się to zdarza. – Nick Cruickshank skupiony jest na rysach jej twarzy, żeby się zorientować, czy uważa to za zabawne, czy za tragiczne.

Milena również odzyskuje powagę, ale w jej oczach tli się jeszcze roześmiane światło.

– No dobrze, więc mamy ze sobą coś wspólnego.

– Nie tylko to. – Nick Cruickshank zdaje sobie sprawę, że jego odczucia przemieniają się w słowa, nie stając się wcześniej myślami: całkowicie omijają ten etap.

– Nie? – Milena przechyla głowę, przygląda mu się badawczo.

On czuje łaskotanie w okolicy serca. Dzieląca ich przestrzeń wibruje od magnetycznego napięcia, jakiego – tak mu się zdaje – nigdy nie doznał, chyba że może w wieku trzynastu lat; choć udało mu się opisać ten stan dość dokładnie w paru piosenkach.

– Co jeszcze mamy wspólnego? – Ona odrywa od niego wzrok i przenosi na torbę termiczną, na deski podłogi.

– To, że oboje jesteśmy nieprzystawalni. – Znowu nie myśli, zanim się odezwie; refleksje nachodzą go po wypowiedzeniu słów, wloką się jak biedne, zmęczone psy, bez nadziei, że dogonią je na czas.

Ona znów na niego patrzy, a teraz światło nadaje jej oczom niemal przerażony wyraz, rozszerzając jej źrenice.

– W jakim sensie nieprzystawalni?

– Nie należymy do żadnego miejsca. – On robi półkolisty gest, którego też wcześniej nie obmyślił. – Nigdy się całkowicie nie przystosowaliśmy, mimo wszystko.

Ona zaciska powieki, jakby chciała się upewnić, o co tak naprawdę mu chodzi.

On czuje, że serce bije mu coraz szybciej; to śmieszne, bo myślał, że jest trwale uodporniony na tego typu stany.

– Gdziekolwiek i z kimkolwiek jesteśmy, cokolwiek robimy, nawet jeśli nam to dobrze wychodzi. Nawet jeśli nam to bardzo dobrze wychodzi.

– Wyjaśnij mi tę nieprzystawalność. – W jej spojrzeniu i głosie kryje się mieszanina ciekawości i nieufności, potrzeba jasnych odpowiedzi, bez owijania w bawełnę.

– Nie zapuściliśmy wystarczająco długich korzeni w żadnym miejscu ani w żadnych okolicznościach. Choć z zewnątrz może wydawać się, że jest odwrotnie. – To inne odczucie, jakie opisał w paru piosenkach, ale jego piosenki ograniczają się do aluzji, na pewno niczego nie tłumaczą. Może nawet zbliżają się do precyzyjnego znaczenia, ale potem rozpraszają się w innych kierunkach.

Ona kiwa głową w sposób niemal identyczny jak on.

– Ja pewnie zawsze widzę siebie jako kogoś w rodzaju intruza.

On zdaje się rozbawiony tą zgodnością, a jednocześnie przerażony, w jaki sposób ona wciąż go zaskakuje.

– Ja też.

– Ale skoro ty wymyśliłeś nawet nowy styl... – On nie zawiera słowom, i słusznie. – Czytałam w Internecie, że nazywają go *Cruickshank cool*.

– Ach tak, jasne. – On potrząsa głową; określenie to wydaje mu się strasznie głupie i, rzecz jasna, nie on je wymyślił. Zdejmuje marynarkę, jakby mógł w ten sposób pozbyć się też tego określenia i zachowań, jakie ze sobą niesie. – Wiesz, co znaczy Cruickshank w średniowiecznym szkockim?

– Nie. – Ona kręci głową.

– Krzywonogi. – On się śmieje i pokazuje na swoje nogi, które na szczęście są dosyć proste. Prawdę mówiąc, odkrył, że jego nazwisko pochodzi najprawdopodobniej od rzeki Cruick, położonej w starym hrabstwie Kincardine; ale ta pierwsza interpretacja zdawała mu się zawsze trafna w sensie metaforycznym. W każdym razie jego bliżsi przodkowie mieszkali w Irlandii, gdzie na pewno nikt nie znał szkockich rzek.

Ona się uśmiecha; jej twarz, oczy wyrażają całkowitą szczerość. Jak poprzedniej nocy, kiedy znaleźli się w kręgu wzajemnych objęć; jak wówczas, kiedy po uścisku popatrzyli na siebie bez słowa.

– Mnie niemal zawsze wydaje się, że gram kogoś innego. I boję się, że prędzej czy później zostanę zdemaskowana.

On zdaje sobie sprawę, że chłonie jej słowa i migawkowe obrazy, jakie wytwarzają; ta myśl w równym stopniu go upaja, co przeraża.

– Ale nie wtedy, kiedy robisz swoje lody?

Ona przesuwa dłonią po czole; ma mocne i jednocześnie delikatne palce, krótko obcięte paznokcie bez lakieru, jak kobieta pracująca rękami.

– Nie, kiedy je robię, wtedy nie. Ale wystarczy, że przeniosę się z pracowni za ladę lodziarni i już się czuję jak oszustka.

– Ale nie powinnaś! – W jego głosie pobrzmiwa niemal rozpaczliwy nacisk, jakby rozmawiali o piosenkach, które on chciałby jeszcze napisać, o jego powodach frustracji, niezadowolenia, inspiracji i pasji.

Znów się śmieje; jest taka wytrzymała, a przecież zwiewna, potrafi twardo stać na nogach, a przy tym jest taka gibka. Postępuje naprzód, pochylając czoło.

On też postępuje naprzód i pochyla czoło, i już po chwili znów się obejmują, z jeszcze większym zapalem niż wcześniej, jakby zatapiali się jedno w drugie, jakby znaczenie wstrząsających informacji, którymi się wymienili, rozmyło ich kontury i rozproszyło dzielącą ich przestrzeń.

Gładzą się wzajemnie po twarzach, śledzą palcami zakola czoła, linie nosa, uszu; wciąż i wciąż, jakby chcieli zarejestrować dane, które z opuszków palców trafiają do najgłębszych, najdawniejszych warstw pamięci. Cofają się trochę, znów zbliżają i znowu całują; drżą, odczuwając przepływy ciepła, odrywają się od siebie na kilka centymetrów, by na siebie spojrzeć, na powrót malują swoje twarze palcami, po czym znów przywierają do siebie i się całują.

Potem jego ręce wędrują pod jej sweter, a jej ręce pod jego koszulę; jego dotyk jest rozproszony, jakże różny od docelowego poszukiwania wrażliwych punktów, jak wtedy, gdy jest z Aileen. Różni się też bardzo od wszystkich innych zbliżeń z czasów przed Aileen, choć w tej chwili tak naprawdę nie jest w stanie o tym myśleć. Teraz jest tak, jakby każda pieszczota była odczuwalna w taki sam sposób przez tego, kto pieści, i tego, kto jest pieszczony; jakby nie byli rozdzieleni, jakby dwie części były połączone w jedno, w której zachowują swoją pozycję na przeciwległych biegunach. Każdy ich gest ma zdumiewający stopień niewinności: braku zła, braku zamysłu. Mimo tego, co już wiedzą, i tego, czego jeszcze nie wiedzą, są całkowicie nieostrożni; wciąż pobudzają lawiny wrażeń, pozwalają wciągać się głębiej i głębiej. Oddychają sobie w usta, w uszy, chwytają je zębami, całują się po czubkach nosów; patrzą na siebie z odległości kilku centymetrów i z zerowej odległości, ich rysy tracą kontury, po czym je odzyskują, by znów utracić.

To dziwne, bo on ma świadomość, że może wszystko zepsuć jednym fałszywym gestem, a jednak poddaje się całkowicie falowaniu, jakie się między nimi wytworzyło. Nie próbuje w żaden sposób wyobrazić sobie, jak ta sytuacja się rozwinie; wydaje mu się, że ich uścisk sam w sobie zawiera wszystkie przyczyny.

Nie jest punktem wyjścia, ale punktem dojścia; i ma w sobie jakieś widmo rozległego bólu, który w krótkiej chwili mógłby się stać ostry, z taką samą łatwością, z jaką ich rysy twarzy z zamglonych stają się wyraźne, kiedy tylko odrobinę się od siebie odsuwają. Choć bardzo stara się zachować lekkość, czuje rosnący ciężar, nasilające się zagrożenie, które go przeraża, ale też podnieca, doradza mu, by się zatrzymał, a jednocześnie popycha do działania.

Potem znajdują się na drewnianych stopniach schodów i nie jest jasne, jak tam dotarli ani jak to możliwe, że ich zamiary i ich ruchy są tak doskonale zgodne. Jediną pewną rzeczą jest przenikająca ich nieodparta potrzeba kontaktu, kurczowego uchwytu, nieustannego przepływu między nimi dwojgiem, nieprzerwanego patrzenia na siebie, wspólnego oddychania i czucia siebie wzajemnie.

Są w połowie schodów; potem na piętrze, gdzie jest zimniej, choć metalowa rura pieca parzy mu rękę, kiedy się o nią opiera; są pośrodku pokoju i wciąż się całują i pieszczą; są na łóżku i nadal się całują, ocierają się o siebie w najdziwniejszym połączeniu niecierpliwości i braku pośpiechu, dokładności i nieokreśloności.

U niego z przerwami pojawiają się strzępy myśli: co ona lubi? Czego nie lubi? Czy są jakieś granice? Jakie? Na szczęście nie ma żadnego celu do osiągnięcia: znakomicie mu odpowiada, by nadal ją całować i pieścić jak teraz, odrywając się co jakiś czas o kilka centymetrów, by zobaczyć jej rysy, znów śledząc palcami linie jej brwi i jeszcze bardziej się zbliżając. Ale ona teraz przesuwając rękę pod jego koszulę, dotyka brzucha i schodzi coraz niżej, z lekkością i uporczywością. Jej oddechy, ruchy jej języka zastępują mowę. Są tak blisko siebie, że nie da się już prawie odróżnić, które z tych dwojga wykonuje jakiś gest, które gesty wywołują pewne odczucia; związek między przyczyną a skutkiem wydaje się wciąż odwracać.

A przecież w pewnej chwili zerwali z siebie ostatnie części osłaniających ich ciała tkanin, obydwójce są nadzy pod kołdrą, rozpaleni na zimnych jeszcze prześcieradłach, mocno przytuleni, pierś przy piersi, brzuch przy brzuchu, udo przy udzie, jakby zwarci. A przecież w pewnej chwili on też przesunął palcami po jej brzuchu, a potem niżej, w dół, po gładkiej skórze, aż wsunął się w najcieplejszy punkt, ukryty niczym sekret, który obydwójce dobrze znają, i tam się zatrzymał, ociągając się w rozlewającej się wilgoci, gdy tymczasem ona napiera na niego, wibrując rytmicznie. A przecież w pewnej chwili on przewraca się i znajduje nad nią, całuje ją bez końca i wsuwa się w nią z niezwykłą ostrożnością, w zaskakującej bliskości, która cała jest dyszeniem, ocieraniem się, drżeniem i nie wyczerpuje się, lecz przeciwnie – podsyca się nieustannie biciem ich serc. Nagle wydaje mu się, że wszystko, co się liczy i co ma sens, jest tu i teraz: w tej wciąż rozciągającej się chwili, w tym zlewaniu się konturów, w tej rozedrganej wymianie

oddechów i dotyku skóry.

Jest w stanie o tym myśleć tylko urywkowo, ale przy wszystkich kombinacjach ciał i namiętności, jakich mógł doświadczyć w przeszłości, nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej doznał takiego poczucia spełnienia, takiej naturalności, harmonii, wymiany proporcji, kształtów, obrazów. I nie przypomina sobie, żeby miał kiedykolwiek do czynienia z kobietą, o której wie tak wiele z zadanych pytań i otrzymanych odpowiedzi o każdym jej niuansie, nieoczywistości, zakamarku. Żaden z elementów tej zadziwiającej bliskości nie stawia między nimi przeszkód ani nie tworzy barykad, nie ma między nimi żadnej niezgodności; wydaje się to igraszką rozbawionych dzieci, poza wszelką kontrolą, albo dorosłych całkowicie świadomych cudownej wyjątkowości tego, co się dzieje, absolutnie nieprzejmujących się powagą konsekwencji.

Jakaś jej część każe jej ciągle odnotowywać różnicę kształtów i cielesności między nim a Viviane: różnią się wagą, proporcjami, budową anatomiczną, to jasne. Ale ta jej część coraz bardziej zanika, z każdym ruchem i z każdym oddechem, niemal rozmywając się wobec tego przenikania pełni i pustki umożliwiającego fizyczne wtargnięcie, które, o dziwo, nie wydaje się zawłaszczeniem, z pewnością będąc zarazem formą posiadania, choćby nawet za przyzwoleniem, choćby wynagrodzonego owym splotem, który ze swojej strony jest przecież formą posiadania.

Trwają wciąż w tym złączeniu gestów i spojrzeń, zmagając się z drżeniem i tarcieniem, w przyspieszonym rytmie serc i ciągłych przyływach krwi, wobec wyobrażeń, które pojawiają się, by za chwilę zniknąć, wobec pytań, które nabierają kształtu, by zaraz go stracić. W pewnym momencie ogarnia ją strach, że bardzo się myli, że gra posiadania może przerodzić się w grę sił; zatrzymuje się. Dokładnie w tej samej chwili on się wycofuje, jakby czytał w jej myślach, jakby wyczuł jej obawy. Uśmiecha się do niej, a w jego uśmiechu jest wielka moc otuchy; znów pieści linię jej brwi, wypukłość jej czoła. Nie wygląda na owładniętego zwierzęcym uporem, jaki zapamiętała u mężczyzn, z którymi była, nie wydaje się opętany chęcią osiągnięcia celu; wygląda, jakby zatracił się w niej, wokół niej, w ich bliskości, w tym, co ich łączy, w tym, co ich dzieli. Wygląda, jakby równie dobrze mógł na tym poprzestać, jakby nie musiał ulegać władzy instynktu, jakby nie chciał się poddać wszelkim mechanicznym rozstrzygnięciom. Ona uśmiecha się do niego, głaszcze jego zaskakująco gładką skroń, jego zaskakująco umięśnioną rękę; z wolna znów poddaje się nurtowi, który ją porywa, i czuje, jak wzbiera w niej swego rodzaju nieznana, a zarazem znajoma radość.

On całuje ją w usta wargami, które teraz parzą, całuje ją w czoło, w oczy, w nos, w brodę, w szyję, w piersi. Ssie jej brodawkę, przygryzając ją chciwie niczym wygłodniałe niemowlę, przywodząc ją o niemal bolesne przyływy rozkoszy przeszywające jej ciało. Komunikują się za pośrednictwem oddechów, których intensywność to wzrasta, to opada, będąc niczym precyzyjny niewerbalny alfabet, niczym siatka milimetrowa, na której można odmierzyć wszelkie reakcje, odzew i echa. On przesuwa wargi w stronę jej pępka, przyciska dłonie do jej talii, do jej bioder. Jest coś tak dogłębnie nieznanego w tej potrzebie wzajemnego poznawania się. Skąd to się bierze? Z jakiegoś nieodgadnionego przedtem, które jest tak niezwykle namacalne?

On schodzi jeszcze niżej, na jej wzgórek łonowy, pomiędzy jej uda, jego

język przywodzi o dreszcze, a ona czuje, że otacza ją ekstatyczne uwielbienie okazywane żeńskiemu bóstwu, w którym rozkosz dawania równoważy się z rozkoszą otrzymywania, a nawet wydaje się, że rozróżnienie między tym, kto daje, a tym, kto otrzymuje, ulega zatarciu. Trwają w zmiennym nurcie, w którym dreszcz odbiorcy przesywa język tego, kto daje, przesycając go upojeniem, które przychodzi i odchodzi. On wciąż ją liże, umiejętnie i cierpliwie, jakby mógł nigdy nie przestawać; ruchy jego języka to przyspieszają, to zwalniają, z niewiarygodną dokładnością dokonuje tego, czego ona oczekuje. Przemierza ją z łagodną uporczywością, a ona nie ma najmniejszej ochoty czynić porównań, lecz one nasuwają się same: jest lepiej niż z Viviane, która przecież wydawała się jej o niebo lepsza od jej byłych mężczyzn. Jak to możliwe, że przydarzyło się jej coś takiego z osobą płci męskiej? Po tym, jak lata temu uznała, że mężczyźni jej nie pociągają, że już się na nich zamknęła. Po tym, jak myślała, że odnalazła sedno z kobietą. Czy chodzi o coś w tej różnicy biegunów? W tym magnetycznym przyciąganiu między plusem a minusem? W tym, że on jest gwiazdą rocka, istotą przekraczającą granice płci, bo świadomie obie je przyciąga? W jego ewidentnej, dogłębnej znajomości kobiet, być może w jego autentycznym uwielbieniu dla rodzaju żeńskiego? Lecz na ile autentyczne może być uwielbienie samca, czyli innymi słowy potencjalnego wroga, choć w tym wypadku, a przynajmniej w tej chwili, byłby całkowicie pozbawiony agresywnych intencji? Nie mówiąc już o nieprzewidzianym zwrocie akcji, o zaskoczeniu, o poczuciu dostąpienia czegoś nowego (co jednak wydaje się dogłębnie znajome). Czy potencjalne zagrożenie również odgrywa rolę w tym spotkaniu? Sposób, w jaki on trzyma mocno jej uda, owa zarazem radosna i pełna determinacji mieszanina jego uczuć. W palcu, który wsuwa jej do środka, czyniąc to bardzo delikatnie, ale zarazem stanowczo. W sposobie, w jaki go zgina i przyciska ku górze, równocześnie drugą ręką przyciskając jej brzuch w tym samym punkcie, gdy tymczasem jego język wywołuje kolejne doznania w rytmie westchnień i pojękiwań, które ona z siebie wydaje, w najmniejszym stopniu nie dbając już o wrażenia i opinie, jakie mogą wzbudzić, nie dbając też o to, że oddycha, podnosi głos czy porusza się, mając nad sobą coraz mniej kontroli. Jak to możliwe, że ten prastary taniec jest taki prosty, taki spontaniczny? Skąd bierze się przekonanie o tym, że cechuje się taką słuszością, w odróżnieniu od wszystkiego tego, co mylne w ich życiu i poza nim?

On kontynuuje nieustrudzenie, nie poprzestaje ani na chwilę, aż w końcu ona zaczyna czuć, jak w jej stopach i łydkach narasta napięcie, które wznosi się ku górze niczym następujące po sobie fale, które przybierają na sile, by po chwili zelżeć i się rozmyć, a potem znów się wzmacniają i ponownie słabną, po czym powracają ze stanowczością, przeradzając się w jedną falę, która wciąż się wznosi, być może już niepowstrzymanie, a może i nie, ależ tak, tak, tak, niepowstrzymanie, fala porywa ją i nią rzuca, aż w końcu z głębi jej trzewi, z głębi jej gardła

wydobywa się krzyk; fala sprawia, że ona ściska go między udami, być może sprawiając mu ból, ale tak naprawdę nie może teraz o tym myśleć, bo jakaś siła wygina ją do tyłu i popycha do przodu w powolnym, łagodnym przyptywie, który przyprawia ją o uśmiech nieznaną granic i umiaru.

On podnosi się do góry, przeciągłym ruchem sunie po jej skórze, pośród ciepła, potu, ich wzajemnych spojrzeń. Patrzy na nią z bardzo bliska, uśmiecha się do niej w ten typowy dla siebie sposób. Już nie jest tak, że gdy on rozchyła usta, to ona rozchyła usta, gdy on bierze oddech, to ona bierze oddech. Już nie jest jak w zwierciadle: lecz jak wewnątrz zwierciadła. On naciąga granatową kołdrę, żeby przykryć ich oboje; obejmuje ją, gładzi jej twarz i włosy. Spoglądają na siebie, leżąc na boku; ciągle się uśmiechają, czas wciąż się wydłuża. Myśli całkiem zniknęły, wrażenia i doznania przejęły całą dostępną przestrzeń. On nie wygląda, jakby oczekiwał czegoś w zamian; niczego nie żąda, nie wywiera nacisku. Wydaje się uszczęśliwiony tym, co się wydarzyło; że może być tak blisko niej, delikatnie ją pieścić i się do niej uśmiechać.

Ona długo trwa w głębokim odurzeniu, pod lekkim dotykiem jego rąk, potem, wiedzona nagłym impulsem, chwyta go za bark i kładzie na plecach, z determinacją, która zdumiewa zarówno ją samą, jak i jego. On przez chwilę stawia opór, po czym wydaje z siebie westchnienie, zamyka oczy i się jej oddaje. Ona odczuwa coś, co myślała, że nachodzi ją jedynie z Viviane: przytrzymuje mu nadgarstki, ustami zsuwa się wzdłuż jego ciała, robi mniej więcej to samo, co on robił jej. Ssie, jakby chciała go połknąć, jakby miał się stać częścią niej, jakby mogła zniwelować dzielący ich dystans. To też jest dość dziwne, a zarazem porywające: taka prosta rzecz, która wywołuje w niej niedoznaną nigdy rozkosz, poszukiwanie źródeł tego, co on czuje, i tego, co daje jej odczuć, w coraz bardziej strudzonej wymianie oddechów, pomrukiwań i jęków, aż w końcu on wygina się do tyłu i krzyczy, jak krzyknęła ona, drży, jak drżała ona, gdy tymczasem ich płyny się mieszają, a ich cielesność zespała na nowo.

Potem patrzy na nią przez góry i doliny wymiętej kołdry.

– Heeej! – Wyciąga do niej dłoń, chwyta jej rękę i unosi ją do sufitu.

– Hej! – Mocno ściska jego palce.

– Oto niedoskonały cud. – On ciągle się uśmiecha. – O najwyższym stopniu doskonałości, jaką może osiągnąć niedoskonałość.

– Tak. – Ona też się uśmiecha, bo nie może się bez tego obyć; równocześnie zaś wracają do niej myśli, a niedoskonałość cudu zaczyna się ujawniać niczym delikatna rysa, która pnie się po powierzchni przepięknego pucharku z porcelany, delikatnego i kruchego jak skorupka jajka.

Nick Cruickshank odwraca się, żeby na nią spojrzeć, i choć nadal się uśmiecha, to wyraz jego twarzy się zmienia.

– Nieźle nabroiliśmy.

Milena Migliari kiwa głową; dobrze o tym wie.

On zdaje sobie sprawę, że użył dziecinnych słów, zupełnie nieadekwatnych do sytuacji; ale im bardziej wydają mu się nieadekwatne, tym trudniej mu znaleźć jakieś lepsze sformułowanie. Leży obok niej, głaszcząc ją po włosach, powtarzając wciąż ten sam gest. Zdaje mu się, że mógłby to robić w nieskończoność lub że coś może sprawić, by przestał z chwili na chwilę, bo tego, co się wydarzyło, nie da się zmierzyć żadną miarą.

To nie są pojedyncze sceny ani ich sekwencje; doznawał ich już setki razy, wywoływały w nim różne przekonanie, aż doszedł do wniosku, że są pozbawione sensu. Nieraz miał poczucie nieuczciwości, że swoimi piosenkami przyczynił się do powszechnej mistyfikacji, do oszustwa popełnianego przez podżegaczy konsumpcjonizmu i ich wiernych sługusów wraz z ich reklamami, rubrykami poświęconymi problemom sercowym, pornografią, filmami i książkami pełnymi sztucznie kreowanych fantazji. Jakby spotkanie dwóch osób, które się przyciągają, było gwarancją cudu, do którego każdy ma prawo, jakby było porównywalne z wszelkimi innymi dobrami dostępnymi na rynku, które można w nieskończoność kupować i sprzedawać. Jakby cud można było odtwarzać tyle razy, ile miliardów ludzi jest na świecie, i jakby nie był zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim, szalenie trudnym do przewidzenia i niemal niemożliwym do utrwalenia, niezwykle mgnieniem w nieskończonym ciągu przykrych lub nijakich chwil.

Tak więc co się właśnie tutaj stało? Czym było to porywające złączenie, ta zatracona cielesność? To niewytłumaczalne wrażenie o wzajemnym rozpoznaniu i ponownym spotkaniu? To momentalne połączenie identycznych i sprzecznych elementów, ta totalna naturalność? I to właśnie teraz, co więcej, w obliczu wyborów dokonanych po długim namyśle i z wielkim trudem, które wymagały pokonania oporów i skomplikowanych przeszkód.

On wstaje; nieskładnym ruchem podnosi z podłogi bokserki i spodnie, wkłada je na siebie. Odwraca się, by na nią spojrzeć, wciąż skrępowany pozostałością wrażeń, które nadal trwają.

Ona na niego patrzy; siada na brzegu łóżka, naciąga kołdrę, żeby się przykryć. Temperatura w pokoju z sekundy na sekundę wyraźnie spada, podobnie jak zmniejsza się dopływ światła zza okien.

On chciałby coś powiedzieć, ale wie, że nie potrafi wymyślić czegoś odpowiedniego, tak więc siedzi w milczeniu, podnosi z podłogi koszulę.

Ona też wstaje; jej miękkie kształty jaśnieją, ma mocną budowę ciała, tak jak spostrzegł już wcześniej, to kobieta-dziecko, kontemplatorka-wojowniczką, kobieta

księżycowa i zarazem słoneczna, współczesna i pradawna. Ona też zbiera z podłogi swoje ubrania, patrzy na nie, jakby dziwiły ją ich barwy, krój, rodzaj tkaniny.

On daje jej znak, jakby chciał powiedzieć, że poczeka, aż się ubierze; niepewnym krokiem schodzi po schodkach, jego nogi drżą. Dokłada drewno do pieca, dmucha, aby podsycić ogień. Zapala lampę oliwną na stoliku, w zachwycie przygląda się żółtemu światłu, przeciągłe myśli z wolna i niepewnie przemierzają jego umysł. Wyjmuje z kieszeni kurtki kukurydzianą fajkę i woreczek z trawą Wally'ego, napełnia główkę fajki, zapala, po czym się zaciąga.

Ona ostrożnym krokiem schodzi po schodach, i wystarczy na nią spojrzeć, aby zrozumieć, że czuje się dokładnie tak jak on: jakby właśnie spadła z nieba na ziemię i nie potrafiła nazwać rzeczy po imieniu.

On podaje jej fajkę; wydaje mu się, jakby musiał wyciągnąć rękę ponad nadzwyczajnie rozległą przestrzeń, zanim jej dosięgnie.

Ona obraca fajkę w dłoniach; wkłada do ust, zaciąga się.

Nic nie mówią, poruszają się niezwykle powoli. Między nimi trwają w zawieszeniu niewypowiedziane słowa, niewykonane gesty, które jednak nadal się nie urzeczywistniają; jedyne dźwięki to świst i trzaskanie w piecu. Raz na jakiś czas przekazują sobie fajkę, zaciągają się dymem, wstrzymują go w płucach i lekko wydychają.

– Czyli jutro się żenisz? – Ona patrzy na niego z lekko pochyloną głową.

– Chyba tak. – On zdaje sobie sprawę, że mówi do niej, jakby sprawa dotyczyła kogoś innego, ale od tego wydarzenia dzieli go całe morze niepewności. Podaje jej z powrotem fajkę, znów wykonując przeciągły gest.

Ona przytakuje, ale wygląda tak, jakby nie potrafiła znaleźć całkiem jasnej odpowiedzi. Zaciąga się i przytrzymuje dym w płucach.

– A ty podejmiesz kroki w sprawie dziecka ze swoją przyjaciółką? – Wypowiadane słowa są równie nieprecyzyjne, jak jego myśli; gdyby miał teraz napisać piosenkę, byłaby przeraźliwie niespójna i uboga.

Ona wydycha dym i mówi:

– Z moją partnerką. – Być może jej ton jest pytający, a może nie.

– Chciałem powiedzieć „z twoją partnerką”.

Jego wizja jej partnerki jest czysto hipotetyczna; ciekawe czemu wyobraża ją sobie jako ubraną na szaro, z krótkimi włosami i w okularach, z poważnym, wyczekującym wyrazem twarzy.

Ona oddaje mu fajkę i mówi:

– To nie jest prosta sprawa. – Patrzy na niego, siedząc stabilnie na krześle. – A wy?

– „My”, czyli kto? – On czuje, jak przeszywa go zimny dreszcz. A może to pokój jest zimny, być może piec nie daje już rady go ogrzać. A przecież chwilę temu było tak gorąco: oboje byli tacy spoceni, ich skóra parzyła.

– Ty i twoja przyszła żona. – Wygląda na to, że również i jej trudno znaleźć słowa i wymówić je w odpowiedni sposób, ale prawdą jest też, że w przeciwieństwie do niego nie mówi w swoim ojczystym języku. – Wy nie chcecie mieć dzieci?

On wydmuchuje dym, kręci głową i mówi:

– Mam już pięcioro i wystarczająco dużo problemów z nimi.

– Ale z nią nie masz żadnego? – Jej ciekawość jest taka niewinna, bez żadnych podtekstów, taka obojętnia.

– Nie. Rzeczywiście. – Znow przeszywa go dreszcz, jakby nadal był nago.

Ona patrzy na piec, być może jest jej równie zimno, jak jemu.

– Jak do tego dochodzi? – Nasuwa mu się pytanie, choć w rzeczywistości nie oczekuje odpowiedzi.

– Do czego? – Ona wydaje mu się niewiarygodnie znajoma, także i teraz; jest taka prosta i zarazem skomplikowana, taka pogodna i pełna niepokoju.

– Do wytwarzania się trwałych związków między dwojgiem ludzi. – Wydaje mu się, że słyszy własny głos z takim samym dystansem jak podczas odsłuchiwania nagrania z miksera: jest nieprecyzyjny, intonacja pojawia się i zanika. – Kiedy najlepszych powodów, które trzymały ich razem, już brak, za to zostały te najgorsze. Kiedy łączą ich przyzwyczajenie, strach i poczucie smutku.

Ona ssie ustnik fajki, choć ta już zgasła, i pyta:

– Czy wierzysz w bliźniacze płomienie?

– Co to jest? – On potrząsa głową; ogarnia go nagły strach, że może nie wiedzieć o jakimś fundamentalnym dla wszechświata pojęciu.

– Dwie części jednej duszy? – Tak, tym razem jej ton jest pytający, jakby nie była całkiem pewna, że on będzie potrafił zrozumieć. – Rozdzieliły się i przechodzą całą długą serię reinkarnacji, aby nabyć doświadczeń, aż w końcu złączają się na nowo.

– Ach, bliźniacze dusze? Dwie połówki jabłka? – Uśmiecha się; pięć lat temu napisał o tym piosenkę zatytułowaną *Twin Soul Reunion*. Była całkiem niezła; maksimum sentymentalizmu, do jakiego można doprowadzić Bebonkersów, nie wywołując przy tym rewolty wśród fanów.

– A każda z dwóch połówek jest kompletną duszą, ale o innym biegunie. – Jej ton jest teraz zachwycająco nauczycielski, naiwny i zarazem mądry, a także tajemniczy. – Dwa przeciwstawne istnienia, które spotykają się ponownie i rozpoznają nawzajem, przyciągając się w nieodparty sposób. Słońce i Księżyc spajające się w jedno. Doskonale, totalne porozumienie, którego nie ma potrzeby objaśniać.

– Czy nie przypadkiem każdy tak myśli, gdy z kimś się łączy? – Jej uczciwość sprawia, że i on pragnie być uczciwy, ale jego własne słowa wywołują w nim ból, który przeszywa mu serce i żołądek.

– Być może, ale niemal zawsze się myli. – Ona mówi, jakby zamierzała jak najdokładniej coś oddać. – Prawdziwe ponowne spotkanie dwóch bliźniaczych dusz jest bardzo rzadkie.

– Bo przeciwdziałają mu wciąż nowe doświadczenia i czas. – Nick Cruickshank nie ma najmniejszej ochoty na cynizm, ale wydaje mu się, że poszukiwanie prawdy łączy się z kosztami.

Wyraz twarzy Mileny równie dobrze może świadczyć o rozczarowaniu, jak o natchnieniu.

– Nie wtedy, gdy to prawdziwe ponowne spotkanie.

Nick Cruickshank patrzy w bok; ogarnia go strach, że swoim brakiem wrażliwości i cierpliwości zniszczył coś niewiarygodnie drogiego.

Siedzą w milczeniu, słuchając dźwięków dobiegających z pieca.

– A teraz? – Nick Cruickshank czuje wewnętrzny przypływ rozpacz i nie ma pojęcia, jak go powstrzymać.

– Co teraz? – Cudownym sposobem Milena wygląda, jakby się od niego oddaliła; wydaje się, że naprawdę chce go zrozumieć.

– Chciałem powiedzieć: „a potem”? – Nick Cruickshank nie potrafiłby wskazać, o jakie „potem” mu chodzi: o „potem”, które nastąpi za kilka minut? Za kilka tygodni? Za kilka miesięcy? Za jakieś dziesięć lat? I czyje to „potem”? Ich dwojga? Jego i Aileen? Jej i jej partnerki? Czy może jakieś uniwersalne, nijakie „potem”?

Milena porusza stopą, wskazuje na torbę termiczną stojącą na podłodze:

– Chcesz jeszcze trochę lodów?

– Tak! – Odczuwana ulga jest tak silna, że jego reakcja przywodzi na myśl entuzjazm osoby niedoroślej, nieprzystosowanej, który jego zdaniem całkowicie podzielają, póki znajdują się na ziemi niczyjej, poza wszelkim „potem”, gdzie być może będą mogli jeszcze trochę pozostać.

Ona bierze torbę-lodówkę w żółte, czerwone i różowe kwiaty, wyjmując biały pojemnik, stawia go na stole, ze środka wyciąga dwa małe kartonowe pudełka, a z nich dwie drewniane łyżeczki. Przysuwa krzesło do stołu, siada, nabiera łyżką bielusińskie lody śmietankowe i wkłada je do ust.

On powtarza te same czynności z lodami szaronowymi; wykonuje te same ruchy, w tym samym czasie. Lody wydają się jeszcze bardziej zaskakujące niż wcześniej, są słodkie i kwaskowe, lekko kleiste: to zimna, przepyszna kwintesencja wszystkiego tego, co najlepsze do poznania i posmakowania w świecie.

Ona powoli wyciąga łyżeczkę z ust i mówi:

– To dziwne, co? – Gestem wskazuje piętro wyżej, pokój, w którym byli we dwoje.

– Dziwne to mało powiedziane. – On myśli, że słowo „dziwne” nawet nie ociera się o definicję tego, co się wydarzyło, i tego, co dzieje się nadal, póki jeszcze

trwa.

– Tak. – Ona znów sięga łyżeczką do pojemnika, stanowczym gestem nabiera trochę pomarańczowych lodów szaronowych, wkłada je do ust. W jej sposobie bycia jest poruszająca zachłanność: to kobieta Słońca i Księżycy, która nie przestaje się zadziwiać tym, co zastała na Ziemi.

On bierze łyżeczkę bielusińskich lodów śmietankowych: ich smak koi i dodaje otuchy, prowadząc do łączenia się myśli i form. Patrzy na nią i ogarnia go rozpaczliwe pragnienie, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. „Czy możemy spróbować zatrzymać czas?”

Jej oczy w świetle lampy są pełne barw, jak pierwszy raz, kiedy ją zobaczył, dwa dni temu; całe wieki temu. „Tak”.

Jedzą lody śmietankowe i szaronowe prosto z pojemnika, odczuwając niezmiennie nienasyconą rozkosz, jakby każda łyżeczka miała być ostatnią, a każda następna była pierwszą. Odczuwają nieopanowaną potrzebę, by znów poczuć to samo, owo ciągłe zdumienie i radość, jakby moment, w którym te uczucia ich ogarnęły, mógł nigdy się nie skończyć. Łyżeczka po łyżeczce wyjadają całą zawartość półlitrowego pojemnika i oto nagle oboje wyskrobują dno niczym wygłodniałe dzieci; patrzą na siebie i znów zaczynają się śmiać.

Potem ona odwraca się do okna, on robi to samo, i widzą, że czas wcale się nie zatrzymał: na zewnątrz zapadł już zmrok.

Kiedy wychodzą z domku, w lesie panuje raczej noc niż wieczór. Ona chce wyjąć z kieszeni telefon, żeby sprawdzić godzinę, ale zmienia zdanie. On próbuje zamknąć drzwi, ale mu to nie wychodzi, drapie kluczem o zamek w poszukiwaniu dziurki. Czas przeminął wraz z wszystkim tym, co ze sobą przyniósł, i teraz są jak dwoje ocalałych z katastrofy naturalnej, nie mają pojęcia, jak długo jeszcze może potrwać ich szczęście. Ona jest odurzona myślą, że zrobiło się tak późno, a oni tego nie zauważyli, ale, co niewiarygodne, zdaje się jej, że nie odczuwa niepokoju; fales, które ich porwały i niosły, pozostawiły w niej lekkie uczucie błogości: pod skórą, w sercu, w głębi żołądka, w tyle głowy. Nie wydaje się jej również, żeby miała poczucie winy: ilekroć próbuje znów wszystkiemu się przyjrzeć, nie może przypomnieć sobie choćby jednej odstręczającej lub podłej rzeczy, której by się dopuścili lub którą by powiedzieli, ani jednego słowa czy gestu, którego nie można by nazwać pięknym. Czy to próba samorozgrzeszenia? Udawania, że nie jest współodpowiedzialna za czyn, który może mieć dramatyczne konsekwencje?

Zwlekają nieco na polanie, potem on odwraca się w stronę lasu, gdzie panuje gęstszy mrok.

– Idziemy? – Pytanie wydaje się zasadne, jakby mogli zamiast tego postanowić tu zostać, wrócić do środka, schronić się w domu, ukryć się tam na zawsze. Lecz on już ruszył, a ona idzie za nim, to płynnie, to nieporadnie, jej prawa dłoń ściska torbę termiczną, w której jest pusty pojemnik po lodach, po przyczynie jej obecności tutaj i pretekście. On chwyta ją za lewą dłoń w opiekuńczy sposób, do którego jest zupełnie nieprzyzwyczajona, głaszcze ją, kiedy maszerują przed siebie. Ile jeszcze potrwa ta opiekuńczość? Dziesięć minut? Pięć? A potem? Nie odzywają się do siebie, być może dlatego, że nie wiedzą, co mają sobie powiedzieć, a być może dlatego, że i tak powiedzieli sobie już za dużo.

Las ogarnia ich swoim głębokim mrokiem, zapachem wilgotnego drewna, zgniłych liści i mchu; bardziej wyczuwają, niż widzą ścieżkę pod swoimi stopami, ale on zmierza naprzód dość pewnym krokiem, bo zna drogę. Co jakiś czas się zatrzymują i oddychają w bliskości ramion i skroni. Znów ruszają w drogę, ale im są dalej, tym bardziej zwalniają kroku, jakby chcąc wydłużyć czas, który im pozostał: rzecz jasna, bez skutku, czas upływa wraz z każdym kolejnym krokiem, z każdą kolejną przerwą w marszu.

Wychodzą spomiędzy drzew i widzą rozjarzone światła wielkiego domu: są liczniejsze i bliższe, niż się spodziewała. On ściska jej dłoń jeszcze mocniej, ale nadal nic do siebie nie mówią. Przechodzą obok zagrody czarnych koników, które

w ciemnościach są niemal niewidzialne, ale gdy zbliżają się do ogrodzenia, to słyszą ich parskanie.

Kiedy znajdują się o jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, on puszcza jej rękę; jej palce ześlizgują się, ciepło kontaktu zanika.

Ona czuje, jak przesywa ją poczucie pustki, sprawiające, że na chwilę traci równowagę.

On musi zdawać sobie z tego sprawę, bo znów staje i nachyla się, żeby pocałować jej skroń.

Ona czuje powracające ciepło, które ją rozchmurza, choć wie, że to niedorzeczne; uśmiecha się pośród ciemności i światła. I właśnie w momencie, gdy zaskakuje ją uczucie ulgi, uśpiony niepokój, który w sobie nosi, budzi się i całkowicie ją ogarnia: przyspiesza bicie jej serca, wypełnia jej głowę strasznymi myślami i lawiną pytań. Czy gdyby jego przyszła żona teraz ich zobaczyła, to od razu wiedziałaby, co między nimi zaszło? Tylko na nich patrząc, bez snucia niepotrzebnych domysłów, a tym bardziej bez zadawania pytań. I gdyby nawet założyć, że ich nie zobaczy, to co teraz zrobią? Pożegnają się i każde pójdzie swoją drogą? Jakie to będzie miało wewnętrzne skutki? Jakie nasunie wątpliwości, które już nigdy nie znikną? A może uda się im zapomnieć o tym, co się stało, gdy tylko rozwieje się mgiełka wrażeń, która nadal ich otacza? Czy będą odczuwać ulgę, kiedy to popołudnie przejdzie już do przeszłości? Czy może będą smutni? Czy może raz na jakiś czas będą czuć ukłucie wyrzutów sumienia? Zakłopotania? Tęsknoty?

Już prawie dotarli do domu; z każdym krokiem wydaje się jej, że ich fizyczna bliskość jest coraz mniej uzasadniona, a jednak z racji mroku czającego się za ich plecami i światła przed nimi nie ma nawet pewności, na ile są blisko siebie, bo wydaje się, jakby niemal go dotykała, a tymczasem, kiedy się odwraca, między nimi jest tak wiele przestrzeni. Nie jest to jednak z pewnością tylko kwestia bliskości fizycznej: to ślady po tym, co się stało, wypisane na ich twarzach i zawarte w ich sposobie poruszania się, choćby nie wiadomo jak próbowali udawać, że nic się nie wydarzyło. Nie żeby się jakoś szczególnie przykładali do tego udawania. Jej nastrój zmienia się w każdej sekundzie, żaden ze stanów ducha nie przeważa nad pozostałymi na tyle, by opanować sytuację. Czuje się o wiele gorzej niż wtedy, gdy przyjechała tu furgonetką, a przecież gdy tu przyjechała, to czuła się jak złodziejka, a po chwili wydaje się jej, że to, co się stało, było tak magiczne, iż warto było podjąć wszelkie ryzyko; raz wydaje się jej to najgłupszą rzeczą na świecie, to znów najśmieszniejszą; zdaje się jej, że nie zrobiła nic złego, a zaraz potem znów czuje się jak przestępca. Odwraca się do niego, żeby mu coś powiedzieć albo ucisnąć jego dłoń, lub tylko na niego spojrzeć, zanim odejdzie, lecz nagle oblewa ich snop białego światła.

– To on!

Staje przed nimi jakaś wielka czarna sylwetka, trzymając w ręku supersilną latarkę.

– Jasne, że to ja. Zgaś to, bo oślepnę. – Nick Cruickshank zakrywa sobie oczy ręką.

Właściciel wielkiej sylwetki wykonuje polecenie: to włoski ochroniarz, który poprzednim razem zatrzymał ją przy wjeździe; teraz, gdy widać jego twarz, wyraźne jest jego zakłopotanie.

Nieco dalej stoi przysła żona Nicka Cruickshanka, oświetlona światłem płynącym z okien, z przeszklonych drzwi, z nisko i wysoko umieszczonych reflektorów; za nią są inni ludzie, wszyscy w stanie wyraźnego napięcia.

Nick Cruickshank wykonuje gest na powitanie.

– Hej, Aileen.

Z niewiarygodną lekkością, niewiarygodnie nie na miejscu. To prowokacja typowa dla rockmana, który kpi sobie z wszelkich konwencji i reguł wspólnego życia, a także z cudzych uczuć, czy może nedorzeczny dowód lojalności? W stosunku do niej?

Milena Migliari chciałaby natychmiast ruszyć biegiem, zniknąć za rogiem, dotrzeć do swojej furgonetki, wskoczyć do środka i zapuścić silnik, odjechać stąd pełnym gazem; ale wie, że byłaby to niegodna ucieczka, jak również daremna, bo i tak z pewnością zatrzymano by ją przy bramie. Rzeczywiście, byłaby to ucieczka na tyle niegodna i daremna, że na samą myśl o niej zbiera się jej na śmiech. Próbuje się powstrzymać, bo wie, że śmiech byłby jeszcze mniej do przyjęcia niż zachowanie Nicka Cruickshanka, ale nic nie może poradzić i zaczyna się śmiać.

Nick Cruickshank odwraca się i patrzy na nią z tak zabawnym wyrazem twarzy, że jeszcze bardziej ją rozśmiesza; zaczyna się śmiać razem z nią, pochylając się lekko w przód. Próbuje odzyskać powagę, stara się wyprostować, ale bezskutecznie: rozchichotany i nieco skulony idzie w stronę Aileen i pozostałych.

Milena Migliari podąża za nim, bo nie przychodzą jej do głowy inne dopuszczalne rozwiązania; choć nadal się śmieje, czuje się, jakby brodziła w kleju, z wysiłkiem odrywa od ziemi stopy, aby iść dalej.

Do spotkania dochodzi w połowie trawnika: Nick Cruickshank, ona i ochroniarz z jednej strony, Aileen wraz ze swoją grupką z drugiej. Nieco dalej stoi cała armia ludzi, którzy w smugach światła montują, uderzają młotkami, wnoszą łuki, przedłużają tunele i poszerzają kopuły.

– Co jest takie zabawne? – Aileen wykonuje wyraźny wysiłek, żeby się powstrzymać, być może z powodu dwóch przyjaciółek czy też asystentek, które ma u swojego boku, lub z racji innych ludzi stojących zaraz za nią. Lecz jest napięta, jakby za chwilę miała wybuchnąć: wystarczy spojrzeć na jej rozszerzone nozdrza, na jej ręce, na jej rozdygotane nogi.

Wielki ochroniarz celuje latarką w mrok za ich plecami, być może po to, by się upewnić, czy nie ma innych intruzów, którzy byliby gotowi wynurzyć się z lasu, potem wykonuje gest – równie nieporadny, jak wszystkie poprzednie – na znak, że wszystko w porządku, a następnie zmierza w stronę ludzi pracujących w oddali.

– No? – Nick Cruickshank patrzy na swoją przyszłą żonę, jakby nie był całkiem pewien, kim ona tak naprawdę jest.

– Można wiedzieć, gdzie się podziewałeś przez cały ten czas? – Śnieżnobiałe zęby Aileen połyskują w świetle lamp, ale z całą pewnością nie szczerzy ich w uśmiechu.

– Ach. – Nick Cruickshank odwraca się, wykonuje gest w stronę Mileny, która znajduje się dwa kroki za nim. – Przyniosła mi lody do spróbowania.

Milena Migliari czuje się nieco wystawiona na niebezpieczeństwo, ale podnosi pustą torbę termiczną, chcąc potwierdzić, że przynajmniej ten szczegół jest prawdziwy i możliwy do udowodnienia.

– Lody? – Aileen spogląda na nią, jakby dopiero teraz spostrzegła jej obecność, co, rzecz jasna, nie jest możliwe; a może i tak, kto wie.

Milena Migliari myśli, że gdyby teraz ją zaatakowała, to nie wiedziałyby, jak się bronić. Powinna zgrywać niewiniątko? Wziąć odpowiedzialność za swoje czyny, zachować minimum godności? Choćby nawet minimum, po tym, jak ją tak przyłapano, ją, tę włoską lodziarkę, uwodzicielkę i oszustkę zakradającą się do życia kobiety, która raptem dwa dni temu ocaliła jej bilans dnia, dokonując najlepszego zamówienia wszech czasów.

– Tak. Śmietankowe i szaronowe. Były nadzwyczajnie dobre. – Nick Cruickshank uruchamia w swoim głosie teatralną emfazę, jakby przekonanie Aileen o nadzwyczajnym smaku lodów mogło zmazać wszelką przewinę i podejrzenia, zlikwidować wszelkie napięcie.

Aileen napina wargi w kolejnym nie-uśmiechu, który musi być obarczony olbrzymim wysiłkiem samokontroli. – Wyobrażam sobie, skoro próbowałeś ich całymimi godzinami.

– Całymimi godzinami? – Nick Cruickshank wydaje się naprawdę zaskoczony, odwraca się, by spojrzeć na Milenę Migliari, jakby chcąc zapytać, ile czasu rzeczywiście minęło.

Milena Migliari wzrusza ramionami; gdyby miała opierać się na tym, jak teraz się czuje, powiedziałaaby, że minęły cały dzień, cały wieczór i cała noc, a może tylko kilka minut, przepelnionych niewiarygodnie kłopotliwymi gestami i doznaniem.

Aileen przesuwając wzrok z niej na niego, w świetle lamp sonduje wyraz ich twarzy.

– Oszaaleliście?

– Aaaach. – Nick Cruickshank próbuje przybrać poważny wyraz twarzy, ale znów chce mu się śmiać; prychna przez nos, pochyła się nieco do przodu jak wcześniej.

Milena Migliari od razu zaraża się śmiechem, choć desperacko stara się powstrzymać; przygryza wargi, przez kilka sekund próbuje nad sobą zapanować.

Aileen wyklucza ją ze swojego pola widzenia, znów patrzy tylko na swojego przyszłego męża.

– A gdzie nasza para świrusów próbowała lodów? Szukaliśmy cię wszędzie, w domu i na zewnątrz.

Nick Cruickshank wykonuje gest w stronę lasu za swoimi plecami, być może dlatego, że wie, jak mało wiarygodna byłaby wersja, iż byli gdzieś indziej.

– W tym przeklętym domku w lesie? – Aileen robi niedowierzającą minę rodem z amerykańskich komedii, przesuwałając spojrzenie i usta nieco w bok.

– Tutaj przecież rozgrywa się istna inwazja. – Nick Cruickshank wskazuje na ludzi na oświetlonym trawniku za nią, zajętych wszelkiego rodzaju przygotowaniami.

Aileen ogląda się za siebie, jakby chciała sprawdzić, czy rzeczywiście nie da się powiedzieć słowa albo zrobić gestu, unikając uwagi kilkadziesiątu osób. Próbuje wykonać jeden ze swoich nie-uśmiechów, ale jest tak oburzona i nieufna, że zaraz znika po nim wszelki ślad.

– Trwają przygotowania do naszej uroczystości ślubnej, Nick!

– Wiem – uśmiecha się Nick Cruickshank, przy czym nie jest ani zuchwały, ani nonszalancki; mimo wszystko wydaje się mieć świadomość, że w tej sprawie istnieją różne punkty widzenia.

Aileen znów spogląda na Milenę Migliari, podchodzi do niej na odległość kilku centymetrów.

– Mogłabym z tobą minutę porozmawiać? W domu? – Wykonuje ledwie zauważalny nerwowy gest; nerwowe są jej oczy, ręce i nogi.

Milena Migliari czuje ogromny dyskomfort, ale nie wie, jak miałaby odmówić; idzie za nią w stronę jednych z drzwi tarasowych.

– Hej, zaczekajcie chwilę! – Nick Cruickshank chwyta za ramię swoją przyszlą żonę. – Jeśli chcesz coś powiedzieć, powiedz to także i mnie.

Aileen odwraca się, niemal zupełnie tracąc nad sobą kontrolę:

– Chciałabym z nią minutę sama porozmawiać, w porządku?

– Nie, wcale nie w porządku. – Nick Cruickshank potrząsa głową.

– To samo tyczy się was. – Aileen macha ręką w stronę swoich dwóch przyjaciółek lub asystentek, które od razu chwytają, o co chodzi, i zostają tam, gdzie były, choć robią to mimo woli. Gestem zaprasza Milenę Migliari, niemal popycha ją w kierunku drzwi tarasowych.

Nick Cruickshank chce za nimi iść, ale jakiś mężczyzna hinduskiego

pochodzenia ubrany w elegancką granatową kurtkę chwyta go za rękę.

– Nick! Tyle cię szukałem! Musimy koniecznie porozmawiać o jutrze!

– Porozmawiamy później, Nishanath. Okay? – Nick Cruickshank próbuje uwolnić się z uścisku, ale Hindus nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić mu się oddalić, przytrzymuje go za oba nadgarstki, zachowując się tak, jakby chciał mu przekazać wiadomość najwyższej wagi.

Milena Migliari wchodzi do środka, o krok za nią jest Aileen; przechodzą do wielkiego salonu o wysokim suficie wyłożonym białymi deskami, pełnego kanap, foteli, dywanów, zasłon, obrazów, rzeźb i lamp; to stokrotnie większa i bardziej przytłaczająca przestrzeń niż domek w lesie, w którym była razem z nim jeszcze kilka minut temu. Torba termiczna, którą trzyma w ręku, wydaje się uwypuklać jej bezbronność w tej sytuacji; odstawia ją na podłogę.

Aileen rzuca okiem na kanapę, jakby chciała zachęcić Włoszkę do tego, by usiadła, ale na szczęście tego nie robi; przygląda się jej od stóp do głów, lekko się chwiejąc.

– Milena, zgadza się?

– Tak. – Milenie Migliari w tej sytuacji kłopotliwe wydaje się nawet jej własne imię. Również przygląda się Aileen: prostej linii jej nosa, niebieskim oczom lekko zapadniętym, względem wypukłości czoła, niemal bezbarwnym wargom, smukłej szyi, jej chudym rękóm i długim nogóm. Jej figura odznacza się elegancją i nerwowością, jakby w środku miała nakręcaną sprężynę.

Aileen odwraca się do przeszklonych drzwi tarasowych, przez które widać poruszenie na trawniku pośród świateł; po czym znów zaczyna się w nią wpatrywać i mówi:

– Cokolwiek zrobiliście z Nickiem w tym domku w lesie...

– Jak to cokolwiek? – Milena Migliari nie próbuje niczemu przeczyć; chciałaby wiedzieć, co dokładnie zrobili w tym domku w lesie, czy można jakoś konkretnie określić to, co się stało.

Aileen przenosi ciężar ciała na jedną nogę, pochyla głowę.

– Słuchaj, wiem, za jakiego człowieka wychodzę za mąż.

– A jaki to człowiek? – Milena Migliari sądzi, że ciekawie byłoby usłyszeć to od niej, być może pomogłoby jej to w bezowocnych próbach odgadnięcia, kim on jest. Zastanawia się, czy uczucia i nastrój, jakie nadal jej towarzyszą, są widoczne z zewnątrz; czy można zauważyć coś w jej oczach, w rysach twarzy, w sposobie oddychania.

Aileen nie sili się już nawet na jeden ze swoich nie-uśmiechów, patrzy jej prosto w oczy.

– Wystarczy, jeśli i ty się dowiesz. Żebyś nie roiała sobie nie wiadomo jakich pomysłów.

Milena Migliari lekko kręci głową.

– Jakich pomysłów? – To znów prawdziwe pytanie: co myśli o nim? O sobie samej? O nich? O ich wstrząsającym, niewytłumaczalnym spotkaniu?

– Myślę, że doskonale rozumiesz, co mam na myśli. – Aileen pod maską osoby supercywilizowanej skrywa dzikość, choć podszytą kruchością.

– Wcale nie. Zupełnie nie rozumiem. – Milena Migliari zdaje sobie sprawę, że może wydawać się tępą lub cwana, ale naprawdę nie rozumie: nie pojmuje, co się stało, nie pojmuje, co robi w tym salonie ani co takiego wciąż daje o sobie znać w jej głowie i sercu.

– Dobrze, więc ci wyjaśnię! – Aileen podnosi głos, wzbijając się na nieoczekiwanie wysoki ton. – Jeśli myślisz, że dorobiłaś się jakiejś pozycji u Nicka, bo pieprzyłaś się z nim w domku w lesie, to grubo się mylisz!

– Jakiejś pozycji? – Przy ogólnym nieporozumieniu Milenie Migliari wydaje się, że nawet pojedyncze słowa stają się niezrozumiałe, zupełnie oderwane od tego, co czuje.

– Przepraszam was bardzo, ale kto niby pieprzył się z kim? – Z korytarza dobiega kobiecy głos.

Aileen odwraca się gwałtownie, podobnie jak Milena Migliari: o kilka metrów od nich, w fartuchu i białych spodniach, których używa w trakcie wykonywania masaży, z ręką na biodrze, z podwiniętymi rękawami i twarzą wykrzywioną napięciem ukazuje się im Viviane.

Milenie Migliari jej widok wydaje się na tyle absurdalny, że dochodzi do wniosku, iż to tylko halucynacja wywołana skrajnym pomieszaniem zmysłów; mimo to jej serce niemal staje, a krew zastyga w żyłach.

– A pani kim jest? – Aileen przybiera pogardliwy ton, niczym pani domu, która zastała w domu włóczęgę.

– Kim ty jesteś? – Viviane z całą pewnością nie daje się nikomu zbić z pantałyku.

– Jestem Aileen McCullough, a to jest mój dom – odpowiada Aileen jeszcze bardziej cierpkim tonem. – Jak się pani tu dostała?

– To wy mnie pilnie wezwaliście z powodu tego wieprza, który zleciał z konia! – Viviane całkiem traci cierpliwość; potrąca fotel w kształcie basenowej zjeżdżalni.

– Viviane, uspokój się. – Milena Migliari mówi tak tylko dlatego, że robi jej się przykro na widok jej zdenerwowania, naturalnie nie z dbałości o konwenanse.

– Ani mi się śni! – Viviane jest coraz bardziej rozwścieczona. – A ty co tu robisz do diabła? Wyjaśnisz mi?! Co ona tutaj wygaduje?

Milena jest tak oszołomiona, że zupełnie nie wie, co odpowiedzieć, jedyną reakcją, na jaką się zdobywa, jest wzruszenie ramionami.

Viviane zwraca się do Aileen agresywnym tonem:

– Co? O czym mówiłaś? Powiesz mi?! Kto się z kim pieprzył w lesie?

Aileen w obliczu takiej presji próbuje odnaleźć spokój, pozbierać się po całkowitym upadku dobrego smaku sprzed kilku chwil.

– Cokolwiek mówiłam, to dotyczyło mnie i tej kobiety, nie wiem, co pani do tego!

– Mam coś do tego, bo to jest moja kobieta, jasne?! – Rozwścieczona Viviane wymachuje przed nią palcem, z gniewu i poruszenia w kąciku ust zbiera się jej trochę piany.

– Co ona, do diabła, wygaduje? – Zdumiona Aileen odwraca się do Mileny Migliari, jakby żądała wyjaśnień.

– Nie jestem niczyją kobietą. – Milenie Migliari zupełnie nie odpowiada ton Viviane, a jeszcze mniej jej zaborcze zachowanie.

– Ach tak? – Viviane natychmiast odczytuje jej słowa jako sposób wytwarzania dystansu i jeszcze bardziej się rozjusza. – Dobrze wiedzieć, doprawdy!

– Ja to ja, jasne? – Milena Migliari stara się mówić z przekonaniem, ale zdaje sobie sprawę, że już nawet do końca nie wie, kim tak naprawdę jest; zdaje sobie sprawę, ile niepewności pobrzmiwa w jej głosie.

Aileen znów spogląda z niedowierzaniem tym swoim ograny wrokiem, ponownie przechylając głowę w bok. Wygląda, jakby miała coś powiedzieć, ale znów się odwraca, bo do salonu wchodzi jakiś krępy typek z długimi popielatymi włosami, jego klatka piersiowa jest przyprószona siwizną, ma brzuch piwosza: jest nagi, jeśli nie liczyć małego białego ręcznika owiniętego wokół talii.

– Hej, ty! – wrzeszczy typek w stronę Viviane gardłowym głosem z mocą robiącą wrażenie. – Kto niby jest tym wieprzem, który zleciał z konia?!

– Ty jesteś wieprzem, ty tłusty mięczaku! – wypala Viviane, którą całkowicie opanował już bojowy nastrój.

– Ty pieprzona lesbo! – krzyczy jeszcze głośniejszym głosem; jego tętnice szyjne pęcznieją, czerwienieje na twarzy. – Rozwaliałś mi bark tymi swoimi łapskami, zamiast mi pomóc!

– Nie powinieneś dotykać mojego tyłka, oblechu! – Viviane idzie wprost na niego, daje mu mocnego kuksańca w klatkę piersiową. On się zatacza, dyszy, chyba chce jej wymierzyć cios pięścią, ale nie trafia, traci równowagę, potyka się o dywan, chwytą się jej i pociągają ją na ziemię; przewracają się jedno na drugie w płataninie rąk i nóg.

– Auaaaa! Ty suko! – Jasnowłosey typ wrzeszczy z bólu, co nie przeszkadza mu jednak okładać Viviane lewą pięścią po plecach.

– Zabieraj te łapy, kretynie! – Viviane próbuje zablokować jego ruchy, być może ze strachu, że jej pacjent jeszcze bardziej uszkodzi sobie bark.

Milena Migliari zmierza w stronę tego kłębowiska, ale nie wie, od czego zacząć, by ich rozdzielić, również dlatego, że kotłują się niczym w meczu rugby.

– Natychmiast przestańcie! – piszczy Aileen, a głośność jej tonu może śmiało konkurować z siłą głosu blondyna. – Nie pozwalam wam się tak zachowywać w moim domu!

– Z ciebie też jest suka! – wygraża jej z podłogi blondyn. – Pieprzona manipulantka!

– Jesteś skończoną świnią, Wally! – Aileen próbuje jeszcze bardziej podnieść ton, ale z tego, jak jej głos traci na sile, wynika jasno, że nie jest przyzwyczajona do takich rejestrów.

– Naciągaczka! Kłamliwa suka! – Blondyn o imieniu Wally drze się już z nieco mniejszą siłą, jak barbarzyński wojownik w obliczu przegranej.

– Jesteś chodzącą tragedią! – Aileen jest czerwona na twarzy prawie tak samo jak on. – Nick powinien był wylać cię z zespołu przynajmniej dwadzieścia lat temu!

– Zespół jest tak samo mój, jak i jego, ty suko! Jestem jednym z członków założycieli, jasne?! – Wally podnosi się, chcąc usiąść, choć Viviane próbuje go przytrzymać. – A ty puść mnie wreszcie, pieprzona lesbijo!

– Ty obrzydliwy chuju, nie ruszaj się! – Viviane chwyta go za zdrowy bark i wykręca, chcąc zablokować jego ruchy.

– Aaaach! – Wally drze się, wydając nieartykułowane dźwięki, na szczęście nie przynosi to żadnego skutku.

– Co to za cyrk? – pyta Nick Cruickshank, wchodząc do salonu w towarzystwie eleganckiego Hindusa, który ciągle go nagabuje, oraz dwóch przyjaciółek czy może asystentek Aileen. Z ciekawością właściwą antropologowi przesuwając wzrok ze swojej przyszej żony na Milenę Migliari, na Viviane i na leżącego na podłodze Wally'ego.

Milena Migliari na jego widok odczuwa ponownie przyływ absurdalnej ulgi, jeszcze mniej uzasadnionej niż przedtem; znów chce jej się śmiać.

Nick Cruickshank, używając pewnej dozy siły, uwalnia się znów od Nishanatha Kapoora, który nadal chce z nim rozmawiać, naglony mistycznym charakterem roli mistrza jutrzejszej ceremonii.

– Powiedziałem już, że porozmawiamy o tym jutro, w porządku?!

Sytuacja w salonie przedstawia się dość szokująco: półnagi Wally leży na ziemi, przytrzymywany przez masażystkę, Aileen osacza Milenę, Tricia i Fiona, wszechwiedząca konsultantka, oferując swojej szefowej pomoc praktyczną i moralne wsparcie.

– Auaaa, ty kurwiszonie, zostaw mnie! – Wally na zmianę narzeka i ciska obelgami, próbując przy tym wymierzać kopniaki.

Masażystka przytrzymuje go bez większego trudu: jednym chwytem unieruchamia mu lewą rękę, równocześnie przyciskając dwa palce do jego prawego barku, przy czym nie jest jasne, czy zabieg ten ma na celu kontynuację terapii, czy też zadanie pacjentowi bólu.

– Auaa! Ty zdziro! – Wally się szamocze, znów to lamentuje, to usiłuje zniecka zadać jej cios.

– Przystaniesz, kutafonie?! Nie ruszaj się! – Masażystka z wprawą zapaśnika zaciska chwyt na ścięgnach lewej ręki.

– Auaaaaa! To boli, kurwaaaaa! – Wally znów zaczyna zgrywać ofiarę, wyje i kopie jak wielki tchórzliwy, rozmazany dzieciuch.

– Nick, powiedz im, że mają natychmiast przestać! – Aileen staje z nim niemal czoło w czoło, dosłownie trzęsie się ze złości i oburzenia. – To zupełnie nie do przyjęcia, nie widzisz?!

Nick Cruickshank już zamierza jej coś odpowiedzieć, ale znów zaczyna się śmiać. Być może jest to uwarunkowane ogólnym regresem, jaki zastał w tym salonie, ale rzeczywistość jest taka, że odkąd przestąpił próg domku w lesie, wydaje mu się, że pokonał wstecz całą drogę, którą przemierzył w swoim życiu w kierunku tak zwanej dorosłości.

– Przystańcie! I to natychmiast! – wrzeszczy Aileen, wzbijając się na pułap dźwiękowy, jakiego dotąd u niej nie słyszał, i bijąc obcasami jak rozszalała tancerka flamenco.

Milena wygląda na jedyną refleksyjną osobę w tym salonie: patrzy na Aileen i Wally'ego z tym swoim dystansem typowym dla mieszkanki innego wymiaru, wzbudzając w nim nieodpartą sympatię.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – Do salonu wpada zdyszana Kimberly; zaraz za

nią nadciągają Sadie i Rodney.

– Ta pipa powaliła mnie na ziemię! – Wally naprawdę wydaje się teraz dzieckiem, choć brzydkim i brodatym, gdy leży tak półnagi i nieruchomy na podłodze.

– Nazwał mnie pieprzoną lesbą! – Masażystka nadal go przytrzymuje, jakiegokolwiek miałyby ku temu powody.

– A jesteś lesbą czy nie? – Kimberly przygląda się jej, wykrzywiając twarz w grymasie podejrzliwości.

– To moja sprawa! – odpowiada masażystka z równie zaciętą miną. – A ten wieprz próbował się do mnie przystawiać!

– To nieprawda, Maleństwo! Auaaaa! – Wally drze się, jakby był w katowskich rękach.

Kimberly od razu na niego naciera:

– Co to, do cholery, ma znaczyć, że się przystawiałeś?! Gadaj!

Rzeczywiście, Kimberly zna go na wskroś.

– A ta druga suka karierowiczka nazwała mnie chodzącą tragedią! – Wally w próbie dywersji drżącym palcem wskazuje na Aileen; teraz brakuje tylko, żeby zaczął wyć.

– To ty wygadywałeś do mnie rzeczy absolutnie obrzydliwe! – Aileen operuje całkowicie poza swoim zwykłym rejestrem, co wyraźnie niepokoi Tricię i Fionę. – I ciągle to robisz! Nie zachowując minimum przyzwoitości jako gość!

Kimberly patrzy na Aileen, potem na swojego męża leżącego na ziemi, jakby nie mogła się zdecydować, w kogo uderzyć; wybiera Wally'ego, prawdopodobnie z powodu wielu przypadków niewierności małżeńskiej i jego odstręczających upodobań seksualnych.

– Może mi powiesz, dlaczego do cholery jesteś goły?

– Robiła mi masaż! – wrzeszczy Wally, cały czerwony na twarzy. – Przysięgam! Tylko na nią popatrz, Maleństwo!

– To ty na siebie popatrz, ohydna gnido! – krzyczy masażystka z obrzydzeniem, rozluźniając uścisk na barku Wally'ego i stając na równe nogi.

Kimberly rzuca się na męża; przedstawia sobą kwintesencję wulgarności z tymi tlenionymi kłakami, w rozwianej bluzce z bufkami, w białych króciutkich spodenkach, w czarnych cieniowanych pończochach i w tych swoich kozakach za kolana.

– Jeśli chciałeś pieprzonego masażu, trzeba było mówić, tobym ci ten pieprzony masaż zrobiła!

– Przecież spadłem z jebanego kucyka, mówiłem ci już przez telefon! – Wally chwytą się jej, żeby wstać, jego ruchy są chwiejne: ręcznik z niego spada, on podciąga go do góry, lecz jest zbyt wzburzony, a ręcznik zbyt mały, więc świeci na zmianę to członkiem, to pośladkami.

Kimberly odwraca się do Nicka Cruickshanka, teraz jej twarz jest wykrzywiona z racji opiekuńczego instynktu wobec niegodziwego małżonka.

– Mówiłeś nam, że te pieprzone bydlaki są spokojne! Mnie też namówiłeś, żebym pojechała, do kurwy nędzy!

– Tak, to był fatalny błąd w ocenie. – Nickowi Cruickshankowi znów chce się śmiać; nic nie może na to poradzić.

– Z czego ty się śmiejesz, dupku?! – wrzeszczy do niego jak opętany Wally.
– Prawie rozwalilem sobie bark!

– No właśnie, to ty prawie go sobie rozwaliłeś. – Nick Cruickshank wypowiada te słowa w tonie zwykłej konstatacji; fakt jest taki, że większość jego uczuć i myśli nie mogłaby być bardziej odległa od Wally’ego i jego upadku z konia.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?! – huczy Wally, patrząc na Kimberly w poszukiwaniu wsparcia. – To on jest pieprzonym panem domu czy nie?! To on ponosi odpowiedzialność czy nie? – Odwraca się do Rodneya i Sadie, jakby i u nich szukał solidarności.

– Oczywiście, że to on ponosi odpowiedzialność! – Kimberly wrzaskiem wtóruje mężowi, choć nadal ze skrajną podejrzliwością patrzy na masażystkę i rzuca nienawistne spojrzenia Aileen. – Przyjechaliśmy tu specjalnie na wasz pieprzony ślub, a wy jak nas traktujecie? Ty i ta suka!

– Zaprosiliśmy was z czystego obowiązku, moja czcigodna lampucero! – odpowiada Aileen z równą zjadliwością, choć nieco ciszej. – O wiele chętniej obeszlibyśmy się bez was i bez waszego prostactwa!

– Sama jesteś lampucera! – wrzeszczy Kimberly, gestykułując jak na targu rybnym i chwiejąc się na wysokich obcasach. – Uważasz się za nie wiadomo kogo, bo jesteś córką pieprzonego ambasadora, ale gdybyś nie złapała na haczyk tego dupka, to chuja byś zdziałała w tym całym biznesie ze sztuczną skórą!

– Bycie córką zapijaczzonego złodzieja nie daje ci powodów do wyższości, wiesz?! – Aileen podnosi głos, niemal zrównując się tonem z Kimberly, choć nie do końca.

– Mój ojciec nie jest złodziejem, ty suko! – Kimberly wrzeszczy jeszcze głośniejszym głosem, żeby ją przekrzyczeć. – Jeśli skończył w więzieniu, to nie ze swojej winy!

– Ależ oczywiście! – Aileen próbuje się uśmiechnąć, ale w tej sytuacji jedynie wykrzywia usta w grymasie. – Padł ofiarą spisku politycznego, jak mniemam!

– Sukaaaa! Sukaaa! Sukaaa! – Kimberly wytwarza swoisty dźwiękowy *loop* o niezaprzeczalnym potencjale brzmieniowym; nie na darmo, kiedy poznała Wally’ego, pracowała jako chórzystka.

– Dla twojej wiadomości – moja firma świetnie prosperowała, zanim poznałam Nicka! – Aileen próbuje przywrócić jakąkolwiek odrębność w stylu

zachowania i wypowiedzi, choć doskonale wie, jakie to trudne. – Za to ty, gdy złapałaś tego prostaka, byłaś tylko marną *groupie*! I masz czelność nazywać mnie karierowiczką?!

– Bo nią jesteś! Jesteś! Jesteś! – Kimberly znów wykonuje *loop*, bo tak świetnie jej to wychodzi. – A poza tym rozdawałaś te swoje koszmarnie kreacyjki wszystkim, co się rusza, a mnie nie dałaś choćby jednej zasranej torebki!

– Bo nie chciałam być pod żadnym pozorem kojarzona z taką żenującą krową jak ty! – Aileen ze złości jest biała na twarzy, znów dygocze.

Do salonu wchodzi przywołany krzykami Aldino w bojowym nastroju; jego twarz przybiera wyraz konsternacji, gdy tylko orientuje się, że to konflikt wewnętrzny.

– Ty sukooo! Wiesz, co mi po twoich zasranych torebkach? – Głos Kimberly dosłownie wprowadza w drżenie szyby tarasowych drzwi. – Przede wszystkim, gdy chcę mieć coś ze skóry, to kupuję sobie skórę, a nie ten gówniany plastik!

– Antyskóra jest wykonana w pełni ze składników pochodzenia roślinnego! – Aileen znów jest w stanie konkurować z nią liczbą decybeli, ale wobec braku ćwiczeń i nieustawienia głosu grozi jej to poważnym uszczerbkiem krtani. – Ale to jasne, że ktoś taki jak ty nie jest w stanie tego zrozumieć!

– Ona rozumie to o wiele lepiej niż ty, suko! – Wally interweniuje teraz w obronie żony, choć nie może gestykulować, jak by tego chciał, z powodu bólu w barku i ze strachu, że znów mógłby mu spaść ręcznik.

– Jesteś niedorozwojem! Ty prymitywie! – Aileen jest tak wstrząśnięta, że nie zauważa fotografa i kamerzysty „Star Life”, którzy weszli do pokoju ze swoim profesjonalnym sprzętem, w towarzystwie dyrygujących nimi redaktorki naczelnej i dziennikarki.

Nick Cruickshank zastanawia się, czy powinien ją uprzedzić lub czy może sam powinien interweniować, ale odwraca się w drugą stronę, bo masażystka próbuje schwycić Milenę za rękę.

– Można wiedzieć, co robiłaś z nim w lesie? – Nie wiadomo, ile zdołała się domyślić, ale usiłuje ją teraz zepchnąć w róg salonu.

Milena robi krok wstecz i się jej wymyka: jest zwinna, gibka, nawet w tej całej awanturze w cudowny sposób potrafi zachować swój naturalny, czarujący wdzięk.

Nick Cruickshank ma olbrzymią chęć złapać ją za rękę, wyciągnąć stąd, wsiąść do pierwszego lepszego samochodu i odjechać daleko; ale jedyne, co mu się udaje, to przechwycić jej spojrzenie.

– Przepraszam, żadnych zdjęć ani filmowania! – Aileen w końcu zauważa, że fotograf i kamerzysta „Star Life” wszystko rejestrują, próbuje ich zatrzymać zdecydowanymi ruchami, którym jednak nieco brak precyzji.

Fotograf i kamerzysta niewzruszenie robią swoje, jakby wcale jej nie

słyszeli.

Aileen nierównym krokiem idzie w stronę dziennikarki i redaktor naczelnej.

– Powiedźcie im, że mają natychmiast przestać!

– Bardzo przepraszam, ale oni tylko wykonują swoją pracę! – Redaktorka naczelna, która dotychczas uosabiała kwintesencję fałszywej grzeczności, teraz reaguje w sposób zdecydowanie obcesowy.

– To nie jest ich praca! – Także Aileen właściwie zupełnie porzuca swoją zwykłą elegancję. – To prywatna sprawa.

– Bardzo przepraszam, ale jeśli pozwolisz, to ja o tym zdecyduję! – Redaktorka naczelna robi się coraz bardziej agresywna.

– O nie, moja kochana! To ja decyduję, bo to jest mój dom, do cholery! – Aileen wygląda, jakby miała stracić nad sobą wszelką kontrolę; to coś, czego nigdy nie spodziewałby się Nick Cruickshank.

Aldino rusza w kierunku fotografa i kamerzysty z wyraźnym zamiarem, by ich unieruchomić, ale na to wtrąca się dziennikarka:

– Jeśli on ich dotknie, to rozwiążemy umowę i pozwiemy was do sądu!

– W umowie jest zapis, że nie można fotografować ani filmować sytuacji o charakterze prywatnym! – Aileen spędziła całe tygodnie nad ustaleniem warunków porozumienia, wydawała się taka pewna, że nie zostawiła choćby minimum przestrzeni dla dwuznaczności.

– Sytuacje prywatne rozgrywają się w sypialni i w łazience! – Wobec wyzwania redaktorka naczelna przeobraża się w prawdziwą hienę. – Warunki są jasne, potwierdził je także wasz prawnik! Wszystko podpisaliście!

– Nie chodzi o pomieszczenie, ale o to, co się w nim dzieje! – Aileen nie przyjmuje do wiadomości, że w jakiejś kluczowej kwestii umowa mogła zawierać kruczek prawny. – Zaraz zadzwonię do naszego prawnika, i nie ulega najmniejszym wątpliwościom, że to jest prywatna sytuacja!

– To jest cholernie publiczna sytuacja! – Redaktorka naczelna „Star Life” zachowuje się teraz jak autentyczny kanibal. – Krzyki słychać było wszędzie, na Boga!

– A zatem to głośność rozmowy decyduje o jej charakterze publicznym lub prywatnym, nie zaś jej treść?! Czy zdajesz sobie sprawę ze swojego całkowitego analfabetyzmu prawnego?! – Aileen wrzeszczy równie dzikim głosem, ale jest wstrząśnięta; odwraca się do Nicka Cruickshanka, jakby chciała go prosić o interwencję.

Nick Cruickshank wzrusza ramionami; od kiedy wpadła na pomysł ze „Star Life”, próbował jej tłumaczyć na wszystkie sposoby, że nie mają żadnego powodu, by jakiś magazyn opłacał ich uroczystość ślubną, a tym bardziej nie pismo dla godnych pogardy podglądaczy. Ustąpił z czystego wycieńczenia po tym, jak ustawicznie powtarzała mu, że kontrolowany reportaż będzie o wiele lepszy od

nieuchronnej ofensywy paparazzich, a ponadto przyczyni się do rozgłosu antyskóry i odświeży wizerunek Bebonkersów. Innymi słowy, świadomie sprzedali swoje prywatne życie i teraz nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

– Przepraszam, Nick, czy możesz mi wyjaśnić, kiedy, do cholery, znajdziemy czas na próby do niedzielnego koncertu? – Rodney nie mógł wybrać gorszego momentu, żeby przedstawić swoje roszczenia, w dodatku takim impertynenckim tonem.

Nick Cruickshank rozkłada ręce; niedziela wydaje mu się nieskończenie odległa.

– Nie wiem, zapytaj Baza.

– Ale pytam ciebie! – Rodney od razu się wścieka, ujawniając złe nastawienie, które zresztą cechuje go od zawsze. – Bo po jutrzejszej imprezie połowa zespołu z pewnością nie będzie w najlepszej kondycji, a co dopiero bez przyzwoitej próby!

Nick Cruickshank przygląda mu się i nie może zrozumieć, jakim cudem mógł napisać kilkadziesiąt piosenek (na pierwsze trzy płyty, potem każdy pisał już swoje, choć nadal podpisywali je wspólnie) i przez dziesiątki lat grać tysiące koncertów z kimś, kogo teraz tak nie cierpi.

– Czy nie wspólnie zdecydowaliśmy o tym całym niedzielnym koncercie?

– Tak, ale jeszcze tydzień temu nikomu się nie śniło, by mnie powiadomić, że dzień wcześniej jest twoje wesele!

Również Rodney ma tysiące powodów do narzekań, począwszy od tego, że fani uważają go za fenomenalnego gitarzystę, który jednak nie do końca jest duszą zespołu. Nikomu nigdy się nie śniło, żeby mówić o *Ainsworth cool* chociażby. To, rzecz jasna, jego wina, kwestia jego pedanterii, maniakalnej dbałości o technikę, jego zapędzania się w wirtuozerską spiralę wygrywanych solówek, ale spróbujcie mu to wytłumaczyć.

– Nie mówiliśmy ci o tym wcześniej, żeby zachować minimum prywatności, okay? – odpowiada Aileen zachrypniętym głosem. Jak zawsze potrafi dzielić swoją uwagę, mimo że jest taka rozżalona.

– Ale mi prywatność z udziałem „Star Life”! – komentuje Sadie, wskazując na kamerzystę i fotografa, którzy nadal rejestrują wymianę zdań, mając pod bokiem dziennikarkę i redaktorkę naczelną.

– I kto to mówi? Ktoś, kto za nic w świecie nie wystawiłby na widok publiczny swojego życia i swoich bliskich! – Aileen nie może znieść kolejnego ataku.

– Co to ma znaczyć? – Sadie w odróżnieniu od Aileen ma do dyspozycji wystarczająco dużo środków wokalnych i z pewnością nie omieszka ich użyć. – O nie, teraz mi to wyjaśnisz! Co masz na myśli?!

– Także Todd mówi, że nie możemy zagrać, jeśli nie ma czasu na próby! –

Rodney niewzruszenie ciągnie dalej w swoim maniakalnym stylu, wskazując brodą na środek salonu.

Stoi tam Todd, który zjawił się nie wiadomo kiedy; patrzy na gołego i nieco skulonego Wally'ego, który kurczowo ściska przykrótki ręcznik.

– Jak ty wyglądasz?

– Bosko, nie widzisz, ty kutasie?! – Wally wymyśla mu, choć Todd jest jedynym z bebonkersów, z którym łączą go niemal przyjacielskie stosunki (naprawdę trudno o konflikt z Toddem).

Todd zgodnie ze swoim zrównoważonym charakterem nie odpowiada, tylko odwraca się do Rodneya z pytaniem:

– A w niedzielę kto zagra na basie?

Rodney natychmiast zwraca się w stronę Nicka Cruickshanka, jakby żądał od niego odpowiedzi.

– Powiesz mi, co miałaś na myśli?! Co? No mów! – Sadie tymczasem ciągle nie odpuszcza Aileen.

– Nie mam obowiązku ci nic mówić! – Aileen w resztkach głosu uruchamia całą swoją złość. – Wystarczy spojrzeć na jakikolwiek plotkarski portal, żeby znaleźć tony twoich zdjęć z cyckami i dupą na wierzchu, jak siedzisz na brzegu jakiegoś basenu, z dziećmi i mężem krok za tobą!

– Ja przynajmniej mam się czym pochwalić! – Sadie odpowiada jej dzikim tonem, ale nie zniekształcając przy tym dźwięków. – Ty o wiele mniej, bo jesteś prawie anorektyczką!

– Jesteś żenująca! Żenująca! Żenująca! – Także Aileen podchwytuje *loop*, nie zdając sobie sprawy, że nie ma najmniejszych szans, by konkurować w tej dziedzinie z byłą profesjonalistką.

Nick Cruickshank jest oszołomiony faktem, jak mało obchodzą go ci rozwrzeszczani ludzie obecni w salonie jego niby-domu. Jedyną osobą, na której mu zależy, jest Milena: za każdym razem, gdy na nią patrzy, wydaje mu się spowita nimbem myśli, gestów i słów w zawieszeniu, które czekają na kontynuację. Lecz za każdym razem, gdy stara się do niej podejść, ona odsuwa się, by uniknąć masażystki, lub ktoś inny staje mu na drodze. Gdyby był bardziej przytomny, z pewnością udałoby mu się do niej dołączyć; ale wcale nie jest przytomny.

– Jak to, kto będzie grał na basie?! – Wally na myśl o tym, że mógłby zostać wykluczony, zaczyna wrzeszczeć jeszcze bardziej.

– A ty mi wyjaśnisz, co to był za pomysł? – Aileen porzuca Sadie i przypuszcza nowy atak na Milenę, półgłosem, jakby mogła sprawić, żeby inni jej nie słyszeli, nie wyłączając ekipy „Star Life”.

Milena patrzy na nią; jest jasne, że nie potrafi zrozumieć pytania ani tego, czym jest powodowane.

Aileen odwraca się w stronę Nicka Cruickshanka, ma wstrząśnięty wyraz twarzy, jej włosy są niewiarygodnie potargane.

– Może ty mi to wyjaśnisz, Nick? Co to był za pomysł?

– Nie było żadnego pomysłu. – Nick Cruickshank potrząsa głową i przynajmniej pod tym względem wydaje się sobie całkowicie szczerzy. – To się stało.

– Do gry na basie możemy wziąć każdego! To ostatni z naszych problemów!

– Rodney nigdy nie przepadał za Wallym, ale w ostatnim dziesięcioleciu mógł się w nim rozwinąć prawdziwie morderczy instykt względem basisty.

Todd kiwa głową o nieco przetłuszczonych lokach.

– Możemy poprosić Jacka albo Tima.

– Albo Ronana. – podrzuca odruchowo propozycję Nick Cruickshank.

– Bardzo przepraszam, ale rozmawialiśmy chyba o czymś innym! – Aileen chwyta go za rękę, jej głos jest tak nadwerężony, że aż bolą bębunki. – Mógłbyś sobie na chwilę odpuścić wasze muzyczne bzdury?

– To nie są bzdury, Aileen – wtrąca się Todd na swój zrównoważony sposób.

– Bez basu nie możemy zagrać niedzielного koncertu.

– Bas jest ostatnim z naszych problemów, biorąc pod uwagę, że nie możemy mieć normalnej próby! – Rodney ma trochę racji, bo rzeczywiście czasu zostało mało, a po imprezie będą w jak najgorszej formie; jednak tym samym jego zachowanie nie staje się mniej nieznośne. Z drugiej strony zawsze taki był, już jako początkujący gitarzysta maniak solówek całe dni spędzał zamknięty w pokoju, grając we wszystkich skalach i nadwerężając palce. Dostał krótkiego okresu twórczej chwały w ciągu pierwszych dwóch lat od założenia Bebonkersów, potem wypaliło go jego maniactwo.

Nick Cruickshank nie potrafi choćby trochę zmniejszyć swojego dystansu do sprawy; prawda jest taka, że nawet nie próbuje i nadal śledzi wzrokiem Milenę.

– Hej, na basie gram ja albo to nie będzie już Bebonkers! Jasne?! – wydziera się na cały głos Wally, poruszając zdrową ręką; znów spada mu ręcznik, podnosi go z trudem, odpychając Kimberly, która stara się go okryć.

– To na pewno nie nasza wina, że się tak urządziłeś, bałwanie! – Rodney uruchamia część swojej niechęci, która nagromadziła się w nim przez lata doprowadzonych niemal do ostateczności walk o zasady, nieskończonych godzin w oczekiwaniu, aż ten nierób łaskawie wstanie, ciągłej konkurencji o pierwszy plan.

– Ty sukinsynie! – Wally łapie lewą ręką stojącą na stoliku ceramiczną kaczkę autorstwa Walta Kottkego i ciska nią w Rodneya; naturalnie nie trafia, ręcznik znów mu spada, a kaczka rozbija się o okropny brązowy stożek dłuta Stephana Muchensky'ego, zakupiony przez Aileen w domu aukcyjnym Christie's za sumę, której lepiej nie pamiętać; rzeźba rozpryskuje się na tysiące kawałków.

Wally odwraca się od razu w stronę kamerzysty ze „Star Life”, który nakręcił również to zdarzenie, próbując wyrwać mu kamerę. Kamerzystą się wycofuje, nie przestając nagrywać; fotograf korzysta z okazji, by wykonać serię zdjęć nieporadnej próby ataku. Wally wrzeszczy, bełkocze, kopie i wymachuje zdrową ręką; nie zdaje sobie sprawy, że odgrywa swoisty replay z czasów, gdy we czterech demolowali hotelowe apartamenty dla czezej zabawy, bo nie mieli nic lepszego do roboty, bo w gruncie rzeczy właśnie tego od nich oczekiwano.

Todd kręci głową z tym swoim przeklętym spokojem, który z czasem stał się swego rodzaju rolą do odegrania, podobnie jak zachowania innych.

– Tak czy inaczej, od początku mówiłem, że pomysł, by robić imprezę przed koncertem, mnie nie przekonuje.

– Mnie też nie przekonywał, jeśli chcesz wiedzieć. – Nick Cruickshank patrzy w miejsce, w którym dwie minuty temu znajdowała się Milena, ale jej nie widzi; wzbiera w nim uczucie czystej, nieprzebranej rozpacz.

– Ach tak? – Ton i sposób bycia Aileen, nad którymi tyle pracowała z taką uwagą i przenikliwością, uległy porażającej degrengoladzie. – Mogłeś mi chyba o tym powiedzieć! Ja na pewno cię nie zmuszałam! To szczyt nielojalności!

– Ależ nie. – Nick Cruickshank myśli, że i on ma do dyspozycji środki wokalne, aby odpowiednio głośno krzyżeć, ale jest zbyt przygnębiony, czuje się zbyt obco. – Po prostu presja wywierana przez twoje oczekiwania jest gorsza niż rozkaz.

– W takim razie znajdź sobie kobietę całkowicie pozbawioną oczekiwań i pozbawioną zalet, które pozwalałyby jej na posiadanie oczekiwań, a potem powiadom mnie, czy jest ci dobrze! – Wygląda na to, że Aileen nie obchodzi już, czy kamerzysta i fotograf „Star Life” rejestrują jej poczynania; a nawet wydaje się, że odwraca twarz w stronę ich obiektywów. – Chyba że wolisz uciec znów tym pieprzonym szybowcem!

– To nie jest uciekanie, tylko latanie. – Nick Cruickshank, tak czy inaczej, zastanawia się, czy jest jakaś różnica, bo przecież latanie szybowcem nie należy do czynności lekkich i poetyckich, jak zwykle się o nim mówi lub jakim mogłoby się zdawać przy pobieżnym oglądzie; to sprawa złożona pod względem mechanicznym i zupełnie nienaturalna, jak zresztą można było przekonać się wczoraj. A poza tym nawet wtedy, gdy lot nie kończy się wypadkiem, trzeba wrócić na ziemię; nawet przy najbardziej pomyślnym wietrze nie można na zawsze pozostać w powietrzu.

– Wybaczcie, ale to wasze porachunki, załatwiajcie je sobie we dwoje! – zawodzi Rodney tym swoim oślim rykiem, który połowa fanów Bebonkersów jednak doceniała, być może jedynie dlatego, że słucha go od tylu lat. – Ja chcę natychmiastowej odpowiedzi dotyczącej basu i próby, w przeciwnym razie nie zagram koncertu!

– Oto przykład godnej podziwu lojalności. – Nick Cruickshank nie może się

powstrzymać, by mu się nie uklonić, udając, że zdejmuje kapelusz, choć jest świadomy, że tym samym tylko pogarsza sytuację.

– To ty jak zawsze wmieszałeś swoje prywatne sprawy do spraw zespołu! – ryczy Rodney z osłą zapalczywością; brakuje tylko, żeby zaczął strzyc uszami.

– Tak, to ty doprowadziłeś do tej sytuacji! – od razu dołącza się Sadie z tępa niechęcią.

– Ale sytuacja chyba stworzyła się sama. Jak zresztą każda sytuacja, prawda? – Nick Cruickshank zastanawia się, czy naprawdę tak jest: w tym wypadku i w wypadku innej sytuacji, którą ma na myśli.

– To ty do tego doprowadziłeś, dupku! – Wally ma nawrót nieopanowanej furii; pluje śliną, odwraca się do Rodneya i Todda, jakby chciał ich zaatakować. – A wy też jesteście gnojami, skoro twierdzicie, że bas to ostatni problem!

– Jeśli chodzi o zastąpienie ciebie, chciałem powiedzieć. – Rodney podnosi głos, w sposób zupełnie nietypowy; także wzajemne żale między nim a Wallym mają odległe źródła, choć te nigdy nie wyszły na jaw. – W tym sensie, że każdy byłby lepszy od ciebie, pod względem ludzkim i technicznym!

– Jesteś gnojem, pieprzony Mr Szybkoręki! Twoje solówki są równie podniecające, co jebane japońskie porno, ale tego nie widzisz, bo uważasz się za boga gitary! – ryczy jak bydlę Wally, śliniąc się i wymachując rękami; ręcznik spada mu cały czas. – Jeśli w niedzielę ośmielicie się wyjść na tę zasraną scenę beze mnie, to was pozabijam! I to dosłownie: wezmę spluwę i was pozabijam!

– Co byłoby wskazane na koncercie dobroczynnym dla ofiar ataku terrorystycznego. – Nick Cruickshank znów nie może się powstrzymać.

– W niedzielę jak dla mnie możemy wszystko odwołać! – Rodney nie spuszcza z tonu, wydzierając się jak nigdy przedtem. – Bez porządných prób i bez pewności co do basu ja wracam na Riwierę!

– W niedzielę wyświadczyście mi cholerną przysługę i dochowacie zobowiązań ustalonych przeze mnie ze sponsorami, z telewizją, radiem i burmistrzami czterech gmin! – Także Baz Bennet zjawił się w salonie i od razu zaczyna zachowywać się trochę jak belfer, trochę jak wysokiej rangi diler, dzięki czemu dotąd udawało mu się trzymać ich w ryzach. – Mówię o pieniądzach, które zostały już przelane i nie mają nic wspólnego z wpływami przeznaczonymi na cele charytatywne! A jeśli nic was nie obchodzi pieniądze, to spróbujcie wykazać odrobinę odpowiedzialności wobec waszych fanów! I wobec tych, którzy dla was pracują!

– Tak, i to w dodatku w taki bezinteresowny sposób! – Rodney od razu zaczyna się buntować, uruchamiając złość nagromadzoną w czasie setek godzin podróży do celów, których nazw nawet już nie pamięta, jałowych konferencji prasowych, wycieczających narad z pracownikami wytwórni płytowych, którzy nie mają pojęcia, czym jest rock, przerabiania aranżacji, aby sprostać

oczekiwaniom rynku, dyskusji przy mikserze do białego rana. – Postaraj się nie być upierdliwcem przynajmniej do emerytury, Baz!

– Bardzo chciałbym móc sobie na to pozwolić, Rod! – Baz mówi niewiele głośniej niż zazwyczaj, lecz w jego głosie pobrzmiwa potencjał kilku tysięcy woltów. – Ale obawiam się, że za parę miesięcy musiałbym złożyć kwiaty na grobie Bebonkersów!

– Ha, ha, ha, bardzo zabawne, naprawdę! – Rodney kręci się wkoło, wymachując podniesionymi rękami, jakby podgrzewając do aplauzu nieobecną publiczność.

– Nie sądzę, żebyś miał powody do śmiechu, drogi Rodzie. – Sarkazm Baza tym razem ma bardziej złowrogi odcień niż zazwyczaj. – Gdy będziesz musiał sprzedać swój piękny jacht, aby opłacić dom w Santa Monica, a potem sprzedać i dom, żeby opłacić wydatki związane z rezydencją w Highland, i tak dalej, aż będziesz goły jak palec!

– Pamiętaj, że bez nas i tobie by się tak świetnie nie powiodło, Baz! – atakuje go Rodney z jeszcze większą dawką złości podyktowanej troską o swój majątek.

– Bez nas byłbyś impresariem jakiegoś remizowego zespołiku! – Wally uderza w niego nieporadnie, choć ma u swojego boku Kimberly. – Bez nas żebralbyś teraz z czapką w rękę.

– Każdego cholernego ranka powinieneś dzwonić do mnie z podziękowaniami, mój drogi Wally! – Baz podnosi teraz nieco głos, choć nadal mówi o wiele ciszej od pozostałych.

– Ach tak, a to niby, kurwa, dlaczego?! – Wally próbuje się uwolnić z uścisku Kimberly, lecz ona nie chce go puścić.

– Nie wiem, chociażby dlatego, że udało mi się wyciągnąć cię z pudła? – Tak, w głosie Baza pobrzmiwa śmiertelnie napięcie.

– Co ty, do cholery, wygadujesz?! O czym ty, do cholery, mówisz?! – ryczy, plując się, Wally.

– Odpuśćmy już sobie, dobrze?! – W tonie Baza wyczuwalny jest szantaż, co wchodzi w zakres jego zwykłych metod.

– Ni chuja nie odpuszczę! – Wally wydaje się ogarnięty szałem. – Do czego ty, kurwa, pijesz, mów!

– To chyba nie byłoby wskazane w obecności twojej damy, w porządku?! – Baz przykłada palec do nosa i ust w istic mafijnym geście.

– Chodzi o tę małolotę z Rio? – Choć to niewiarygodne, w zaistniałej sytuacji także Todd porzuca swoją przysłowiową dyskrecję wraz ze swoim przysłowiowym spokojem.

– O jaką małolotę z Rio?! – Kimberly patrzy na Wally’ego, jakby chciała go rozszarpać pazurami i zębami, potem spogląda na Todda. – Jaka znów małolata

z Riooo?!

– Chyba tego nie słuchasz, Maleństwo?! Ten dupek chce mnie po prostu zniszczyć! – Wally nie stara się już nawet przytrzymać ręcznika, zdejmując z szafki baletnicę autorstwa Luciena Lunota i rzuca nią w Todda.

Todd się uchyla, ale baletnica i tak trafia go w szyję, co musi go strasznie boleć, bo wydaje z siebie okropny ryk.

– To unikalna rzeźba Lunota! Jest warta trzysta tysięcy funtów! – Krzyczy niemal tak samo przejmująco Aileen; rzuca się, żeby podnieść figurkę, obraca ją w rękach, żeby ocenić szkody.

– Pozwę cię do sądu! – Todd kuli się, przyciskając rękę do szyi. – Maniak! Psychopata!

– A ja cię zabiję, ty pieprzony judaszu! – Wally jest znów nagi, różowy i owłosiony jak wieprz; próbuje się rzucić w jego stronę.

– Nie, najpierw to ja zabiję cię, ty jebana świni! – Kimberly chwytając go za włosy, drapie po twarzy, wskakuje mu na plecy jak w oszalałym rodeo. Obydwoje wydają z siebie okropne dźwięki, zataczając się, lądują z impetem na fotelu autorstwa Le Corbusiera.

– *Assez!*[29] – Pani Jeanne pojawia się w samym środku kotłowniny, ogarnięta furia, jakiej Nick Cruickshank nigdy u niej nie widział. – *Vous agissez comme des enfants! Comme des barbares! Celle-ci est la maison d'un poète! Ayez un peu de respect! Si vous ne savez pas vous tenir, je vous mets tous à la porte!*[30]

Wszyscy nagle się uciszają, rzeczywiście niczym grupa dzieci lub barbarzyńców, nad którymi zapanował ktoś o większym autorytecie. W nagłej ciszy słychać tylko dyszenie Wally'ego i Kimberly oraz migawkę aparatu fotograficznego, potem cichnie i to.

Nick Cruickshank rusza w stronę pani Jeanne, odczuwając niejaki dyskomfort, bo przecież i on należy do tej zgrai, kładzie jej rękę na ramieniu:

– *Merci, Madame Jeanne.*

Ona spogląda na niego z mieszaniną surowości, opiekuńczości i ironii.

– *Tu devrais mieux choisir tes amis, Nick. Et tes femmes*[31].

– *C'est vrai*[32]. – Nick Cruickshank kiwa głową; wychodzi z salonu, przemyka korytarzem, idzie do drzwi wejściowych i je otwiera. Z tyłu domu powietrze jest zimne i wilgotne, podobnie jak wczoraj wieczorem unosi się mgła; pomarańczowej furgonetki Mileny już nie ma. Zapewne minęło kilkadziesiąt minut, odkąd opuściła ten cyrk wraz ze swoją partnerką i przyszłą współrodzicielką.

29 Dość! (franc.)

30 Zachowujecie się jak dzieci! Jak dzikusy! A to jest dom poety! Miejcie odrobinę szacunku! Jeżeli nie potraficie się zachować, wyrzucę was za drzwi! (franc.)

31 Powinieneś lepiej dobrać sobie przyjaciół, Nick. I żony (franc.)

32 To prawda (franc.)

Sobota

Milena Migliari przewraca się pod kołdrą po długich godzinach płaczów i rozmów z Viviane odbytych w kuchni na parterze, w małym salonie na pierwszym piętrze i w gabinecie u szczytu schodów, a potem w sypialni na niższym piętrze, znów na dole w kuchni i ponownie w sypialni. Teraz jest szósta rano, Viviane zasnęła z wycieńczenia, po zażyciu xanaxu chrapie miarowo z głową pod kołdrą. Ona z kolei bez ustanku przewraca się w łóżku: to na bok, to na plecy, to na drugi bok, na brzuch, znów na bok. Podciąga w górę kolano, wyciąga rękę, nieporadnie zgina rękę, rozkopuje się, wciska twarz w poduszkę; nic nie da się zrobić, i tak nie może zasnąć. Palą ją oczy przez te wszystkie wylane łzy, gardło boli ją od łkania, jej struny głosowe są nadwerężone z powodu licznych prób wyjaśnień, ustalenia tego, co było przedtem i co będzie potem. Jej nerwy są na postronkach z racji jej własnych słów, przez wyrażone w nich zamiary, przez doznania, które miały opisać, przez wywołane nimi reakcje.

Szczytem wszystkiego jest to, że całkowicie zgadza się z Viviane: rozumie jej zdumienie, oburzenie i złość wywołane zdradą, która wykracza poza najgorsze normalne zdrady, bo ich związek nie należy do normalnych, bo musiały o niego walczyć i bronić go krok po kroku, dzień po dniu. Zgadza się z nią do tego stopnia, że nawet przez chwilę nie starała się przeczyć temu, co się stało, ani nie starała się umniejszać wagi lub rozmiarów konsekwencji. Nie potrafiła też tego wytłumaczyć ani usprawiedliwić; nie udało się jej powiedzieć, że był to błąd spowodowany nieuwagą, przyzwoleniem na głupią grę, chwilowym brakiem przytomności umysłu. Nie była też w stanie powiedzieć, że gdyby mogła się cofnąć, toby tego nie zrobiła, że odtąd postara się za wszelką cenę zapomnieć o tym, co się stało. W gruncie rzeczy Viviane nie prosiła jej o nic więcej po tym całym rozgorączkowaniu i rozpacz. Wystarczyłoby jej poświadczenie ich terażniejszości, jakaś deklaracja w kwestii ich wspólnej przyszłości. Pod twardą skorupą nigdy nie była kobietą, która chowa urazę, i przez te wszystkie lata dała jej setki dowodów wielkoduszności i zrozumienia, jak również stałości charakteru i tego, że można na niej polegać pod względem praktycznym; rzecz jasna, zrobiłaby wszystko, żeby zakończyć tę historię i móc patrzeć w przyszłość, gdyby tylko ona mogła dać jej pewność. A teraz w rozpacz wprawia ją właśnie to, że wcale jej się nie udało, że tylko potrafiła wielokrotnie przyznać jej całkowitą rację i powtarzać, że widok jej cierpienia jest dla niej taki przykry.

Viviane odpowiedziała, że nic jej nie obchodzi przyznawanie jej racji, że jej smutek nie jest dla niej pocieszeniem ani nie służy w najmniejszym stopniu ich

związkowi. Oznajmiła też, że ma przynajmniej obowiązek pomóc jej zrozumieć, dlaczego straciła głowę dla kogoś, kogo nawet nie rozpoznała przy pierwszym spotkaniu; dlaczego postanowiła zniweczyć ich wzajemną solidarność, ich walkę o prawo do bycia razem wbrew uprzedzeniom ich rodzin i mieszkańców Seillans, jak również reszty świata.

Lecz ona nie była w stanie pomóc jej zrozumieć właściwie nic; potrafiła jedynie tysiące razy powtarzać: „Nie wiem, nie wiem, nie wiem” pośród łez i łkań, czując się przy tym najbardziej nielojalną i nikczemną osobą pod słońcem.

W obliczu braku wyjaśnień Viviane nawet jej jakieś podsunęła: stres spowodowany myślą o macierzyństwie, zubożenie ich życia seksualnego wywołane zmęczeniem i codziennymi troskami, fascynacja sławą, umiejętnościami zawodowego podrywacza, pragnienie, by po raz ostatni poczuć, jak to jest być w łóżku z mężczyzną.

Nie udało jej się potwierdzić żadnego z tych przypuszczeń wysnuwanych z takim trudem i smutkiem, trwała w bolesnej udręce tego, co niewytłumaczalne, i tego, co niewytłumaczone.

– Przecież ja nie narzucam ci swojej woli – powiedziała Viviane, kiedy były już skrajnie wyczerpane. – Nie ograniczam cię w twoich marzeniach. Nie wyznaczam ci żadnej roli. Nie jestem zasranym mężczyzną.

Milena Migliari powtórzyła jej cztery czy pięć razy, znów płacząc i łkając, że nigdy tak o niej nie pomyślała. Jednak w tej kwestii nie była do końca szczerą, bo wydawało jej się zbyt nielojalne powiedzenie jej o tym właśnie teraz, po tym, jak miała na to całe lata: w rzeczywistości Viviane zaczęła trochę narzucać jej swoją wolę. Trochę ją ograniczała, w jakiś sposób wyznaczyła jej rolę. Być może po to, by ją chronić, być może po to, by jej pomóc, być może po to, by dodać sobie odwagi, być może z potrzeby kontroli, która bierze się z niepewności. Ona jednak jej na to pozwoliła; nie protestowała, nie broniła choćby minimum swojej przestrzeni. Z lenistwa, z tchórzostwa, bo nie miała ochoty zmierzyć się z tą kwestią, bo miała nadzieję, że sprawy same się polepszą. Jaka stanie się Viviane po tej zdradzie, jeśli zdołają zostać razem? Będzie miała w sobie więcej lekkości, więcej swobody, będzie bardziej szanowała jej niezależność? Nie; zaufanie już wyparowało, podejrzliwość rozpleciła się w jej myślach i już nic tego nie zmieni. Będą trwały niczym nadszarpnięte pary z cieniem cierpienia skrywającym się za każdym uśmiechem, z cieniem żalu, który gotowy jest wyłonić się na plan pierwszy, jeśli sprowokować go minimalnym bodźcem.

A jak, do cholery, ma się usprawiedliwić sama przed sobą? Będzie sobie wmawiać, że to był skok w bok spowodowany troską o krótko-, średnio- i długodystansowe plany, do jakich zobowiązuje się wobec Viviane? Czy będzie potrafiła postrzegać to jako wypadek, moralny ekwiwalent upadku w łazience skutkującego złamaniem kilku żeber? Czy to możliwe, że nie będzie miała ciągłego

poczucia winy po takim wydarzeniu? Że nie będzie w tym upatrywać sabotażu przeciwko życiowym wyborom? Czy będzie potrafiła traktować to jako sekretne zdarzenie, do którego czasem, być może, będzie wracać z mieszaniną zdumienia i tęsknoty? Czy tak właśnie ten, kto zdradza, żyje ze swoją zdradą?

Z drugiej strony, gdyby spojrzeć na to zupełnie hipotetycznie: jaki dalszy ciąg mogłoby mieć to, co wydarzyło się z Nickiem Cruickshankiem? Żenuje ją sama myśl o tym; czuje się śmieszna i żałosna. Owszem, w tym domku w lesie ujawniło się między nimi takie dogłębne i niepohamowane przyciąganie, porwało ją za sobą, nie zostawiając jej ani chwili do namysłu. Nadal odczuwa jego echa: skrajne wzmocnienie sygnałów, przyrost impulsów, porywające uruchomienie przepływów. Nigdy wcześniej nie przydarzyło jej się nic takiego z żadnym mężczyzną, kiedy jeszcze uważała, że mężczyźni jej się podobają, a co dopiero teraz. Nigdy nic podobnego nie zdarzyło się jej nawet z Viviane, nawet w namiętnych początkach ich związku. Nigdy nie przypuszczałyby, że będzie potrafiła porozumieć się z taką łatwością z kimś, kto należy do obozu wroga; że jej niewyznane pragnienia zostaną uprzedzone, że jej niedeklarowane prośby zostaną wysłuchane, że jej nierozpoznane potrzeby zostaną tak zaspokojone. I, rzecz jasna, nie myśli jedynie o fizycznej stronie ich znajomości, choć odznaczała się intensywnością i była zupełnie nieoczekiwana; wymiar umysłowy wstrząsnął nią równie silnie, a być może nawet bardziej. Czy można go nazwać wymiarem duchowym? Owo poczucie wzajemnego rozpoznania się, nieskończenie odległej znajomości, która wyłania się nagle, niwelując wszelki dystans; owo momentalne porozumienie, automatyczna intuicja, śmiech w takim samym duchu. Lecz na ile realne były te stany? Na ile zaś były wytworem zamętu i autosugestii, jak dziesięć razy z rzędu podpowiedziała jej Viviane?

Tak czy inaczej, dla kogoś takiego jak Nick Cruickshank wczorajsze wydarzenie było zapewne jednym z wielu, co najwyżej trochę niecodziennym z racji okoliczności. Być może zapomniał już o nim dziś rano pośród przygotowań do uroczystości ślubnej i dołączy je do wielu innych podobnych zdarzeń, które dostarczyły mu choć trochę zabawy lub wzbudziły jego ciekawość. Albo może będzie o nim pamiętał, odczuwając niesmak związany z całym tym bałaganem, który wydarzył się po tym, jak nakryto ich, gdy wracali z lasu. Lecz trudno wyobrazić sobie choćby przez chwilę, aby mógł zmienić swoje życie dla niej, pomimo tych wszystkich cudownych i nieoczekiwanych słów, które jej powiedział w domku w lesie; pomimo porywającego przepływu energii wszechświata, do którego doszło między nimi. Czy nie jest kimś, kto z racji zawodowych wymyśla rzeczy cudowne i całkiem nieoczekiwane, by je wyśpiewywać nieskończonej liczbie słuchaczek? Czy nie jest profesjonalnym zaklinaczem, jednym z najlepszych, jacy istnieją? Owszem, z pewnością posiada niecodzienne umiejętności, by współgrać z duszą (i ciałem) kobiety, by uchwycić i tłumaczyć jej

wrażenia i uczucia; czy to jednak możliwe, że pozostaje to niezależne od kobiety, z którą ma do czynienia? Lub może konkretna kobieta ma konkretną wartość, ale jedynie wtedy, gdy uprawia z nią miłość lub gdy natchnie go do napisania piosenki; potem zaś idzie szukać innych źródeł. Jakiej stałości można by oczekiwać od kogoś takiego? Na ile można by mu zaufać?

Teraz nachodzi ją wielki gniew względem samej siebie: czy kiedykolwiek była osobą zasiadającą na tronie, oczekującą darów i obietnic darów, i w ten sposób decydującą, czy warto lub nie oddać w zamian swoje ciało, serce i duszę? A jeśli chodzi o zaufanie, to Viviane jest osobą najbardziej godną zaufania, jaką kiedykolwiek spotkała. Nie będąc przy tym jedynie osobą godną zaufania: jest kimś, z kim można porozmawiać o tysiącu spraw, o planach, o marzeniach. No dobrze, w ostatnim czasie mniej intensywnie niż w początkach ich związku, ale skoro wtedy im się udawało, to równie dobrze mogłoby im się udać i teraz. Jeśli potrzebuje właśnie zaufania, to dlaczego miałyby go chcieć, choćby nawet przelotnie, od kogoś, kto wyraźnie nie jest zdolny, by je wzbudzić? Powinna przestać o tym myśleć, zrezygnować z wszelkich prób obrony przed Viviane, przyznać, że to, co się stało, było głupim błędem w ocenie. Jakby uległa rozkojarzeniu w swojej furgonetce, mając przed sobą jednego z tych szaleńców, którzy przemierzają z całą prędkością pełne zakrętów drogi pośród gór i dolin, nie zważając na fakt, że z drugiej strony może nadjechać refleksyjna kobieta, wsłuchana w swoją wewnętrzną muzykę.

Dość tego, nie ma co zostawać w łóżku i się przewracać z boku na bok: Milena Migliari wyślizguje się spod kołdry, zbiera swoje ubrania z krzesła, schodzi do łazienki, żeby się ubrać, po czym idzie do kuchni. Przygotowuje sobie herbatę o smaku hibiskusa i imbiru, dodaje łyżeczkę miodu z kwiatu ostu i wszystko miesza, długo miesza. Stara się uspokoić, ale nie daje rady; serce bije jej nieregularnie i o wiele szybciej, niż powinno, myśli nakładają się na siebie, uczucia ciągle przyplływają i odpływają.

Jest taki angielski pisarz, którego naprawdę nie znosi po tym, jak przeczytała trzy czy cztery jego książki, bo potrafi być zarazem alternatywny i komercyjny, umiarkowanie radykalny, politycznie poprawny i powszechnie wielbiony. W każdej powieści wprowadza postaci z licznymi wadami, ale zarazem pociągające, wymyślając im losy, w których po paśmie dramatycznych wydarzeń prowadzących do nieuchronnej katastrofy wszystko cudownie wraca do porządku; każdej postaci trafia się jakaś nagroda, nie ma takiego błędu, którego nie można by naprawić, ani takich szkód, których nie dałoby się powetować. Najbardziej drażni ją chytry plan, by czytelnikowi nie zrobiło się przykro, by po lekturze nie miał przynębiających myśli. Tymczasem w rzeczywistym życiu wcale tak nie jest: błędów nie da się naprawić, szkody są trwałe, smutne myśli być może na jakiś czas można skryć, ale potem i tak wrócą. To, co się z nią teraz dzieje, jest na to

doskonałym dowodem; a nawet przerażającym dowodem. Od którejkolwiek strony spojrzysz na tę sytuację, nie potrafisz znaleźć drogi wyjścia, która nie zakładałaby ostatecznej zdrady lub ostatecznej rezygnacji. Co w takim razie powinna zrobić? Pogodzić się z rzeczywistością i ciągnąć dalej swój związek z Viviane, choć wie, że będzie nieszczęśliwa? Duszą i ciałem rzucić się w historię, która z całą pewnością dla Nicka Cruickshanka nawet się nie zaczęła?

Lecz ilekroć nawet przez chwilę wyobraża sobie, że mogłaby nie kontynuować planów zapłodnienia *in vitro* i mieć pełną swobodę, by robić to, co uważa za stosowne, przychodzi jej do głowy wiele pomysłów na lody, których jeszcze nie próbowała. Lody kwiatowe, chociażby. Owszem, zeszłej wiosny zrobiła lody z róży i się udały, ale można byłoby poeksperymentować o wiele więcej: z jaśminem, niezapominajkami, fiołkami, lawendą, glicynią, z rumiankiem, chabrem... Lodów, które mogłaby zrobić, w rzeczywistości jest tyle, ile kwiatów: całe setki, tysiące. Wystarczy, że przymknie oczy i już widzi ich barwy, czuje ich zapach i smak.

A gdyby to wszystko sprowadzało się do tej sztucznej alternatywy między różkiem a miseczką, gdy zazwyczaj nikt nie bierze pod uwagę istnienia trzeciej możliwości? Gdyby rozwiązanie sprowadzało się do wyboru własnego życia, zanim wybierze, z kim chciałaby je dzielić?

Nick Cruickshank ma problem z kręgami szyjnymi po słynnym upadku ze sceny amfiteatru Hollywood Bowl w dwa tysiące szóstym roku; jeśli w łóżku nie ułoży sobie w odpowiedni sposób poduszki pod szyją, ma gwarancję, że zdrętwieją mu palce u rąk. Lecz drętwienie jest tylko dodatkowym dyskomfortem w trakcie tej nocy, gdy bezustannie przewraca się z boku na bok i nie ma mowy, żeby zasnął. Obrazy z popołudnia i wieczoru przemierzają jego umysł, splecione z cielesnymi doznaniem, i z dziesiątkami pytań nakładających się nieskładnie jedno na drugie: w kwestii tego, co się wydarzyło, tego, co się wydarzy, w kwestii Aileen i Mileny, włoskiej dziewczyny od lodów, w kwestii jego samego. Serce bije mu zdwojonym rytmem, w uszach mu brzęczy, jest cały zlany potem. W rzeczywistości nie ma najmniejszej ochoty leżeć w tym łóżku i przewracać się jak kretyn na tym pięciowarstwowym materacu, który powinien być najwygodniejszy w świecie, a tymczasem jest do niczego; lepiej więc wstać.

Turla się na brzeg łóżka, zrywa na równe nogi, potyka się o dywan, potrąca komodę, której nigdy tu nie chciał, po omacku odnajduje wiszący na wieszaku szlafrok i wkłada go na siebie. Aileen przekręca się pod kołdrą, chrząka, pryca, po czym znów zaczyna regularnie oddychać. Mimo że ma skłonność do bezsenności, potrafi w godny podziwu sposób rozdzielać czynności, fazy dnia i nocy: tak oto udaje się jej zachować przytomność umysłu i być gotową do działania nawet w najtrudniejszych chwilach. Zgoda, wczoraj wieczorem dała się ponieść atmosferze powszechnego chaosu, aż stała się karykaturą samej siebie; lecz potem, około pierwszej, zaprzestała wycieńczających prób rekonstrukcji faktów i przypisywania odpowiedzialności, krótko ucinając: „Potrzebuję zasnąć, jutro będzie ciężki dzień”. Poszła do łazienki, by zrobić demakijaż i wziąć środek nasenny, dziesięć minut później była w łóżku z opaską na oczach, a po pięciu minutach już spała.

Jemu natomiast nigdy tak naprawdę nie udało się opanować techniki umysłowego dystansu, jakkolwiek się starał, uprawiając jogę, tai chi chuan, shuai jiao, medytację transcendentálną i wszystko inne. Nie żeby nie potrafił się oderwać od rzeczywistości, od relacji z ludźmi, od problemów natury praktycznej: robi to aż nadto, nawet w wypadkach, które innym jawią się jako niezwykle ważne. Robi to z nudów lub z poczucia wyobcowania, z lenistwa lub z niecierpliwości, często ryzykując, że ściągnie na siebie oskarżenia o arogancję lub obojętność. Ale akurat wtedy, gdy jest w coś uczuciowo zaangażowany, nic mu z tego nie wychodzi: wystarczy gest, słowo, spojrzenie, które przesładują go w myślach i przeszywają

mu serce, wzbudzają w nim nieskończone poczucie straty lub winy, wpędzają w najgłębszą rozpacz. Na całe szczęście głęboka rozpacz jest jego głównym paliwem twórczym, dysponuje jej niewyczerpanymi zasobami biorącymi się z zaburzeń równowagi, z niespełnionych marzeń, z rozstań i porzuceń, z dystansu i pustki. Miałby jej dosyć, by napisać dziesiątki pięknych utworów wyciskających łzy, jeśli tylko miałby więcej odwagi, by częściej zapuszczać się w te rejony.

Wychodzi z sypialni, ostrożnie zamyka za sobą drzwi, idzie korytarzem najciszej, jak potrafi, nie chcąc, by Aldino lub którykolwiek z jego przybyłych wczoraj znajomych pomyślał, że w domu jest jakiś intruz i zabrał się do działania. Z wychodzących na północ okien z tyłu domu widać tylko mrok, choć już rzadszy niż godzinę temu. Przechodzi obok pokoju przydzielonego Wally'emu i Kimberly, mija pokój Rodneya i Sadie oraz sypialnię Todda i Cynthii. Nie dziwi go zbyt, że postanowili zostać po tym, jak sobie wzajemnie naubliżali: ich relacje są trudne do naruszenia wobec spoiwa jasno określonych ról, głęboko zakorzenionych przyzwyczajęń, chęci rewanżu, strachu przed nieznanym, kwestii finansowych, nawet swego rodzaju wymęczonego poczucia przywiązania. Myśli o historiach miłosnych, w które inni się angażowali przez lata; o zdobyczach pospiesznie wystawianych na widok, o ucieczkach w poszukiwaniu schronienia, o tajemnicach wywlekanych do prasy, publicznych wyznaniach miłości, o kłamstwach wymyślanych przez biura prasowe, rozbitych rodzinach, którym później buduje się jakąś namiastkę, o zamęcie spowodowanym tym, że ktoś dostał za mało lub zbyt wiele, o ciągłym braku proporcji między zasługami a nagrodami.

Otwiera kuchenne drzwi i wchodzi do środka. Puste, spokojne wnętrze wywiera na nim dziwne wrażenie bez pani Jeanne, która zazwyczaj krząta się tu, krojąc, zagniatając ciasto, mieszając, przysmażając, gotując, otwierając i zamykając drzwiczki piekarnika lub lodówki. Pierwsze światło świtu zaczyna wpadać przez okno od wschodu, muska to trwające w przestoju serce domu, które wprowadzone w ruch staje się źródłem ciepła, pocieszenia i wsparcia dla każdego, kto tu wstąpi. Myśli, że gdyby z jakiegokolwiek powodu ustąpił pod naciskami Aileen i zwolnił panią Jeanne, miejsce to zostałoby pozbawione życia, stałoby się przeraźliwie zimne. Myśli, że w gruncie rzeczy to nigdy nie był jego dom: był tylko posiadłością, którą nabył, zbyt dużą, ze zbyt rozległym terenem wokół, w kraju, w którym nie miał korzeni i w którego języku nawet dobrze nie mówi. Nie żeby czuł się bardziej zakorzeniony w Londynie czy Sussex lub w innych miejscach, gdzie inwestował w nieruchomości, za każdym razem jakby inwestując w myśl o osiadłym życiu, do którego mógłby powrócić z tras koncertowych lub z wakacji. Te myśli o osiadłym trybie życia cechowały się złudną intensywnością marzeń lub reklam telewizyjnych: śniadania w kuchni, obiady przy pięknym świetle, bieganie po łące wraz z dziećmi i psami, wieczory przy zapalonym kominku i włączonej muzyce, w ciepłe rodziny i w kręgu przyjaciół. Nie były

realistyczne; a przynajmniej nie według niego, nie z jego mentalnością i jego mocno nadwerżoną uczuciowością. Życie, które prowadził w swoich domach, za każdym razem po kilku latach zamieniało się w gruzy, ulegało przemieszczeniu lub rozproszeniu, i to zawsze z jego winy; zostały tylko domy jak pojemniki zawierające w sobie domniemania, których wiarygodności nie da się już sprawdzić. Czy w takim razie lepiej nadal skakać po świecie? Bycie w drodze ma przynajmniej tę zaletę, że nie zostawia się po sobie zbyt wiele przestrzeni dla poczucia braku czy tęsknoty, można wypełnić sobie dni, choć raczej mechanicznymi czynnościami. Lecz on ma już dość ciągłego przemieszczania się drogą powietrzną lub naziemną, apartamentów hotelowych, sprawdzania dźwięku, list piosenek zawierających pewne wariacje, aby nie oszaleć od powtarzania ciągle tego samego, tłumów w zmiennym nastroju, kolejnych etapów zawierających w sobie zapowiedź następnych.

Jedyną jego własnością, która w tym momencie wzbudza w nim poczucie przynależności, jest czterdziestodwumetrowy domek na leśnej polanie, gdzie wczoraj był z Mileną, włoską dziewczyną od lodów; boli go myśl o tym, że teraz i ten dom stoi pusty po tym, jak na kilka godzin wypełnił się tak żarliwą intensywnością.

To właśnie tam ciągle powracają jego myśli, biegnąc wstecz przez bezsenność noc i przez wieczorną wymianę oskarżeń; powraca do ostrożności, z jaką z początku się poznawali, do ciekawości, jaka towarzyszyła ich stopniowemu zbliżaniu się, do bezgranicznej radości z ich złączenia, do wstrząsającego zaskoczenia ich więzią. Była jakaś nigdy dotąd niepoznana zgodność w ich spojrzeniach, w ich kształtach, w ich pragnieniach, w ich temperamentach, w ich oddechach. Zdumiewa go, że nie ma najmniejszego poczucia winy, ale tak właśnie czuje; nawet po upływie tylu godzin wydaje mu się, że to, co się wydarzyło, było nazbyt czyste, nazbyt nieskażone intencjami, aby mogło być błędem. Widzi wszystkie te obrazy: Milena, która napełnia wafle swoimi lodami o smaku śmietankowym i szaronowym, Milena, która mu je podaje, Milena, która patrzy z powagą, jak ich próbuje, Milena zaniepokojona, Milena uśmiechnięta, Milena, która się śmieje. I jej oczy migoczące wieloma barwami, biel i pomarańcz jej lodów, żółte światło lampy olejnej, czerwień ognia w piecu, mrok wieczoru za oknami, kiedy zbudzili się z czarownego snu i wyjrżeli na zewnątrz. Stanu jego umysłu z pewnością nie cechuje przytomność, ale jego palce pamiętają dokładnie linię jej czoła i wypukłość jej ud, jego nos zapamiętał zapach jej skóry między szyją a uchem, w uszach rozbrzmiewają mu jej westchnienia, na języku czuje smak jej języka, tak podobny do smaku jej lodów; i każde z tych wspomnień, tak niedawnych, a już tak odległych, niesie za sobą poczucie braku, które sprawia, że powietrze więźnie mu w płucach, a mięśnie żołądka się kurczą.

Nick Cruickshank myśli, że prawie nic o niej nie wie, a zarazem ma

wrażenie, jakby wiedział o niej wszystko. I jest przekonany, że ona myśli to samo, poczuł to. Wydaje mu się absurdem, że poznał ją dopiero przedwczoraj, że powitał ją jak obcą osobę, zanim ich obcość całkiem się rozwiązała. Przypomina sobie, jak mu opowiadała o bliźniaczych duszach: natychmiastową, całkowitą harmonię ich ponownego złączenia. Nawet nie dał sobie tego wyjaśnić, za wszelką cenę musiał przerwać jej swoim głupim sposobem na odczarowywanie, swoim cholernym *Cruickshank cool*. Lecz czy to nie coś rodem z ilustrowanych bajek, ta cała historia o bliźniaczych duszach? Czy i tak udałoby mu się przystać na tę grę? Udać, że w to wierzy? Być może spróbować naprawdę w to uwierzyć? Z drugiej strony ile razy wcześniej zdarzyło mu się doznać uczucia takiej dogłębnej znajomości w tak krótkim czasie? Ile razy zdarzyło mu się rozpoznać jakąś kobietę, której teoretycznie (i praktycznie) nie znał? Jeśli rozpatrywać tylko jego realne życie, czyli wyłączając tekst piosenki *Twin Soul Reunion*, jak również jeśli rozważyć jego dorosłość, a zatem wyłączając jego zauroczenie Mią Lees w wieku trzynastu lat (która w ogóle nie brała go pod uwagę, widząc w nim dziecko) – nie stało się tak nigdy. W takiej perspektywie, w ramach czysto umysłowego ćwiczenia, czy Aileen mogłaby być jego bliźniaczą duszą? Nie. Lecz pytanie to jest głupie, wadliwe u podstawy. Ich związek od samego początku nosił cechy relacji dojrzałej, świadomej, realistycznej, przy jednoczesnej świadomości poprzednich historii i poszanowaniu wzajemnych potrzeb praktycznych i zawodowych, nie był zaś nastoletnią mrzonką. Czy nie właśnie tego teraz potrzebuje?

Co w takim razie kryje się za tym, co wczoraj wydarzyło się z Mileną? Dziecinna skłonność do dążenia za instynktem pomimo wszelkich szkód poniesionych w przeszłości? Niepohamowana predyspozycja do przedkładania wyobraźni nad rzeczywistość? Pragnienie ucieczki przed odpowiedzialnością? Niemożność zniesienia tego, jaka stała się Aileen w ostatnich latach? Lub tego, czym zapewne zawsze była. Nieumiejętność zaakceptowania faktu, że każdy człowiek jest połączeniem zalet i wad i że nie ma sensu myśleć, że można przyjąć jedno, a odrzucić drugie. Nade wszystko, jeśli istnieje ktoś, kto jest w stanie docenić wady bardziej niż zalety, to właśnie on. Rzecz jasna, zależy to od tego, o jakie wady chodzi, bo ideałem jest, by wady dwojga ludzi uzupełniały się tak samo jak ich zalety. Co otwiera furtkę na dość niebezpieczny teren, bo istnieje przecież wiele par, które wspaniale ze sobą żyją na mocy połączenia swoich najgorszych stron. Nie wybiegając daleko, wystarczy pomyśleć o Wallym i Kimberly: z tego punktu widzenia ich związek to prawdziwy sukces (a przynajmniej można było go za taki uznać do wczorajszego wieczoru, zanim wyszła na jaw historia z małolatą z Rio). Szkoda tylko, że rezultat jest podwójnie nie do przyjęcia dla innych.

A on, czego, do diabła, chce? Czego poszukuje? Nadal ugania się za urojeniami, które wpoił sobie w czasie lektur wieku dorastania – gdy uciekał przed

realnym życiem, z którym nie chciał mieć nic wspólnego – i które potem stały się źródłem jego piosenek, a te z kolei podsycają fantazję milionów ludzi? Czy naprawdę jest winny oszustwa, a teraz to oszustwo obróciło się przeciwko niemu?

Lecz wrażenia, których doznał wczoraj z Mileną, wydały mu się cholernie realne, nie były wytworem jego wyobraźni. W tym domku pośrodku lasu czuł, że oto znalazł łagodną, a zarazem silną i inteligentną kobietę, której zawsze pragnął od czasów ciotki Maeve. Że ją odnalazł, odnajdując zarazem samego siebie. Natomiast jeśli chodzi o Aileen, na zasadzie kontrastu, wydawało mu się, że ma cechy jego matki, przez które było mu tak źle w dzieciństwie: jej chłód, szorstkość charakteru, skłonność, by zajmować się zbyt wieloma sprawami jednocześnie, ciągłą ruchliwość spojrzeń i myśli. Na ile można polegać na tych wrażeniach? Nazajutrz, przy (wciąż silniejszym) świetle dnia? Wrażenia odniesione w ciągu kilku godzin spędzonych w ukryciu, nielegalnie, przez dwoje ludzi wstrząśniętych i oszołomionych tym, co mają zamiar zrobić? I co takiego szczególnego ma w sobie naprawdę Milena? Autentyczną pasję do tego, czym się zajmuje? Lecz przecież Aileen też pasjonuje się antyskórą i miała w sobie pasję, zanim ją poznał, gdy pracowała jako kostiumolog. Ducha artystki? Lecz Aileen z pewnością nie jest zwykłą bizneswoman; projektuje swoje kreacje, obmyśla barwy i kształty. Ofiarne poszukiwania trudnych do uchwycenia niuansów? Nie żeby Aileen była niewrażliwa na niuanse; wprost przeciwnie, nadzwyczaj szybko je wychwytuje. Bezinteresowność? Lecz czy to, że nie zależy jej, by dotrzeć do jak najszerzej publiczności, stanowi jakąś wartość? Czy przydaje jej czystości moralnej i szlachetności ducha, którymi Aileen się nie odznacza? Którymi nie odznacza się również i on już od wielu lat? Czy tu właśnie spoczywa ogniskowa ich spotkania? Lub w tym, że obydwójce czują się, jakby spadli z Księżycy? A zarazem są dość słoneczni, jak można było zauważyć wczoraj? I ziemscy również?

Problem polega na tym, że aż nazbyt dobrze zna to otumanienie, które towarzyszy zakochaniu: nieskończony entuzjazm dla tego, co nowe, nadmierne rozdmuchiwanie najmniejszych różnic, przypisywanie nie do końca sprawdzonych cech, nazbyt wielkoduszne odczytywanie banalnych gestów, umysłowy Photoshop, dzięki któremu każdy widzi to, co chce. I regres języka, uproszczenie myśli aż do śmieszności, systematyczne tłumienie wątpliwości, nieumiejętność nabrania dystansu. Gdy próbuje przywołać myślami swoje dawne miłości, przed oczami jawi mu się zbiór powierzchownych wrażeń, olśnień spowodowanych pragnieniem zaskoczenia, błędów w ocenie podyktowanych impulsivewnością, kroków poczynionych bez obliczenia skutków. Nie potrafiłby wymienić choćby jednej swojej miłości, za którą stałybyby solidne, autentyczne powody; żadna nie przetrwałaby nawet dnia, gdyby wziąć pod uwagę to, co dziś wie. W gruncie rzeczy najdłużej trwały jego dwa związki niebędące wynikiem zakochania i pozostawiły po sobie najdłuższe wspomnienia drobnej codziennej harmonii,

wzajemnych prostych gestów, porozumienia w sprawach podstawowych, bez oszałamiających oczekiwań, bez fajerwerków i wtóru bębnow. Co natomiast mu pozostało z historii miłosnych, które wydawały mu się takie intensywne, każda po tysiącokrotnie lepsza od poprzedniej, tak nieodparte, że można było usprawiedliwić wszelkie zło popełniane ze zbójceckim okrucieństwem? Jedyne niewyraźne wrażenie po doznaniach fizycznych i stanach ducha, trudne do przywołania w pamięci, niewiarygodnie odległe i zupełnie nieuchwytnie.

A zatem? Do czego mógłby dojść z Mileną, włoską dziewczyną od lodów, która zamierza mieć dziecko z inną kobietą? Na ile trwale mogłoby okazać się przekonanie, że z nią wszystko wydaje się o wiele bardziej naturalne i słuszne niż w jakimkolwiek innym dawnym związku, bez potrzeby dostosowywania się i prób przemiany, bez złudzeń i naginania intuicji? Czy naginanie intuicji nie zaczęło się w momencie, gdy się pocałowali? A nawet wcześniej, gdy odwiedził ją w pracowni? Albo jeszcze wcześniej: gdy spróbował jej lodów w kuchni, przy zakłopotanym spojrzeniu pani Jeanne? A czy jej lody rzeczywiście są takie nadzwyczajne? Tak bezsprzecznie różne od innych pysznych lodów, które zdarzało mu się jadać w innym miejscu i czasie? A wspólne doznania z domku w lesie, które nadal zakłócają mu rytm serca i przyspieszają oddech? Przez ile czasu można by je jeszcze odtwarzać? Miesiącami, latami? Przez całe życie razem, jak zdarzyło mu się napisać w paru tak absurdalnie sentymentalnych piosenkach, że musiał je od razu odrzucić, nie dawszy ich nawet do posłuchania innym z racji poczucia umiaru i śmieszności?

A jednak w tym, co się stało między nimi, była jakaś nigdy wcześniej nieodczuwana naturalność: całkowity brak póz, włączając w to pozę niepozowania. Zdawało się, że oboje są po prostu tym, czym są, przy całym swoim niewiarygodnym podobieństwie i różnicach. Choć bardzo się starał, nie był w stanie sobie przypomnieć, by kiedykolwiek poczuł taki splot duchowości z fizycznością; ciała i dusze prowadzące ze sobą dialog w zerowej odległości (kolejny udany wers do piosenki, której za żadne skarby nigdy nie powinien nagrać). Było w tym obopólne rozpoznanie; ujawniało się w każdym spojrzeniu, w każdym oddechu, w każdym wypowiedzianym i niewypowiedzianym słowie. Było w tym ciągle zaskoczenie, w tym bezustannym przepływie, i radość z tego zaskoczenia. Był w tym cud. Niedoskonały, owszem, po prawdzie się skończył, i w dodatku źle; ale był.

Lecz czy byłby naprawdę skłonny, opierając się na wrażeniu niemożliwym do weryfikacji, zaprzepaścić sprawdzony związek z Aileen, kobietą, co do której zalet i wad nie ma żadnych wątpliwości? Zniweczyć perspektywę wspólnego życia, którą ona buduje od miesięcy z taką dbałością, zrozumieniem i znajomością świata? Upokorzyć ją przed dziesiątkami przyjaciół i znajomych przybyłych tu z całego świata? Przed ekipą „Star Life”, która, rzecz jasna, nie omieszkałaby ku

uciesze gawiedzi przeistoczyć sprawozdania z bajkowej uroczystości w kronikarski zapis katastrofy? Przede wszystkim ze świadomością, że jemu z pewnością by wybaczone, bo cała sprawa tak znakomicie współgrałaby z wizerunkiem, który tworzy od swoich początków? Większość jego fanów nie tylko nie potępiłaby takiego czynu, lecz nawet przyklasnęłaby mu z entuzjazmem; wystarczy pomyśleć, jak przyglądali mu się przez ostatnie lata, wypatrując ewentualnego powrotu do mieszczańskiego tryb życia, gotowi oskarżyć go o zdradę. Niemal na pewno odczytaliby niewybaczalne draństwo jako dowód na to, że autor *I Won't Have It (Any Other Way)* nadal jest zdrow i pełen życia, że cechuje go ta sama wyniosła niechęć do norm społecznych co trzydzieści pięć lat temu.

Nick Cruickshank otwiera lodówkę, zagląda do zamrażalnika, z nagłą rozpacziwą potrzebą, by znaleźć choć jeden pojemnik z lodami Mileny. Ucieszyłby się nawet, gdyby był na wpół pełny, nawet gdyby została ich tylko resztką w kąciaku; choć tyle, żeby można było ujrzeć ich kolor, dotknąć ich językiem. Nerwowo szuka między opakowaniami minimarchewek, groszku, cukinii, pochodzących z warzywników jego posiadłości, ale po lodach Mileny nie zostało śladu – skończyły się.

Milena Migliari wymyka się z domu, zamyka za sobą drzwi, starając się zrobić to bezgłośnie, choć gdy ostatni raz spojrzała na leżącą w łóżku Viviane, ta nie wyglądała, jakby wkrótce miała się obudzić. Słońce nadal wisi nisko, a błękit nieba jest bardzo blady, lecz powietrze robi się przejrzyste i światło razi w oczy. Ona idzie nieco niepewnym krokiem po brukowanej uliczce, tuż przy murze domów; przechodzi obok schodów do małego zameczku, obok wystaw sklepów z lokalnym asortymentem, obok kamienia spoczywającego u boku ruin jednej ze starożytnych bram. Idzie na parking, wsiada do furgonetki. Długo siedzi nieruchomo, czując zimno wnikające jej przez dżinsy; zapach w samochodzie jest nieco zatęchły, ale wydaje się jej, że to jedyne miejsce, w którym może czuć się bezpiecznie. Potem przestaje się czuć taka bezpieczna nawet tutaj; uruchamia silnik, zawraca, jedzie w górę drogi pnącej się po zboczach, po czym zjeżdża zakrętami w stronę doliny. W jej głowie nie pojawiają się przemyślenia, rejestruje jedynie kształty, barwy, dźwięki i ruch. Nie wie nawet, w jakim kierunku jechać; obraca kierownicą i zmienia biegi odruchowo, a z każdym zakrętem narasta w niej rozpacz, jakby jechała wzdłuż krawędzi przepaści, która w każdej chwili mogła ją wessać, sprawić, by zniknęła w nicości.

Kiedy wyjeżdża na równinę, jej rozpacz wzrasta jeszcze bardziej; Milena Migliari ma ochotę wrócić na szczyt wzgórz, aby znów zjechać w dół i odurzyć się pokonywaniem ciągłych zakrętów, i znów wjechać w górę, i ponownie udać się w dół, tak by nie musieć decydować o kierunku, nie musieć decydować o niczym. Lecz nie potrafi nawet podjąć decyzji o tym, by znów pojechać w górę, jeździ w kółko po rondzie: sześć, osiem, dziesięć razy, jak na karuzeli lub podczas wolnego wirowania w pralce, aż w końcu i w jej głowie zaczyna wirować, więc zjeżdża na drogę. Siłą bezwładu sunie prostą szosą tak wolno, że jakiś samochód z tyłu na nią trąbi, po czym wymija ją w nagłym zrywie prędkości. Ona jedzie nadal przez kilkadziesiąt metrów, zatrzymuje się na placu przed skupiskiem brzydkich, niedawno postawionych budynków mieszczących biuro nieruchomości, kwiaciarnię, piekarnię i sklep z sanitariatami. Wyłącza silnik, zostaje tam w bezruchu, czując podmuchy powietrza powodowane przez przejeżdżające samochody i tiry. Zastanawia się, czy Viviane już wstała i w jakim jest stanie. Czy już jej szuka, biegając z góry na dół po pionowym domu, po przeszklonym patio? Czy już wybiegła na ulice miasteczka? Czy wróci do środka, żeby przetrząsnąć kuchnię, by sprawdzić, czy przynajmniej nie zostawiła jej jakiejś karteczki? (Nie zostawiła jej żadnej wiadomości, musiałaby zapisać kilkadziesiąt stron, a i tak nic

zdołałaby niczego wytłumaczyć). Czy wskoczy do samochodu i pojedzie do Fayence z myślą, że zastanie ją w lodziarni? Żeby co jej powiedzieć? Że jest osobą nikkczemną, że nigdy jej nie wybaczy? Że już jej wybaczyła, choć przez to tyle się nacierpiała? Że to, co się stało, można puścić w niepamięć, jeżeli obie naprawdę będą tego chciały? Że ich plan nie legł w gruzach i w poniedziałek mogą rozpocząć całą procedurę w ośrodku w Grasse? Że życzy jej jak najlepiej, cokolwiek chciałyby teraz zrobić?

Milena Migliari siedzi nieruchomo w furgonetce chyba z pół godziny; obok niej parkują inne samochody, wysiadają z nich ludzie, wchodzą do sklepów, wracają, samochody wycofują się na wstecznym, po czym nadjeżdżają następne. Jej myśli wcale się nie rozjaśniają, jej pytania nie mają odpowiedzi ani nawet prób odpowiedzi; rytm jej serca nie wraca do normy. Przypomina sobie to, co mówił Nick Cruickshank wczoraj po południu lub wieczorem o tym, że tak bardzo są do siebie podobni, bo oboje tak bardzo nie przystają do świata. Nie wie, czy to samo może powiedzieć o nim, ale sama nie ma najmniejszych wątpliwości co do swojej nieprzystawalności, w sposób najbardziej jaskrawy z możliwych: wszystko w niej jest nie tak, nic nie jest takie, jakie być powinno. Jako mała dziewczynka czasem patrzyła na siebie w pionowym lustrze przy drzwiach wejściowych w domu rodzinnym i myślała (a czasem też mówiła): „Jaka jestem brzydka”, bo nic w jej wyglądzie nie wydawało się jej właściwe, a tym bardziej niewłaściwe wydawały się jej myśli, marzenia, sposób odczytywania świata.

Kiedy już nie może znieść tego siedzenia w furgonetce, zapuszcza ponownie silnik, zawraca, wjeżdża na prostą drogę prowadzącą na równinę, jedynie lekko muskając pedał gazu czubkiem stopy. Odwraca się, by spojrzeć na szkółkę drzew, pseudoprowansalskie domki wybudowane na nowo wydzielonych działkach o świeżo skopanej ziemi, sztyld supermarketu, reklamę hurtowni materiałów budowlanych. Zapamiętuje każdy element krajobrazu, jakby mogła z nich uzyskać jakieś cenne wskazówki, lecz jedyne, co udaje się jej uzyskać, to narastające poczucie obcości. Wydaje się jej, że znajduje się w swoim najgorszym koszmarze, który ciągle do niej powraca i w którym śni, że jest w nieznanym miejscu i nie ma torby z telefonem ani portfela, a rozpaczliwie chciałyby wrócić do domu, lecz nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie on jest i czy w ogóle ma jakiś dom, i jakkolwiek się stara, to nie może sobie przypomnieć żadnej nazwy ulicy ani nazwy miasta czy kraju, żadnego numeru, nic a nic. Viviane powiedziała jej, że sen z pewnością jest skutkiem ciągłych zmian trybu życia i miejsca zamieszkania, tego, że nigdy nie udało się jej zapuścić korzeni, i jedyne możliwy lek to zatrzymać się w jakimś miejscu i podjąć próbę, by coś zbudować, ustalić system trwałych i niepodważalnych punktów odniesienia. Przez jakiś czas to działało, właśnie tutaj, choć z początku była sceptyczna; lecz teraz znów znalazła się w samym środku swojego koszmaru, na nierozpoznawalnym terytorium, zagubiona, zdyszana,

z sercem, które podchodzi jej do gardła.

Po prawej wisi tablica z napisem „Aérodrome”, która z jakiegoś powodu wzbudza w niej znajome uczucie, choć nie wie dlaczego, choć nie ma nawet ochoty, by to zrozumieć. Jedzie tak wolno, że nawet nie musi hamować; wystarczy, że skręci kierownicą, podążając drogą pośród pól i zabudowanych działek.

Dalej domy się kończą, a łąki, jak okiem sięgnąć, rozszerzają się w dolinę otoczoną łańcuchem gór niczym wielkim ochronnym murem. Ona zatrzymuje furgonetkę pośród samochodów zaparkowanych za budynkiem aerodromu i wysiada. Wieje wiatr, słońce grzeje coraz mocniej, ale powietrze nadal jest chłodne. Przymyka oczy, idzie po żwirze, następnie po trawie, trzymając ręce w kieszeniach płaszcz, ze spuszczonego wzrokiem, z podbródkiem niemal przyciśniętym do piersi. Cokolwiek wydarzyło się wczoraj, zupełnie ją oszołomiło: jakby miała jakiś okropny wypadek i nikt jeszcze nie nakreślił jej wiarygodnego scenariusza konsekwencji.

Dalej na trawie stoją oparte skrzydłem szybowce: białe, smukłe, o miękkiej linii, o łagodnych kształtach powstałych jakby w procesie naturalnej ewolucji.

Bliżej zaparkowano ciężarówki i tiry, wokół kręcą się też robotnicy budujący scenę na jutrzejszy koncert: platformę, na której mają zagrać Bebonkersi, wieże z metalowych rurek do zawieszenia świateł i głośników. Na łące pod sceną młodzi ludzie, a także i nie tacy już młodzi, rozłożyli koce i śpiwory, aby z dużym wyprzedzeniem zabezpieczyć sobie miejsce. Jest też radiowóz; dwóch policjantów rozmawia z grupką fanów, prawdopodobnie po to, by nakłonić ich do opuszczenia zajmowanych miejsc, lecz nie mogą ich przekonać, a zresztą sami wydają się niepewni swego. Wszyscy wydają się niepewni tego ranka: policjanci, fani, technicy z aerodromu, piloci szybowców. Wszyscy poruszają się tak, jakby musieli przezwyciężyć jakiś wewnętrzny opór, jakiś brak przyczynowości.

Milena Migliari przygląda się gestom i minom ludzi na łące i zastanawia się, czy wiedzą, że Nick Cruickshank dziś się żeni. Zastanawia się, jakie uczucia tak naprawdę Nick Cruickshank wzbudza u swoich fanów, przybyłych tu nie wiadomo skąd, by czekać na niego z przynajmniej półtoradobowym wyprzedzeniem. Czy mają choć najmniejsze pojęcie, kim on tak naprawdę jest, jeśli pominąć postać kreowaną na scenie? Przynajmniej ci najbardziej oddani i wytrwali spośród nich, ci, którzy śledzą jego poczynania od kilkudziesięciu lat, znają wszystkie jego piosenki, czytali wszystko, co o nim napisano, widzieli wszystkie zdjęcia i materiały filmowe. Czy znają jego ciekawość, jego uwagę, jego poczucie humoru, zaskakującą wrażliwość jego obserwacji? Czy wiedzą, że zna naukowe nazwy roślin i ich historię? Że przeczytał *Odyseję*? Czy kiedykolwiek widzieli, żeby słuchał kogoś w takim skupieniu? Czy też może zadowala ich wizerunek dzikiego artysty stawiającego siebie ponad prawem, scenicznego szamana, anarchizującego obrazoburcy? Czy wolą nie myśleć, że ponadto może być coś jeszcze, czy wolą

wierzyć, że postać doskonale współgra z realnym człowiekiem? I czy wyobrażają sobie konflikty pośród członków zespołu lub może ciągle uważają ich za wzór braterskiej jedności, która oparła się czasowi, jak również wlotom i upadkom sławy?

Milena Migliari patrzy w niebo, myśli, że chciałaby zobaczyć chociaż jeden szybowiec unoszący się w powietrzu. Lecz na niebie nie ma ani jednego, jakkolwiek szuka ich z każdej strony z nosem zadartym ku górze. Jaka jest możliwość, by odzyskać życie sprzed wczorajszego dnia? Czy wraz z Viviane mogłyby poskładać kawałki tego, co miały? Czy też musiałyby żyć w obliczu czarnej dziury, która wywierałaby swoje destrukcyjne przyciąganie, ilekroć przejeżdżałyby w okolicy Chemin de la Forêt? A – pomijając je we dwie – to co z nią? Czy pozostałaby jej na zawsze, pośród zakamarków pamięci, w tyle głowy, myśl o tym, że przez chwilę miała okazję ujrzeć niedoskonały cud, po czym natychmiast go utraciła? Czy może powinna zaproponować Viviane, by zmieniły dom, kraj, zamieszkały gdzieś indziej? W Portugalii? W Irlandii? W Kostaryce? Czy to by wystarczyło, czy też zawsze prześladowałoby je to, co wydarzyło się tutaj? A potem, jak by to było? Ona być może mogłaby otworzyć lodziarnię gdzie indziej, ale Viviane ze względu na pracę jest zakorzeniona tutaj, wiele trudu kosztowałoby ją zbudowanie sobie reputacji i pozyskanie stałych klientów. Poza tym wzięły kredyt na dom i na sprzęt do lodziarni. Jak miałoby udać im się zwinąć obóz i rozłożyć go gdzie indziej, skoro namioty są takie ciężkie, uwiązane tyłoma sznurami, przytwierdzone tyłoma śledziami i szpilkami? Czy nie lepiej byłoby zmierzyć się z problemami twarzą w twarz, zamiast przed nimi uciekać? Czy nie zdarzyło jej się już uciekać zbyt wiele razy, zanim poznała Viviane? Gdy była dzieckiem, młodą dziewczyną, i już dorosłą kobietą. Czy to nie dzięki Viviane po raz pierwszy w życiu udało się jej coś zbudować, dzień po dniu, z widocznymi skutkami? Czy to możliwe, aby ich związek, zamiast ulec zaprzepaszczeniu przez to, co się wydarzyło, tylko się wzmocnił? Nie jutro, nawet nie pojutrze, lecz za kilka miesięcy? Za kilka lat? Czy to możliwe, że znalezienie się nad brzegiem przepaści daje jej większą świadomość tego, jak ważne jest to, by twardo stać na ziemi? Czy jest już za późno i odtąd zawsze będzie przepelniać ją żal? Żal po czym? Po ledwie poznanych lub może tylko wyobrażonych doznaniach, a, tak czy inaczej, niemożliwych już do odtworzenia?

Stoi nieruchomo na łące przed aerodromem, z głową rojącą się od pytań i z ciężkim sercem, gdy nagle czuje, że ktoś dotyka jej ramienia; natychmiast się odwraca.

Twarz Nicka Cruickshanka skrywają bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne i kaptur bluzy wystającej spod kurtki, lecz to na pewno on. Pokazuje w stronę budowanej sceny i się uśmiecha:

– Też chciałaś zarezerwować sobie miejsce?

Milena Migliari kręci głową, uśmiecha się, ale wcale nie jest jej do śmiechu; wcale a wcale. Z trudem utrzymuje się na nogach, z trudem wskazuje na szybowce stojące na łące.

– Przyszedłeś polatać?

Nick Cruickshank kręci głową, mniej więcej tak jak ona.

– Jest za wcześnie dla prądów wznoszących.

Oboje stoją w milczeniu. Od strony północnych gór wieje zimny wiatr, który zabrał ze sobą resztki mgły; teraz powietrze jest aż nadto przejrzyste, światło nazbyt intensywne. To niebywale chłodny poranek, w którym nawet oddychanie zdaje się sprawiać trud.

Nick Cruickshank rozgląda się ostrożnie wokoło, nie chce, by fani go rozpoznali. Znow się uśmiecha, ale i on nie czuje się swobodnie.

– Jakie było prawdopodobieństwo, że się tu teraz spotkamy?

– Nie wiem. Małe? Duże? – Milena Migliari myśli, że kiedy zjeżdżała z głównej drogi, to wyobrażała go sobie w łóżku, u boku jego już prawie żony, lub jak we dwoje zajęci są przygotowaniami do uroczystości ślubnej. Albo tutaj.

– No więc? – On zdejmuje ciemne okulary, patrzy na nią z tą swoją przedziwną, nieskrywaną intensywnością.

– No więc co? – Ona czuje, że z chwili na chwilę może się rozsypać jej wewnętrzna struktura, że może runąć jej system obronny, co miałoby nieobliczalne skutki.

– Idziemy? – Nick Cruickshank wykonuje gest; nie jest to jeden z jego teatralnych gestów, ledwie podnosi rękę, bez emfazy, lecz z tą samą nieustępliwością, która ujawnia się w jego spojrzeniu.

Milena Migliari stara się zadecydować, co zrobić, i nie sądzi, aby jej rozmyślenia mogły być zwieńczone powodzeniem, lecz spogląda na swoje stopy i widzi, że same się poruszają, dotrzymując mu kroku.



Fot. © Aura G.

ANDREA DE CARLO

urodził się i dorastał w Mediolanie.
Po ukończeniu studiów wiele podróżował,
długo też mieszkał w USA i Australii.
Zadebiutował powieścią *Śmietankowy pociąg*.
Współpracował z Fellinim i Antonionim,
wyreżyserował film dokumentalny
Le facce di Fellini oraz ekranizację swojej
pierwszej książki. Wraz z Ludovico Einaudim
jest autorem utworów baletowych *Time Out*
i *Salgari*, nagrał też dwie płyty z własnymi
kompozycjami. Jego powieści sprzedawały się
w wielomilionowych nakładach i zostały
przetłumaczone na dwadzieścia sześć języków.

„Ta intensywna, sugestywna, bogata w błyskotliwe
refleksje powieść o kolejach ludzkiego istnienia
potwierdza, że pisarstwo De Carla należy
do najbardziej przejrzystych, uważnych
i nowoczesnych w dzisiejszej literaturze włoskiej”.

TuttoLibri

„Poruszająca opowieść o rozejmie z samym sobą”.

Il Corriere della Sera



Niedoskonały cud

Romantyczna, kojąca opowieść, w której rockowy rytm łączy się z komediową lekkością, a lodowe smaki lata z melancholijną refleksją nad czasem, za którego sprawą wszystko się zmienia

W prowansalskim miasteczku Włoszka Milena Migliari prowadzi lodziarnię, w której realizuje autorskie pomysły. Jej dzieła to niedoskonały cud, bo prędej czy później lody zostają zjedzone albo się po prostu rozpuszczają. Zupełnie jak uczucia w związku dwojga ludzi. Dlatego Milena zrezygnowała z układow z mężczyznami i od kilku lat dzieli życie z przyjaciółką Viviane. Wszystko się zmienia, kiedy do sennego miasteczka przyjeżdża angielski rockman Nick Cruickshank.

W pewnym momencie ich drogi się przecinają. W ciągu zaledwie trzech dni rozwój wypadków przyspiesza, zamieniając się w wir ekscytujących zdarzeń.

FASCYNUJĄCA POWIEŚĆ JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH
WŁOSKICH AUTORÓW



